

Tracy

*Gobes
syrena*



*przełożyła
Teresa Komłosz*

Dla Anne-Marie - z wyrazami miłości

P r o l o g

Shoreham, Anglia

PO wzgórzach hulał zimny wiatr. Świstał w gałęziach jałowca, zrywając martwe liście, bezlitośnie szarpał młodymi drzewkami. Rozpościerający się u stóp urwiska ocean nadawał powietrzu słony smak, a tuż nad ziemią unosiła się warstwa mgły, jaśniejąca odbitym blaskiem księżyca. Upiorne, podobne do duchów postacie zdawały się tańczyć pośród białych, snujących się nad ziemią smug. Kiedy indziej stara Cyganka pewnie odmówiłaby szybką modlitwę odpędzającą piekielne opary, ale tej nocy słyszała jedynie krzyki tych, którzy pragnęli zobaczyć ją martwą.

Przykucnęła między kilkoma żelaznymi krzyżami stojącymi na szczycie urwiska. Krzyże wyznaczały pradawne miejsce kultu, znacznie bardziej święte niż kościół wzniesiony pośrodku wioski i znacznie mniej kosztowne w utrzymaniu. W przeszłości czuła się tu bezpieczna.

Tej nocy jednak miała świadomość, że owe krzyże mogą oznaczać jej grób.

Chłód ciągnący od ziemi przez bosc stopy boleśnie łamał ją w kościach. Jednakże w żyłach czuła magiczną moc, palącą niczym ogień, magię, nad którą tak do końca nigdy nie nauczyła się panować. Zawsze trzymała ją na wodzy z lęku, do czego mogłaby ją doprowadzić. Ale tej nocy... dzisiejszej nocy ta

magia wręcz ją przerażała. Niczym bestia zamknięta w lochu, miotająca się w klatce, domagała się zemsty.

Domagała się wypuszczenia na wolność.

Nocną ciszę rozdarły niespokojne krzyki. Anglicy byli coraz bliżej.

I było ich wielu.

Słyszała, jak uderzając kijami po krzakach, szukają jej rodaków, Cyganów, którzy znali ich grzechy.

Reszta plemienia uciekła brzegiem. Wcześniej próbowali jej pomóc, pomóc swojej mądrej nestorce, która umie błogosławić i przeklinać, uzdrawiać i sprowadzać chorobę. Miała świadomość, że tylko by przeszkadzała tym, którzy mogli przetrwać, więc ze ściśniętym sercem kazała im uciekać, a sama starała się zyskać dla nich trochę czasu, przeklinając Anglików za ich zbrodnie.

Na zboczach wzgórz, od strony zbliżającej się tłuszczy, ukazała się pomarańczowa łuna świateł. Cienie zatańczyły pośród starych celtyckich krzyży. Ledwie zdążyła się skryć za największym z nich, gdy całkiem blisko rozbłysła pierwsza pochodnia.

Zaciskając dłonie na krzyżu, próbowała uspokoić szybki, urywany oddech. Czuła, jak magia rozpiera ją od środka. Kosmyk włosów załaskotał ją po policzku. Zdała sobie sprawę, że włosy zaczynają jej stawać dęba. Dawniej była w stanie panować nad swoją magiczną mocą dzięki Morskiemu Opalowi, potężnemu klejnotowi, który od wieków przynosił szczęście jej plemieniu. Teraz jednak, odkąd Morski Opal został skradziony, czuła się bezradna.

Morski Opal. Jacyż byli głupi, że go stracili! Tylko jak mogli cokolwiek ochronić przed tak bezwzględny i przebiegłym złodziejem?

Zacisnęła usta, przywołując w myślach sposoby, jakimi starali się strzec klejnotu: zawsze woziła go we własnym wozie, a jeden z jej młodych krewnych bezustannie czuwał na straży.

Jednakże złodziej miał spryt i zwinność kota, a przy tym moralność szakala. Nie zawahał się dzielić strażnika maczugą po głowie, a potem o mało jej nie udusił na śmierć, zanim porwał klejnot z wyłożonej aksamitem szkatułki. Zapewne łajdak był przekonany, że ją zabił, ale przeżyła i udało jej się dojrzeć jego twarz.

Choć nienawidziła złodzieja, w pełni rozumiała, dlaczego nie mógł się oprzeć pokusie zagarnięcia Morskiego Opalu. Ten niezwykły kamień lśnił wyjątkowym niebieskawym blaskiem, jakby coś rozświetlało go od wewnątrz. A w jego głębi zdawały się tańczyć przedziwne wzory. Nigdy w życiu nie widziała drugiego takiego klejnotu, który swym pięknem potrafił mącić człowiekowi w głowie. Czasami wyobrażała sobie nawet, że wewnątrz opalu tkwi coś żywego, jakieś istnienie uwięzione pod twardą powierzchnią, migotaniem i zmianami koloru próbujące przekazać światu coś ważnego.

Ilu ludzi zginęło w walce o ten klejnot?

Ilona mogła się tylko domyślać, że było ich bardzo wielu.

W uszach zadudniły jej echem nienawistne obelgi wymierzone przeciwko Cyganom. Skuliła się w sobie. Złodziej, znany jako Anthony St. Germaine, według którego pierwszy lepszy kundel zasługiwał na więcej szacunku niż Cygan, ukazał się na najbliższym wzgórzu i zbliżał się ku niej wraz z bandą swych kompanów. Wszyscy aż kipieli gniewem, w ich przekonaniu całkowicie słusznym.

Serce jej załomotało, lewe ramię przeszył ból. Przez moment miała wrażenie, że stare kości odmówią jej posłuszeństwa, że nie będzie w stanie się ruszyć. Zdjęta ją zgroza na myśl, że prześladowcy miną ją, skamieniałą w cieniu krzyża, i podążą w pościgu za resztą jej plemienia.

Ilona uniosła podbródek, zbierając w sobie siły. Uratuje ich, swoją Elenę i Stefana, Walthera i wszystkich pozostałych, którzy jej teraz potrzebowali. Podniosła się, z trudem prostując obolałe kolana, i wyszła na otwartą przestrzeń, stając na drodze

nadciągającej bandy. Nie od razu ją dostrzegli; zapewne jej sylwetka ginęła w cieniu krzyży. Szli dalej, głośnymi okrzykami wzywając boskiej pomocy w oczyszczeniu ich ziemi z Cyganów. Jakby żądza krwi całkowicie wyzuła ich z człowieczeństwa.

Kiedy zbliżyli się na odległość jakichś pięciu metrów, ktoś wreszcie ją zauważył.

- A to co! - odezwał się kobiecy głos. Ilona rozpoznała żonę St. Germanie'a, znaną w całej osadzie z miłosiernych uczynków. - Czyżbyśmy wreszcie znaleźli jednego z tych cygańskich szakali?

- A jakże, to jeden z tych kocmołuchów - zawtórował jej inny głos. Ten należał do samego St. Germanie' a. - Sprawdźmy, czemu nie ucieka przed nami tak jak reszta.

Podeszli bliżej i wszyscy naraz, złodziej, jego żona i pozostali, unieśli pochodnie, dokładnie oświetlając Ilonę.

- Popatrzcie na jej ubranie - rzekł inny kobiecy głos, cichszy, stłumiony. - Powiewa, jakby targał je wiatr.

Tłum nagle stał się ostrożny. St. Germanie z żoną zbliżyli się do Ilony, ale reszta pozostała w miejscu. Ilona wiedziała, że wypełniająca ją magia zaczyna się materializować poza obrębem jej ciała. Mimo to wciąż starała się nad nią panować, świadoma, jak straszna może być ta niezwykła moc.

- Odebraliście mi coś bardzo cennego - odezwała się słabym głosem, bardziej pasującym do cygańskiego języka. - Nazywa się Morski Opal. Oddajcie mi go, a daruję wam życie.

Tłum znieruchomiał, zapanowała martwa cisza. A potem nagle jeden z mężczyzn wybuchnął śmiechem. Inni mu zawtórowali, aż wreszcie zdawało się, że całe wzgórze drżą od śmiechu. St. Germanie podszedł jeszcze bliżej i oświetlając pochodnią swą brodatą twarz, wyciągnął rękę z niebiesko połyskującym klejnotem.

- Tego szukasz? - spytał triumfalnie.

Ilonę przebiegły ciarki.

- Oddaj mi Morski Opal, a pozwolę ci zachować życie.

St. Germanie schował kamień z powrotem do kieszeni.

- Nigdy go nie oddam, stara wiedźmo.

- Ona jest wiedźmą - potwierdziła żona złodzieja wyraźnym, mocnym głosem. - Budzi obrzydzenie w oczach Boga, nie można tego tolerować. Musimy się pozbyć tej zarazy z naszej ziemi, zanim całkiem nas zniszczy.

W tłumie podniosły się chrapliwe okrzyki.

Ilona jęknęła. Przez całe życie unikała korzystania z magicznej mocy, wiedząc, że trudno przewidzieć jej skutki, które często przynosiły więcej szkody niż pożytku. Ale jeszcze nigdy tak bardzo jej nie potrzebowała. Musiała zaryzykować, choćby po to, by ratować swoich bliskich.

Mrużąc oczy, nakreśliła w powietrzu kilka znaków; jej sękaty starczy palec poruszały się z wdziękiem dziewczęcej dłoni. Ból w stawach ustąpił, kiedy magia spłynęła do koniuszków palców, a potem dotknęła Anglika, który stał najbliżej.

- Węże - syknęła Ilona, patrząc na niego.

Przeklęty mężczyzna cofnął się gwałtownie, po czym wytrzeszczając oczy, przycisnął ręce do brzucha. Najwyraźniej czuł już, że coś się dzieje z jego żołądkiem.

Śmiech, który rozbrzmiewał jeszcze przed chwilą, raptownie ucichł. Rozległy się niespokojne, zduszone okrzyki.

- Klnę się na Boga - rzekł St. Germanie, wypinając pierś. - Cyganko, zostaniesz ukarana.

Ilona nie odrywała oczu od stojącego najbliżej niej człowieka.

- Ukarz mnie - powiedziała spokojnie - a wszyscy dostaniecie węży.

Czoło przeklętego nieszczęśnika zrosiły krople potu. Palcami wygiętymi na kształt szponów dźgał się po brzuchu.

- Mam coś w środku - wystękał. - Ona mi tam coś włożyła. To boli. - Potoczył wokół błędnym wzrokiem.

Potrzeba mu noża, pomyślała Ilona. Ludzie dotknięci przekleństwem węży często sami próbowali wyciąć sobie wnętrzności, byle się uwolnić od bolesnych skurczów. Jeśli udało się

ich powstrzymać, wracali do normalnego stanu przed wschodem słońca.

Jeśli...

- Widzisz, złodzieju, co mogę ci zrobić? - powiedziała, czując, że tym razem jeszcze jest w stanie panować nad swą magiczną mocą. Miała nadzieję, że reszta plemienia jest już na tyle daleko, by uniknąć schwywania.

- Nie boję się ciebie, stara Cyganko- oświadczył butnie St. Germaine. - Pozbędę się ciebie.

Bez ostrzeżenia zerwał z siebie wełniany płaszcz i narzucił na Ilonę, unieruchamiając jej ramiona. Nim zdołała do końca pojąć, co się dzieje, tłum poderwał ją z ziemi i niósł na ramionach jak barana do rzeźni.

_ Wybaczam ci i niech Bóg także ci wybaczy! - zawołała.

Słowa, które wyszły z jej ust, nie odpowiadały prawdzie. Kochała Elenę, Walthera, Stefana i resztę swych bliskich tak bardzo, że nigdy nie mogłaby wybaczyć wyrządzonej im krzywdy. Prawda wyglądała tak, że gdyby ci Anglicy skrzywdzili kogokolwiek z jej plemienia, Ilona bez wahania dałaby upust swym magicznym mocom, nie bacząc na groźne skutki.

Nieśli ją jak kłodę drewna; czyjaś ręka wpijała jej się w kręgosłup, inna boleśnie uciskała żebra. Brak poszanowania dla jej godności był jeszcze dotkliwszy od bólu. Poczowała, że znów budzi się w niej bestia, tym razem pełna nie tylko magii, ale i wściekłości. Stare cygańskie przekleństwo samo wymknęło jej się z ust, narażając ją na brutalne szarpnięcia... ale i dając drobną satysfakcję.

Durni Anglicy, pomyślała.

Nagle tłum zwolnił, a potem całkiem się zatrzymał. Ci, którzy ją nieśli, wykrzyknęli coś, a potem ją puścili. Upadła ciężko na ziemię. Spojrzała w górę, by zobaczyć, co też pobudziło ich do krzyku... i sama także krzyknęła z wrażenia.

Byli tam wszyscy, wyraźnie widoczni w świetle pochodni: Elena z czarnymi włosami sięgającymi pasa i strachem w czar-

nych oczach, jej wnuk Stefan z dumnie uniesioną głową. Pozostali trzymali się nieco dalej, nie tak jasno oświetleni, ale Ilona i tak ich rozpoznała.

To byli bliscy jej ludzie.

Stali na samym skraju urwiska. Jakieś piętnaście metrów niżej fale oceanu waliły o brzeg. Gdyby Anglicy zmusili ich do cofnięcia się choćby o krok, niechybnie spadliby w otchłań.

Tłum ucichł. Ilona czuła napięcie w powietrzu. Śmierć była bardzo blisko.

- Puście ich - wykrzyknęła - albo przeklnę was i waszych krewnych, a wasze życie stanie się gorsze od samego piekła!

- Cicho bądź, cygańska wiedźmo - rzucił jeden z Anglików.

Ze złości Ilonie aż pociemniało przed oczyma. Rozbolała ją głowa. Siła, która pozwalała jej panować nad magiczną mocą, zaczęła ją opuszczać.

St. Germaine wyciągnął miecz z pochwy u pasa. Ostrze załśniło srebrzyście w blasku księżyca. Dotknął końcem brzucha Stefana i wykonał pchnięcie. Jasnoczerwona krew splamiła koszulę.

- Cofnij się, szakalu - rozkazał - bo inaczej posiekam cię na kawałki.

Stefan nawet nie drgnął. Oczy mu pałały bezsilnym gniewem. Na ten widok Ilonie serce ścisnęło się z rozpacz.

- Zabij mnie, angielska świni - rzekł wyzywającym tonem.

- Nie! - zawołała Ilona.

St. Germaine zmrugał oczy. Przeniósł czubek miecza na szyję Stefana.

- Cofnij się - powtórzył.

Grupa Cyganów zastygła w bezruchu.

Wnuk Ilony cofnął się, powłócząc nogami. Złodziej, śmiejąc się, popchnął go lekko. Ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk Stefana, spadającego w otchłań.

Ilonie brakło tchu. Nie była w stanie dużej wstrzymywać działania swych mocy. Wypełniła ją ciemność, gęsta, głęboka, bezlitosna.

Albo oni musieli zginać, albo ona.

Z drapieżnym uśmiechem na ustach uwolniła bestię z klątki swego umysłu. Zdawało jej się, że zaraz spłonie żywcem, kiedy ogień z krwi rozszedł się po całym jej ciele.

Niech ci Anglicy zobaczą, czym jest prawdziwe zło!

- Odsuńcie się. Wszyscy - zarządził St. Germaine, kierując broń na Walthera. Cygan znieruchomiał niczym posąg.

Elena zamarła ze strachu o męża.

Fałdy płaszczu krępujące ruchy Ilony zaczęły dymić. Na twarzy jednego z trzymających ją ludzi zamigotał niesamowity, siny blask. Mężczyzna, krzywiąc się, odstąpił o krok. Płaszcz opadł na ziemię. Ilona zdała sobie sprawę, że to ona jest źródłem niezwyklej poświaty.

Uśmiechnęła się, odsłaniając resztki zębów.

Mężczyzna uczynił znak krzyża na piersi.

St. Germaine odjął miecz od szyi Walthera i wbił spojrzenie w Ilonę.

- Jesteś diablicą - wyjąkał.

Ilona posłała mu iście piekielny uśmiech. Czuła się jak burzowa chmura, tak nabrzmiała, że musi wybuchnąć, pęknąć, oślepić ziemię piorunami, by na koniec zgnieść ją ciężarem nawałnicy. Obserwowała złodzieja kątem oka; uśmiech zniknął z jej ust, zastąpiony grymasem skupienia. Zamierzała użyć zaklęcia ludzi morza, żeby ukarać tych nikczemnych łotrów. Klątwa miała sprawić, że zarówno oni, jak ich potomkowie będą żyć w oceanie jako *naga*, pół ludzie, pół delfiny. Taki los w pojęciu Ilony był znacznie gorszy od samej śmierci.

- Nogi zostaną ci odjęte - zaczęła, czując, jak opary magii spływają z niej na złodzieja - i będziesz miał płetwy, a twoja skóra stanie się gruba i szara.

St. Germaine zaczął drżeć, miecz, który wciąż trzymał w ręce, także się trząsał. Wyraźnie próbował walczyć ze skutkami zaklęcia. Był silny, ale i tak nie mógł się równać z bestią.

- Wiedzmo - wycharczał, zaciskając drugą rękę na Morskim Opalu.

Ilona zmrużyła oczy. Musiał jej zwrócić klejnot.

- Podejdź tu.

Na jej rozkaz poruszył prawą nogą, niezdarnie, jak marionetka. Reszta ciała pozostała nieruchoma. Ilonę ogarnął niepokój. Jeszcze nigdy nie spotkała człowieka tak odpornego na czary. Może to Morski Opal dawał mu tę siłę.

- Oddaj mi mój klejnot - zażądała.

Żyły na czole mu nabrzmiały, ale powoli uniośł dłoń z Morskim Opalem. Ona także wyciągnęła rękę, gotowa wydrzeć klejnot spomiędzy jego palców, kiedy nagle zeszytniał jak porażony skurczem.

- Nigdy - wyszczał przez zęby i nim się domyśliła, co zamierza zrobić, wyrzucił bezcenny kamień. Morski Opal, lśniący w świetle księżycy niczym gwiazda, przeleciał łukiem w powietrzu i zniknął poza krawędzią urwiska jak wcześniej Stefan.

Ilona skamieniała. Miała wrażenie, że żelazne szpony ścisnęły jej serce. Pomyślała ze zgrozą, że już nigdy nie odzyska klejnotu. Szczęście, które przynosił Morski Opal, odwróci się od niej, a jej rodzina będzie odtąd skazana na niedolę. Miała ochotę paść na ziemię i zwinąć się w kłębek z rozpacz. Nie pozwoliła jej na to wściekłość. Znowu odezwała się w niej bestia. Zaatakowała złodzieja z siłą, której nie mogła się oprzeć żadna ludzka istota.

Natychmiast oczy St. Germaine'a przybrały mętny wyraz, wypuścił miecz z nagle zmartwiałych palców, rozchylił usta.

Strata Morskiego Opalu nie pozwoliła się Ilonie cieszyć z pobicia wroga. Mimo to skierowała swą moc przeciwko żonie złodzieja.

- Ocean stanie się twoją trumną, twoje oczy nie ujrzą słonecznego światła, a twój dom przejdzie w moje ręce.

Kobieta wydała z siebie ciche westchnienie, opuszczając ręce bezwładnie wzdłuż ciała. Z jej szeroko otwartych oczu wyzierała pustka. Była słaba i godna pożałowania.

Ilona uśmiechnęła się pod nosem. Przenosiła wzrok po kolei na każdego z reszty Anglików, którzy zabili Stefana.

- Każda strawa, jaka przejdzie przez wasze usta, będzie miała smak soli, a reszta ludzi będzie was unikać jako wściełanego zła.

Wszyscy stali bez ruchu, porzuciwszy motyki, grabie i pochodnie. Ubrania kilku ludzi zajęły się ogniem, lecz Ilona wiedziała, że woda oceanu wkrótce ugasi płomień. Potrzęsając głową z napięcia wywołanego magią, ciągnęła monotonnym głosem:

- Dopóki nasza cygańska krew pozostanie czysta, moja kłątwa zachowa moc.

Cykanie stoczeni na brzegu wydali zbiorowe westchnienie, przypominając jej o swej obecności.

- Odsuńcie się od urwiska. Szybko - rzuciła do Eleny, która niepewnym krokiem odeszła na bok. Reszta podążyła w jej ślady, potykając się, z twarzami świecącymi blade w ciemności.

Ilona wbiła wzrok w Anthony'ego St. Germaine'a. Przejrzała go na wskroś, po raz pierwszy zobaczyła go takiego, jaki był w istocie, zobaczyła złodzieja z londyńskiego East Endu, który zbił fortunę, okradając innych, człowieka bez żadnej rodziny poza żoną. Przyjaciele byli mu wierni tylko tak długo, jak zapewniał im wikt i opierunek. Skrzywiła się z pogardą,

- Idź, gdzie cię posłałam.

Patząc półprzytomnym wzrokiem, ruszył w stronę urwiska. Nie zważając na krok, dotarł do krawędzi i zniknął w ciemności, nie wydając żadnego dźwięku.

Elena mimowolnie krzyknęła.

Ilona z bijącym szybko sercem wykonała znak w powietrzu przed żoną złodzieja.

- Idź.

Powłóczęgając nogami, jakby była ślepa, żona złodzieja podążyła za mężem, tak samo doszła do krawędzi i bezgłośnie zniknęła w otchłani.

Ilona uśmiechnęła się do siebie. Nie było już małżonków St. Germaine.

Przeprowadziła tą samą drogą wszystkich, jednego po drugim, kompanów i służbę St. Germaine'ów. W miejscu, gdzie stali jeszcze przed chwilą, pozostała jedynie ciemność. Kiedy ostatnia postać oderwała się od brzegu, Ilona zachwiała się i upadła na ziemię. Bestia w niej, w pełni zaspokojona, wreszcie ucichła.

Ilona była przekonana, że zaraz umrze.

Ktoś chwycił ją za rękę.

Podniosła wzrok na Elenę. Zdawało jej się, że poza strachem i troską widzi w twarzy młodej kobiety potępienie.

- Ja ich nie zabiłam, dziecko - zdołała z trudem wyszeptać - Oni dołączyli do *naga*, ludzi morza. Lewiatan jest teraz ich bogiem.

- Morski Opal - szepnęła Elena - Ocean go połknął.

- Musimy go odzyskać - powiedziała Ilona resztką sił, czując, jak uchodzi z niej życie. Włosy, uniesione wcześniej na końcach przez działanie magii, opadły jej miękko na ramiona - Eleno, obiecuj mi, że odzyskasz klejnot.

Elena uściśnęła dłoń matki.

- Spróbuj, matko. Spróbuj.

1

Shoreham, Anglia, rok 1810

Cole Strangford zsunął okulary na czoło, z trudem powstrzymując odruch zniecierpliwienia. Kilka kroków od niego stryj Gillie majstrował przy poskręcanych miedzianych cylindrach, które dostarczały tlen do żelaznego kompresora. Wyraźnie starał się przyciągnąć uwagę Cole'a. Gillie pojawił się w laboratorium przed mniej więcej pięcioma minutami, ale Cole udawał, że nie zauważa jego obecności, ponieważ chciał dokończyć zaplanowaną pracę. Niestety, szybko musiał dojść do wniosku, że nie zazna upragnionego spokoju, dopóki nie wysłucha tego, co stryj ma mu do powiedzenia.

- Nie dotykaj - warknął Cole ostrzegawczo.

Gillie odskoczył, cofając palce od cylindrów, jakby parzyły. Spojrzał na Cole'a spod siwych brwi.

- Więc jednak w końcu mnie zauważyłeś.

- Widziałem cię od samego początku, stryju. Miałem nadzieję, że sobie pójdiesz, jeśli będę cię ignorował. Jestem w połowie eksperymentu, bardzo istotnego, więc proszę cię, przyjdź później.

- Mam dla ciebie ważne wiadomości - oznajmił Gillie. Z wyrazem rezygnacji jeszcze raz przyjrzał się metalowej aparaturze rozłożonej na stole. - Nad czym właściwie pracujesz? - zmienił temat.

Nieco zakłopotany Cole ogarnął wzrokiem swój najnowszy wynalazek.

- Nad urządzeniem do oddychania pod wodą. Później mi wszystko powiesz. Teraz jestem zajęty.

- Urządzenie do oddychania pod wodą? A po co?

- Po to, żebym mógł nurkować w morzu bez potrzeby wynurzania się dla zaczerpnięcia powietrza - wyjaśnił Cole, uważnie przyglądając się niewielkiemu cylindrowi, który miał mu służyć pod wodą jako zbiornik tlenu. Na razie cylinder przepuszczał tlen i absorbował ciepło, co powodowało tworzenie się szronu na jego powierzchni. - Kiedy uda mi się uszczelnić ten zbiornik, będę mógł schodzić z nim pod wodę i oddychać jego zawartością, zamiast się wynurzać. Będę mógł pozostawać na dużej głębokości przynajmniej przez godzinę.

- Chyba wolę twój dzwon do nurkowania.

- Nigdy nie nurkowałeś w moim dzwonie - mruknął Cole. - Nie masz pojęcia, jak to jest schodzić na niezbadane morskie dno, dusić się stęchłym powietrzem i natychmiast uciekać na powierzchnię. Może gdybyś trochę energiczniej operował pompą dostarczającą powietrze do dzwonu, nie próbowałbym wynaleźć czegoś nowego, co zastąpi pompę i ciebie. No, idź już sobie.

- To pompa była do niczego, nie ja.

- Pompa była w porządku.

- Rura się skręciła, odcinając dopływ powietrza.

- Nie widziałem, żeby coś się stało z rurą.

Gillie wzruszył ramionami.

- Przynajmniej nie próbujesz już się pozbyć nocników. Tego doświadczenia raczej bym nie powtarzał.

Cole opuścił okulary na nos i z ukosa spojrzął na stryja.

- Czyżby moje splukiwane klozety nie były o wiele lepsze od wychodka w przybudówce? - Kiedy Gille niechętnie przytaknął, Cole z uśmiechem zadowolenia znów umieścił okulary

nad czołem. - Z pewnością wolisz moją drewnianą toaletę od dziury w ziemi, więc przestań narzekać i pozwól mi się zająć pracą.

- Dałbym ci spokój, gdybym nie miał tak naglących wieści. Nie możesz mi poświęcić choćby minuty?

- Królewskie Towarzystwo Oceanograficzne zaprosiło mnie, bym zademonstrował mój skafander nurka wraz z aparatem do oddychania na następnym zgromadzeniu - oznajmił Cole. - Nie dość, że to zgromadzenie odbędzie się za niecałe pół roku, to jeszcze niejaki William James pracuje nad własnym wynalazkiem tego rodzaju. Jeśli chcę wyprzedzić Jamesa i uzyskać kredyt na ten cel, nie wspominając już o zamówieniach od Marynarki Królewskiej, muszę się śpieszyć.

- Cole, to, co mam ci do powiedzenia, jest o wiele ważniejsze od jakichkolwiek wynalazków - upierał się Gillie.

Cole zauważył, że stryj ma na sobie swój najlepszy wizytowy surdut. Ponieważ Gillie zazwyczaj spędzał popołudnia w kamizelce i z podwiniętymi rękawami koszuli, Cole domyślił się, że oczekują goście. Zirytowała go myśl, że będzie musiał porzucić swoją pracę, by pełnić honory gospodarza.

- Czyżby ktoś miał nam złożyć wizytę?

- Dwie wyjątkowe osoby zmierzają właśnie do Shoreham - potwierdził stryj. Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i położył na starym wiklinowym stoliku, wyłowionym przez Cole'a ze strychu Shoreham Park Manor. - Pamiętasz tę kobietę, o której wspominałem parę miesięcy temu? Tę, która według mnie mogłaby się nadawać na twoją narzeczoną? Jej ojciec odpisał. Przychylnie zapatruje się na twój ewentualny związek z jego córką i przyjął nasze zaproszenie. Przyjeżdżają do nas oboje dziś wieczorem.

Cole'owi żołądek podjechał do gardła.

- Dziś wieczorem? Na litość boską, człowieku, powinienś być mnie ostrzec!

- Dylizans pocztowy złamał oś czy coś w tym rodzaju - wyjaśnił Gillie. - Gdyby nie to, otrzymalibyśmy ten list wcześniej.

Cole wstał, odsunął się od stołu i podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na Shoreham Park Manor. Zdjął go strach. Przeżył trzydzieści jeden lat jako kawaler i choć miał świadomość, że dawno powinien się ożenić, wciąż nie mógł się oswoić z myślą o związaniu swego życia z jakąś kobietą. Badania i doświadczenia pozwalały przewidzieć działanie większości wynalazków. Ale żadna liczba badań i doświadczeń nie mogła go upewnić, jak zachowa się kobieta. Niemniej jednak rozumiał konieczność ożenku z odpowiednią cygańską narzeczoną i miał świadomość, że kiedyś w końcu będzie musiał dopełnić tego obowiązku.

Cole, Gillie oraz reszta Strangfordów należeli do cygańskiego rodu, niegdyś najświetniejszego w całej Anglii. Ich udziałem było bogactwo i zaszczyty aż do czasu, gdy przed wiekami utracili Morski Opal, cudowny klejnot przynoszący szczęście temu, kto go posiadał. Od tamtej chwili los Strangfordów okrutnie odmienił się na gorsze.

Próbując odzyskać przychylność fortuny, Strangfordowie porzucili ciągłą wędrówkę i osiedli na stałe w Shoreham Park Manor, posiadłości leżącej blisko miejsca, gdzie stracili Morski Opal. Każdy z kolejnych potomków rodu poszukiwał bezcennego klejnotu... bez skutku. Co więcej, rodzina, przynięciona brzemieniem klęski, straciła też swą znaczącą pozycję w cygańskiej społeczności. Cole właściwie nie uważał się już za Cygana. On i jego przodkowie porzucili większość starych tradycji, upodabniając się do miejscowej szlachty, i obecnie bardziej przypominali statecznych ziemian niż cygańskich wędrowców.

Czasami w środku nocy Cole leżał bezsennie, a poczucie klęski trawiło go niczym kwas. Mimo swych licznych wynalaz-

ków i determinacji ani na krok nie zdołał się zbliżyć do odnalezienia świętego klejnotu na dnie oceanu. Zwykle znajdował pocieszenie, przynajmniej chwilowe, w świadomości, że choć nie odzyskał Morskiego Opalu, dzięki swym eksperymentom dokonał kilku wynalazków, które poprawiły warunki życia w Shoreham Park Manor. Jednakże wciąż wierzył, że tylko odnalezienie Morskiego Opalu rozpędzi ciemną chmurę wiszącą nad jego rodziną, a utwierdzały go w tym przekonaniu studia nad historią klejnotu, potwierdzające legendę, że przynosił szczęście wszystkim, którzy znaleźli się w jego posiadaniu. Nic dziwnego, że tych wszystkich, którzy kiedyś mieli Morski Opal na własność i go stracili, dotykał ciąg niepowodzeń i katastrof podobnie jak jego rodzinę. Jako człowiek nauki założenie, że jakiś klejnot może wpływać na ludzkie losy, uważał wprawdzie za niedorzeczne, ale przecież nie mógł zaprzeczać dowodom.

Myśl o małżeństwie zwarzyła mu humor. Ściągnawszy z nosa okulary, podszedł do okna i półprzymkniętymi powiekami wpatrywał się w zieleń trawnika. O ucieczce nie było mowy, więc w końcu zrezygnowany zwrócił się do stryja:

- Nie dałeś mi zbyt wiele czasu, żebym się przygotował do tej wizyty.

Gillie usadowił się w wiklinowym fotelu.

- Do ich przyjazdu został cały dzień. O jakie przygotowania ci chodzi? Zelda poradzi sobie ze wszystkimi domowymi sprawami, a ja zajmę się resztą.

Cole rozejrzał się po pomieszczeniu, które od dobrych dziesięciu lat służyło mu za laboratorium. Znajdowało się na parterze wiatraka i było zagracone wszelkiego rodzaju rupieciami - począwszy od starych miedzianych misek, poprzez latarniane słupy i koła od wozów, po maszyny, które sam zbudował, lecz nie znalazł dla nich zastosowania. Próbował sobie wyobrazić, jaki wpływ mogłaby mieć na nie kobieca ręka

żony, i natychmiast oczyma duszy ujrzał swoje laboratorium wysprzątane do czysta i przystrojone koronką oraz kwiatami.

Zasępił się. Przez lata walczył ze swoją ciotką Peshą i kuzynką Zeldą, powstrzymując je przed „uporządkowaniem” laboratorium. Na myśl, że miałby od nowa podjąć tę samą walkę z żoną, zrobiło mu się niedobrze.

- Muszę się przygotować do możliwości małżeństwa i wszystkich wynikających z tego stanu zobowiązań.

- Nie martw się małżeństwem. Po prostu poświęć godzinke albo dwie na ćwiczenie, jak stać się miłym, a powinieneś być w zupełności gotowy, kiedy ona się tu zjawi.

- No nie wiem. Nie podoba mi się pomysł, żeby jakaś osoba w spódnicy przewracała mi życie do góry nogami. Sądziś, że będzie nalegała, bym porzucił moje wynalazki? Bo jeśli tak, to nie ma o czym mówić.

Gillie nie odpowiedział; patrzył na okruchy lustra, które Cole rozbił przed tygodniem i jeszcze nie zdążył posprzątać.

Cole podszedł do olbrzymich drewnianych trybów, które kręciły się w odpowiedzi na ruch skrzydeł wiatraka. Jedne były ułożone poziomo, inne pionowo, a wszystkie miały połączenie z wrzecionem, poruszającym skórzany pas. Cała ta energia wykorzystana była do pompowania wody rurami ułożonymi pomiędzy wiatrakiem a Shoreham Park Manor, a odgłos skrzypiących trybów i bulgot wody stanowiły muzykę dla jego uszu. Dzięki tej instalacji, którą uważał za swój najlepszy wynalazek, Shoreham Park Manor miała gorącą i zimną wodę na każde żądanie, a do tego ciepło w zimie.

- Jestem człowiekiem o ścisłym umyśle - powiedział. - Kiedy nie nurkuję, spędzam czas w laboratorium. Nie zniosę kobiety wtykającej nos w moje sprawy. Ani nie dam się wodzić na pasku.

Gillie westchnął, głośno i wymownie. Pokiwał głową jak stara nauczycielka.

- Cole, jesteś bardzo trudnym bratankiem.

- Trudnym? Wcale nie. Po prostu nie chcę się żenić.

- Podam ci trzy powody, dla których powinieneś rozważyć rychły ożenek - rzekł niezrażony Gillie. - Po pierwsze, czyżbyś zapomniał, że jakieś dziesięć lat temu przejąłeś Shoreham Park Manor, podpisując stosowne dokumenty?

- Jak mógłbym zapomnieć? Ojciec zagroził, że nie da mi pieniędzy, jeśli ich nie podpiszę.

- Zatem dobrze pamiętasz, że prawo dziedziczenia wymaga, byś się ożenił i spłodził legalnego potomka, nim skończysz trzydzieści sześć lat, jeśli nadal chcesz czerpać dochód z posiadłości. - Gillie uniósł brew. - Spodziewam się, że ten adwokat Sedgewick, stary przyjaciel twojego ojca, ma cię ostatnio na oku. Był bardzo oddany twojemu ojcu i nie zawaha się wysłać stosownego listu do Korony, jeśli zlekceważysz warunki dziedziczenia.

- Stary Sedgewick to nicpoń - mruknął Cole, regulując dyszę pod zbiornikiem gorącej wody, tak by większy strumień powietrza dmuchał na węgle.

Gillie roztropnie puścił mimo uszu uwagę Cole'a.

- Po drugie, nie możemy dopuścić do zniknięcia rodzowego nazwiska. - Pochylił się nieco do przodu.

- Ach, tak, uświęcone rodowe nazwisko - zakpił Cole.

- Zostało nas tylko czworo, Cole, a spośród nas tylko ty jesteś na tyle młody, by spłodzić potomka. Jeśli nie wywiązesz się ze swej powinności, nazwisko Strangfordów umrze na wieki.

- Wszyscy pewnie odetchną z ulgą, kiedy będzie po nas, zważywszy na nasz marny los.

Gillie pokręcił głową.

- Marny czy nie, jest coś krzepiącego w myśli, że nawet kiedy ja sam obrócę się w proch, nazwisko mojej rodziny pozostanie na ustach żyjących dzięki potomkom Strangfordów.

- Jeśli naprawdę chcemy zachować rodowe nazwisko, musimy odnaleźć Morski Opal. A żeby go znaleźć, muszę prze-

dłużyć czas, jaki człowiek może spędzić pod wodą. - Cole wskazał na swój metalowy zbiornik ze sprężonym tlenem.

- No dobrze, pomówmy o trzecim powodzie, dla którego musisz się ożenić. Według mnie, ten powód jest najważniejszy. - Gillie spojrzął na bratanika wymownie.

- Chodzi ci o ludzi morza?

- Właśnie.

Cole pochylił głowę i zamilkł, czując, jak wypełnia go dobrze znany niepokój. Gillie także się nie odzywał, jakby w ten sposób chciał uszanować powagę sprawy.

Wiele wieków temu, kiedy Strangfordowie przeżywali szczyt swej potęgi i znaczenia w cygańskiej społeczności, pewien Anglik przybył do ich obozu i ukradł im Morski Opal. Potem złodziej ścigał ich plemię i wtrącił jego przywódcę do morza. Czarownica imieniem Ilona, należąca do przodków Cole'a, rzuciła na złodzieja najpotężniejszą cygańską klątwę, żeby zapobiec przelewowi krwi. To była klątwa *naga*, zwana inaczej klątwą ludzi morza.

Od tamtego czasu złodziej i jego ludzie zmuszeni byli żyć w oceanie jako pół delfiny, pół ludzie. I zabrali ze sobą do wody Morski Opal. Z tego, co wiadano na temat klątwy *naga*, wynikało, że ludzie morza mogli przez krótkie okresy przebywać na lądzie, nim działanie magii spychało ich na powrót w głąb oceanu, więc przodkowie Cole'a od czasu rzucenia klątwy żyli w ciągłym napięciu i nieufnie przyglądali się każdemu obcemu.

Cole poznał tę historię w bardzo młodym wieku. Nauczono go wierzyć w ludzi morza, więc wierzył, mimo że sam nigdy żadnego z nich nie widział ani nie słyszał, by spotkał ich ktoś inny. Teraz, jako dorosły mężczyzna, także gotów był przyznać, że wierzy w stare opowieści, tak samo jak wierzył w Boga i wszystkich świętych oraz niezbywalne prawo każdego człowieka do wolności.

W głębi duszy jednakże miał pewne wątpliwości co do istnienia ludzi morza, ponieważ brak było jakichkolwiek nauko-

wych dowodów potwierdzających ich istnienie. Czasami nawet podejrzewał, że byli oni wymysłem, który miał tłumaczyć niedolę rodziny Strangfordów i dawać nadzieję na poprawę losu. Skoro istnieli ludzie morza, istniał też Morski Opal, zatem Strangfordowie mogli liczyć na lepszą przyszłość, jeśli tylko odzyskają niezwykły klejnot. Jeśli natomiast ludzie morza nie istnieli, niedola Strangfordów była wyrokiem losu i mogli się jedynie z nią pogodzić.

Nigdy nie mówił głośno o swych wątpliwościach, a czasami nie przyznawał się do nich nawet przed samym sobą, większą część życia bowiem spędzał na nurkowaniu i poszukiwaniu Morskiego Opalu. Jeśli więc ludzie morza nie istnieli i nie istniał Morski Opal, to oznaczało, że zmarnował dotychczasowe życie, uganiając się za mrzonką. Marzył o spotkaniu któregoś z nich, choć powinien uważać ich wszystkich za swych śmiertelnych wrogów. Jednakże dowód ich istnienia nadałby wartość całemu jego życiu.

Kiedy panująca w laboratorium cisza zaczęła im obu ciążyć, Gillie odezwał się pierwszy:

- To, że jesteś ostatnim męskim dziedzicem posiadłości Strangfordów, czyni cię bezbronnym. Kiedy umrzesz, ludzie morza nie będą już mieli szans na narodziny dziecka z krwią Strangfordów w żyłach. Ty jesteś ich ostatnią szansą.

- Martwisz się, że któraś z ich kobiet może mnie uwieść i uwolnić ich wszystkich od klątwy.

- Krótko mówiąc, tak.

Cole spojrzął na stryja spod zmarszczonych brwi.

- Może nie mamy powodu aż tak się obawiać ludzi morza. Nikt nigdy nie dowiódł ich istnienia. Może wszyscy zginęli w morzu zaraz po tym, jak zostali przekłęci.

- Ależ oni są wokół nas - upierał się Gillie. - Po prostu są bardzo przebiegli. Myślę, że ukrywają swoje istnienie w nadziei, że stracimy czujność. Przez lata słuchałem opowieści o tym, że przez krótki czas mogą chodzić po ziemi, więc nie zdi-

wiłbym się, słysząc, że niejeden ze Strangfordów ledwie uniknął uwiedzenia przez morską dziewczynę, nawet o tym nie wiedząc.

Cole pokiwał głową. Uwiedzenie. Na tym polegała gra ludzi morza. Wiedzieli, że mogą rzucić z siebie klątwę, uwodząc jednego ze Strangfordów i powołując na świat dziecko z cygańską krwią. Do tej pory im się nie udało, a Cole był zobowiązany dopilnować, by klątwa nigdy nie przestała działać, ponieważ ludzie morza przyrzekli, że jeśli uda im się na stałe wyjść z oceanu, zepchną z brzegu wszystkich pozostałych na Ziemi Cyganów.

- Dlaczego sądzisz, że małżeństwo mnie ochroni? - spytał stryja. - Uważasz, że jestem tak naiwny, by ulec każdej, która zechce mnie uwieść?

- Kobieta morza jest podstępna - ostrzegł Gillie. - Jest tak piękna, że oślepiony męczyzna nie od razu widzi jej prawdziwą naturę. I nie zapominaj, że jest gotowa zrobić wszystko, by złamać klątwę, która prześladowa ją i jej bliskich. Męczyzna musi być silny, żeby jej się oprzeć. Dobrze, jeśli ma żonę i dzieci, by mieć o czym myśleć.

Cole spojrzął na stryja ze zdumieniem.

- Dożyłem trzydziestu jeden lat, nie dając się uwieść kobiecie morza. Chyba można mi ufać.

- Stroisz sobie żarty z poważnej sprawy. Nasi przodkowie wiedzieli, jakie one są niebezpieczne.

- Nasi przodkowie, niech ich diabli, sprawiali sobie za dużo przyjemności, dyktując ludziom, jak mają żyć - mruknął Cole.

Jeden z pierwszych Cyganów noszących nazwisko Strangford, czcigodny starzec, który objął przywództwo nad plemieniem po tym, jak czarownica Ilona przeklęła ludzi morza, był twórcą wszystkich tradycji i zwyczajów, mających ustrzec męskich przedstawicieli rodu przed uwiedzeniem. Według owego starca żaden Strangford nie powinien samotnie pływać

w oceanie. Nigdy. Pod żadnym pozorem. Nie powinien też wędrować samotnie nocą po wzgórzach nad brzegiem. Co więcej, stosunki pozamałżeńskie lub zdrada, nawet z niewiastą lekkich obyczajów, karane były natychmiastowym wygnaniem, a panna młoda przed ślubem musiała być ochlapana morską wodą. Wyglądało na to, że woda ta pozbawiała ludzi morza ich chwilowej, całkowicie ludzkiej powłoki, ukazując ich prawdziwą postać.

Przez wieki plemienna starszyzna pilnowała przestrzegania tych zasad. Obecnie nikt się nimi nie zajmował, poza tym że utrzymano zwyczaj ochlapywania panny młodej. Ludzie morza od bardzo dawna się nie pokazywali, a Cole przypuszczał, że jego rodzina uznała stare tradycje za niemądre zabobony.

Pomyślał o szykowanej dla niego narzeczonej. Jaka była kobieta, którą znalazł mu tym razem Gillie? Czy pozwoli się oblać morską wodą? Miał taką nadzieję. Jakies pięć lat temu pogodził się z koniecznością ożenku i polecił stryjowi, by mu znalazł odpowiednią kandydatkę, ponieważ tak było przyjęte w zwyczaju u Cyganów. Powiedział, że jest mu wszystko jedno, z kim się ożeni, byle ta kobieta spełniała kilka drobnych warunków... między innymi miała dobry charakter i parę zgrabnych nóg, które nie zamieniają się w ogon delfina.

Rozmyślając o cechach doskonałej narzeczonej, Cole odezwał się:

- Mam nadzieję, że twoje najnowsze znalezisko jest ładniejsze od poprzedniego. Powiedz, gdzie ją poznałeś i co o niej wiesz.

Gillie z namysłem podrapał się po brodzie. Wyraz jego oczu pozostał jednak nieprzenikniony. Cisza się przedłużała, aż w końcu powściągliwość stryja wydała się Cole'owi zastanawiająca. Czyżby wyszukana przez staruszkę kandydatka bardziej przypominała bezzębne straszdyło niż niewinną piękność?

- Ile ona ma lat, stryju? - spytał Cole tonem ciężkim od najgorszych podejrzeń.

Staruszek wzruszył ramionami.

- Z moją pamięcią nie jest już tak dobrze jak kiedyś. Na starość człowiek może stracić głowę, sam rozumiesz.

- Głowę masz na swoim miejscu.

Gillie wyciągnął rękę obronnym gestem.

- Po prostu nie pamiętam.

- Nie pamiętasz czy nie chcesz sobie przypomnieć? Nie zapomniałem jeszcze Sashiny, stryju. Doskonale pamiętam, jak próbowałeś mnie namówić, żebym nie zwracał uwagi na jej kulawą nogę i brodawki, tylko docenił szerokie biodra. Sashina wyjechała stąd po jednym dniu, a ta nowa nie zostanie dłużej, jeśli okaże się choć trochę do niej podobna.

- Gdybym sobie mógł przypomnieć jej wiek, tobym ci powiedział - bronił się Gillie.

- Nie powinienes mieć takich trudności z zapamiętaniem wieku kobiety, zwłaszcza tej, z którą próbujesz mnie ożenić. Czy aby na pewno ją widziałeś?

Gillie nie odpowiadał.

- A więc nawet jej nie widziałeś, tak? - powtórzył Cole, mrużąc oczy ze złości.

Gillie także nie ukrywał irytacji.

- Zaciągnięcie cię do ołtarza okazało się trudnym zadaniem, Cole. A zważywszy na okoliczności, kandydatki na żonę nie pchają się tu drzwiami i oknami. Co gorsza, musiałem szukać Cyganki, która zgodzi się osiąść w jednym miejscu na resztę życia, a takich nie ma zbyt wiele. Chciałbym, żebyś choć trochę docenił moje starania.

Cole westchnął.

- No dobrze, więc nigdy jej nie widziałeś. Biorąc pod uwagę mojego pecha, pewnie będzie wiekowa i bez zębów.

- Proszę, spróbuj mnie zrozumieć - tłumaczył się Gillie. - Przynajmniej się staram.

- Wiem, że się starasz, stryju. Ja też się staram... być wdzięczny. Tylko że staramy się tak już od pięciu lat i jak

dotąd ponosimy same porażki. Nawet najbardziej zdecydowane kandydatki odstrasza perspektywa nieuchronnej klęski. Trudno mi być wdzięcznym, kiedy tak gorliwie chcesz mnie ożenić. Czuję się jak ogier, a nie mężczyzna.

- Jesteś ogierem, tyle że dla niewłaściwej kobiety - zauważył kwaśno Gillie. - Wiem o twoich wyprawach do miasta, do pewnej wdowy.

- Moje wizyty w Shoreham są moją prywatną sprawą - uciął Cole.

- Tylko nie zrób jej dziecka, na Boga - jęknął Gillie. - Jeśli zapłodnisz kobietę, która nie jest Cyganką, stworzysz nieczyste dziecko i uwolnisz ludzi morza.

Cole westchnął, skrywając rozdrażnienie faktem, że stryj łączy jego prywatne życie ze sprawami ludzi morza, skądinąd słusznie. Uznał, że staruszkowi należy się nieco pocieszenia.

- Nie widziałem Charlotte Duquet od ponad roku.

Gillie pokiwał głową w milczeniu.

Choć wcale tego nie chciał, Cole przypomniał sobie kandydatki, które dotąd przybywały obejrzeć jego samego i jego dom, a następnie wyjeżdżały przed ogłoszeniem zaręczyn. Wiedział, że nie odstraszyła ich jego osoba, a w każdym razie powierzchowność, jako że u znajomych kobiet miał zupełnie niezłą opinię. Z pewnością nie brakowało mu przymiotów, a choć nie był najbogatszym mieszkańcem południowej Anglii, odziedziczył piękną starą posiadłość, zapewniającą mu całkiem wygodne życie. Nie był też specjalnie wymagający; wystarczała mu praca w wiatraku i badanie podwodnych głębin w poszukiwaniu Morskiego Opalu.

Do opuszczenia posiadłości i jego boku skłaniał je pech Strangfordów, objawiający się ciągiem przerażających wydarzeń. Mimo zapewnień, że potrafią mężnie stawić czoło każdemu nieszczęściu, wszystkie w końcu uciekały z podwiniętym ogonem.

Cole'a ogarnęło poczucie bezradności. Pochylny nad sfatygowanym wiklinowym stolikiem sięgnął po dzbanek i nalał sobie whisky do obitego kubka.

- Mam wrażenie, że nie wyjawiałeś mi nazwiska mojej przyszłej wybranki. Jak ono brzmi?

- Lila Whitham - odrzekł posępnym głosem Gillie. On także sięgnął po kieliszek, który Cole skwapliwie napełnił.

Wypiwszy pierwszy łyk, Gillie zagwizdał z uznaniem.

- Świetna whisky.

- Była schowana w najciemniejszym kącie piwnicy. - Cole uniósł swoje naczynie i przełknął potężny haust. Trunek zapiekł go w gardle, a potem osiadł miłym ciepłem w żołądku. - Zelda ją znalazła.

Staruszek pokiwał głową.

- Ta kobieta ma nosa do trunków. W końcu ją to wpędzi do grobu.

- Mniejsza o Zeldę. Powiedz mi raczej, co wiesz o mojej narzeczonej - nalegał Cole.

- Cóż, to właśnie Zelda zwróciła moją uwagę na Lilę Whitham. Lila nazywała się Pritchard, zanim wyszła za Josepha Whithama, a Zelda miała przyjaciółkę w Buckland Village, skąd wywodzą się Pritchardowie. Ta przyjaciółka była na ślubie Liii i twierdzi, że pierwszy mąż Liii zmarł... ze starości.

Zatem wdowa, pomyślał Cole, kiwając głową. Nawet mu się to podobało. Chociaż niewinne ślicznotki były bardziej pociągające od starych wiedźm, ich głupia paplanina mogła człowieka doprowadzić do szaleństwa. Wolał doświadczoną kobietę, która będzie wiedziała, jak mu dogodzić, i nie będzie zaszokowana, kiedy on zechce jej dogodzić na wszystkie znane sobie sposoby.

- Jak dawno straciła męża?

- Wiele lat temu. Jest gotowa powtórnie wyjść za mąż.

- Jest atrakcyjna?

- Według Zeldy całkiem znośna.

Cole się skrzywił.

- Dla Zeldy i kołek w płocie jest atrakcyjny. Czy spełnia inne warunki, które ci przedstawiłem?

- Na przykład jakie?

Cole rozłożył ręce.

- Ma szerokie biodra i duże piersi?

- Ma obfite kształty - stwierdził Gillie po nieco przydługiej pauzie.

- Miała jakieś dzieci z pierwszego związku?

- Jedno, ale umarło na gorączkę.

Cole znów pokiwał głową, zdjęty współczuciem dla swej nieznannej przyszłej narzeczonej. Biedaczka, zaznała w życiu cierpienia.

- Ma dobre maniery? Siłę? Jest zdrowa? Ma dryg do prowadzenia domu?

Znów zapadła cisza.

Wreszcie Gillie odchrząknął i rzekł:

- Pochodzi z bardzo dobrej rodziny.

- Twoja mina nie budzi mojego zaufania.

Staruszek zaczął się wiercić na krześle.

- Z tego co Zelda pamięta, wychodząc za mąż po raz pierwszy zażądała wysokiego okupu.

- Obaj dobrze wiemy, że okup nie ma nic wspólnego z atrakcyjnością. Pamiętasz Stańkę? Okup był tak wysoki, że żadną miarą nie mogliśmy mu sprostać, a ona była zbudowana jak koń i do tego miała końską twarz.

- No tak, ale robiła wyśmienity gulasz. Urodą się nie najesz.

Cole westchnął. Odłożył kubek na stół i podszedł do okna. Wyglądając na zewnątrz, nie widział jednak skapanego w słońcu trawnika, lecz pomarszczoną twarz kobiety, tak leciwej, że mogłaby być jego matką. A więc jego przyszła narzeczonej była stara i brzydka, i do tego pewnie gruba. Boże, dopomóż!

- Jak, u diabła, mam z nią spłodzić dziecko?
- Wcześniej nigdy nie miewałeś takich wątpliwości.
- Bo zwykle sam sobie wybierałem kobiety.
- Wybierałeś ladacznice, które woła whisky od herbaty.

Przelotny uśmiech zagościł na twarzy Cole'a, kiedy pomarszczona twarz w jego wyobraźni przybrała gładkie rysy wdowy Duquet, z którą miał krótki romans.

- Chcesz powiedzieć, że wybieram kobiety obdarzone zdrowym rozsądkiem. Poza tym tak się składa, że lubię rude włosy.
- Pani Whitham ma włosy ciemne, nie rude - powiedział Gillie. - Mam nadzieję, że ciemne też ci się podobają. Co zrobisz, żeby ją do siebie zachęcić?
- Zachęcić? - Cole wzruszył ramionami. - Nie zastanawiałem się nad tym.

- No to się zastanówmy. Poczęstujesz ją winem, zetniesz dla niej różę z ogrodu, zatańczysz z nią na patiu przy świetle księżycy? Mogę ci w tym pomóc. Mam wiele pomysłów.

- Wino? Różę? Taniec? Czyś ty zwariował? Nikt nie uwierzy, że wiążę się z panią Whitham z miłości, więc po co mam udawać? Mam zamiar ocenić, czy nadaje się na żonę, według kryteriów, jakie ci wymieniłem. Jej talenty do prowadzenia domu są da mnie znacznie ważniejsze niż upodobanie do kwiatów.

Gillie potrząsnął głową.

- To brzmi, jakbyś wyznaczał dwanaście prac dla Herkulesa. Co każeś jej zrobić, zabić lwa nemejskiego? Czy uciąć łeb Hydrze? Jeśli chcesz ją poślubić, bratanku, musisz choć trochę się do niej pozalecać.

- Nie mam czasu na zaloty.
- Pozwól, że dam ci pewną radę. Zrób, co trzeba, żeby ją doprowadzić do ołtarza, a potem ją zapłodnij. Kiedy już będzie brzemienna, cała jej uwaga skupi się na dziecku, a ty znów będziesz wolny. No i musimy brać pod uwagę, że możesz się w niej zakochać. Czyż to nie byłoby wspaniałe?

- Nie zakochocham się w niej - oświadczył Cole ponuro. - Nie mam czasu na miłość. Wyobrażasz sobie większą stratę czasu?

Gillie wzruszył ramionami.

- Owszem. Ale moja opinia nie ma tu znaczenia. Liczy się twoje zdanie.

- Właśnie. - Cole nieco się rozchmurzył, planując, jak poddać kandydatkę stosownej próbie. Szybko postanowił wysłać Zeldę w odwiedzinę do tej znajomej z Buckland Village, zostawiając całe gospodarstwo na głowie pani Whitham. W ten sposób mógł sprawdzić jej umiejętności w prowadzeniu domu, manieri, usposobienie oraz to, czy się nadaje na żonę.

Nagle odczuwał się w nim jakiś nieokreślony niepokój, jakby cień lęku przed czymś, czego nie potrafił nazwać. Zapomniawszy o swych planach sprzed chwili, wodził spojrzeniem po wzgórzach i lasach otaczających Shoreham Park. Nie słyszał nic poza odgłosami domowej krzątającej ciotki Peshy i kuzynki Zeldy oraz cichym końskim rżeniem dobiegającym ze stajni. Nie wyczuwał dymu ani innych niepokojących woni zwiastujących nieszczęście. Patrzył na ocean rozpościerający się poza linią w górach.

I tam znalazł źródło swego dziwnego lęku.

Bure wody oceanu falowały niestrudzenie. Ze swego miejsca przy oknie widział wyraźnie białe grzebienie piany. Nie był w stanie odszukać wzrokiem granicy, gdzie niebo stykało się z wodą, ponieważ na horyzoncie kłębiły się ołowiane chmury, zmierzające szybko w stronę lądu. Ostry kontrast pomiędzy czystym błękitem nieba nad Shoreham Park a mroczną grozą nadchodzącego sztormu wzbudził w nim zimny dreszcz.

- Stryju, podejdź tu i spójrz na niebo - powiedział. Staruszek dołączył do niego i aż zagwizdał przez zęby.
- Dawno nie widziałem takich ciemnych chmur.

Cole nie mógł się otrząsnąć z dziwnego przeczucia; wpatrując się w coraz ciemniejszy horyzont, czuł, że wkrótce, może nawet

bardzo szybko, w jego życiu nastąpi jakaś zmiana. Właściwie nie był przeciwny zmianom, bo wносиły ze sobą powiew świeżości. Jednak tym razem instynkt podpowiadał mu, że nadchodząca burza może przynieść nie tylko świeżość.

Czekała ich ciężka próba.

2

Chmury nad Shoreham Park kłębiły się wściekle, zlewając stare domostwo strugami ulewy, pioruny wałące raz po raz oświetlały kominy, parapety i podłużne okna upiornym białym światłem. Za pasmem wzgórz, u stóp urwistego brzegu, gdzie ocean stykał się z lądem, ryczące fale wdzierały się na plażę i cofały, zgarniając ze sobą zwały piasku. Ogłuszające grzmoty wprawiały ziemię w drżenie; wraz z hukami morskiego żywiołu tworzyły hałas, przez który nie mogły się przebić nawet najsilniejsze glosy.

Juliana St. Germaine, odziana tylko w koszulę, leżała na brzegu tuż poza zasięgiem wody. Zdawało jej się, że wszystkie kości ma połamane albo przynajmniej potłuczone. Fale, wznoszące się na ponad dwa metry, rzucały nią bezlitośnie podczas całej drogi do brzegu. Nawet teraz, kiedy już spoczywała bezpiecznie na plaży, sięgały po nią, dotykały jej mokrymi jęzorami, jakby ją chciały wciągnąć z powrotem w zimne, ciemne głębiny.

Łapczywie zaczerpując powietrza, odsunęła się nieco dalej. Płuca paliły ją tak samo boleśnie jak skóra, podrażniona słoną wodą. Mimo to nie czuła strachu, jaki musiałyby towarzyszyć każdej innej kobiecie po tak długim przebywaniu w morzu, bez łodzi czy tratwy, w czasie burzy. W istocie była jedynie

zmęczona po wyczerpującej wędrówce. Ocean po prostu nie mógł jej zatopić i ona o tym wiedziała.

Poprzez odgłosy burzy próbowała nasłuchiwać głosu swego brata George'a. Całe ciało swędziało ją nieznośnie, ale stłumiła w sobie chęć, by się drapać, bo wiedziała, że swędzenie minie bez śladu, kiedy deszcz zmyje sól z jej skóry. Powoli uniosła się na łokciach, a potem usiadła, żeby obejrzeć swoje świeżo uformowane nogi.

Oczy zrobiły jej się okrągłe ze zdziwienia, kiedy obejrzała najpierw stopy, potem łydki i uda. Nogi były długie, smukłe, ładnie zaokrąglone. George twierdził, że mężczyźni żyjący na lądzie zwracają uwagę na takie nogi, więc zważywszy na zamiary, jakie nią kierowały, mogła być tylko zadowolona.

Nad jej głową przetoczył się kolejny pomruk grzmotu. Burza szalała w najlepsze, przypominając jej, że powinna wstać i zbierać się w drogę. Tu, na lądzie, nie czuła się tak bezpiecznie jak w wodzie. Oboje z George'em czekali na taki sztorm, by móc rozpocząć swoją misję, ponieważ w czasie nawałnicy mogli wyjść z morza, nie martwiąc się, że dostrzeże ich ktoś spacerujący po plaży. Zbyt długie pozostawanie na brzegu nie było jednak wskazane.

Skórę miała oblepioną piaskiem, ale nie zwracała na to uwagi, podnosząc się najpierw z pozycji siedzącej na kolana, a potem stając na drżących nogach. Jakies trzy metry przed nią wznosił się wysoko stromy, kamienisty brzeg; granitowe skały pełne były wgłębien i jaskiń wyżłobionych przez wodę. W największej z nich i najlepiej ukrytej, gdzie francuscy przemytnicy magazynowali niegdyś zapasy najlepszego bourbona, George schował podczas misji zwiadowczej, którą odbył przed dwoma tygodniami, zapasowe ubrania. Juliana wiedziała, że pierwszym krokiem w ich wyprawie jest odzyskanie owych ubrań, więc spojrzała w górę, rozglądając się za jakimkolwiek śladem George'a.

Zobaczyła jednak tylko olbrzymią połąć szarego kamienia.

Najwidoczniej George nie poszedł po ubrania. Więc gdzie się podziewał? Czyżby nadal pozostawał w wodzie?

Po raz pierwszy zdjął ją strach.

- George! - zawołała.

Odpowiedział jej tylko wiatr.

Z rosnącym niepokojem pobiegła plażą w poszukiwaniu brata. Deszcz i wiatr nie ustawały ani na chwilę. Wkrótce zrobiło jej się bardzo zimno. Dosłownie zdrętwiała z chłodu, zaczęła szczękać zębami. Przyjrzała się swej długiej, obcisłej jedwabnej koszuli, którą nosiła, żyjąc pod wodą. Choć dobrze osłaniała ciało, przeznaczona była wyłącznie do podwodnego życia i nie zapewniała ani trochę ciepła. Z George'em czy bez niego, musiała znaleźć schowane ubranie. Uznała, że zanurzenie się w gorącym źródle, które biło w jaskini, także jej nie zaszkodzi.

Targana wichurą zmierzała do klifu, szukając wzrokiem wąskiej, prawie niewidocznej ścieżki, wiodącej do ich schowka.

- Tutaj, Juliano!

Wołanie ginęło we wściekłym ryku żywiołu, lecz Juliana i tak je usłyszała. Odwróciwszy się gwałtownie, ujrzała swego brata George'a z dwoma tobołkami w rękach. Na jego widok poczuła jednocześnie zdumienie, ulgę i coś w rodzaju rozczarowania. Ustalili wcześniej, że George poczeka na nią, by mogli sobie nawzajem pomagać, wspinając się do jaskini. Mieli działać razem, zgodnie z planem, uzgadniając między sobą wszelkie ewentualne zmiany przed wprowadzeniem ich w życie. George jednak postanowił złamać zasady, które wspólnie ustalili. To prawda, że miał więcej doświadczenia w poruszaniu się po lądzie, ale to nie oznaczało, że nie musi się z nią liczyć.

Podszedł do niej, potykając się lekko, rzucił tobołki na piasek, położył jej ręce na ramionach i odwrócił ją do siebie twarzą.

- Nic ci nie jest, droga sestro?

- Jestem mokra i zziębnięta - odparła kwaśnym tonem.
- A poza tym?
- Nic sobie nie złamałam, jeśli o to ci chodzi.
- Świetnie. - Rzucił jej mniejszy tobołek.

Rozwinąwszy płaszcz, znalazła zapakowaną w środku czystą koszulę, haftowaną sukienkę, pończochy i buty. Szybko narzuciła płaszcz na ramiona i ukryła resztę ubrań w jego obszernych fałdach, żeby nie zawilgły. Dopiero potem przyjrzała się bratu, sprawdzając, czy nie ucierpiał.

Stał przed nią w strugach ulewy, z wyrazem powagi w czystych niebieskich oczach. Mokra włosy brzydko oklejały mu czaszkę. Usta miał zaciśnięte w wąską linię jak ktoś zdecydowany za wszelką cenę osiągnąć wyznaczony cel, choćby myśl o tym nie była mu przyjemna. Nie oczekiwała od niego oznak radości, mimo to żałowała, że nie okazuje więcej entuzjazmu dla ich sprawy.

Przyszło jej na myśl, że George ostatnio rzadko czymkolwiek się cieszył. Wyglądało na to, że jej brat zaczyna tracić nadzieję, iż pewnego dnia uwolnią się wreszcie od cygańskiej klątwy.

Spojrzawszy na jego stopy, stwierdziła, że nadal jest bosy. Zadowolona, że nie odniósł żadnych obrażeń, zmierzyła go surowym wzrokiem.

- Masz szczęście, że nie ześliznąłeś się z tego urwiska i nie skręciłeś karku. Dlaczego na mnie nie zaczekałeś? Mogliśmy pójść razem, podtrzymując się wzajemnie.

- Przecież nic mi się nie stało.

- Łaska boska. - Owinęła się szczelniej połamami płaszcza. - Mieliliśmy plan, pamiętasz? Ustaliliśmy, że wszystko robimy razem, dopóki okoliczności nie każą nam się rozdzielić.

- Sytuacja wymagała improwizacji - wyjaśnił. - Sztorm był znacznie gorszy, niż się spodziewaliśmy. Wylądowaliśmy na brzegu dalej od siebie, niż planowaliśmy. Nie mogłem cię od razu znaleźć, więc poszedłem po ubrania, żebyśmy nie

zamarzli. Muszę przyznać, że skały były strasznie śliskie. Nie chciałem, żebyś ryzykowała wspinaczkę.

- A więc chroniłeś mnie. Jak niańka. Tak, George?

- Może i chronilem. Ostatecznie jestem twoim starszym bratem. Ale nie jestem twoją niańką.

- Jesteś ode mnie starszy tylko o dwa lata. To niewiele. Musisz zrozumieć, że w tej misji jesteśmy równi. Nie pozwolę się chronić i niańczyć, nawet jeśli rzeczywiście masz większe doświadczenie z tymi, co chodzą po lądzie.

- Nie stójmy na deszczu i nie kłóćmy się - powiedział, przekrzykując wyjątkowo głośny grzmot pioruna. - Widziałem wnękę między głazami niedaleko stąd. Musimy się przebrać.

- Dobrze...

Wzdłuż brzegu, aż do miejsca, gdzie trzy oderwane od skalnej ściany głazy tworzyły coś w rodzaju kamiennego szałas. Osłonięci przed ulewą, zaczęli się przebierać.

Juliana myślała o tym, jak bardzo się niepokoiła, nie mogąc od razu znaleźć brata, o tym, jak ważne jest ich zadanie, a także o tym, że nie mogą sobie pozwolić na popełnianie błędów. Dobrze pamiętała, że jej brat ma zwyczaj brać sprawy w swoje ręce, przekonany, że w ten sposób ją „chroni”. Im więcej o tym wszystkim myślała, tym większa wzbierała w niej złość.

- Więc tak to ma wyglądać? - spytała wreszcie, przerywając przedłużającą się ciszę. Szarpnęła wilgotną wełnianą pończochą. - Masz zamiar dowolnie zmieniać nasze plany, nie uzgadniając tego wcześniej ze mną? Bo jeśli tak, to wracam do domu. Nie będę brać udziału w błazenadzie.

- Juliana... - zaczął, zmagając się pod płaszczem z zapięciem kamizelki, która musiała być tak samo mokra jak jej pończochy.

- Juliana, Juliana - przedrzeźniła, zawiązując w pasie prostą chłopską spódnicę. Spojrzała na brata z ukosa. - Tym razem nie działasz sam. Ustaliliśmy, że jesteśmy drużyną i oboje mamy takie samo prawo głosu.

- Jesteśmy drużyną. Obiecuję.

- Odtąd każda decyzja jest wspólna. Tak jak się umawialiśmy na początku. - Zmierzyła George'a ostrym spojrzeniem i zabrała się do wkładania butów, twardych i niewygodnych. - Oboje mamy szczególne cele, a możemy je osiągnąć tylko wówczas, kiedy będziemy ze sobą współdziałać.

- Przez kilka nadchodzących miesięcy mam zamiar współdziałać i osiągnąć cel - zapewnił, upychając koszulę za pasem. - Naszym zadaniem jest złamanie klątwy i wywiążemy się z tej misji.

Juliana przyglądała się, jak brat wkłada surdut, i jak zawsze ogarnęło ją zdumienie, że ubranie może do tego stopnia odmienić człowieka. Nagle George zaczął wyglądać zupełnie tak samo jak ludzie żyjący na lądzie. Właściwie czemu nie miałyby tak wyglądać? W końcu kiedyś oni także tu żyli i żyliby dalej, gdyby zła cygańska wiedźma nie rzuciła na nich klątwy, zmieniającej ich w ludzi morza.

- Niech bóg przeklnie Cyganów - mruknęła.

- Amen - dodał George, kiwając głową.

Z posępną miną skończyła się ubierać i na koniec owinęła się płaszczem. Może podstęp, który zamierzali wykorzystać wobec Cyganów, nie był zbyt honorowy, ale Cyganie również nie zachowali się honorowo wobec St. Germanie'ów. Skazali ich na istne piekło, więc nie miała zamiaru się nad nimi rozczulać. Przeciwnie, była gotowa zrobić wszystko, co trzeba, by złamać cygańską klątwę, nawet jeśli to oznaczało, że musi uwieść Cygana i urodzić dziecko mieszanej krwi.

Właśnie to zamierzała zrobić - uwieść jednego ze swych cygańskich wrogów. A mężczyzną, którego wybrała do swoich celów, był Cole Strangford, najmłodszy członek plemienia, które rzuciło na nich klątwę. Gdyby umarł, a jego cygański ród zaginął, zachowując czystość krwi, Juliana i jej potomkowie spędziliby wieczność w morskich głębinach, bez nadziei powrotu na ląd, by odzyskać swoje dziedzictwo. Dlatego musiała

dać z siebie wszystko, żeby uwieść Cole'a Strangforda, niezależnie od tego, jak wielką wzbudzał w niej niechęć.

Odwróciwszy się do George'a, stwierdziła, że on także jest całkowicie ubrany i gotowy do nowej roli.

- Wyglądasz bardzo przystojnie, George - pochwaliła szczerze.

- A ty, siostrzyczko, będziesz doskonałą narzeczoną.

Zmarszczyła gniewnie nos.

- Proszę cię, nie przypominaj mi.

Rsy George'a nieco złagodniały, był bliski uśmiechu.

- Możemy wyruszyć w drogę do miasta? Państwo Woodowie będą tam na nas czekać.

Juliana spojrzała na krople deszczu wsiąkające w piasek. Wyglądało na to, że ulewa nieco zelżała. Niebo ze stalowego zrobiło się jasnoszare.

- Chyba musimy.

Wziął ją pod ramię i wyprowadził na zewnątrz. Wiatr natychmiast rozwał jej włosy i załopotał płaszczem, ale teraz, kiedy była ubrana, nie wydawał się aż tak dokuczliwy. Zadowolona, że brat swym ciałem osłania ją przed ostrymi podmuchami, skuliła się u jego boku i razem ruszyli wzdłuż brzegu, by w końcu wejść na Brighton Road, drogę prowadzącą do Shoreham.

George szedł równym krokiem, milczący i zamyślony. Juliana wiedziała, że traktuje ich misję z największą powagą. Dzięki swej zdolności do wstrzymywania przemiany z mieszkańca ładu w człowieka morza, mógł poruszać się po ziemi bez obawy, że zostanie zdemaskowany. Wykorzystywał tę cechę, wypełniając wiele misji dla swych morskich towarzyszy niedoli. Był wszędzie, począwszy od Konstantynopola, przez Madryt po Islandię, wymieniając skarby znajdujące przez nich we wrakach na ziemię, zakładając rachunki w różnych bankach i w ten sposób powoli budując majątek ludzi morza z myślą

o dniu, kiedy na dobre porzucą głębiny oceanu. Zawsze bardzo

się starał i nigdy nie narzekał. Mimo to Juliana miała wrażenie, że zaczynał być znużony ciągłą wędrówką i walką. Czasami wyglądał tak źle, blady i znękany, że aż się o niego bała.

I to stanowiło dodatkowy powód, że pragnęła złamać cygańską klątwę.

- Może powinniśmy jeszcze raz przypomnieć sobie szczegóły planu? - odezwał się George po dłuższym milczeniu.

Juliana przytaknęła skinieniem.

- Upewnimy się przy okazji, czy wszystko jest jasne. Opowiedz mi najpierw o kobiecie, z którą masz się spotkać. To ona jest przyszłą narzeczoną Cole'a Strangforda, tak?

- Owszem. Nazywa się Lila Whitham i według tego, co mówi pani Wood, jest wdową. Strangford oczywiście nigdy jej nie widział. Jednakże stryj Strangforda wymieniał listy z ojcem wdowy i postanowili doprowadzić do spotkania tych dwojga, żeby sprawdzić, czy może dojść do małżeństwa.

- Tyle że nie spotkają się ze sobą, tylko z nami.

- Właśnie. W listach umówili się, że Strangford pojedzie do Buckland House, by zamieszkać u rodziny wdowy, u Pritchardów. My jednak wysłaliśmy Strangfordowi dodatkowy list, wyjaśniający, że Pritchardowie wolą odbyć podróż do Shoreham Park. Tak więc Strangford jest przekonany, że pani Whitham jedzie do jego domu z wizytą, a pani Whitham myśli, że Cole Strangford jedzie do niej.

Juliana uniosła brew.

- Dlaczego po prostu nie wyślemy pani Whitham listu wyjaśniającego, że Strangford nie jest już zainteresowany poślubieniem jej? Dlaczego musisz do niej jechać jako Cole Strangford?

- Odpowiedź jest prosta: żeby wiadomość o naszym spisku nie dotarła do Strangforda.

- Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby po twoim wyjeździe z Buckland House przyjechała za tobą do Shoreham Park Manor? Jak miałabym wytłumaczyć Strangfordowi moje oszustwo?

- Każdy plan musi mieć jakieś wyjście awaryjne, jakiś sposób na bezbolesne wycofanie się z gry. Gdyby twoje oszustwo się wydało, człowiek o nazwisku William James posłużyłby nam za wymówkę. Pan James jest wynalazcą, konkurującym ze Strangfordem w tworzeniu wyposażenia dla nurków, więc powiedzielibyśmy po prostu, że wkradłaś się w łaski Strangforda po to, by szpiegować dla Jamesa.

Juliana aż zadrżała na myśl, że mogłaby się znaleźć w takiej sytuacji.

- Proszę cię, George, zrób wszystko, żeby pani Whitham nie chciała mieć nic wspólnego ze Strangfordem.

- Możesz na mnie polegać, droga siostrzo.

- Świetnie. Zatem nic mi nie przeszkodzi w zaciągnięciu Strangforda do ołtarza.

Twarz jej brata przybrała posępny wyraz.

- Nie tak bym to widział, Juliano, gdyby tylko istniał inny wybór. Powinnaś mieć długie narzeczeństwo zakończone ślubem w długich sznurach pereł i wspaniałej sukni. Zamiast tego będziesz musiała się zadowolić pośpiesznym małżeństwem z człowiekiem, którego nie kochasz.

Położywszy bratu dłoń na ramieniu, przyspieszyła, próbując dorównać jego szybkim krokom.

- George, jeśli się nie poświęcę, prawdopodobnie na zawsze pozostaniemy ludźmi morza. Oboje wiemy, że Cole Strangford jest ostatnim żyjącym krewnym tej cygańskiej wiedźmy. Jeśli umrze, nie spędziwszy dziecka mieszanej krwi, już nigdy nie będziemy mieli okazji, by złamać klątwę.

- Wiem, że masz rację. Żałuję tylko, że nie mamy innego wyjścia.

- Nie ma innego wyjścia. Myśl o tym jak o małżeństwie ^{/T}L rozsądku. Mój honor nie ucierpi. A jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, uwolnimy się od oceanu, nim minie rok.

- A wtedy osobiście zabiorę cię od Strangforda. - Westchnął. - Pomyśleć, że pozwoliłem, byś się na to zgodziła.

Przecież powinienem wiedzieć, na co cię narażam. Chyba oszalałem.

- Może oboje jesteśmy szaleni. A może rozumiemy, że jesteśmy jedynymi, którym ta misja może się powieść. Już od dzieciństwa my dwoje najdłużej potrafiliśmy się opierać przeobrażeniu. Większość z nas przeobraża się, zmieniając nogi na płetwy, już w momencie zetknięcia z morską wodą.

Ulewa przeszła w lekką mżawkę. Juliana zrzuciła z głowy kaptur, wystawiając twarz na podmuchy wiatru.

- Nasza wyjątkowa odporność na skutki klątwy jest kluczem do sukcesu.

- Mam taką nadzieję, Juliano - zapewnił ją brat z przekonaniem. - Mam nadzieję.

George St. Germaine prowadził siostrę główną ulicą małego miasteczka Shoreham. Po lewej stronie rzeka Adur kończyła swój bieg, by pokonawszy ostatnie kilka kilometrów, wpaść do oceanu. Po drugiej stronie rzeki rozciągała się kamienista plaża, porośnięta różowym i białym kwieciem. Na rzece kołysały się miękko łodzie z długimi masztami, przycumowane bezpiecznie do nabrzeża.

George rozejrzał się po zachodnim horyzoncie. Deszcz ustał, najciemniejsze burzowe chmury wycofały się daleko nad morze, a zachodzące słońce wymalowało na niebie pomarańczowe i czerwone smugi. Jakiś młodzieniec zaczął zapalać naftowe lampy wzdłuż ulicy, po czym George wywnioskował, że zostało im niewiele czasu do zapadnięcia zmroku.

Dwaj rybacy nadal pracowali na łodziach, sprząając pokłady i szykując się do nocnego spoczynku, kilku handlarzy stało przy kramach pod ceglany murem rybnego targowiska, zapewne w nadziei, że uda im się sprzedać resztki towaru. Poza tym miasto było prawie puste; jego zacni mieszkańcy udali się już do domów na kolację i wieczorne modlitwy.

George'owi bardzo odpowiadała ta sytuacja. Nie chciał, by ktoś zobaczył go z siostrą na ulicy. Małomiasteczkowa społeczność zazwyczaj wyjątkowo uważnie zapamiętywała wszelkie szczegóły dotyczące obcych, a przecież nie chcieli, by jakiegokolwiek niejasności czy podejrzenia wiązały się z tym dniem i następnym, gdy Juliana zjawi się w Shoreham jako Lila Whitham, narzeczona Cole'a Strangforda.

Powietrze cuchnęło odpadkami. Zapach był okropny, przywodził na myśl zepsute mięso i zgniłe warzywa, a nawet coś jeszcze gorszego. Jedno spojrzenie na rynsztok biegnący wzdłuż drogi potwierdzało podejrzenia, że mieszkańcy pozbywali się do niego nieczystości. Nie po raz pierwszy George'a ogarnęło zdumienie, jak ludzie na łodzi mogą żyć w takich warunkach. Byli po prostu brudasami.

Czasami zastanawiał się, dlaczego, na litość boską, tak bardzo się stara zostać jednym z nich.

Nastrój George'a stawał się coraz bardziej ponury, w miarę jak jego myśli podążały dobrze znanymi ścieżkami. To była największa zagadka jego życia, która męczyła go przez ostatnie lata. Liczne podróże nauczyły go, że mieszkańcy ładu wcale nie zasługują na podziw i uznanie. Kłamali, okradali się nawzajem, zabijali. Widział nieskończone ubóstwo, choroby i cierpienie. A jednak był tutaj, gotów walczyć o wyzwolenie ludzi morza spod cygańskiej klątwy, żeby mogli powrócić do swego naturalnego bytu.

Przecież to nie miało sensu.

George z westchnieniem spojrzął w stronę Shoreham Park Manor, które wkrótce miało być domem jego siostry. Posiadłość znajdowała się przynajmniej kilka mil od miasta, lecz dzięki swemu położeniu była widoczna prawie z każdego miejsca w okolicy. Wiatrak stojący nieopodal stromeego brzegu jeszcze dodawał oryginalności starej rodowej siedzibie, a mieszkający w nim ekscentryczny wynalazca Cole Strangford dostarczał mieszkańcom miasta tematów do plotek. Z tego co George

słyszał, człowiek ów wciąż instalował dziwne urządzenia czyniące wiele hałasu i dymu, lecz niczemu nie służące. A kiedy nie majstrował przy swoich maszynach, zajmował się nurkowaniem w morzu.

George uśmiechnął się pod nosem. Dobrze wiedział, czego Strangford szuka... Morskiego Opalu. Wiedział także, że Cygan nigdy go nie znajdzie. Przodek George'a, Anthony St. Germaine, złodziej, który wykradł Morski Opal, wybrał pewną jaskinię w dnie oceanu, żeby ukryć w niej klejnot. Wyjawiwszy swej rodzinie położenie owej jaskini, opuścił ich niewielką społeczność, żeby umieścić opal w kryjówce.

Nigdy już nie powrócił.

Wielu innych udało się do jaskini, żeby go szukać.

Oni także nie wrócili, choć ciężko okaleczone ciało jednego z poszukiwaczy wypłynęło na powierzchnię nieopodal jaskini.

Przez wieki różni mężczyźni i kobiety, którzy czuli się na siłach podjąć niebezpieczne wyzwanie, wyprawiali się po klejnot.

Nikt ich więcej nie zobaczył.

Tak więc Morski Opal nadal spoczywał w ukrytej jaskini, otoczonej ciemnością i rybami, które nie znosiły światła, lecz nikt nie śmiał po mego pójść, bo ci, którzy próbowali, zginęli. W istocie wszyscy ludzie morza mieli zakaz poruszania się po tej części oceanu, żeby nie kusić zła czającego się w otchłani kryjącej jaskinię.

Wprawdzie Juliana od lat przygotowywała się do swego szczególnego zadania, lecz świadomość ryzyka, na jakie się narażała, przyprawiała jej brata o ból. Czuł się za nią odpowiedzialny, odkąd matka i ojciec opuścili ich na zawsze. Juliana z takim zapamiętaniem studiowała zwyczaje mieszkańców lądu, by sprostac małżeństwu ze Strangfordem, że wielu przyjaciół odsunęło się od niej i brat pozostał jedyną osobą, której mogła zaufać. Tak czy inaczej, miała swój rozum i zasługiwała na szacunek za swe poświęcenie, nawet jeśli nie do końca się z nią zgadzał.

Chwytnąjąc siostrę za rękę, skrzył w prawo w Church Street i szybko minął skład handlowy Thomasa Macy'ego oraz fabrykę świec Mitchella i Synów.

- Daleko jeszcze? - spytała Juliana.

George zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi. Zbliżał się do nich jakiś człowiek z taczkami pełnymi makreli. Dopiero kiedy ich minął, George powiedział:

- Gospoda jest za rogiem. Woodowie z pewnością czekają na nas z obiadem.

- To brzmi wręcz bosko - westchnęła.

George rzucił jej niespokojne spojrzenie. Nierzadko słyszał w głosie siostry zmęczenie.

- Chciałabyś się zatrzymać i odpocząć?

Przyjrzała mu się pięknymi miodowymi oczyma, unosząc jedną brew w wyrazie ni to zdumienia, ni przygany.

- Jestem wprawdzie kobietą, George, ale to nie znaczy, że muszę być słaba.

Zauważył, że ma lekko podkrążone oczy.

- Więc nie chcesz odpocząć?

- Nie. Mówiłeś, zdaje się, że nie masz zamiaru mnie niańczyć - przypomniała mu tonem, który sugerował, że uważa go za kompletnego głupca.

- Nie śmiałybym cię niańczyć, Juliano. Wybacz, że okazałem ci współczucie. Od tej chwili będziemy maszerować bez przerwy, jak najlepsi żołnierze regenta.

- Jesteś prawdziwym utrapieniem - prychnęła.

- A ty, droga siostrzo, wrzodem na tyłku.

Obie uwagi, choć uszczypliwe, wypowiedziane były z uczuciem; George wiedział, że Juliana szanuje go i docenia jego zalety, a on czuł to samo wobec niej, a do tego był z niej bardzo dumny. Juliana miała dar łagodzenia sporów i napięć, a ponadto dokładała wszelkich starań, by ludzie morza zachowali nadzieję i wiarę w to, że klątwa cygańskiej czarownicy wkrótce straci moc. Była idealistką o złotym sercu, a przy tym

piękną kobietą. Żałował jedynie, że jest taka uparta i zadziorna. On również miał te trudne cechy i pewnie dlatego czasami ciężko mu było dojść z siostrą do porozumienia.

Nim doszli do Wybornej Tawerny, czyli gospody szalowanej deskami, którą jakaś arystokratyczna dama nazwała kiedyś po prostu wyborną, potężnie burczało im w brzuchach. Jednak złośliwy los kazał im odczekać jeszcze pół godziny, zanim wreszcie mogli wejść do środka, gdzie oczekiwali ich Woodowie. Kiedy już mieli przemknąć przez drogę, na plac przed gospodą zajechała cała kawalkada wytwornych powozów. Sądząc po ich eleganckim wyglądzie, zapewne wiozły najbogatszych obywateli do królewskich pawilonów w Brighton.

George z Juliana ukryci w cieniu przyglądali się, jak dobrze ubrani pasażerowie wysiadają, a powozy odjeżdżają na specjalnie wyznaczone miejsce postoju. George pomyślał bez emocji, że tak właśnie będą wyglądać ludzie morza, kiedy już wyjdą na ląd. Zamienią swoje obecne domy - wraki rozsiane po dnie oceanu - na najpiękniejsze zamki i posiadłości. Osobiście zapewnił im odpowiednie majątki, handlując łupami wyłowionymi z morskiego dna. Zdołał nawet kupić pewne królewskie przywileje i parę arystokratycznych tytułów. Jednak kiedy obserwował mieszkańców łądu, porównując bogatych z przeciętnymi, dochodził do wniosku, że ci bogaci miewają wady, które czynią ich znacznie gorszymi od zwykłych ludzi.

- Idziesz, George, czy masz zamiar tu sterczeć przez całą noc?

Szept Juliany wyrwał go z zamyślenia. Rzuciwszy siostrze chłodne spojrzenie, naciągnął na głowę kaptur płaszczka, żeby ukryć twarz. Pociągając ją za sobą, minął latarnię oświetlającą wejście do gospody. Kiedy już miał otworzyć drzwi, Juliana ścisnęła go za ramię.

- Czy w tawernie będziemy bezpieczni? - spytała bardzo cicho, przygryzając dolną wargę. - Ostatecznie zadaliśmy

sobie wiele trudu, żeby się nie rzucać w oczy, a teraz mamy wejść do zatłoczonej jadalni. Czy to rozsądne?

Spojrzał na siostrę poważnie.

- Żeby nie zostać zdemaskowanym, trzeba się zachowywać zgodnie z oczekiwaniami widzów. Ludzie w tawernie spodziewają się ujrzeć innych podróżnych, więc nie zwrócą uwagi na dwie obce im osoby, które zatrzymały się na odpoczynek, by następnego ranka wyruszyć w dalszą drogę. Wcześniej musieliśmy uważać na otaczających nas ludzi, bo jakaś miejscowa matrona mogła zapamiętać dwie postacie w długich płaszczach, choćby tylko po to, by mieć później o czym plotkować.

Odwrocił się do wejścia, ale znów go powstrzymała.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie. O co ci chodzi?

Wciąż zagryzając wargę, niepewnie zerknęła na drzwi.

- Boję się - wyznała.

Wiedział, jak wiele musiało ją kosztować to wyznanie. Nagle zrozumiał, co oznacza dla niej przestąpienie progu gospody. Kiedy już wejdzie do środka i spotka się z Woodami, ich plan zostanie wcielony w życie. Wejściem do tawerny ostatecznie wyrażała zgodę na udział w misji i na małżeństwo z Cyganem. Któż mógłby jej mieć za złe, że się waha?

Odciągnął ją na bok, w cień.

- Jeśli chcesz wrócić do domu, Juliano, powiedz mi teraz - rzekł nagłoco. - Jeśli nie jesteś całkowicie przekonana, że chcesz uwieść i poślubić Cole'a Strangforda, to nam się nie uda.

- Małżeństwo to nie taka prosta sprawa - zauważyła, ścigając brwi.

- To prawda. Ale słyszałem, że Cole Strangford nie jest taki straszny jak niektórzy z tych Cyganów, których braliśmy pod uwagę w przeszłości. Inni mężczyźni z rodu Strangfordów nie byli odpowiednimi kandydatami, Cole Strangford, jest pierwszym, który ma parę miłych cech. Zapewni ci dobry dom i dzieci, które będziesz kochała.

- Niby o tym wszystkim wiem, ale jakoś w środku tego nie czuję. - Na moment położyła rękę na sercu. - Chyba w głębi duszy wciąż się zastanawiam, czy istnieje jakiś sposób, żeby tego wszystkiego uniknąć.

- Nie będę ci miał za złe, jeśli wrócisz do domu. Może nawet wolałbym, żebyś wróciła. Wychodząc za Strangforda, poświęcasz się, nawet jeśli to służy dobru wszystkich St. Germaine'ów. Nie chcę, żebyś się poświęcała, niezależnie od tego, ile na tym zyskamy. Jesteś moją młodszą siostrą, do licha, więc chcę dla ciebie jak najlepiej, nie mówiąc już o tym, jak bardzo się o ciebie martwię.

- Wiem, George. - Pokiwała głową. - Nie jestem pewna, czy mam w sobie dość siły, by oszukać tego człowieka, tak żeby uwierzył, że będę dla niego dobrą żoną. Jak mogę zapomnieć, że ktoś z jego przodków przeklął St. Germaine'ów, skazując ich na wieczne życie w oceanie?

- Chcę, żebyś wróciła do domu - powiedział niespodziewanie nawet dla samego siebie.

Odpowiedziała mu poważnym spojrzeniem.

- Jeśli wrócę, kto zajmie moje miejsce? Kto jest we właściwym wieku i może się wystarczająco długo opierać transformacji, żeby przekonać Cyganów, że nie jesteśmy ludźmi morza? Innymi słowy, kto ma choćby najmniejszą szansę odwrócić klątwę, poza mną?

Spuścił wzrok; nie musiał nic mówić, bo odpowiedź była oczywista.

Nikt.

W tym tkwiła istota problemu, którego żadne z nich nie było w stanie rozwiązać.

Dotknęła lekko jego ramienia.

- Wejdzmy do środka. Jestem gotowa.

- Jestem z ciebie dumny, Juliano. - Wzięła ją za rękę i wprowadził do tawerny.

W progu uderzył go powiew ciepła od kominka płonącego

pod przeciwległą ścianą oraz zmieszane zapachy piwa, pieczonej baraniny i mokrej wełny. Naftowe lampy rozjaśniały wnętrze przyćmionym światłem, wydobywając z mroku twarze ludzi pochylonych nad kufkami i tacami z mięsem i serem. Na szczęście nikt nie zwrócił uwagi na ich wejście. Powszechne zaciekawienie budziła raczej grupa arystokratów biesiadujących przy oddzielnym stole. George szybko pociągnął Julianę w słabo oświetlony kąt, rozglądając się przy tym za Woodami.

Woodowie byli ostatnimi z długiej linii zaufanych służących; służyli St. Germaine'om zarówno wcześniej, jak i wówczas, gdy ci zostali ludźmi morza. Choć Woodowie znali tajemnicę St. Germaine'ów, pozostali wobec nich lojalni, po części dlatego, że St. Germaine'owie sownie ich opłacali, po części z szacunku dla swych pracodawców. Jak na ironię, Woodowie nie mieli stałego miejsca zamieszkania, tylko na potrzeby St. Germaine'ów wędrowali z miasta do miasta... jak Cyganie.

Juliana pierwsza ich dostrzegła. Ciągnąc brata za rękaw, szepnęła:

- Tam.

Spoglądając we wskazaną stronę, zobaczył parę starszych ludzi odzianych w prosty strój z niebieskiej wełny, nie rzucający się w oczy. W tym samym momencie pan Wood popatrzył w jego kierunku, a George lekko skinął głową. Rozpoznawszy George'a, Wood powiedział coś na ucho do żony, a następnie nieznaczym gestem wskazał na krótki korytarz ze schodami.

Juliana także odpowiedziała skinieniem.

Woodowie skierowali się przez korytarz na schody. George ruszył za nimi. Opuścił głowę i dopilnował, by siostra zrobiła to samo. Wkrótce znaleźli się na górze, gdzie pani Wood wprowadziła ich do pokoju z dwoma łózkami i wielkim oknem, przez które widać było gwiazdy.

Pan Wood zamknął za nimi drzwi. Przez chwilę stali,

przyglądając się sobie nawzajem, a potem pani Wood podeszła do Juliany i skłoniła się przed nią z szacunkiem.

- Panno Juliano, miło mi panią widzieć.

- Mnie również, pani Wood - zapewniła Juliana, z uśmiechem odwzajemniając ukłon. - Mam nadzieję, że oboje z panem Woodem macie się dobrze?

- Bardzo dobrze, panienko, dziękuję. Mam nadzieję, że nie weźmie mi panienka za złe, jeśli powiem, że wygląda, jakby potrzebowała odpoczynku.

- Ależ skąd, pani Wood. Nogi mnie tylko bołą. - Juliana opadła na jedno z łóżek.

Pani Wood cmoknęła ze współczuciem, klękając u boku Juliany.

- Pomogę panience zdjąć buty. Moje biedactwo. Pan Wood zamówił już posiłek. Wrotce powinien tu być.

- Dzięki - powiedziała Juliana tonem pełnym wdzięczności. - Jest pani aniołem.

Kiedy pani Wood troskliwie zajmowała się Juliana, George wziął pana Wooda na stronę. Wyciągnął z kieszeni sznur różowych pereł i wręczył starszemu mężczyźnie.

Pan Wood zagwizdał cicho przez zęby, przyciągając uwagę kobiet. Juliana, mimo wcześniejszych narzekania na bolące nogi, dołączyła do mężczyzny, a pani Wood zaraz poszła w jej ślady. Starsza kobieta wzięła perły od męża i przyjrzała im się z zaciekawieniem.

- Pochodzą z wraku u wybrzeży Japonii - wyjaśniła Juliana. - Mam nadzieję, że wam się podobają.

- O tak, są bardzo piękne - pochwaliła pani Wood z błyskiem w oku. - Co jeszcze znaleźliście w tym wraku?

Juliana się uśmiechnęła.

- Puchary z rzeźbionego jadeitu, kość słoniową i głównie perły. Myślę, że was zadowolą.

- Oboje z bratem jesteście dla nas bardzo dobrzy - powiedziała pani Wood, rozpływając się w uśmiechu. - Zastanawiam

się, czy wino nadal smakuje jak wino, kiedy sieje pije z takiego pucharu.

- Już dobrze, Martho, nie zaprzataj sobie głowy pucharami z jadeitu. Mamy coś do zrobienia - przypomniał żonie pan Wood.

Pani Wood westchnęła.

- O tak, czeka nas ciężkie zadanie. Jest pani pewna, panienko Juliano, że chce wyjść za mąż?

- Muszę, pani Wood. Cole Strangford jest ostatnim ze swego rodu, zdolnym spłodzić potomka, którego tak rozpaczliwie potrzebujemy. Boże, uchowaj, gdyby umarł bezpotomnie, ludzie morza na zawsze musieliby pozostać w oceanie.

- Ale to okropne - stwierdziła stanowczo starsza kobieta. - Panienka ma prawo do szczęścia.

- Będę szczęśliwa, kiedy St. Germanie'owie powrócą na ląd.

Pani Wood zmarszczyła czoło.

- Nic na to nie poradzę, że martwię się o pańską siostrę - zwróciła się do George'a. - Jest pan pewien, że zdoła odwrócić uwagę prawdziwej narzeczonej Strangforda, tak by nie przeskadzała w małżeństwie pani Juliany?

- Będę się zajmował panią Whitham bardzo gorliwie - obiecał George, choć w duchu zastanawiał się, podobnie jak Juliana, czy potrafi przekonująco udawać zaloty. Sam także postanowił nie kryć wątpliwości: - Jesteście pewni, że tożsamość Juliany nie będzie kwestionowana, kiedy pojawi się w Shoreham Park Manor? Na ile przypomina narzeczoną Strangforda?

- Poza oczyma, wystarczająco - uznał pan Wood.

Wszyscy równocześnie spojrzeli na Julianę, która milczała, siedząc na łóżku. Nie protestowała, gdy każdy po kolei wypowiedział się na temat dziwnego koloru jej oczu, orzechowomiodowego, a właściwie bardziej miodowego niż orzechowego.

George wiele razy miał ochotę powiedzieć, że oczy jego siostry wcale nie są orzechowomiodowe, tylko żółte, a to określenie miało jedynie pomóc w tym, by coś niezwykłego wydawało się zwyczajne. Juliana natomiast dawała jasno do zrozumienia, że nie chce być znana jako dziewczyna o żółtych oczach, więc George ograniczył się do znaczącego chrząknięcia i rzekł:

- Bardzo dobrze.

- Udałem się do miejsca zamieszkania pani Whitham i spędziłem tam trochę czasu, dowiadując się o jej rodzinę i przyglądając się jej, gdy była okazja - odezwał się pan Wood. - Z grubsza biorąc, nasza dziewczyna może uchodzić za panią Whitham. Jest jednak znacznie młodsza od pani Whitham, więc wraz z panią Wood proponujemy, by przedstawić Julianę jako jej siostrę, żeby wyjaśnić różnicę wieku. Możemy udać, że w listy, które stryj Strangforda wymieniał z panem Pritchardem, wkradło się nieporozumienie i byliśmy przekonani, że Strangford chce poślubić młodszą córkę, nie tę starszą.

- Lila rzeczywiście ma młodszą siostrę?

- Owszem. Dziewczyna kończy szkołę w Irlandii. Nie ma na imię Juliana, tylko Anna. Jeśli wypłynie kwestia różnicy imion, możemy powiedzieć, że Anna jest zdrobnieniem od Juliany, choć nie sądzę, by to mogło stanowić jakiś problem.

George pokiwał głową.

- To chyba dobre rozwiązanie. Wie pan dość na temat rodziny pani Whitham, by przekonać Strangforda, że jest pan jej ojcem? - zwrócił się do pana Wooda.

Pan Wood przytaknął energicznie.

- Ma się rozumieć.

Teraz przyszła kolej na pytanie do pani Wood.

- Zakładam, że pani wie dość na temat rodziny Strangforda, by przekonać panią Whitham, że jest kuzynką Zeldą?

- Przepytałam Zeldę Strangford dokładnie i mogę przytoczyć kilka przekonujących faktów dotyczących jej rodziny - zapewniła pani Wood z godnością.

- Doskonale - powiedział George. - Moja siostra i ja, jak wiecie, spędziliśmy kilka lat na studiowaniu cygańskiej kultury. Dowiedzieliśmy się też co nieco o Strangfordach i Pritchardach, którzy z różnych powodów porzucili większość cygańskich tradycji, zamieniając je na angielskie obyczaje. Może teraz wspólnie przypomnimy sobie niektóre rzeczy.

- Najbliższe parę godzin poświęcimy na utrwalenie szczegółów - podchwyciła pani Wood. Machnięciem ręki wskazała trzy kufry stojące w kącie pokoju. - Te kufry zawierają wszystko, czego będziecie potrzebowali, jeśli idzie o stroje i akcesoria.

- Świetnie - ucieszył się George. - Zakupiliście też dla nas powozy, prawda?

- Mamy jeden, który powiezie pana na spotkanie z panią Whitham, i drugi dla panienki Juliany, którym pojedzie do Shoreham Park Manor - potwierdził pan Wood. - Ten dla panienki Juliany stoi na placu przy gospodzie, a pański jest ukryty w lesie kilka mil stąd. - Odetchnąwszy głęboko, dodał: - Wczoraj, po przyjeździe tutaj, dyskretnie rozpuściłem wieść, że jestem ojcem pani Whitham i zamierzam zawieźć jutro moją młodszą córkę do Cole'a Strangforda.

- No to może najpierw zajmiemy się historią rodziny Strangfordów - zaproponował George, spoglądając na siostrę. Siedziała uśmiechnięta na łóżku; ciemne pofalowane włosy okrywały jej ramiona, sięgając aż do pasa, oczy błyszczały żywieniem. Nagle wydała się George'owi tak młoda i bezbronna, że aż serce mu się ścisnęło. Nie miał wątpliwości, że po raz ostatni widzi na jej twarzy tę nietkniętą dziewczęcą niewinność.

Cole Strangford był w swoim laboratorium, zajęty regulowaniem nowych metalowych zaworów na zbiorniku z tlenem, kiedy Giliie wpadł do środka i kazał mu się doprowadzić do porządku.

- Ciotka Peshia dopiero co wróciła z miasta - oznajmił od progu. - Mówi, że jakaś młoda Cyganka właśnie wyjeżdża z Wybornej Tawerny wraz ze swym ojcem. Zmierzają do Shoreham Park Manor i będą tu za parę minut. Zalecałbym zmianę surduta.

Cole ostrożnie odstawił pojemnik z tlenem na roboczy stół i przyjrzał się swej tweedowej kurtce. Przejechał dłonią po kilku dziurach wypalonych przez iskry.

- Muszę wyjść ją przywitać? Nie mógłbyś jej po prostu zaprowadzić do gościnnego pokoju i powiedzieć, żeby odpoczęła po podróży? Jestem bardzo bliski uruchomienia kompresora, stryju. Nie mogę teraz opuścić laboratorium.

Tracąc zainteresowanie swym strojem, Cole na powrót zajął się pracą. Wymienił miedzianą spiralę na inną, o większej liczbie zwojów, żeby pompowany tlen przebywał dłuższą drogą i przez to lepiej się sprężał. Sprawdził też samo urządzenie sprężające, upewniając się, że nie występuje nawet najmniejsze tarcie. Doświadczenie nauczyło go, że tlen jest substancją

bardzo łatwopalną, a w powietrzu wyczuwał niepokojący zapach. Najwyraźniej istniała gdzieś nieszczelność...

- Na litość boską, Cole, pierwsze wrażenie jest najważniejsze - zirytował się Giliie. - Nie możesz powitać pani Whitham w jakimś starym łachu.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Giliie zaczął ściągać z siebie surdut, uszyty z najprzedniejszej wełny i znacznie wytworniejszy od tego, co miał na sobie Cole.

- Wprawdzie nie nosimy tego samego rozmiaru - sapnął, wyciągając ręce z rękawów - ale przynajmniej nie będziesz wyglądał jak jakiś obdartus...

Kiedy Giliie gwałtownym ruchem podawał mu surdut, z kieszeni wypadła pozłacana tabakierka. Cole patrzył, jak spada na kamienną posadzkę, czując ulatniający się tlen. W błyskawicznym odruchu sięgnął do kompresora, by odciąć dopływ tlenu, lecz nim zdążył choćby dotknąć pokrętki, tabakierka uderzyła o kamienie.

Pokazała się iskra.

W tym samym momencie Cole zdołał przekręcić gałkę kompresora.

Jednakże nieco tlenu pozostało w powietrzu.

Gaz zapalił się, tworząc krótkotrwałą, lecz potężną kulę ognia, która wybuchła na wysokości twarzy Cole'a i Gilliego, a potem uniosła się pod sufit. Obaj mężczyźni krzyknęli, po czym Giliie opadł plecami na krzesło. Cole szybko pomacał się po twarzy, żeby sprawdzić, czy ma jeszcze brwi. Giliie pozbierał się z krzesła i trzęsąc głową, wpatrywał się w Cole'a morderczym wzrokiem.

Cole odpowiedział stryjowi osłupiałym spojrzeniem. Twarz staruszka, podobnie jak szyja i pierś, pokryte były sadzą. Siwe włosy, zwykle zwisające nad czołem, sterczały bezładnie jak rozwiane potężnym wiatrem. Cole nie miał wątpliwości, że prezentuje się nie lepiej od niego.

Przeniósł wzrok na surdut w ręce Gilliego. Sprawiał wrażenie nietkniętego wybuchem.

- Nadal chcesz mi go pożyczyć? - spytał.

Gillie popatrzył na surduta, potem na bratanka. Następnie bez słowa podał mu strój w wyciągniętej ręce.

- Bardzo dziękuję, stryju.

Gillie otworzył usta i zaraz je zamknął. Kiedy Cole już był pewien, że nic mu nie grozi, Gillie znów je otworzył.

- Nie jesteś gotowy do małżeństwa. Nie zasługujesz na żonę. Mój Boże, w pół roku wykończysz każdą biedaczkę, która ośmieli się za ciebie wyjść. Mam zamiar powiedzieć tej nieszczęsnej kobiecie, żeby brała nogi za pas i zmykała z powrotem do miasta.

Cole zamyślił się, szukając w głowie odpowiedzi, która by mogła trochę ugłaskać stryja. Jednak nim zdążył ją znaleźć, drzwi do laboratorium stanęły otworem i do środka wkroczyła ciotka Peshy, w szydełkowym szalu owiniętym wokół spadzistych ramion.

- Chłopcy, co wy tu wyprawiacie?

Cole z Gilliem spojrzeli po sobie, ale żaden się nie odezwał.

- Czyżby Gillie ci nie powiedział, że przybył twój gość? - zdumiała się starsza dama. - Spróbuj wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu i natychmiast chodź do domu. - Nagle zamilkła, przyglądając się Cole'owi i Gilliemu spod ściągniętych brwi. - Co wy macie na twarzach? Błoto?

- To sadza z nieudanego eksperymentu - wyjaśnił Cole. - Powiedz mi, ciociu Peshy, co myślisz o mojej narzeczonej? Ma dobre maniery? Jest ładna?

- Myślę, że nie znajdziesz powodów do narzekania. O niej nie mogę tego samego powiedzieć.

- A jak wygląda?

Starsza pani wzruszyła ramionami.

- Nie jest taka, jak sobie wyobrażaliście. Zaszła jakaś pomyłka.

- Pomyłka?

- Chodźcie do domu i sami się przekonajcie - ucieła Peshy.

Nie mówiąc nic więcej, odwróciła się na pięcie i wyszła z laboratorium.

Cole, a zaraz potem także Gillie podążyli za nią. We trójkę, gęsiego, ruszyli przez trawnik w stronę Shoreham Park Manor. Cole z daleka dostrzegł powóz na podjeździe przed domem; bogato zdobione drzwiczki sugerowały, że pojazd należy do zamożnej rodziny. Zatem goście byli bogaci. Tylko czym jest bogactwo poza posiadaniem nadmiaru pieniędzy? Bo przecież nie gwarancją dobrego pochodzenia i wytwornych manier.

- Ciekawe, czemu ciotka Peshy uważa, że zaszła jakaś pomyłka - zastanowił się na głos Gillie.

- Wkrótce się dowiemy.

- Tak czy inaczej wpakowałeś nas w niezłą kabałę. Musimy powitać panią Whitham, a wyglądamy obaj jak cyrkowi klauni. Niezależnie od tego, czy to jakaś pomyłka, czy nie, będziemy mieli szczęście, jeśli ta kobieta nie ucieknie na nasz widok.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, jakoby nie zasługiwał na małżeństwo.

- Nie bądź złośliwy - warknął Gillie.

Cole wzruszył ramionami. Wyjął z kieszeni kawałek płótna i otarł twarz. Płótno zrobiło się czarne od sadzy. Oporządziwszy się, na ile to było możliwe, wręczył ścierkę Gilliemu, który zrobił to samo.

- Powinienem być się tego spodziewać - mruknął staruszek, podążając za drobną figurką ciotki Peshy. - Oczywiście, ten wypadek musiał nam się zdarzyć w najmniej odpowiednim momencie. Znów dał o sobie znać tradycyjny pech Strangfordów. Może powinniśmy się przemknąć wejściem dla służby do kuchni i trochę się umyć przed spotkaniem z twoją narzeczoną.

Cole zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

- Wcale nie uważam tej sytuacji za pechową. Stryju, to najlepszy sposób, żeby ocenić kandydatkę na żonę. Nie chciałbym się żenić z kobietą, która będzie się wzdragać na widok sadzy. Jeśli za mnie wyjdzie, z pewnością nieraz zobaczy sadzę na mojej twarzy. Więc chcę się od razu przekonać, czy ma

zwyczaj osądzać ludzi po wyglądzie. Jeśli tak, to znaczy, że do mnie nie pasuje.

- Po drugiej stronie wzgórza jest zagroda dla świń - podsunął zgrzyliwie Gillie. - Może pójdziesz się w niej wytarzać?

Cole parsknął śmiechem.

- Gdybym się nie bał, że ciotka Pesha wytarga mnie za to za uszy, może bym to zrobił.

Mrucząc pod nosem przekleństwa, Gillie przyspieszył, wyprzedzając Cole'a o kilka kroków. Tak dotarli do głównego wejścia do domu - Gillie i Cole wlokący się za ciotką Peshą niczym dwaj strudzeni żołnierze za energicznym, choć niepozornym generałem w koronkowym czepku.

Na ganku ciotka Pesha przystanęła, wbijając w Cole'a wyblakłe spojrzenie.

- Kazałam im czekać w salonie, zanim poszłam cię wyciągnąć z laboratorium, więc bądź miły, chłopcze.

Cole skłonił się przed ciotką pokornie.

- Obiecuję, że będę czarujący.

Gillie chrząknął znacząco.

Wszyscy troje weszli do frontowego holu Shoreham Park Manor. Cole zatrzymał się, biorąc głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy przed spotkaniem z przyszłą żoną. Gillie i Pesha dopiero przed drzwiami salonu zorientowali się, że Cole pozostał w tyle.

- Co się dzieje, Cole? Nie idziesz z nami? - spytała Pesha drżącym głosem.

Cole pokiwał głową, ale nie ruszył się z miejsca. Rozejrzał się po holu, jakby szukał otuchy w znajomym otoczeniu. Pod wyłożonymi ciemną boazerią ścianami stały gabloty pełne trofeów i bibelotów, sięgające miejscami aż po ciężkie dębowe belki sufitu. Najdalszą ścianę prawie w całości zajmował potężny kominek, a pośrodku kręcone schody z żelazną balustradą wiodły na piętro. Choć Cole uważał wystrój tego pomieszczenia za męski i przyjemny dla oka, wiedział dość o kobietach, by podejrzewać, iż może się nie spodobać przyszłej narzeczonej

jako ponury i średniowieczny. Czy to wystarczy, żeby ją odprawić?

Prawdopodobnie nie.

Zrezygnowany, wskazał na drzwi do salonu.

- No już, idziemy.

Zerkając na Cole'a nieufnie, Gillie wszedł pierwszy. Ciotka Pesha podreptała za nim. Cole nasłuchiwał kroków Zeldy, uznawszy, że jego starsza kuzynka też powinna przywitać gości, ale przypomniał sobie nagle, że sam namówił Zeldę, by odwiedziła przyjaciółkę w Buckland Village, niewielkiej miejscowości, gdzie zamieszkiwała z ojcem pani Whitham. Wreszcie zebrał się w sobie i wyprostowawszy ramiona, wszedł do salonu, stając obok Gilliego.

Miał przed sobą swoich gości. Niski starszy mężczyzna stał obok kanapy, na której siedziała kobieta. Szeroka niebieska spódnica ścieliła się wokół niej miękkimi fałdami. Na widok Cole'a kobieta wstała.

Cole osłupiał. Na moment zapomniał, że w pokoju są jeszcze inne osoby.

Najpierw zauważył jej wielkie oczy o barwie słońca wschodzącego nad oceanem, ciemnożółte z plamkami błękitu i zieleni. Tak jak słońce przegania chłód i rozprasza mrok nocy, jej spojrzenie ogrzało mu krew zapowiedzią nowego dnia. Nie odwróciła wzroku, przyglądała mu się spokojnie, podczas gdy on wręcz się na nią gapił.

Większość ludzi zapewne nie uznałaby jej za piękność przy pierwszym spotkaniu - miała szeroko osadzone oczy, a jej nos nie miał szlachetnej linii, niezbędnej według angielskiego kanonu kobiecej urody. Jednakże im dłużej na nią patrzył, tym lepiej widział, jaka jest śliczna. Miała nieskazitelnie gładką cerę, pełne usta, a jej twarz okalała burza pysznych kasztanowych włosów, niesfornie wymykających się z wężła upiętego na czubku głowy. Jej rysy miały w sobie pewną elegancję, były miłe dla oka i zapowiadały żywiołowy charakter.

Opuściwszy wzrok nieco niżej, Cole dostrzegł smukłą szyję i ramiona, po źrebięcemu delikatne, przywodzące na myśl zarówno siłę, jak i bezbronność, oraz pełne, kuszące piersi. Głęboko wycięta bluzka, kamizelka i cygańska spódnica z wielką liczbą halek ukrywały resztę, lecz Cole i bez oglądania wiedział, że musiała mieć cudownie długie nogi.

Była oszałamiająca.

Potrząsnął głową. Teraz jasno widział pomyłkę. Choć bardzo chętnie chciałby się z nią kochać, nie była stworzona do rodzenia dzieci; miała ciało wręcz idealne do dawania mężczyźnie rozkoszy bez kłopotów, jakie wiążą się z posiadaniem dzieci. Zerknąwszy na Gilliego, Cole zauważył, że staruszek także jest nieco ogłupiały. Tylko ciotka Peshy wydawała się nieporuszona, pewnie dlatego, że wcześniej miała już okazję rozmawiać z pięknym gościem i oswoiła się z sytuacją.

Z mocniej bijącym sercem Cole znów utkwiał wzrok w stojącej przed nim kobiecie. Tak, bardzo chętnie zatrzymałby ją jako kochankę. Niestety, potrzebował matrony o rozłożystych biodrach na żonę. Był ciekaw, dlaczego się u niego zjawiła zamiast pani Whitham, wdowy, którą zgodził się poznać jako ewentualną kandydatkę do małżeństwa.

Ciotka Peshy wkroczyła pomiędzy niego a dziewczynę, żeby dopełnić ceremonii wzajemnej prezentacji.

- Panno Pntchard, pozwól pani, że przedstawię panów Cole'a Strangforda i Gilliego Strangforda.

Kłaniając się, Cole pomyślał, że „panna Pritchard” daleko odbiega od wdowy, której się spodziewał.

Piękność wdzięcznie skłoniła główkę.

- A tobie, Cole, przedstawiam pannę Julianę Pritchard z Buckland Village oraz jej ojca, pana Josepha Pritcharda.

Juliana dygnęła, zalotnie skrywając spojrzenie w cieniu długich rzęs.

- Miło mi - wydukał Cole. - Mam nadzieję, że podróż przebiegła bez wstrząsów. Może usiądziemy wygodnie.

- Dziękuję - odpowiedziała Juliana i wszyscy zajęli miejsca.

- Po krótkiej rozmowie z pańską ciotką zrozumiałem, że zaszło pewne nieporozumienie - zaczął ojciec Juliany. - Najserdeczniej przepraszam za zamieszanie... ale sądziłem, że bierze pan pod rozwagę poślubienie mojej córki Juliany, a nie starszej Liiv, to znaczy pani Whitham. Musiałem widać błędnie odczytać zaproszenie, które mi państwo wysłali.

- Rzeczywiście, zamierzaliśmy zaprosić panią Whitham - przyznał Gillie. - Panna Pritchard bez wątpienia byłaby uroczym nabytkiem dla każdej rodziny, lecz jej starsza siostra wydawała się bardziej odpowiednią kandydatką, zważywszy na styl życia, jaki preferuje pan Strangford. Jednak skoro państwo już tu są, może moglibyśmy...

- Jestem wynalazcą, szczególnie zainteresowanym nurkowaniem głębinowym - wtrącił Cole ze szczerym żalem. - Kiedy nie nurkuje, jestem w laboratorium. To, co mam na twarzy, jest skutkiem jednego z moich eksperymentów. - Posłał gościom uśmiech, którego nie odwzajemnili. Z pewnym ociąganiem mówił dalej: - Panno Pritchard, jest pani młoda i jeśli wolno mi się tak wyrazić, całkiem urodziwa. Gdyby doszło między nami do związku, obawiam się, że z czasem poczułaby się pani oszukana. Kobieta taka jak pani potrzebuje oddanego adoratora, który będzie spędzał życie u pani stóp. Zapewniam panią, że ja nim nie jestem.

Stojący u jego boku Gillie zeszywniał. Cole domyślał się, że stryj życzyłby sobie doprowadzenia do małżeństwa, mimo że zjawiła się nie ta siostra, co trzeba. Cole nie miał zamiaru przejmować się życzeniami Gilliego.

- Dziękuję, że był pan ze mną całkowicie szczerzy - odezwała się cichym, melodyjnym głosem.

Cole odetchnął, czując się jak ryba, która wypłuła haczyk.

- Zasługuje pani na to, by być szczęśliwą.

Jej ojciec pokiwał głową z widocznym żalem.

- Nie mam panu za złe, panie Strangford, ale muszę wyznać, że pańska odmowa mnie rozczarowuje.

Juliana położyła ojcu dłoń na ramieniu. Opuściła wzrok; gęste ciemne rzęsy odbijały od białej skóry. Cole'owi zdawało się, że w jej oczach zalśniły łzy. Jęknął w duchu na myśl o płaczącej kobiecie w jego salonie.

Gillie chwycił go za łokieć uściskiem przywodzącym na myśl orle szpony.

- Cole, czy moglibyśmy przez moment porozmawiać na osobności?

Cole z trudem powstrzymał odruch zniecierpliwienia.

- Oczywiście. - Przeprosił Julianę i jej ojca uprzejmym uśmiechem. - Zaraz wrócimy. Do tego czasu, ciociu Pesho, zechcesz zadbać o naszych gości?

- No idź już, porozmawiaj z Gilliem - ponagliła ciotka zrzędliwym tonem. - Każę kucharce podać herbatę.

Skłoniwszy się, Cole wyszedł za stryjem do holu. Staruszek zaciągnął go do odległego kąta, znajdującego się poza zasięgiem słuchu gości, i zaczął przekonywać:

- Cole, oni odbyli długą, męczącą podróż, żeby się z nami spotkać. A skoro zadali sobie tyle trudu, uważam, że powinniśmy się odwdzińczyć, przynajmniej rozważając możliwość twojego małżeństwa z panną Pritchard. Prawdę mówiąc, nie mogę uwierzyć, że się wahasz. Jest ładna, sprawia wrażenie miłej... dobry Boże, człowieku, chociaż raz szczęście się do nas uśmiechnęło. Czegóż jeszcze mógłbyś chcieć od żony?

- Szczęście nigdy się do nas nie uśmiecha. Dlatego się martwię. Jaki podstęp może dla nas szykować panna Pritchard? A co do moich wymagań wobec żony, to pragnę wielu rzeczy... z których ona nie ma żadnej.

- Podaj mi przykład - rzucił zaczepnie Gillie.

- Hm, chcę żony, która urodzi mi dzieci. W końcu jeśli pozostanę bezdzietny, a ktoś doniesie Koronie, że złamałem

zasady dziedziczenia Shoreham Park Manor, może mnie spotkać kara.

- Skąd wiesz, że panna Pritchard nie urodzi dzieci? Jej siostra okazała się wystarczająco płodna.

- Przyjrzałeś jej się dokładnie? Jest smukła jak trzcina, ma chłopiące biodra. Obaj wiemy, że trudno by jej było urodzić dziecko. I do tego jest młoda, Gillie. Młode kobiety pragną długich, wyczerpujących zalotów, na które ja wcale nie mam ochoty. Tylko bym ją unieszczęśliwił. Potrzebuję praktycznej, starszej kobiety, która nie będzie oczekiwać ode mnie pisania wierszy sławiących jej urodę.

- Osądzasz ją, choć wcale jej nie znasz - zauważył Gillie. - Może jest praktyczna.

- Nawet jeśli tak, nie może mieć odpowiedniego doświadczenia. - Gillie uniósł pytająco brew, więc Cole wyjaśnił: - Potrzebuję kogoś, kto chętnie i sprawnie poprowadzi dom, tak żebym ja nie musiał brać w tym ciągłego udziału. A ponieważ spędzam większość czasu w laboratorium lub nurkując w morzu, chcę żony, która by mnie reprezentowała w mieście w razie potrzeby. Ta dziewczyna jest za młoda, by wziąć na siebie taką odpowiedzialność.

- Znowu zakładasz z góry. Może dałbyś jej szansę?

Cole zmienił taktykę.

- Zapomnijmy na chwilę o pannie Pritchard. Nie wydaje ci się dziwne, że prosimy o panią Whitham, a dostajemy zamiast niej jej młodszą siostrę? Przeczucie mi mówi, że coś tu jest nie tak.

- Skoro jest Cyganką, a nie jedną z ludzi morza, to co za różnica? - zżymał się Gillie. - Piekielnie trudno mi było znaleźć dla ciebie narzeczoną, Cole. Jeśli chcesz odprawić pannę Pritchard, to lepiej, żebyś miał naprawdę dobry powód.

- A jeśli ona i jej ojciec odgrywają przed nami jakąś komedię?

- Komedię? A niby po co?

Cole wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód. Ale coś mi się tu nie zgadza.

- Powiem ci, dlaczego masz takie wrażenie: ty po prostu wolisz pozostać kawalerem. Dotąd unikałeś małżeństwa jak ognia i nadal byś to robił, gdyby nie ja. Ale musisz jej dać szansę.

- No dobrze - zgodził się Cole z westchnieniem. - Poddaję się. Poproszę ją, żeby na trochę została, żebyśmy się mogli lepiej poznać.

Gillie przytaknął skwapliwie.

- Dziś przy kolacji przepytamy ich o parę szczegółów. Mam nadzieję, że to rozwieje twoje podejrzenia. Możemy nawet skierować rozmowę na temat zdrowia i posiadania potomstwa, żeby sprawdzić, jak ona się zapatruje na te sprawy.

- To może być całkiem zabawne - mruknął Cole z lekkim uśmiechem.

- A po kolacji - ciągnął rozochociony Gillie - odprawimy naszą specjalną ceremonię, żeby się upewnić, że panna Pritchard nie należy do ludzi morza. Mam nadzieję, że jutro spojrzysz przychylniej na nią jako kandydatkę na żonę.

- Zobaczymy.

Gillie z uśmiechem poklepał bratanka po ramieniu.

- Chodźmy przekazać naszym gościom dobrą wiadomość.

Mimo wciąż kwaśnej miny, Cole nieco lepiej znosił myśl o ewentualnym małżeństwie z Julianą. Argumentem Gilliego nie brakowało sensu, a do tego dziewczyna była urodziwa. Kiedy wrócili do salonu i spojrzeli na jej owalną twarz z błyszczącymi miodowymi oczyma, myśl o ożenku niemal sprawiła mu przyjemność. Tym bardziej więc był skonsternowany, gdy na ich widok ojciec dziewczyny wstał i oświadczył, że wraz z córką zamierzają natychmiast opuścić Shoreham Park Manor, by nie sprawiać dalszych kłopotów.

Gillie podszedł szybko do pana Pritcharda, wykonując przy tym uspokajające gesty.

- Ależ nie, sir, pan Strangford i ja nie chcemy nawet o tym słyszeć. Musicie zostać. Pan Strangford i ja postanowiliśmy nie rezygnować z naszych planów, godząc się, by panna Pritchard zastąpiła panią Whitham.

Juliana otworzyła szeroko oczy, a ojciec przytrzymał ją, obejmując za ramiona.

- Ach tak, rozumiem - powiedział.

Cole pokiwał głową, nie odrywając wzroku od Juliany.

- Będę zachwycony, mogąc się cieszyć towarzystwem panny Pritchard tak długo, jak tylko zechce tu zostać.

Przyjrzała się z uwagą jego twarzy, unikając oczu, jak lekarz przeprowadzający oględziny.

- Mogę zamienić kilka słów z ojcem na osobności?

Cole zeszywniał, usłyszawszy w jej głosie napięcie. Dlaczego przyglądała mu się w taki sposób? Wcześniej wydawała się chętna, kiedy on się wahał, a teraz, kiedy on był skłonny przymierzyć się jednak do małżeństwa, zachowywała się, jakby był ropuchą skrzeczącą w stawie.

- Oczywiście, że może pani porozmawiać z ojcem. Wyjdźcie, proszę, do holu. Mój wuj, ciotka i ja poczekamy na was tutaj.

Dziewczyna i jej ojciec, uśmiechając się z wyraźnym przymusem, skierowali się do drzwi.

- Nie mogłeś okazać więcej gorliwości? Zachowujesz się jak król okazujący względy posłusznym poddanym - zaczął utyskiwać Gillie, gdy tylko goście opuścili salon.

- Wolałbyś, żebym koło nich skakał, dając jej fałszywe nadzieje? Zapewniam cię, że to lepsze w tej sytuacji.

Ciotka Peshy podeszła do nich drobnym kroczeniem, powiewając jedwabną chusteczką trzymaną w dłoni.

- Mniejsza o twoje maniery, chłopcze... według mnie to twój wygląd ją zniechęcił. Ciesz się, jeśli zechce zostać choćby na jeden dzień.

Uniesione pytająco brwi Cole'a świadczyły o tym, że nie bardzo rozumie uwagę ciotki. Wprawdzie trudno by mu się

równać z lordem Byronem, ale też nie był odrażający. Nawet kiedy ciotka wręczyła mu chusteczkę, nie pojmując, o co właściwie chodzi, zaczął ją upychać w kieszeni.

- Wytrzymaj sobie twarz, na litość boską - syknął Gillie. - Szybko, zanim wrócą do salonu.

Dopiero w tym momencie Cole zrozumiał, dlaczego Juliana patrzyła na niego z taką dziwną miną.

Sadza.

Wzruszając ramionami, oddał ciotce chusteczkę.

- Obstawaj przy moim wcześniejszym postanowieniu.

Nieprzekonana Peshka próbowała własnoręcznie doprowadzić go do porządku, ale odsunął ją od siebie zdecydowanie, akurat w momencie, gdy Juliana i pan Pritchard ponownie zjawili się w salonie. Cole spojrzął na Julianę, próbując dojrzeć odpowiedź w jej oczach, lecz widział jedynie błyszczące złoto z lekkim odcieniem zieleni.

- Omówiliśmy z córką zaistniałą sytuację i postanowiliśmy zostać na trochę - oznajmił pan Pritchard.

- Choć nie obiecujemy niczego więcej - dodała chłodno jego córka.

Zapadła cisza, podczas której każdy z obecnych bezwiednie dał wyraz swym emocjom. Gillie opuścił ramiona, bez wątpienia z ulgi, a ciotka Peshka, uśmiechając się nieśmiało, zapewniła, że bardzo ją cieszy perspektywa towarzystwa młodej kobiety. Pan Pritchard pozostał sztywny, być może z ostrożności, a Cole, mimo iż rozumiał konieczność rychłego ożenku, poczuł, jak ogarnia go dziwna melancholia.

- Jestem zachwycony - skłamał, gotowy do poświęceń, choćby tylko po to, by zapewnić sobie jakże niezbędnego potomka.

Juliana uśmiechnęła się do niego niepewnie i obdarowała go pałającym spojrzeniem swych niezwykłych oczu. Niespodziewanie jej wzrok wzbudził w nim falę gorąca. Nagle uznał, że właściwie mógłby się do niej trochę pozalecać, na wypadek gdyby okazała się odpowiednią kandydatką na żonę.

- Zatem świetnie. - Gillie rozejrzał się po obszernym pomieszczeniu. - Widzę, że kucharka jeszcze nie przyniosła herbaty. Może pokażę wam wasze pokoje i każę do nich podać herbatę, żebyście mogli wygodnie odpocząć przed kolacją?

Juliana przeniosła spojrzenie na Gilliego, który aż zamrugał z wrażenia.

- To cudowny pomysł.

Chwilę później Cole patrzył, jak Gillie wyprowadza jego ewentualną narzeczoną z salonu, a kiedy zniknęli za drzwiami, utkwiał wzrok w widoku za oknem. Tym razem nie zobaczył ciemnych chmur, lecz ciepły blask zachodzącego słońca, w miejscu gdzie niebo łączyło się z morzem. Kolory zmierzchu przypominały barwę oczu Juliany. Czy okaże się równie łagodna jak zachodzące słońce, czy raczej podobna do burzowej chmury?

Wkrótce miał się przekonać.

George podskakiwał na siedzeniu, kołysząc się od ściany do ściany, kiedy jego powóz wspinał się wyboistym podjazdem do wiejskiej posiadłości zwanej Buckland House. Patrząc na budynek, który miał być jego domem przez kilka następnych tygodni, musiał przyznać, że prezentuje się całkiem nieźle. Zbudowany z cegieł i drewna, od frontu miał ładny ganek z dwiema kutymi ławkami oraz kilka barwnie ukwieconych rabat pod dzielonymi oknami, co sugerowało, że stanowi wiejską siedzibę zamożnego obywatela. Na tyłach domu znajdowała się kuchnia z ogromnym paleniskiem i ogrodzonym zielnym ogródkiem, w którym dostrzegł wysokie malwy. Jeszcze dalej stał równy rząd stajni, a za nimi, na okolonej płotem łące, pasło się kilka krów.

Z przyjemnością stwierdził, że ten widok zapowiada całkowite przeciwieństwo jednej z jego wcześniejszych wizyt w zachodniej Anglii, kiedy próbował odnaleźć Pritchardów.

Wówczas przez kilka tygodni mieszkał w przerobionej na gospodę farmie, w której prawie nie było okien. Codziennie musiał cierpieć z powodu nędznych warunków, nadmiernego tłoku i braku toalety. Po pewnym czasie nawet conocne wyprawy do oceanu nie pomagały, by poczuł się czysty. Mimo to nie ruszał się stamtąd; przesiadywał w mrocznej jadalni, wdychając stęchłe powietrze i pijąc skażoną wodę. Tam dowiedział się wszystkiego, co było można, o Pritchardach od kilku miejscowych, którzy lubili gadać jeszcze bardziej, niż pić piwo.

Teraz miał nadzieję, że pobyt w domu Pritchardów okaże się wygodniejszy, a przy odrobinie szczęścia również owocny.

Siedząca obok niego pani Wood radośnie paplała o różach oplatających płot i roślinach podobnych do pomarańczy, kołyszących się na wietrze. Nie przerywając swej towarzysze podróży, w milczeniu obserwował posiadłość, starając się zapamiętać pewne szczegóły. Nigdy nie można przewidzieć, kiedy takie obserwacje okażą się przydatne. Któregoś dnia mogły mu nawet uratować życie.

Kiedy stanęli przed gankiem, zza kuchni wyszedł starszy mężczyzna, żeby ich powitać. Zakładając, że ma do czynienia z panem Pritchardem, George wysiadł z powozu, a następnie pomógł wysiąść pani Wood. Przypomniawszy sobie, że musi nazywać panią Wood Zeldą, tak jak zakładał plan.

- Dzień dobry państwu - odezwał się pan Pritchard. - Zapewne pan Strangford?

George skłonił się szybko, obrzucając gospodarza dyskretnym, lecz uważnym spojrzeniem. Mężczyzna miał na sobie kurtkę z wełny, w dobrym gatunku, lecz niezbyt wytworną. Do spodni przyczepiło mu się kilka rzepów, co świadczyło, że właśnie wrócił ze spaceru po łące. Włosy miał zaczesane z czoła do tyłu i nosił obfite bokobrody, często spotykane u mieszkańców wsi. George doszedł do wniosku, że Pritchardowie są Cyganami, którym się nieźle powodzi, ale nie są bogaci.

- Dzień dobry, sir - odpowiedział uprzejmie. - Rzeczywiście, jestem Cole Strangford, a to moja kuzynka, Zeldą Strangford.

Pan Pritchard poprowadził ich w stronę wejścia do domu.

- Moja żona, pani Pritchard, zmarła dawno temu, niech odpoczywa w spokoju, więc nie może was powitać, a moja młodsza córka jest w szkole w Irlandii. Lila wyszła narwać kwiatów, więc obawiam się, że tylko ja pozostałem, by was przyjąć w Buckland House.

- Nic nie szkodzi, sir - zapewnił George. Wiedział już wcześniej, że Pritchard wysłał młodszą córkę do Irlandii. Słyszał też, że Lila Whitham, kandydatka na żonę Strangforda, na stałe mieszka w Buckland House, powróciwszy do domu rodzinnego po stracie męża i córki.

Pan Pritchard zaprosił ich do środka.

- Może pójde poszukać Lili - zaoferował się George.

- Ależ Cole - skarciła go macierzyńskim tonem pani Wood. - Nie możesz pójść szukać pani Whitham. Nie zostaliście sobie oficjalnie przedstawieni.

Gospodarz wziął ze stołu fajkę i wetknął ją sobie do ust.

- Nie dbamy tu aż tak bardzo o ceremonie. Niech pan idzie, panie Strangford. Znajdzie pan Lilę na łące za domem, za żywoplotem. Mam nadzieję, że pan ją przekona, by nie wstępowała do tego swojego klasztoru.

Do klasztoru?

George z trudem przełknął ślinę, starając się ukryć zaskoczenie. Nikt nigdy nie wspomniawszy, że Lila Whitham myśli o odgradzeniu się od świata klasztornym murem. Tak czy inaczej, niewiele to dla niego zmieniało. Tak naprawdę nie był zainteresowany małżeństwem z Lila; po prostu chciał zająć jej uwagę do czasu, aż Juliana spełni swoją misję w Shoreham.

- Nie wiedziałem, że pani Whitham czuje tego rodzaju powołanie.

- Straciła męża i córkę. Nie sędzę, żeby chciała znów ryzykować - odparł ojciec Liii spokojnie.

George ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Dziękuję, że mi pan to powiedział, panie Pritchard.

Zebrawszy się na odwagę, George wyszedł z domu i udał się na tyły kuchni. Okrążywszy zielny ogródek, znalazł się na otwartej przestrzeni. Już po kilku krokach zrobiło mu się gorąco w głowę, a ciało spłynęło potem pod grubą warstwą odzienia. Pod nogami miał kobierce delikatnych niebieskich i żółtych kwiatów. Spojrzał w górę i przez moment wydawało mu się, że niebo mieni się takim błękitem jak woda daleko na południe od Anglii, gdzie pływają ławice małych rybek, a ocean wydaje się ciepły. Wezbrała w nim tęknota za bystrymi prądami, które unosiły go lekko, i za tymi wszystkimi stworzeniami, z którymi bawił się w morzu.

- Boże, dopomóż, chciałbym wrócić - powiedział głosem tak zmienionym przez żal, że wydał mu się obcy.

- Wrócić dokąd? - zabrzmiało melodyjnie.

George zamrugał, gwałtownie otwierając oczy. Ujrzał przed sobą kobietę. Była od niego starsza o kilka lat, poznał to po drobnutkich zmarszczkach w kącikach jej oczu. Miała wspaniałe, pszeniczne włosy, a jej skóra miała świetlisty połysk, jaki widywał na perłowych muszlach znajdujących na brzegach dalekich wysp. Nie potrafił odczytać wyrazu jej zielonych oczu, ponieważ ocieniało je rondo wielkiego kapelusza. George wyczuwał w tej kobiecie głęboki spokój i coś jeszcze, co trudno mu było określić. Uznał, że to uczciwość, ale taka bezwzględna, która potrafi ranić. Na koniec doszedł do wniosku, że jednak nie tyle uczciwość, co zdolność widzenia na wskroś.

Przyszło mu do głowy, że taka osoba łatwo wyczuwa kłamstwo.

- Wrócić dokąd? - powtórzyła miękkiem głosem, nie pasującym do przenikliwego spojrzenia.

- Do morza - odparł szybko George podobnym tonem.

Uświadomił sobie znienacka, że rola, którą ma do odegrania, może się okazać trudniejsza, niż przewidywał. Nie wystarczyło znać faktów z przeszłości Cole'a Strangforda, bo z pewnością wyczułaby sztuczność jego zachowania. Jednak gdyby włączył do swych opowieści wydarzenia z własnego życia, takie, o których mógłby mówić szczerze i z pewnym zaangażowaniem, może by mu wierzyła.

- Lubi pan morze? - spytała.

- O, tak. - Skłonił się lekko. - Jestem Cole Strangford, a pani, jak się domyślam, jest panią Whitham.

Przyglądała mu się przez kilka pełnych napięcia sekund i kiedy już był prawie pewny, że nazwie go kłamcą, uśmiechnęła się szeroko.

- Zgadza się, Cole'u Strangfordzie. Jestem Lila Whitham, ale możesz mnie nazywać po prostu Lila. Powiedz mi, dlaczego tak bardzo lubisz morze.

George poczuł dziwny ucisk w środku. Popatrzył na nią znowu, próbując odgadnąć jej uczucia, ale zobaczył tylko spokojne zielone oczy. Z uśmiechem wzięła ją pod ramię i prowadząc przez łąkę, zaczął opowiadać o morzu, o jego dzikości, potędze, świetle i życiu.

4

Po tym, jak starszy Cygan o mieniu Gillie zaprowadził ją do jednej z gościnnych sypialni, Juliana spędziła kilka godzin, rozpakowując swoje rzeczy z pomocą młodej ciemnookiej służącej. Dziewczyna bezustannie paplała o Cole'u Strangfordzie, opisując ze szczegółami każdy z jego dziwnych wynalazków, a dopiero na koniec wspomniała, że jej pracodawca uwielbia nurkować w morzu. Juliana słuchała, ma się rozumieć, bo nie należało gardzić żadną okazją zdobycia wiadomości, ale nie dowiedziała się niczego nowego. Zapoznanie się z życiem Strangforda było częścią przygotowań do misji, a poza tym większość z tego, co mówiła służąca, była powszechnie znana.

Nie odrywając myśli od Strangforda, Juliana zjadła lekką przekąskę, a potem ułożyła się na miękkim łóżku z koronkowym baldachimem i adamaszkową pościelą. Miała wielką ochotę uciąć sobie drzemkę, ponieważ wiedziała, że czeka ją pływanie w morzu, kiedy mieszkańcy łądu będą spać. Jednakże myśli na temat przyszłego męża nie pozwalały jej zmrużyć oka. Roztaczał wokół siebie jakiś mroczny urok, co budziło jej niepokój, jako że nie chciała odczuwać żadnego zainteresowania Cole'em Strangfordem. Nie chciała w nim widzieć nic poza środkiem do celu, a tu na łądzie miała tylko jedno zadanie do

wypełnienia - musiała go wykorzystać i złamać kłtwę. Znacznie łatwiej było oszukać złego wilkołaka niż normalnego mężczyznę, który posiadał pasję wynalazczą, kochał morze i podobnie jak ona obawiał się tego małżeństwa.

W istocie najbardziej zaskoczyło ją to, że Strangford wcale nie ma ochoty się żenić. Gdy tylko otrząsnęła się ze zdumienia na widok jego usmolonej twarzy i całkiem urodziwych rysów, które zdołała wypatrzeć pod warstwą sadzy, zrozumiała jego rozterki. Z początku wpatrywał się w nią z męskim podziwem, aż poczuła się dziwnie zakłopotana. Potem jednak najwyraźniej zmienił zdanie na jej temat i zaczął tłumaczyć, dlaczego nie jest odpowiednią dla niego kandydatką na żonę, choć jego wzrok cały czas podpowiadał jej nieomylnie, że żadna inna też by mu nie odpowiadała.

Uśmiechnęła się bezwiednie. Okazał się całkiem interesujący.

Natychmiast skarciła się w duchu; powinna strzec swego serca, ponieważ jej misja tu, na łądzie, wymagała podstępów i zdrady. Miała go poślubić, udając kogoś innego, i urodzić jego dziecko tylko po to, by złamać kłtwę. Zadanie stałoby się trudniejsze, gdyby sobie pozwoliła choć na cień bliskości z tym człowiekiem.

Uśmiech zamarł jej na ustach. Ogarnął ją wewnętrzny chłód. Przypomniała sobie, jak wielu ludzi na nią liczy i od niej zależy. Cygańska czarownica straciła w morskie głębiny nie tylko wszystkich St. Germaine'ów, ale też wielu przyjaciół rodziny i osoby, które dla nich pracowały. Głupotą było wylegiwanie się na łóżku i snucie niemądrych rozważań. Powinna zapoznać się z otoczeniem, wyznaczyć trasy ucieczki i w ogóle zająć się czymś pożytecznym. Niechętnie, lecz stanowczo opuściła swoją sypialnię i poszła się rozejrzeć po Shoreham Park Manor.

Miała wszelkie powody, by zadbać o bezpieczny sposób ucieczki. Po kolacji, a właściwie każdej nocy, musiała się

wymykać nad morze, żeby popływać, bo inaczej groziło jej powolne i bolesne odwodnienie, które w krańcowych przypadkach mogło prowadzić nawet do śmierci. A skoro chciała wymykać się z domu po ciemku, nie potykając się i nie budząc innych domowników hałasem, musiała natychmiast poznać drogę wiodącą do frontowych drzwi. Generalnie była to pierwsza powinność każdego z ludzi morza na lądzie, niezależnie od okoliczności.

Poruszając się cicho i dyskretnie, obejrzała po kolei jadalnię, salon, pokój bilardowy, gabinet, kuchnię i pokój muzyczny, świadoma, że cały czas znajduje się na parterze. Uważnie zbadała wszystkie pułapki, jakie mogły jej przeszkodzić w drodze do wyjścia z domu, i zdumiała się, jak wiele przestrzeni mieszkańcy lądu potrzebują do prowadzenia codziennego życia.

Ona i jej rodzina nie mieli tyle miejsca. Mieszkali we wraku jakiegoś dziewiętnastu kilometrów od południowego wybrzeża Anglii, w pobliżu wysp Scilly. Łańcuch stu czterdziestu wysp był śmiertelną zasadzką dla żeglarzy, lecz dobrodziejstwem dla ludzi morza, którzy osiedliwszy się w licznych wrakach, stworzyli coś w rodzaju podwodnego miasta. Wrak, w którym mieszkała Juliana, nosił nazwę „Association”, zatonął na początku osiemnastego wieku i miał na pokładzie żelazne działo oraz niezliczone ilości srebrnych monet. Tam, opływana prądem zatokowym, żywiąc się owocami mórz zarówno umiarkowanych, jak i tropikalnych, dorastała pod opieką rodziny i niemal co dnia zastanawiała się, jak by to było żyć na lądzie przez cały czas, bez lęku, a nie tylko przez krótkie okresy w ciągłej obawie, że ktoś może odkryć jej tajemnicę.

Zakończywszy zwiedzanie domu, z utrwaloną w głowie trasą, postanowiła wyjść na zewnątrz, gdzie nie było tak duszno, i dokończyć wytyczanie drogi do oceanu. Udała się do holu i w chwili gdy położyła rękę na klamce, drzwi się otworzyły i wszedł starszy Cygan.

- O witam, panno Pritchard - odezwał się lekkim tonem. - Przespała się pani trochę?

- Nie mogłam zasnąć. - Przyjrzała mu się uważnie. Pojawił się tak nagle, że podejrzewała, iż na nią czekał. - Postanowiłam się trochę przejść.

- Ma pani ochotę na towarzystwo?

- Nie, dziękuję. Wolałabym pospacerować sama, żeby uprzyślednić sobie myśli.

Scignął brwi w wyrazie zatroskania.

- Sama?

- Owszem, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - potwierdziła stanowczo.

- Czyżbyśmy panią czymś zdenerwowali?

- Absolutnie nie.

- Panno Pritchard, wszyscy bardzo się cieszymy, że pani tu jest. Mam nadzieję, że nie zastanawia się pani nad wyjazdem.

- Pańska gościnność jest doprawdy wyjątkowa, panie Strangford. Zamierzam zostać tu na jakiś czas.

- Świetnie. - Poklepał ją niezręcznym ruchem po ramieniu. - No to nie przeszkadzam pani w spacerze.

Uśmiechnąwszy się z przymusem, weszła na trawnik, opuszczając starego Cygana. Po chwili skręciła w stronę wiatraka, wznoszącego się przy skraju urwistego brzegu. Przyspieszając kroku, dotarła do miejsca, skąd roztaczał się widok na morze.

Przyciągało ją niczym magnes; wyobrażała sobie tysiące pięknych stworzeń ukrytych zaledwie kilka metrów pod powierzchnią wody, olśniewające skarby. Niespodziewanie zaciekawiło ją, czy Strangford, nurkując w głębinach, poświęca choć trochę czasu na podziwianie podwodnego piękna, czy też skupia się wyłącznie na poszukiwaniu Morskiego Opalu. Choć wiedziała, że nie powinna sobie pozwalać na tego rodzaju rozmyślenia, zastanawiała się, jak by to było wziąć go za rękę, zanurkować z nim i pokazać mu te fantastyczne widoki, jakich mieszkańcy lądu nigdy nie oglądają.

Jakiś ruch przy wiatraku przyciągnął jej uwagę, wyrwijąc z niewczesnych fantazji. W samą porę, bo już niemal doszła do wniosku, że sprawienie mu tej radości byłoby i dla niej przyjemnością. Przed wiatrakiem stały dwie postacie ubrane w tweedy. Pomyślała, że to Strangford i Gillie. Najwyraźniej kiedy stała tu, wpatrując się w ocean i oddając mrzonkom, Gillie pomaszerował prosto do Cole'a i doniósł mu, że wybrała się na samotny spacer.

Cole, mówiąc coś, zwracał się do Gilliego. Ten mu odpowiedział. Nie była w stanie dosłyszeć słów poprzez odgłos wiatru, świszczącego wśród kamieni i suchej trawy, ale wyczuła, że obaj są zdenerwowani. Nagle starszy z Cyganów teatralnym gestem wyrzucił w górę ramiona i była już pewna, że kłóca się o nią. Podejrzewała, że Gillie poprosił Cole'a, by dołączył do niej na spacerze, a Cole odmówił. Najwyraźniej starszy Cygan wziął na siebie rolę swata.

Żałowała, że nie znajduje się dość blisko nich, by podsłuchać, o co właściwie się spierają. Nim ruszyła w ich stronę, wciąż patrząc na ocean, lecz pilnie nadstawiając ucha, Cole wszedł do wiatraka i zatrzasnął za sobą drzwi, pozostawiając Gilliego na zewnątrz.

Stary Cygan zaczął iść w jej kierunku; kiedy się z nią zrównał, powitała go uśmiechem.

- Panie Strangford, mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

Gillie odwzajemnił uśmiech, choć sprawiał wrażenie zmarzniętego.

- Ja i Cole doprowadziliśmy kłótnię do rangi sztuki. Proszę się nie przejmować naszymi sprzeczkami.

- Dokąd on poszedł?

Gillie niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

- Do swojego laboratorium. Pracuje w wiatraku, który wytwarza dla niego energię. Jest w połowie bardzo ważnego

eksperymentu, gdyby nie to, z pewnością by do pani dołączył - powiedział Gillie, potwierdzając jej podejrzenia.

- Eksperymentu? Jakiego?

- Buduje cylinder, w którym mieści się sprężony tlen. Chce się nim posługiwać podczas nurkowania, żeby móc dłużej pozostawać pod wodą.

Juliana uniosła brew, udając zaskoczenie. Doskonale wiedziała, nad czym Cole pracuje.

- To niezwykłe.

- Cole wynalazł wiele niezwykłych urządzeń. Użytecznych również.

- Miałyby coś przeciwko odwiedzinom? - spytała. Była ciekawa, czy zamierza nurkować z tymi swoimi żelaznymi płucami w pobliżu wysp Scilly. Ludzie morza z pewnością nie potrzebowali, żeby jakiś wścibski mieszkaniec łądu zaglądał do ich podwodnych domów. Może powinna zbadać tę sprawę, skoro już tu jest. A i sabotaż należało wziąć pod uwagę.

- Nie miałyby nic przeciwko pani odwiedzinom - zapewnił ją Gillie. - Na pewno chętnie zapozna panią ze swą pracą.

- Jest pan pewien?

- Tak. Odprowadzę panią do laboratorium.

Juliana wyraziła zgodę skinieniem i razem zaczęli iść brzegiem w stronę wiatraka. Nie mogła oderwać wzroku od siennej tafli wody, wciągała głęboko słonawe powietrze i raz po raz rzucała uwagi na temat piękna skalistego urwiska wcinającego się w morze. Skalne ściany pełne były zagłębień, w których gnieździły się różne gatunki nadmorskiego ptactwa i innych stworzeń, co przypominało jej rafę koralową w tropikalnych wodach Pacyfiku.

- To wybrzeże jest piękne ~ przyznał Gillie. Po jego minie widziała, że jest skłonny zgodzić się z nią w każdej kwestii. - Bardzo malownicze.

- Wszędzie widzę niebo i wodę. - Nad ich głowami bezszelestnie przeleciała mewa unoszona powietrznym prądem. - Podoba mi się nieograniczona przestrzeń tego miejsca.

- Cole'owi także. Kocha tę starą posiadłość i przynależące do niej ziemie. Zapewniam panią, że nie wyjechałby stąd dobrowolnie.

Przyszło jej na myśl, że jej przodkowie także nie odeszli dobrowolnie.

- Jaki był Cole w młodości?

- Miał w sobie więcej ciekawości niż każdy normalny chłopiec. - Gillie zachichotał. - Jego matka nazywała to piekielną ciekawością, ponieważ zawsze pakował się w kłopoty. Lubił rozbierać różne rzeczy na części, żeby sprawdzić, jak działają, a potem ona albo jego ojciec musieli je składać.

Juliana się uśmiechnęła.

- Wygląda na to, że było z nim urwanie głowy.

- Gorzej niż urwanie głowy, zapewniam panią. Ojciec Cole'a, mój brat, miał lornetkę, przez którą obserwował statki na morzu. Któregoś dnia Cole dobrał się do niej i rozebrał na kawałki w niespełną godzinę. Zostawił na stońcu soczewki, które skupiały światło. To światło padało na rękaw Cole'a, ale on tego nie zauważył i wkrótce stanął w ogniu. Tak go znalazł ojciec - wrzeszczącego wniebogłosey i tarzającego się po ziemi, na szczątkach zepsutej lornetki. Nie muszę dodawać, że nie był to dla Cole'a szczęśliwy dzień, chociaż teraz śmieje się z tego zdarzenia.

- Co się stało z ojcem i matką Cole'a?

Gillie westchnął.

- Jego ojciec zmarł na serce prawie piętnaście lat temu, a matka odeszła w niecały rok po nim. Zachorowała na malarię i wszystko wskazywało na to, że powinna była wyzdrowieć... ale ona nie walczyła z chorobą. Myślę, że nie chciała żyć bez męża.

- Musieli się bardzo kochać.

- Bardzo, panno Pritchard.

Na chwilę zapadła cisza, z szacunku dla pamięci rodziców Cole'a. Potem Gillie spytał Julianę, czy to jej pierwsza wizyta na południu Anglii.

- Moja rodzina jest podobna do waszej, jeśli chodzi o podróżę - mruknęła, przytaczając fragment wyuczonej na pamięć historii Pritchardów. - Rzadko opuszczaliśmy Buckland House. Nie mamy tak zwanej cygańskiej natury, która każe bezustannie wędrować i szukać przygód.

- Po co podróżować, skoro w domu ma się wszystko, co trzeba? - przyznał Gillie.

Dotarli do wiatraka, więc nie musiała odpowiadać. Przystanęli, obserwując, jak skrzydła poruszają się z głośnym skrzypieniem. Niezwykła budowla emanowała jakąś dziwną mocą, zdawała się od niej aż drżeć, jakby za moment miała wylecieć w powietrze. Juliana przepływała kiedyś obok ujścia wulkanu na południowym Pacyfiku; tamten wulkan tak samo drżał i wydawał podobne dźwięki, a gdy tylko zdążyła odpłynąć na bezpieczną odległość, wyrzucił z siebie słup gorącej wody, zabijając wszystkie żywe istoty w swoim zasięgu.

Gillie otworzył przed nią drzwi, zachęcając gestem, by weszła do środka. Juliana stanęła w progu jak wryta. Z kołków na ścianach zwisały połamane koła wozów. W kącie piętrzyła się sterta zardzewiałych pługów. Wielkie dmuchawy napędzane w jakiś sposób przez ruch skrzydeł wiatraka tłoczyły powietrze na ogień płonący pod metalowym zbiornikiem. Czuła na twarzy żar bijący od ognia, mimo iż stała w pewnej odległości.

Zauważyła, że zbiornik połączony jest z istną płataniną rur, które zasysają wodę ze studni w ziemi i pompują ją w nieznanym kierunku, wydając przy tym dziwny bulgot. Drewniane tryby wielkości stołu ze skrzypieniem obracały się wokół swych osi, połączone ze sobą, służąc jakiemuś wielkiemu celowi, którego jednak nie potrafiła zidentyfikować.

Przeniosła wzrok na dębowy stół roboczy i stojącego za nim mężczyznę. Najwyraźniej jeszcze jej nie zauważył, skupiony bez reszty na niewielkim miedzianym cylindrze i hełmie ze szklaną przyłbicą. Długimi, mocnymi palcami mocował coś

w rodzaju liny łączącej cylinder z hełmem. Juliana domyśliła się, że to musi być ów ekwipunek do nurkowania, pozwalający schodzić na większą głębokość.

Była bardziej zainteresowana wynalazcą niż jego wynalazkiem, więc wykorzystwała sytuację, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Długie włosy miał zaczesane do tyłu, poza kilkoma gęstymi czarnymi kosmykami opadającymi swobodnie na czoło. Ta fryzura nadawała mu nieco nonszalancki wygląd. Nieświadomy, że jest obserwowany, miał spokojny, naturalny wyraz twarzy, oczy w kolorze nieba o zmierzchu, okolone rzęsami tak ciemnymi i gęstymi, że mogłaby ich pozazdrościć niejedna kobieta. Wydatny podbródek, ciemne brwi oraz mocno zarysowany nos i kości policzkowe przywodziły na myśl arystokratę z jakiegoś dalekiego kraju.

Opuściła wzrok niżej. Zawinięte do łokci rękawy płóciennej koszuli odsłaniały umięśnione ręce, a rozpięta kamizelka pozwalała zobaczyć szczupłe biodra. Miał smukłe, silne ciało, zapewne dzięki częstemu nurkowaniu. Spod rozluźnionego krawata wystawały końce czarnych włosów porastających mu tors. Był dobrze zbudowany i pewny siebie, ale nie obnosił się ze swą męską urodą, jak to się zdarzało niektórym mężczyznom z jej otoczenia. Coś jej mówiło, że musi być bardzo, ale to bardzo ostrożna, żeby się nie zadurzyć w Cyganie, który miał w żyłach krew czarownic.

Poczuła dziwne łaskotanie w środku. Szybko wciągnęła powietrze.

Gillie u jej boku chrząknął.

Cole spojrzął ku drzwiom, wyraźnie rozgniewany.

Juliana spłonęła rumieńcem.

Gillie znowu chrząknął.

- Cole, panna Pritchard była na samotnym spacerze... - Urwał, żeby rzucić bratankowi wymowne spojrzenie. - ...i postanowiła przyjść ze mną do wiatraka, żeby się zapoznać

z twoją pracą. Mógłbyś poświęcić trochę czasu, żeby ją oprowadzić?

Juliana nagle poczuła się bardzo niezręcznie.

- Jeśli przyszedłam nie w porę, możemy to odłożyć na później...

Cole westchnął.

- Aż nie, bardzo proszę, oczywiście, że z przyjemnością wytłumaczę pani, nad czym pracuję.

Gillie pokiwał głową z zadowoleniem.

- A ja pójdę do domu i dopilnuję, żeby wam przygotowano porządną kolację. Wrócę po was, kiedy będzie gotowa.

- Gillie - rzucił Cole ostrzegawczym tonem - nie rób sobie... kłopotu z kolacją.

- To żaden kłopot - zapewnił starszek z uśmiechem i szybko się oddalił.

- Bóg jeden wie jaką kolację nam szykuje - westchnął Cole. Juliana uniosła brwi.

- Co pan ma na myśli?

- Mój stryjek Gillie postanowił nas wyswatać, niezależnie od tego, co my o tym sądzimy, i prawdopodobnie będzie próbował stworzyć jakąś intymną sytuację, w której oboje będziemy się czuć skrępowani.

- Jesteśmy w trudnym położeniu, prawda? - powiedziała z rozbrajającym uśmiechem.

Odwzajemnił uśmiech, błyskając równymi, białymi zębami w smagłej twarzy. Serce zabiło jej mocniej.

- Owszem, jesteśmy i będziemy, przynajmniej na początku - przyznał. - Myślę, że możemy je nieco ułatwić, nie skupiając się tak bardzo na sprawie małżeństwa, tylko zostając przyjaciółmi. Co pani o tym sądzi, panno Pritchard?

- Chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi, panie Strangford.

- Skoro tak, może zaczniemy sobie mówić po imieniu.

- Doskonale, Cole.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

~ Juliano, witaj w mojej pracowni. To tu spędzam większość czasu, przy pracy nad różnymi wynalazkami ułatwiającymi życie w Shoreham Park Manor. A oto mój najnowszy wynalazek. - Podprowadził ją bliżej laboratoryjnego stołu.

- Czy to jest... - udała, że się zastanawia - ...urządzenie do oddychania pod wodą?

Nie krył zdumienia.

- Widziałas już kiedyś taki aparat?

- Nie, właściwie nie - odparła ze śmiechem. - Twój wuj Gillie mi o nim powiedział.

- Co ci powiedział?

- Tylko tyle, że zamierzasz go użyć do oddychania pod wodą podczas nurkowania.

Potwierdził skinieniem.

- Powinien mi umożliwić pozostanie pod wodą co najmniej przez godzinę.

- Jak działa?

- Ten zbiornik jest wypełniony tlenem, a to małe metalowe pokrętko reguluje dopływ tlenu do hełmu. Ze zbiornikiem przypiętym do pleców, ubrany w hełm i resztę stroju do nurkowania, powinienem móc się swobodnie poruszać na większych głębokościach niż dotychczas.

Zamyśliła się, przygryzając dolną wargę. Nie podobało jej się to urządzenie. Dzięki niemu mógł z łatwością dotrzeć do niektórych wraków zamieszkiwanych przez ludzi morza.

- Skąd wzięłeś cylinder z tlenem?

- Z uniwersytetu w Edynburgu, w Szkocji. Oni tam też prowadzą badania związane z nurkowaniem. Często wymieniam uwagi z kilkoma tamtejszymi profesorami. Prawdę mówiąc, Królewskie Towarzystwo Oceanograficzne jest bardzo zainteresowane moim wynalazkiem, podobnie jak William James, mój konkurent. Pan James i ja pracujemy nad podobnym urządzeniem, a Królewska Marynarka zamierza zawrzeć kon-

trakt z tym, kto pierwszy stworzy niezawodnie działający aparat do oddychania pod wodą.

- Hm. - Pokiwała głową, przypomniałszy sobie, że jej brat wspominał o Williamie Jamesie, rywalu Cygana. - Rozumiem teraz, dlaczego jest pan tak bardzo zajęty dokończeniem swego wynalazku, panie Strangford.

- Mów mi Cole - przypomniał jej.

- Nigdy nie spotkałam człowieka, który lubi nurkować do dna oceanu. Od dawna nurkujesz?

- Od dzieciństwa. Zapuszczałem się do starych zatopionych statków w poszukiwaniu skarbów. Wiem z różnych źródeł, że głębiej są inne wraki, których nie mogę zbadać bez pomocy w oddychaniu. Chciałbym stworzyć coś, co pozwoli mi do nich dotrzeć.

Jakby od niechcienia przejechała palcem po zaworze, próbując obrócić pokrętko. Nawet nie drgnęło.

- Jakie skarby udało ci się wydobyć?

- Głównie monety, trochę porcelany i wyposażenia żeglarskiego. Kiedyś znalazłem kilka hiszpańskich dublonów. - Uniósł brew. - Proszę, nie dotykaj tego. Trudno to naprawić.

Cofnęła rękę od zaworu, przenosząc uwagę na hełm. Ten, kto go nosił, miał się zmienić w szklanoooką bestię. Niedbale przesunęła dłonią po szybie. Solidne szkło, pomyślała.

- Gdzie zwykle nurkujesz?

- Kiedy byłem młodszy, zapuszczałem się na rafy leżące niedaleko od Shoreham. Ostatnio spędziłem trochę czasu w Kornwalii. Kiedyś chciałem się też wybrać w rejon wysp Scilly. Tamtejsze rafy przywiodły niejednego statek do zguby.

Przytaknęła, pełna najgorszych obaw.

- Myślisz, że twoje miedziane płuca pozwolą ci się do nich dostać?

Oderwał wreszcie wzrok od swego wynalazku i przyjrzał się Julianie z uwagą.

~ Owszem. A ty? Korzystałaś kiedyś z kąpieli w morzu albo w jakimś innym miejscu?

Zawahała się przez moment, a następnie potrząsnęła głową. Jakby od niechcenia znów sięgnęła do pokręta.

- Moi rodzice uważali, że kostium kąpielowy nie jest odpowiednim strojem dla młodych panien, więc nigdy nie miałam okazji skorzystać z kąpieli w morzu.

- Obcowanie z wodą dobrze służy zdrowiu - zauważył.

- Nie mam ochoty taplać się w morzu, ciągnięta w dół przez namokłą wełnę i przytapiana przez fale.

- Przyznaję, że kostium kąpielowy, uznawany przez większość matron za odpowiedni, prędzej człowieka utopi, niż pozwoli mu zaznać uroków morskiej kąpieli. Ja na przykład nigdy nie noszę tych dziwacznych pasiastych strojów, jakich używają inni mężczyźni.

- Więc w czym pływasz?

- W spodniach. - Uśmiechając się pod nosem, dodał: - Albo w ogóle bez niczego.

Wciągnęła głęboko powietrze, ale nie pokazała po sobie skrępowania. Udało jej się nawet powiedzieć niedbałym tonem:

- Domyślam się, że raczej nie pokazujesz się na publicznych plażach. I nie bywasz aresztowany.

- Wchodzę do wody z plaży położonej tuż poniżej Shoreham Park Manor. Należy tylko do mnie. Gdybym mógł ci zaproponować ulepszony kostium kąpielowy, coś, co nie wciąga człowieka pod wodę, czy chciałabyś się nauczyć pływać?

Przełknęła z trudem.

- Raczej nie.

Po jego nagle pociemniałej twarzy poznała, że jest rozczarowany.

- Dlaczego nie? - spytał w końcu.

- Bo to nieprzyzwoite - wymyśliła na poczekaniu.

Spojrzenie Cole'a stało się badawcze.

- Zatem jesteś bardzo przyzwoitą młodą damą. Mam rację?

Znów się zawahała, jakiej kobiety pragnął na żonę? Takiej, która szczeni się swoją „przyzwoitością”, czy też osoby o bardziej żywiołowej naturze? Słyszała, że większość mężczyzn pragnie żony, która w dzień dba o nieskazitelną reputację, a w nocy daje się ponieść zmysłom, więc postanowiła być każdą po trochu. Mogła przecież spróbować przekonać się, jak on to przyjmie, i dostosować się według potrzeb.

- Oczywiście, że jestem bardzo przyzwoita, panie Strangford. Jak wszystkie dobrze wychowane młode damy. Muszę jednak przyznać, że czasami tęsknię za odrobiną nieprzyzwoitości w moim życiu. Wiem, to okropne, że mówię takie rzeczy, ale skoro mamy zostać przyjaciółmi, musimy sobie ufać, prawda?

- Oczywiście.

Odsunął się od stołu i spojrzał na nią takim wzrokiem, że niemal poczuła się naga.

- W takim razie czy teraz ty nie powinienesz mi się zwierzyć? - spytała.

- Czego chciałabyś się o mnie dowiedzieć, Juliano?

Zastanowiła się. O wiele rzeczy mogła go zapytać, wielu rzeczy chciała się dowiedzieć. Czy mu się podoba? Czy nadal rozważa możliwość poślubienia jej, czy tylko próbuje zadowolić swego stryja? I co tak naprawdę myśli o ludziach morza? Wszystkie te pytania wydawały jej się jednak zbyt niebezpieczne.

- Mam jedno pytanie, które nie daje mi spokoju - odezwała się niepewnie. - Jesteś pewien, że chcesz, bym je zadała?

- Absolutnie. Sama mówiłaś, że przyjaciele powinni mieć do siebie zaufanie, nie pamiętasz?

- No dobrze. Mam nadzieję, że odpowiesz mi szczerze.

- Obiecuję. Pytaj mnie, o co tylko chcesz, Juliano.

Zamilkła na chwilę, rozbawiona pełnym napięciem wyczekiwaniem Cole'a, po czym rzuciła szybko:

- Dlaczego byłeś usmolony sadzą, kiedy się poznaliśmy?
Wytrzeszczył oczy ze zdumienia; najwyraźniej czekał na trudniejsze pytanie. Roześmiał się głośno, pełną piersią.
- Naprawdę nie wiem, czego się po tobie spodziewać.
- Przybrała niewinną minę, zadowolona, że potwierdziły się jej przypuszczenia - Cole Strangford lubił kobiecą bystrość. Mogła to być jego słabość.
- No więc? Dlaczego miałaś sadzę na twarzy?
- To bardzo proste. Eksperyment, który właśnie przeprowadzałem, nie powiódł się i zbiornik z tlenem wybuchnął mi przed nosem. Stąd sadza.
- Wszystkich gości witasz w taki sposób?
- Och, widzę, że jesteś bardzo zasadniczą modą damą. Nie, w ten sposób witam tylko ważnych gości.
- Doceniła żart uśmiechem.
- Obiecałeś, że powiesz mi prawdę, Cole.
- Wzruszył szerokimi ramionami.
- Dobrze, powiem. Ale pozwól, że najpierw wytłumaczę ci coś innego. Szczerze mówiąc, nie zawsze bywam w nienaganym stanie. Jestem przede wszystkim wynalazcą, a dopiero potem dżentelmenem. Potrzebuję żony, która to zrozumie i nie będzie się czepiała każdej plamki na moim ubraniu. Dlatego postanowiłem ci się pokazać w takim stanie, żeby sprawdzić, czy sadza na mojej twarzy cię odstraszy. Zrozum, Juliano, nie chcę się z tobą żenić, jeśli zamierzasz ode mnie wymagać zawsze nienaganych manier.
- Wiele kobiet uważa dobre maniere za wyraz szacunku - stwierdziła nieco zaczepnie.
- Człowiek, który bezustannie ma się na baczności, żeby nie uchybić zasadom dobrego wychowania, nie może być sobą.
- Rozumiem twój punkt widzenia - przyznała. - Ale skoro jesteś po pierwsze wynalazcą, a dopiero po drugie dżentelmenem, gdzie na tej liście jest miejsce na męża? Przed wynalazcą czy po dżentelmenie? Powiedz prawdę, proszę.

- Nie będę cię zwodził... nie wiem, gdzie będzie pasowało. Nadal jesteś zainteresowana?
- Nie udzieliła odpowiedzi na to pytanie.
- Po co ci żona, Cole? Bo przecież nie szukasz towarzyszk.
- Potrzebuję potomka przed ukończeniem trzydziestu sześciu lat - odpowiedział wprost. - Teraz mam trzydzieści jeden. Pozostało mi pięć lat, droga Juliano, żeby spełnić wymogi dziedziczenia Shoreham Park Manor i uniknąć dalszych komplikacji.
- Lekki rumieniec zabarwił jej policzki.
- Rozumiem.
- A ty? Dlaczego chcesz wyjść za męża?
- Wszystkie młode kobiety chcą wyjść za męża.
- Dlaczego chcesz wyjść za mnie?
- Dlatego, że masz wszystkie walory kandydata na męża: majątek, prestiż i piękną starą posiadłość.
- Parsknął śmiechem.
- Prestiż? Ciekawe określenie. Ja bym to raczej nazwał złą sławą.
- Co masz na myśli?
- Chcesz powiedzieć, że nie słyszałaś o pechu prześladowającym rodzinę Strangfordów?
- Zastanowiła się, co powinna odpowiedzieć, i w końcu postanowiła być szczerą... na ile to możliwe.
- Słyszałam to i owo.
- To dobrze. Będzie nam obojgu łatwiej, jeśli się zgodzisz na ten układ, wiedząc o możliwych trudnościach. Jesteś przesądna, Juliano?
- Czasami - odparła wymijająco.
- Wierzysz w cygańskie czary?
- Wierzę, że cygańskie czarownice istniały naprawdę - przyznała, truchlejąc w środku.
- W dziejach mojej rodziny są pewne mroczne sprawy, które mogą cię zaniepokoić. Może słyszałaś, że pośród moich

przodków była czarownica. Rzeczywiście, to prawda. Owa czarownica o imieniu Ilona posiadała szczególną moc. Dzięki niej zmuszała ludzi, żeby się zachowywali według jej woli. Niektórzy twierdzą, że to ona jest odpowiedzialna za naszego wielkiego pecha.

- A jak wielki jest ten wasz pech?

Uśmiechnął się niewesoło.

- Wszystko, co może pójść źle, idzie źle. Letnie burze z piorunami zawsze wywołują jakiś pożar. Nasze konie kuleją częściej niż cudze. Mole dobierają się do naszej bielizny, mimo że wkładamy do szaf cedrowe szczapy. Mój zbiornik eksplodował, brudząc mi twarz sadzą.

- To są raczej irytujące drobiazgi, nie katastrofy.

- W większości tak. Jednakże los doświadcza nas częściej niż inne rodziny. Stanowczo za często. Dlatego muszę cię spytać jeszcze raz. Skoro wiesz o pechu prześladowającym rodzinę Strangfordów, dlaczego chcesz mnie poślubić? Jesteś atrakcyjną kobietą, Juliano. Z pewnością przede mną był już ktoś w twoim życiu.

- Niestety, w moim życiu istotnie był ktoś wyjątkowy... - Umyślnie zawiesiła głos, szykując się do wyrecytowania kolejnego fragmentu historii Pritchardów, którą przygotowała wraz z George'em i Woodami. Opowieść była zmyślona, ale nie było ryzyka, że to się wyda, ponieważ Pritchardowie nigdy by się do tego nie przyznali ani publicznie, ani prywatnie. Historia wprawdzie rzucała na Julianę nie najlepsze światło, lecz za to przekonująco wyjaśniała, dlaczego zgodziła się wyjść za króla pechowców. Juliana miała nadzieję, że nie odstraszy nią Strangforda ostatecznie. - To, co powiem, może ci się nie spodobać. Ale i tak ci powiem, bo masz prawo wiedzieć, a wolę, żebyś się dowiedział ode mnie niż od kogoś innego. - Przybrała zmartwioną minę. - Domyślasz się, co mam na myśli?

- Nie. - Był zaskoczony i jednocześnie zaciekawiony.

- Kiedy byłam znacznie młodsza, a dokładnie, kiedy miałam szesnaście lat, kilku najbogatszych młodzieńców z Buckland Village, którzy zostali oficerami w wojsku, powróciło z kontynentu. Dostali urlop z królewskiej kawalerii i bywali na licznych letnich przyjęciach wydawanych przez miejscowe rodziny.

- I...?

Opuściła nieco ramiona.

- Jeden z tych mężczyzn był wyjątkowo czarujący i poświęcał mi wiele uwagi. Wkrótce uwierzyłam, że jestem... w nim zakochana. Wiedząc, że od ukończenia dwudziestu pięciu lat będę dostawać od ojca tysiąc funtów rocznie, namówił mnie, żebym z nim uciekła do Gretna Green. Mój ojciec złapał nas, nim zdążyliśmy się pobrać, ale niestety, cała ta eskapada poważnie nadszarpnęła moją reputację.

- Bardzo mi przykro - mruknął Cole.

- Byłam bardzo młoda i głupia. Mam nadzieję, że nie zraziłam cię tym wyznaniem.

- Mimo to nadal tęknisz za nieprzyzwoitością - zauważył, przywołując echo jej wcześniejszych słów.

- Owszem, ale doświadczenie z młodym oficerem ostudziło moje uczucia. Teraz rozumiem, że miłość może prowadzić jedynie do kłopotów. Dlatego wolę małżeństwo z rozsądku, w którym wszystkie wzajemne oczekiwania są uzgodnione zawnazasu. Ponadto wiem, że nasz związek uszczęśliwi mego ojca, a sprawiłam mu dość zmartwień, więc teraz jego szczęście musi być dla mnie najważniejsze. Więc dlaczego nie miałabym wyjść za ciebie?

Cole pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Cóż, to była owocna rozmowa. Teraz oboje wiemy, na czym stoimy. Jestem zadowolony, Juliano.

Westchnęła z ulgą. Zatem spokojnie przyjął do wiadomości, że jej reputacja może być odrobinę nadwerżona. Uznała, że nie mogło pójść lepiej.

- Milo mi to słyszeć.

Wyprostował się sprężyście, szerokim gestem wskazując na sprzęty zalegające pomieszczenie.

- Chyba powinienem cię oprowadzić, tak jak obiecywałem, zanim stryj wezwie nas na kolację.

Juliana znów ukradkiem zerknęła na aparat do oddychania pod wodą. Zastanawiała się, czy w jakiś sposób mogłaby go zniszczyć, jako że myśli o Cole'u Strangfordzie, myszkującym wokół wysp Scilly w swym ekwipunku do nurkowania, wręcz ją przerażała. Może w nocy, kiedy się będzie wymykać do morza, wstąpi do laboratorium i zobaczy, co można by zrobić.

- Twój stryj bardzo się angażuje w prowadzenie domu - zauważyła. - Masz mało służby?

- Zatrudniam kucharkę, kilka pokojówek i lokai oraz kamerdynera. Stryj Gillie, ciotka Peshi i moja daleka kuzynka Zelda radzą sobie z całą resztą.

Juliana pokiwała głową, myśląc o tym, że pani Wood odgrywa właśnie swoją rolę jako Zeldy, podczas gdy George roztacza urok przed Lila Whitham. Miała wielką nadzieję, że George'owi się powiedzie.

- Czy mała liczba służących cię niepokoi? - spytał z troską Cole, odrywając jej myśli od brata.

- Nie. Nie pochwalam trzymania tłumu służących tylko po to, żeby zrobić wrażenie na sąsiadach. Jestem pewna, że zatrudniasz tyle osób, ile potrzebujesz. Nawiasem mówiąc, nie poznałam jeszcze twojej kuzynki Zeldy. Spotkam się z nią dziś przy kolacji?

- Niestety, nie. Zelda jest w odwiedzinach u przyjaciółki. Zamierza jednak wrócić, zanim zakończysz wizytę u nas, żeby cię poznać.

- Bardzo chętnie ją poznam.

- Możliwe, że już ją znasz. To właśnie ona powiedziała stryjowi, że twoja siostra jest odpowiednią kandydatką na moją

żonę. Jej znajoma, pani Howe, mieszka w Buckland Village i zna twoją siostrę.

- Buckland Village, powiadasz? - przerwała mu Juliana, zdjęta lodowatym dreszczem.

Przytaknęła.

- Wasz dom leży tuż za Buckland Village, prawda?

- Tak, rzeczywiście. - Żołądek zacisnął jej się w węzeł. - Co za zbieg okoliczności! Nie miałam pojęcia, że twoja rodzina ma jakieś związki z Buckland Village.

Przyjrzał jej się z troską.

- Zbladłaś. Dobrze się czujesz?

- Trochę mi słabo. - Przycisnęła dłoń do czoła. Pomieszczenie zawirowało jej przed oczyma. - Bardzo tu ciepło. Chyba powinnam wrócić do sypialni i się położyć.

Był poważnie zaniepokojony.

- Wybacz, że kazałem ci stać i gadałem bez umiaru, zamiast zaproponować ci krzesło. Sam cię odprowadzę do domu.

Juliana nie protestowała. Pragnęła jak najszybciej wrócić do swego pokoju i napisać list do brata, powiadamiając go, że na ich misternie sporządzonym planie pojawiła się gruba rysa. Jeśli ta pani Howe powie Zeldzie, że „Cole Strangford” odwiedził Lilę Whitham, oboje z George'em będą skończeni. Na szczęście prawdziwa Zeldy Strangford wyjechała i dopóki nie wróci, nie może odebrać żadnych listów od pani Howe. Tak czy inaczej, Juliana postanowiła opisać bratu istniejącą sytuację. Być ostrzeżonym znaczyło to samo, co być uzbrojonym.

Cole wziął ją pod rękę mocno, choć delikatnie zarazem, i przyciągnął do siebie. Mimo niepokoju, jego bliskość sprawiła jej przyjemność. Zaprowadził ją do domu, aż pod drzwi jej pokoju. Kiedy szedł obok niej, czuła w nozdrzach jego zapach, czysty i świeży, jednak zmartwienie nowo odkrytym zagrożeniem nie pozwoliło jej się skupić na niczym innym, więc kiedy się wreszcie od niej odsunął, odetchnęła z ulgą.

- Zejdiesz na kolację? - Wbił w nią przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu.

- Ależ tak - zapewniła, przekonana, że w godzinę upora się z listem. - Potrzebuję jedynie chwili odpoczynku. Gdzie i o której twoja rodzina zwykle zbiera się przed kolacją?

- Spotykamy się w salonie, mniej więcej za kwadrans szósta. Kiwnęła głową.

- No to do zobaczenia, Cole.

- Wypocznij dobrze. - Odwrócił się na pięcie i odszedł, ale zdążyła jeszcze się przyjrzeć jego szerokim ramionom i szczupłym biodrom.

5

Cole odłożył swój aparat do oddychania i wrócił do domu mniej więcej godzinę przed kolacją, żeby się przebrać w bardziej odpowiedni strój. Zwykle nie przejmował się specjalnie, w czym zasiada do posiłku, ale tego wieczoru chciał zrobić dobre wrażenie. Powiedział Julianie, że czasami potrzebuje zwolnienia od sztywnych reguł, kierujących zachowaniem dżentelmena. Teraz musiał jej pokazać, że potrafi być prawdziwym dżentelmenem, kiedy wymaga tego sytuacja, ponieważ podczas ich rozmowy w laboratorium uznał, że panna Pritchard mogłaby być pożądanym dodatkiem do jego domu, a miał obawy, że zaprezentował jej się mało poch'ebnie.

Stając przed lustrem w swojej sypialni, zawiązał krawat w prosty, elegancki węzeł, który uważał za najodpowiedniejszy na uroczyste okazje, a potem włożył na siebie surdut z najlepszej czarnej wełny.

- Doskonale, Cole - rozległ się za jego plecami nieco zdziwaczały starczy głos. - Dziś wieczorem z pewnością ci się nie oprze.

Cole odwrócił się gwałtownie.

- Proszę cię, zamknij drzwi, stryju Gillie. Z tamtej strony. Gillie, chichocząc, wszedł do sypialni bratanka i usadowił się na krześle.

- No i co sądzisz o naszej ślicznej pannie Pritchard? -
Obrzucił uważnym spojrzeniem wieczorowy strój Cole'a. -
Najwyraźniej już się do niej przekonałeś.

- Zawsze musisz się pchać tam, gdzie cię nie chcą?

Gillie znów się zaśmiał.

- Przyznaj się. Ona ci się podoba.

- Trudno odmówić jej pewnego uroku - powiedział Cole,
odwracając się od lustra.

- Ona jest piękna, Cole, masz cholerne szczęście, że jest
skłonna za ciebie wyjść.

Cole wzruszył ramionami.

- Jest mądra i dowcipna. Potrafi mnie zaskoczyć i to mi się
w niej podoba bardziej niż cokolwiek innego.

Gillie pokiwał głową.

- Skoro tak twierdzisz... chociaż piękny uśmiech też robi
swoje, w mojej opinii.

- Za bardzo mi się narzucasz ze swoją opinią - sarknął
Cole. - W ogóle za bardzo się angażujesz. Tyją tu sprowadziłeś.
Teraz pozwól, że ja wezmę sprawę w swoje ręce i sam będę
się o nią starał.

- O, więc już się o nią starasz, co? Jakże się cieszę!

- Staram się, bo jest obiecująca. Jednak jeśli będziesz mnie
poganiał, mogę się zniechęcić i odeśle was oboje do wszystkich
diabłów. Co sobie myślałeś, przyprowadzając ją do mojego
laboratorium? Wiesz, że nie lubię, kiedy kobieta wtrąca się do
mojej pracy.

Gillie pogroził mu palcem.

- Przyprowadziłem ją do twojego wiatraka, bo staram się
stworzyć między wami odpowiedni kontakt. Spędzasz przy
pracy mnóstwo czasu, a ponieważ powinniście być razem,
będzie musiała się przyzwyczaić do twojego laboratorium.

- To się dopiero zobaczy.

Staruszek porzucił oskarżycielski ton, bo górę w nim wzięła
ciekawość.

- Dogadaliście się jakoś, kiedy odszedłem?

- Długo rozmawialiśmy. O różnych rzeczach, nie wyłączając
moich wynalazków.

- Chcesz powiedzieć, że ją wypytywałeś...

- Nie, rozmawialiśmy - sprostował Cole z naciskiem. -
Okazała zainteresowanie moją pracą. Może nawet była trochę
zbyt ciekawa. Ciągłe dotykała pokrętła zaworu na zbiorniku
z tlenem. Bałem się, że może go uszkodzić.

- Powiedziałeś, że lubisz mądrość. Trzeba przyjąć nie tylko
blaski, ale i cienie. Wolałbyś, żeby była tępa jak kołek i nie
okazywała najmniejszego zainteresowania dla twojej pracy?

- Jesteś zręcznym starym kogutem.

- A ty zarozumiałym smarkaczem - odciął się Gillie. -
Zatem jest mądra. Czego jeszcze się o niej dowiedziałeś?

- Nie lubi morza i nigdy się nie nauczyła pływać. Jej ojciec
uważał, że kostium kąpielowy jest nieprzyzwoity.

- Ojciec gorliwie chronił jej reputację. Uważam to za plus.

- A ja jestem rozczarowany. - Cole przypiął łańcuszek
zegarka do kieszeni kamizelki. - Wiesz, jak bardzo kocham
morze. Chciałbym dzielić to upodobanie z moją żoną.

- Cóż, nie można mieć wszystkiego. Chyba lepsza skromna
żona niż jakaś diablica?

- Kiedyś już zdarzyło jej się być diablica - wyznał Cole. -
Uciekła do Gretna Green z oficerem kawalerii, tuż po swoich
szesnastych urodzinach. Rodzice złapali ją, zanim zdążyła
spędzić z nim noc i całkowicie się zatracić, a potem starali się
zatuszować ten incydent, mimo to wystarczająco dużo wyszło
na jaw, by osłabić jej pozycję na małżeńskim rynku.

Gillie pokiwał głową ze smutkiem.

- To wszystko wyjaśnia. Nic innego by jej nie skłoniło do
zgody na małżeństwo z tobą.

- Mam wrażenie, że obawiała się, jak przyjmę wiadomość
o jej przeszłości - dodał Cole, opierając się o półkę nad
kominkiem. - Szczerze mówiąc, w ogóle się tym nie przejmuję.

Wiesz, jak nie znoszę dzierlatek, które wymagają, by mężczyzna pisał dla nich miłosne sonety i uganiał się jak głupiec na białym koniu, odziany w zbroję. Juliana poznała smak miłości i straty i wyciągnęła wnioski z tej lekcji życia. Pragnie małżeństwa z rozsądku.

- Wygląda na to, że ma właściwe nastawienie - zauważył Gillie.

- Patrząc z tej perspektywy, jest doskonałą kandydatką, beznamietną i praktyczną - zgodził się z nim Cole i natychmiast sobie uświadomił, że to odkrycie wcale go nie ucieszyło. Raczej wytrąciło z równowagi. I choć to poczucie stało w sprzeczności ze wszystkimi jego wcześniejszymi poglądami na małżeństwo oraz tym, co mówił do Gilliego, czuł się tak, a nie inaczej.

- Cieszy się dobrym zdrowiem - ni to stwierdził, ni spytał Gillie, wykonując nieokreślony gest.

- Tego akurat nie jestem pewien - powiedział Cole, przywołując w pamięci zakończenie wizyty w wiatraku. - O mały nie zemdląca od gorąca przy zbiorniku z ciepłą wodą. Musiałem ją odprowadzić do jej pokoju, żeby odpoczęła.

Staruszek poderwał się z krzesła.

- Dobry Boże, człowieku, czemu mi nie powiedziałeś, że panna Pritchard jest chora? Posłałbym natychmiast po doktora.

Cole usadził go z powrotem ruchem ręki.

- Spokojnie, stryжку Gillie. Nie powiedziałem, że jest chora, powiedziałem, że od gorąca zrobiło jej się słabo. Jestem pewien, że do tej pory wydobrzała. Jednakże zastanawiam się, co będzie, kiedy nastaną letnie upały. Będzie mdlała w środku przyjęcia?

- Może zabrałbyś ją parę razy na tańce do miasta i zobaczył, co się stanie? - zasugerował Gillie. - Mógłbyś ją też wziąć do Shoreham na przedstawienie teatralne i przyjęcie dobroczynne, urządzone przez zarząd sierocińca. Spotkałaby tam najbardziej wpływowych mieszkańców naszego miasta.

Cole wolno pokiwał głową.

- To przyjęcie to doskonały pomysł. Spytam ją, czy miałaby ochotę się wybrać, jeszcze dziś wieczorem, jak tylko jej wyjaśnię tradycję obrzędu wstępnego.

Popatrzyli na siebie w milczeniu. Gillie poruszył się niespokojnie na krześle, a i Cole poczuł się nieswojo. Obrzęd wstępny był umowną nazwą próby morskiej wody, podczas której wszystkie kandydatki na żony stawały po kostki w wodzie, by dowieść, że są istotami ludzkimi. W przeszłości kobiety, które były poddawane tej próbie, uznawały ją zwykle za oryginalną i romantyczną i nigdy żadna z nich nie okazała się jedną z ludzi morza. Cole miał nadzieję, że Juliana Pritchard nie będzie pierwszą.

Na myśl o ludziach morza poczuł się dziwnie ociężały. Opuściwszy miejsce przy kominku, podszedł do okna, z którego rozciągał się szeroki widok na ocean.

Gillie również spojrział w stronę okna.

- Spędziliśmy razem trochę czasu i rozmawiałem z nią otwarcie. Sądziś, że mamy się czego obawiać w związku z obrzędem wstępnym?

- Pytasz, czy według mnie jest jedną z ludzi morza?

- A jest?

- Gdybym tak uważał, nie gościłbym jej w swoim domu. Chociaż zawsze istnieje ryzyko, że może ukrywać swą prawdziwą tożsamość, nie rozumiem, co miałaby przez to zyskać. Jako jedna z ludzi morza z pewnością wiedziałaby o tym obrzędzie, tak jak musiałyby wiedzieć, że zostanie zdemaszkowana.

- Jest zbyt miła i delikatna, żeby być jedną z tych zimnokrwistych ryb - stwierdził Gillie z przekonaniem.

- Ryzyko, że jest jedną z nich, jest według mnie minimalne - zawtórował mu Cole.

Mimo to czuł się nieswojo.

Gillie zerknął na zegarek, który Cole trzymał przy łóżku.

- Jest prawie w pół do szóstej. Powinniśmy pójść do salonu i czekać na pannę Pritchard.

Cole przyjrzał się krytycznie ubraniu wuja. Staruszek nadal miał na sobie ten sam surdut co rano, tyle że teraz pokryty warstwą kurzu.

- Po tym jak wiecznie mnie strofowałeś za niedbały wygląd, masz czelność zasiać do kolacji w takim stroju?

- Nie zasiać do kolacji... z wami. Pasha, pan Pritchard i ja posilimy się w jadalni. Juliana będzie twoim jedynym towarzysztwem, poza Williamem.

Cole spojrział na wuja spod zmrużonych powiek. Zdawało mu się, że widzi w oczach Gilliego podejrzanę błyski.

- Gdzie mamy jeść tę kolację?

- Ty i Juliana będziecie mieć coś w rodzaju *le dejeuner sur l'herbe*...

- Śniadanie na trawie? Czyś ty zwariował, wuju?

- Jest zachwycona naszym urwistym brzegiem - bronił się Gillie. - Powiedziała mi to, kiedy szliśmy do wiatraka. Zarządziłem więc piknik na łące, niedaleko brzegu. Nie mogłbym znaleźć lepszego miejsca na nasz pierwszy wspólny posiłek.

Cole popadł w zadumę.

- Może nie łączy was miłość do morza, ale przecież macie ze sobą coś wspólnego, prawda? - Gillie posłał mu wymowne spojrzenie.

- Być może.

- Oczywiście, że tak. Podoba jej się otwarta przestrzeń wybrzeża i piękny widok na wodę... zupełnie tak samo jak tobie.

- Jest jedna ważna rzecz, którą musisz wiedzieć, stryju. Chociaż doceniam twoje starania, żeby pomóc mi zachować posiadłość, kiedy już dopełnimy obrzędu wstępnego i przekonamy się, że panna Pritchard nie należy do ludzi morza, proszę, byś zakończył rolę swata i pozwolił mi samodzielnie stworzyć ten związek.

Staruszek podniósł się szybko z krzesła.

- Chyba powinienem już pójść.

- Stryjku Gillie, bardzo cię proszę, żebyś się przestał wtrącać. Kierując się ku drzwiom, Gillie mrugnął wesoło do bratanka.

- Miłej kolacji.

Cole z westchnieniem patrzył na sylwetkę stryja znikającą za progiem. Gillie najwyraźniej postanowił za wszelką cenę go ożenić i nic go nie zdoła powstrzymać przed osiągnięciem celu. Bóg jeden wie, jakich machinacji był skłonny się dopuścić, żeby doprowadzić do jego zaręczyn z Julianą.

Cole z rezygnacją pokiwał głową. Stryj Gillie potrafił być uparty. Nie należało jednak zapominać, że wszystkie zabiegi Gilliego brały się z chęci pomocy. A jego pomysłowość była doprawdy godna podziwu. Właściwie powinien spróbować swoich sił w wiatracznym laboratorium, bo kto wie, co mogłoby wymyślić... Cole uśmiechnął się; ciepłe uczucia wobec stryja stłumiły wcześniejszą złość. W młodości Gillie był dla niego jak drugi ojciec, zawsze gotów służyć radą i przybywać z odsieczą, kiedy bratanek wpędził się w jakieś tarapaty. Cole czuł, że wypełnia pustkę w życiu Gilliego, ponieważ ten nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci. Ostatnio stali się dobrymi przyjaciółmi, którzy znają nawzajem wszystkie swoje mocne i słabe strony.

Już w lepszym nastroju, Cole po raz ostatni spojrział na swoje odbicie w lustrze i zadowolony, wyszedł z sypialni. Zaraz potem stanął w drzwiach salonu, na którego ścianach, wybitych zielonym adamaszkiem, osiadał pomarańczowy blask zmierzchu. Natychmiast skierował wzrok w stronę okna, za którym rozciągała się oszałamiająca panorama urwistego brzegu i morza. Tylko że tym razem Cole nie był zainteresowany widokiem krajobrazu, lecz piękną kobietą, której sylwetka rysowała się na jego tle.

Stojąc bokiem do okna, wpatrywała się w morze z wyrazem tęsknoty na twarzy. W głowie Cole'a natrętnym echem odezwało się pytanie:

Czy Juliana należy do ludzi morza?

Znieruchomiał z głośno bijącym sercem, zastanawiając się, czy grozi mu z tej strony jakieś niebezpieczeństwo. Gorączkowo odtwarzał w myślach wszystko, co mówił mu o niej Gillie, i to, co ona sama mu powiedziała, ale nie mógł znaleźć niczego niepokojącego. Patrzył na jej delikatny profil i miękko zarysowane brwi. Wydawała mu się tak niewinna, że nie mógł uwierzyć, by była zdolna do oszustwa, nawet gdyby od tego miało zależeć jej życie.

Wyobrażał sobie niestworzone rzeczy. Skarcił się w duchu za głupotę.

Przecież jej tęskne spojrzenie na wodę mogło mieć zupełnie inne powody. Czyż sama mu nie wspomniała, że ojciec nie pozwolił jej zażywać morskich kąpiel? Może żałowała, że ojciec tak zdecydował? A gdyby zaproponował, że nauczy ją pływać, czyby się zgodziła? Z wielką przyjemnością patrzyłby na taką ślicznotkę jak Juliana Pritchard baraszkuje wśród fal...

Cicho wszedł do salonu. Nie zauważyła go, więc wykorzystał okazję, żeby jej się lepiej przyjrzeć. Dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę z tego, jaka jest piękna, ze ślicznie zarysowanymi łukami brwi i gęstwiną lśniących kasztanowych włosów. Miała na sobie długą do kostek suknię w kolorze morskiej wody, z obszernymi rękawami, ściągniętymi na przegubach aksamitną wstążką. Falbanka przy dekolcie tylko częściowo zakrywała kształtne piersi, które z pewnością idealnie pasowałyby do jego dłoni. Ostatnia myśl wzbudziła w nim falę gorąca.

Opuścił nieco wzrok, zauważając, że fałdy sukni wdzięcznie przylegają do krągłości poniżej talii, by rozszerzyć się u dołu obfitą falbaną, przywodzącą na myśl pianę na grzbiecie fali. Zgrabne pantofelki w kolorze kości słoniowej współgrały odcieniem z modnym fartuszkim ze starej koronki. Mimo tego dziewczczo skromnego stroju wyczuwał zmysłowość w jej ciele i ruchach, kiedy mimochodem wygładziła fałdy spódnicy, a potem przesunęła dłonią po włosach. W istocie otaczającą ją

aura niewinności jeszcze wzmagała jej powabność. Choć Cole wątpił, by mogła należeć do ludzi morza, miała urok syreny, zdolnej rzucić mężczyznę na kolana jednym ruchem smukłej dłoni.

Nagle ogarnęła go ciekawość, czy podczas owej eskapady do Gretna Green z kawalerzystą straciła coś jeszcze poza reputacją. Który mężczyzna mógłby się oprzeć okazji skradnięcia takiej kobiecie pocałunku... jeśli nie czegoś więcej? Zaskoczony uczuciem zazdrości, o jaką nigdy by się nie podejrzewał, chrząknął i zaczął się zachowywać tak, jakby dopiero wszedł do salonu.

Odwrociła się gwałtownie; słońce padające od tyłu obrysowało jej sylwetkę złocistym blaskiem. Cole aż wstrzymał oddech, urzeczony cudownym widokiem. Ze wszystkich kobiet, z jakimi się spotykał przez ostatnie lata, żadna nie była taka młoda, piękna i godna pożądania jak Juliana. Była niczym złota moneta leżąca na dnie oceanu, przyciągająca oko swym blaskiem i obietnicą.

- Dobry wieczór, panie... och, Cole.

Podszedł do niej i uniósł jej dłoń do pocałunku, zatrzymując wargi tuż nad powierzchnią skóry, jak nakazywał obyczaj. A przecież miał ochotę dotknąć ustami jej nadgarstka i poczuć, jak puls jej przyspiesza.

- Wyglądasz na smutną, Juliano.

Z westchnieniem odwróciła się znów do okna.

- Morze jest takie piękne, nie sądzisz?

Podążył za jej wzrokiem.

- Dlaczego to cię smuci? Dlatego, że nigdy nie mogłaś się naprawdę nim cieszyć, nie zaznałaś pieszczoty fał?

- Nie jestem smutna, Cole. Po prostu myślę o tym, że jestem tak daleko od domu.

- Jesteś zaledwie o tydzień drogi od północnej Walii.

- Czasami tydzień wydaje się wiecznością.

Zmartwiło go, że Juliana tęskni za domem.

- Ale twój ojciec jest tu z tobą.
Rozpogodziła się nieco.

- To prawda.

- Czy to ci nie dodaje otuchy?

- Trochę - przyznała.

Zaskoczony, próbował odgadnąć, jaka tajemnica maści jej nastrój.

- Jest ktoś, kogo tam zostawiłaś, a wolałabyś go nie opuszczać? Na przykład jakiś oficer?

Zmarszczyła czoło, jakby nie mogła odgadnąć, o czym on mówi, a potem roześmiała się beztroskim, kobiecym śmiechem, od którego Cole'owi aż zakręciło się w głowie.

- Oczywiście, że nie. Nikogo nie zostawiłam.

Z uśmiechem wyciągnął do niej rękę.

- Wybacz mi niestosowną dociekliwość.

Podawała mu dłoń, kruchą, delikatną i ciepłą. Bił od niej miły zapach, kojarzący się z dzikim kwieciem. Cole napawał się nim, zastanawiając się, czy Juliana smakuje równie słodko, jak pachnie.

Uśmiechnęła się do niego, odsłaniając równe białe zęby.

- Pozwól, że zaprowadzę cię na kolację - rzekł cicho.

- Nie powinniśmy zaczekać na mojego ojca i resztę twojej rodziny?

- Oni nie idą z nami. Zostaną w jadalni.

- Będziemy sami?

- Chciałbym, żebyśmy byli sami - powiedział wciąż ściszym głosem, nie odrywając oczu od jej ślicznie wykrojonych paśowych ust. - Ale dobry obyczaj nakazuje obecność przyzwoitki. Mój kamerdyner William jest bardzo dyskretny.

Policzki jej pociemniały od rumieńca.

- Gdzie będziemy jeść kolację?

- Gillie przygotował dla nas coś specjalnego - powiedział z uśmiechem. - Chodź. - Nie czekając na odpowiedź, poprowadził ją do holu, a potem na zewnątrz, gdzie czekał na nich William.

Nie patrząc na Julianę i Cole'a, William wskazał nakryty stół, ustawiony nieopodal brzegu. Srebrna zastawa na białym obrusie błyszczała w promieniach zachodzącego słońca.

- Kolacja czeka - oznajmił uroczyście.

Juliana wpatrywała się w stół szeroko otwartymi oczyma.

- Doskonale, Williamie - pochwalił Cole, rozbawiony jej zaskoczeniem. Zauważywszy, że piersi falują jej miękko przy oddychaniu, w duchu przyznał, że Gillie miał rację, postanawiając ich ze sobą wyswatać. Teraz mógł się tylko modlić, żeby nie spadła na nich jakaś katastrofa i nie zniechęciła Juliany.

- Cole, to jest... cudowne - szepnęła.

- Cudowne dla nas obojga. - Wymijając Williama, poprowadził Julianę przez trawnik. - Stryj Gillie ma serce romantyka. Urządził wszystko tak, byśmy mogli być sami przy kolacji, za co jestem mu niewymownie wdzięczny.

- Jadąc do Shoreham Park Manor, próbowałam sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało nasze spotkanie. Zastanawiałam się, co zrobisz i czego się mogę spodziewać. Ale dzień ułożył się znacznie lepiej, niż oczekiwałam.

- Miałaś o mnie aż tak marne zdanie?

- Słyszałam o dwóch innych kobietach, które tu przybyły, żeby się przekonać, czy do siebie pasujecie. Słyszałam też, że wyniosły się stąd czym prędzej. Oczywiście zastanawiałam się dlaczego i podejrzewałam, że możesz się okazać kimś w rodzaju wilkołaka.

- Wilkołaka. - Uśmiechnął się. - I kiedy zobaczyłaś moją usmoloną twarz, pewnie utwierdziłaś się w swoich podejrzeniach.

- Przyznam, że byłam ciekawa, ale przekonałam się, że masz wiele innych... hm, ciekawych cech. Szybko doszłam do wniosku, że wcale nie jesteś wilkołakiem, tylko masz lekkiego bzika.

Uśmiechnął się szerzej.

- Jak mogłaś znaleźć we mnie ciekawe cechy po tak krótkim spotkaniu?

Rumieniec na jej policzkach znów przybrał ciemniejszy odcień.

- Cóż, wilkołaki są brzydkie, a tobie nie brak atrakcyjności.

Wiedział, że chciała być miła; ten trochę szorstki komplement wzruszył go do głębi.

- Dziękuję ci, Juliano. Jestem rad, że nie uważasz mnie za brzydkiego, zważywszy na to, że zastanawiamy się nad małżeństwem,

Opuściła skromnie długie rzęsy.

- Nie byłam pewna, czy w ogóle zechcesz mnie wziąć pod uwagę jako kandydatkę na żonę. Wydawałeś się taki... nieszczęśliwy, widząc mnie zamiast mojej siostry.

- Jestem zatwardziałym kawalerem - powiedział tonem usprawiedliwienia - a ty sprawiłaś mi niespodziankę. Pamiętasz, jak cię ostrzegałem, że moje maniery nie zawsze mogą się podobać?

- Owszem, pamiętam - przyznała.

- Jeśli wydają się oschły, to tylko dlatego, że od dawna w moim życiu nie było kobiety - tłumaczył, na oczekaniu wyrzuciwszy z pamięci romans z Charlotte Duquet. - Muszsz mi okazać cierpliwość.

- Będę cierpliwa, Cole. - Znienacka chwyciła go za rękę; gest był zupełnie nieoczekiwany i tak serdeczny, że miał ochotę przyciągnąć ją do siebie mocno.

Powstrzymawszy się jednak, zaprowadził ją do stołu i pomógł jej usiąść, a potem, z żalem puszczając jej dłoń, zajął miejsce naprzeciwko. Przez chwilę nic nie mówił, starając się zapamiętać tę chwilę jako pierwszą kolację z... być może przyszłą żoną. Ona także z niewiadomego powodu się nie odzywała, ale panujące między nimi milczenie nie ciążyło, raczej stanowiło miły przedsmak czekającego ich wieczoru.

Cole zauważył, że stół i krzesła, które Gillie kazał wynieść nad urwisko, zostały wybrane spośród najlepszych sprzętów, jakie posiadali Strangfordowie, podobnie zresztą jak kieliszki,

talerze i półmiski. Mieniające się czerwonawym blaskiem w zachodzącym słońcu talerze i salaterki były spadkiem po prapradziadku i od wielu lat stały nieruszone w oszklonym kredensie w jadalni. Ktoś ustawił na stole wielką misę czereśni, a kompotierki wypełnił truskawkami, mnożąc akcenty czerwieni... koloru pożądanego, pasji i śmiałości.

Uświadomiwszy to sobie, Cole stłumił uśmiech i spojrzął na dzbanek, stojący pośrodku stołu. Ułożone w nim starannie czerwone szelężniki i róże roztaczały w powietrzu mocny zapach. Słownawy powiew od morza dodawał mu świeżości i kojarzył się Cole'owi z Juliana. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego kiedy o niej myślał, wyobrażał sobie morze. Popatrzył w dal, na horyzont zasnuty mgłą i uświadomił sobie, że to, co instynkt mówi mu o Julianie, jest równie mgliste i niejasne.

Tak czy inaczej, obrzęd wstępny miał rozwiać wszelkie jego wątpliwości.

Juliana wzięła do ręki nóż i przyglądała mu się z ciekawością. Miał misternie rzeźbiony trzonek z kości słoniowej, tak samo jak reszta srebrnych sztućców, należących do rodziny Strangfordów od pokoleń. William wypolerował także srebrne półmiski i wazy, używane tylko przy specjalnych okazjach, i również umieścił je na stole. Efekt był znakomity - tworzyły jednocześnie atmosferę luksusu i intymności. Cole domyślił się, że stryj próbuje zrobić na Julianie wrażenie rodzinnym bogactwem Strangfordów.

- Mogę zacząć podawać? - spytał William, pojawiając się jakby spod ziemi.

Cole spojrzął na Julianę.

- Jesteś głodna?

- Bardzo - przyznała ze zmysłową bezpośredniością.

Nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy.

Uśmiechnęła się do niego z rozbrajającą niewinnością.

Na moment świat przestał dla Cole'a istnieć, bo widział tylko Julianę, tylko ją słyszał, czuł tylko jej zapach. Zatracił

się w niej. Od nagiego pragnienia, by ją posiąść, aż zadrgały mu nozdrza.

- Sir? - William przypomniał o sobie dyskretnie.
- Cole potrząsnął głową, wracając do rzeczywistości.
- Tak, Williamie, możesz zaczynać.

Wciąż skupiając całą uwagę na Julianie, Cole próbował po kolei wszystkich potraw, które William nakładał mu na talerz - pasztetu z bązanta, kurczaka pieczonego w estragonie, sałatki ziemniaczanej. Juliana, jak przystało na damę, zadowolona się odrobiną kurczaka z sałatką, rezygnując z pasztetu. Ich spojrzenia od czasu do czasu się spotykały, lecz o dziwo, Cole nagle jakoś nie mógł znaleźć tematu do rozmowy, był zdolny jedynie wpatrywać się w jej usta i myśleć o tym, jakie są pełne i wilgotne.

Cisza przy stole przedłużała się, a Cole był coraz bardziej zakłopotany; parę razy próbował niezbyt zręcznie zagadywać o pogodzie, a Juliana ledwie mu odpowiadała, skupiona na zawartości talerza. W końcu zrozumiał, że to przez niego dziewczyna może się czuć nieswojo. Zachowywał się jak rozogniony samiec i ona to prawdopodobnie widziała. Nie jej wina, że miała ciało, na widok którego mężczyzna zaczyna się ślinić, oczy rozgrzewające mu krew aż do wrzenia i twarz, jaką pragnie widzieć u kochanki.

Musiał jakoś rozładować narastające między nimi napięcie, więc odłożywszy widelec, sięgnął do tacy z krojonymi warzywami po kawałek surowej marchewki. Trzymając ją w dwóch palcach, zanurzył w ziołowym sosie i zjadł, chrupiąc głośno. Wiedział, że takie zachowanie jest niestosowne podczas uroczystego posiłku i właśnie dlatego to zrobił. Chciał przerwać trwające między nimi zmysłowe milczenie, wzbudzając zaskoczenie, niechęć... cokolwiek.

Słyszając niespodziewany odgłos, Juliana podniosła oczy znad jedzenia. Uśmiechnęła się lekko. Wcale nie wyglądała na zaskoczoną. Idąc za jego wzorem, odłożyła widelec i wybrała

surowy ogórek. Patrząc Cole'owi w oczy, zanurzyła koniec ogórka w sosie i zaczęła jeść z widoczną przyjemnością. Skończywszy, oblizała palce, wyprzedzając go w ten sposób znacznie w niestosowności zachowania.

Zdusił w sobie jęk, starając się ze wszystkich sił nie pokazać, jak podzielał na niego ten gest, jak wzburzył mu krew.

Pośrodku stołu leżała paleta wybornych serów. Gdy Cole sięgnął po kawałek jednego z nich, William zbliżył się, by usłużyć, ale wstrzymał go prawie niewidoczny znak głowającego pana. Cole miał świadomość, że jeszcze chwila, a ulegnie cielesnym popędom. I było mu już prawie wszystko jedno. William, bystry człowiek, który często znajdował kilka dodatkowych suwerenów w miesięcznej pensji, skłonił się lekko i wycofał, znikając w cieniu drzewa. Tam usiadł, wyjął kawałek drewna i nóż, po czym zajął się wycinaniem, pozostawiając Cole'a i Julianę zaupenie samych.

Juliana zauważyła zniknięcie kamerdynera, ale nie skomentowała tego słowem. Gwarzyli sobie miło na różne błahe tematy. Brak sprzeciwu na odejście Williama zdumiał Cole'a i ucieszył zarazem. Wiedział, że jest winien jakieś usprawiedliwienie, lecz zamiast tego podsunął Julianie paletę z serami. Wzięła kawałek *port du salut* i zjadła powoli, popijając łykiem beaujolais, którego William nalał im obojgu, zanim się wycofał pod drzewo. Cole ponownie napełnił oba kieliszki. Potem znów rozmawiali, jedząc plastry serca, truskawki i czereśnie. Sok z owoców zabarwił jej usta żywą czerwienią.

Beztraska pogawędka wprowadziła ich oboje w lekki nastrój, choć Cole odczuwał napięcie, rosnące z każdą wspólnie spędzoną chwilą. Kiedy wreszcie zabrali się do ostatniego dania, szarlotki z bitą śmietaną, jego pożądanie stało się trudne do zniesienia. Rozejrzał się za Williamem i dostrzegł go leżącego pod drzewem z rękami założonymi pod głowę. Domyślił się, że kamerdyner uciął sobie drzemkę, więc z jego strony nie może liczyć na pomoc w ostudzeniu swych cielesnych apetytów.

Pozostawało mu jak najszybsze zakończenie kolacji, zanim ulegnie pokusie zrobienia czegoś, czego później będzie żałował.

Przedtem jednak musiał poruszyć temat obrzędu wstępnego.

- Juliano - rzekł pomiędzy kolejnymi kęsami szarlotki - wspomniałaś, że wiadomo ci o dwóch innych cygańskich damach, które przybyły do Shoreham Park Manor i wyjechały, nie zaręczwszy się ze mną. Czy słyszałaś też może o obrzędzie wstępnym Strangfordów?

Uniosła brwi.

- Nie. Nie sądzę, bym słyszała o czymś takim. Czy to jakaś cygańska tradycja, czy wasz rodzinny obyczaj?

- Ten obrzęd jest odprawiany przez Strangfordów od wielu pokoleń. Polega na tym, że zawiązujemy miłosny węzeł, stojąc w morzu, by się upewnić, czy nasze serca mogą na zawsze pozostać złączone.

- Dlaczego musimy stać w morzu?

- Strangfordowie mają silne związki z morzem - wyjaśnił. - Przed wiekami nasi włoscy przodkowie mieszkali na wybrzeżu niedaleko Genui i zbijali majątki na rybołówstwie. Kiedy ryb zaczęło brakować, przypłynęli do Anglii i osiedlili się na mieszkalnych łodziach wzdłuż brzegu. Staliśmy się Cyganami wędrującymi na łodziach i zarabiającymi na życie łowieniem ryb oraz wydobywaniem skarbów z zatopionych statków. Pewnego razu jeden z moich przodków wydobył ze starego wraku piękny klejnot, nazywany Morskim Opalem, który przyniósł mu wielkie szczęście. Jego fortuna rosła, aż stał się tak bogaty, by zamieszkać w Shoreham Park Manor.

- Pamiętam, że wspominałaś już o Morskim Opalu - wtrąciła.

Przytaknął kiwnięciem głowy.

- Jest odpowiedzialny za pecha rodziny Strangfordów. Kiedy klejnot został skradziony, a potem wrzucony do morza, rodzinę zaczął prześladować zły los. Od tamtej pory Strangfordowie próbowali znaleźć Morski Opal na mieliznach i rafach, w na-

dziei, że odnajdując go, położą kres nieustannym katastrofom prześladowającym rodzinę. Jednak do tej pory kamień nie został odnaleziony.

- Rzeczywiście macie głęboki związek z morzem.

- Obrzęd wstępny jest rodzajem hołdu, który składamy morzu, a przy okazji błogosławieństwem dla nowego związku.

- Cudowny pomysł. Jak daleko od brzegu będę musiała stać?

- Niezbyt daleko. Będę przy tobie.

- Nigdy nie nauczyłam się pływać - przypomniała mu. - Nie mogę wejść głębiej niż po kostki.

- Nie martw się, Juliano, obrzęd wstępny nie wymaga wchodzenia na głęboką wodę, chociaż kiedyś chciałbym cię nauczyć pływać, gdybyś mi pozwoliła...

- Cole, jest coś, o czym ci nie mówiłam - przerwała mu.

Zamilkł, zbity z tropu.

- No dobrze - odezwał się po chwili. - Powiedz mi to teraz.

- Jest jeszcze inny powód, dla którego nigdy nie kąpię się w morzu. Mój ojciec naprawdę uważa, że to nieprzyzwoite dla dobrze wychowanej młodej damy, ale przede wszystkim boi się morza, podobnie jak ja.

- Dlaczego?

- Kiedy byłam znacznie młodsza, pojechaliśmy po moją starszą siostrę do szkoły w Irlandii. W drodze powrotnej do domu zakoczył nas sztorm i statek wyrzucił się do góry dnem. Przez długie godziny Lila, mój ojciec i ja, uczeplieni drewnianej skrzynki, modliliśmy się o wybawienie. W końcu wyratował nas kuter rybacki, ale od tamtego czasu ojciec nie pozwala ani Liii, ani mnie wetknąć choćby palca do morza. - Przyłożyła dłoń do czoła. - Nawet dziś, kiedy o tym mówię, serce wali mi jak szalone.

Cole popatrzył na nią ze współczuciem i widząc ból w jej oczach, powiedział łagodnie:

- Rozumiem, jakie to musiało być dla ciebie okropne. Obiecuję dopilnować, byś weszła do wody nie głębiej niż po kostki.

- Dziękuję, Cole.

Dostrzegł wyraz cierpienia w jej mocno zaciśniętych ustach. Podniósł się zza stołu i wyciągnął rękę, starając się oderwać jej myśli od wypadku sprzed lat.

- Chodź ze mną, Miano.

Choć wargi jej drżały, jakby się miała rozpłakać, podała mu dłoń i pozwoliła się prowadzić. Ruszyli przez łąkę ku brzegowi, a potem przystanęli, żeby popatrzeć na morze. Cole nagle sobie uświadomił, że Juliana pewnie wcale nie chce patrzeć na bezmiar wody, więc delikatnie pociągnął ją za sobą w przeciwnym kierunku, do ogrodu znajdującego się na tyłach Shoreham Park Manor, który był przedmiotem starań i dumy ciotki Peshy.

Przez większą część wieczoru Cole sam sprawiał sobie tortury, rozmyślając o tym, jak bardzo Juliana go pociąga i jak cudownie byłoby pocałować jej poczerwieniałe od truskawek usta; Gdyby odgadła jego myśli, pewnie by natychmiast opuściła Shoreham Park Manor, bo niewątpliwie wolałaby poślubić dzentelmena niż lubieżnego samca.

Czuł do siebie odrazę, lecz mimo to przyciągnął Julianę bliżej, a ona wcale się nie opierała. Co więcej, nawet sama przysunęła się do niego nieco. Nie pomogło mu to bynajmniej w zachowaniu powściągliwości. Starając się nie zwracać uwagi na to, co z wysokości swego wzrostu mógł zobaczyć w jej dekolcie, przyjął nową taktykę rozmowy.

- Lubisz dzieci? - spytał, kiedy przechodzili obok rabaty zawciagu.

- Uwielbiam. - Ścisnęła jego dłoń odrobinę mocniej.

Serce zabiło mu szybciej, ale jego ręka nawet nie drgnęła.

- Masz dużo siostrzenic i siostrzeńców?

- Nie. Córka Liii była moją jedyną siostrzenicą. Zmarła, biedactwo, na gorączkę. Często jednak zajmuję się działalnością dobroczynną w Buckland Village i najbardziej lubię pracować z dziećmi.

- Przykro mi z powodu twojej siostrzenicy. Zbyt często choroby spadają na rodzinę, przynosząc niekończące się cierpienie. Masz ciotki i wujów?

- Tylko dwoje. Duże rodziny nigdy nie były zbyt popularne w Buckland House. Mniejsza liczba dzieci pozwala skupić więcej uwagi na tych synach i córkach, które już się ma.

- A ty? - naciskał. - Chciałabyś mieć dużą rodzinę czy małą?

- Chciałabym mieć przynajmniej czworo dzieci. - Zerknęła na niego spod rzęs. - Bardzo by mi się to podobało.

Odpowiedział jej uśmiechem.

- Miło mi to słyszeć, bo ja także chcę mieć kilku synów i kilka córek.

Zwolnili przy ławce ustawionej obok kępy lawendy. Wiatr kołysał drobnymi fioletowymi kwiatkami, unosząc w powietrze ich kojący zapach.

- Możemy usiąść, Cole?

- Oczywiście. - Usiadła, rozkładając w kolo fałdy spódnicy, a on zajął miejsce obok niej. Była tak blisko, że niemal czuł ciepło bijące od jej ciała. Od pożądania aż zakręciło mu się w głowie. Jednocześnie był na siebie zły, że w tak niewielkim stopniu panuje nad swoimi zmysłami. Bywał w towarzystwie innych pięknych kobiet, ale żadna dotąd aż tak na niego nie działała. W Julianie musiało być coś wyjątkowego, bo jeszcze nigdy wcześniej nie czuł się tak jak przy niej.

Może byli dla siebie przeznaczeni. Odpowiedź wydawała się zadziwiająco prosta, ale prawdopodobna.

- Chciałbym cię przedstawić kilku osobom w mieście - powiedział niespodziewanie drżącym głosem. - Tegoroczne przyjęcie dobroczynne na rzecz miejscowego sierocińca może być najlepszą okazją, żebyś poznała tutejszą elitę.

- Shoreham ma sierociniec?

- Przyjmujemy porzucone dzieci z całej południowej Anglii - zapewnił. - Jeśli zgodzisz się pójść ze mną, każę Williamowi zakupić bilety wstępu.

- Jak wygląda takie przyjęcie?
- Zwykle obejmuje kolację i występ teatralny, a odbywa się w domu któregoś z ochotników.

Obok ławki stał posąg amorka dźwigającego muszlę. Z muszli tryskała woda, tworząc fontannę; wilgotna mgiełka osiadała na żółtych różach rosnących wokół postumentu. Juliana pochyliła się, żeby lepiej obejrzeć kwiaty. Aż krzyknęła z zachwytu, porównując kropelki wody na płatkach do brylantów na żółtym jedwabiu. Pochylając się, na moment dotknęła czubkami piersi ręki Cole'a i to wystarczyło, by wyobraził sobie ją naga, tylko ze sznurem brylantów na szyi, kładącą się na żółtym jedwabiu...

- Chciałabyś pójść na to przyjęcie? - wyjąkał.

Dotknęła palcem różanego płatka, a potem podniosła na Cole'a szeroko otwarte oczy.

- Są takie miękkie.
- Chciałabyś pójść ze mną na to przyjęcie? - powtórzył, z trudem panując nad głosem.
- Oczywiście, że z tobą pójdę. Chyba nie ma lepszego sposobu na spędzenie wieczoru niż służenie dobroczynnemu celowi.

Prawie jej nie słyszał.

- Jeśli pójdziemy, będziesz się mogła przekonać, czy polubisz Shoreham i jego mieszkańców. A skoro lubisz dzieci, z pewnością będziesz się dobrze bawić na przedstawieniu teatralnym, bo sieroty tradycyjnie biorą udział w przygotowaniach i czasami miewają zdumiewające pomysły.

Położyła mu ciepłą dłoń na ramieniu.

- To brzmi cudownie. Bardzo bym chciała pójść.
- Więc pójdziesz?
- Oczywiście - powiedziała z uśmiechem. - Może nawet pomogę w przygotowaniach.
- Twoja propozycja jest bardzo wielkoduszna - ucieszył się. - Jestem pewien, że docenią twoją pomoc. Dziękuję ci, Juliano. Właściwie nie wiem, co powiedzieć.

Popatrzyła na niego ciepło i jakoś tak bezbronnie.

- Nie musisz nic mówić - szepnęła.

Cole wiedział, że ją pocałuje. Wszystkie powstrzymujące go dotąd bariery runęły na widok bezbronności w jej oczach. Resztki rozsądku mówiły mu, że prawie nie zna Juliany Pritchard, lecz Cole był już niewolnikiem żądz i rozsądek nie miał do niego dostępu. Przechylił głowę, by dotknąć ustami jej ust.

Zmrużyła oczy, jakby mu chciała zajrzeć w głąb duszy. Nagle uniosła dłoń i dwoma palcami przesunęła mu po policzku. Skóra załaskotała go pod jej dotykiem. Pochylił się, by zrobić to, czego pragnął od chwili, gdy zaczęła się kolacja.

Zamknęła oczy i kładąc mu ręce na karku, przyciągnęła go do siebie. Nim przywarł do jej ust, zdążył zauważyć z bliska, jakie są kształtne i pąsowe na tle porcelanowobiałej cery. Gdy wreszcie ich wargi się zetknęły, aż jęknął, taka była cudownie miękka. Przyszło mu do głowy, że w innych miejscach jest jeszcze bardziej miękka i jedwabista.

Z początku ich pocałunek był pełen wahania, niemal jak pytanie. Szybko jednak Cole poczuł, jak jej usta rozchylają się i równie szybko na to odpowiedział, używając języka, by w pełni jej posmakować. Z cichym westchnieniem objęła go w pasie, poddając się pieścizocie bez reszty. Cole natychmiast pojął, że Juliana należy do kobiet, które nie uważają cielesnego obcowania z mężczyzną za przykry małżeński obowiązek, lecz czerpią z niego radość.

Uznał, że smakuje tak samo cudownie jak pachnie, świeżo i słodko niczym polne kwiatki. Spijał tę słodycz, tak jak pszczoła spija nektar. Jęknęła cicho, przesuwając rękami po jego piersi i ramionach, a potem opuszczając je niżej, w okolice pasa. Przestraszył się, że może natrafić dłonią na dowód jego podniecenia, tak potężnego, że aż graniczyło z bólem. Jednak uniosła ręce, by wsunąć mu palce we włosy.

Szybkim ruchem objął ją i posadził sobie na kolanach. Na moment przerwał pocałunek, żeby się rozejrzeć po ogrodzie i sprawdzić, czy ktoś nie patrzy. Kiedy znów spojrzął jej w twarz, obserwowała go spod opuszczonych rzęs wzrokiem, w którym była jednocześnie nieśmiałość i zmysłowość. Znów położyła mu dłonie na piersi, a potem, po chwili wahania, wsunęła palce między guziki koszuli, żeby dotknąć gołej skóry.

Pocałował ją w czubek głowy, zachęcając do większej śmiałości.

- Nie bój się, Juliano - szepnął.

Wydała z siebie drżące westchnienie. Przytulona do niego bokiem, dotknęła policzkiem jego szyi. Skórę miała gładkają różany płatek. Słyszała jej oddech, a kiedy uniosła głowę, żeby mu spojrzeć w twarz, zobaczył, że usta ma nabrzmiałe od pocałunku.

Był bliski uwolnienia jej piersi z gorsetu. Wyobrażał sobie, jakie muszą być jedwabiste w dotyku, jak kusząco muszą wyglądać ich różowe czubki. Rozkoszną fantazję zakłócała jednak myśl o jej ojcu, tak skutecznie, że w końcu zmusiła go do opamiętania. Dysząc ciężko, łajał się w duchu za to, że sobie pozwolił na tak wiele. Gdyby posunął się jeszcze dalej, pan Pritchard niechybnie wzięłby go na muszkę pistoletu.

Kiedy więc Juliana pochyliła się, żeby znów go pocałować, odwrócił głowę.

- Nie, Juliano. Nie możemy. Jeszcze nie.

- Nie podobam ci się, Cole? - spytała, po omacku szukając ustami jego ust.

- Bardzo mi się podobasz - zapewnił. - Ale nie chcę cię zhańbić.

Jęknęła, z zalem odrywając się od niego. Popatrzyła mu w twarz złocistymi oczyma, które nagle jakby pociemniały i przybrały tajemniczy wyraz. Żrenice miała wielkie i czarne, drżała na całym ciele. Cole nie miał wątpliwości, że pragnęła go tak samo mocno jak on jej. Znowu bardzo chciał ją poca-

łować, lecz wiedział, że musi ją traktować z szacunkiem, na jaki w pełni zasługiwała.

- Nie uważam, żeby twój pocałunek by hańbiący - powiedziała zduszonym szeptem. Bezwiednie obracała w palcach guzik jego koszuli.

- Cóż, ale może prowadzić do hańby. - Zsunął ją z kolan. - Nie nauczyłaś się tego przy swoim oficerze kawalerii?

Przeszyła go ostrym spojrzeniem, wyraźnie zaskoczona porywczością jego tonu. Do licha, sam siebie zaskoczył tą gorzką uwagą. Nie rozumiał, że każda wzmianka o kawalerzyście bolała go niczym celny cios w żołądek.

- Mój oficer też raz mnie pocałował - przyznała, oblewając się rumieńcem. - Ale jego pocałunek nie był tak przyjemny jak twój.

Ujął jej twarz w dłoń.

- Ale poprzestał na pocałunku, tak? Nie okłamuj mnie. Nie chcę odkryć prawdy podczas naszej nocy poślubnej.

- Przez cały czas byłam z tobą szczerą. - Pogładziła go palcem po twarzy; niewinny gest natychmiast wzbudził w nim falę gorąca.

- Teraz ja będę z tobą szczerą - powiedział Cole. - Chyba jeszcze nigdy nie pocałowałem kobiety w pierwszym dniu znajomości. Przy tobie jednak po prostu nie mogłem się powstrzymać. Nie myśląc o konsekwencjach, uległem popędowi. Przepraszam za moje zachowanie i mam nadzieję, że nie będziesz o mnie źle myślała.

- Moje zachowanie wcale nie było lepsze - powiedziała cicho. Wpatrywała się w niego, szukając potwierdzenia. - Ale mnie także przyciąga do ciebie jakaś dziwna, nieodparta siła i choć potrafiłabym się oprzeć każdemu innemu mężczyźnie, już zanim cię pocałowałam, byłam prawie pewna, że będziesz moim mężem i nikt inny nigdy mnie nie pocałuje. I dlatego i poddałam się słabości.

Zdobył się na uśmiech, choć ciało z bólu niemal odmawiało mu posłuszeństwa.

- Powinniśmy wrócić do domu. Jesteś gotowa wziąć udział w obrzędzie wstępnym?

- Pod warunkiem, że nie każesz mi wchodzić do wody głębiej niż po kostki.

- Dobrze. - Wyciągnął rękę.

Pozwoliła, by ujął jej dłoń, i ruszyli z powrotem w stronę domu.

- Jak długo trwa ten obrzęd? - spytała.

- Bardzo szybko będzie po wszystkim - zapewnił ją z nadzieją, że próba morskiej wody nie zakończy ich kiełkującego związku.

Juliana mocno ścisnęła dłoń Cole'a, kiedy szli przez trawnik w kierunku Shoreham Park Manor. W głowie jej wirowało, była oszołomiona tym, co między nimi zaszło. Zamierzała poruszać się po cienkiej linii dzielącej niewinność od uwodzenia, miała go kusić i zaciekawiać, równocześnie nie dając żadnego powodu, by zwątpił, że jest bezbronną i naiwną młodszą siostrą Liii Whitham. Tymczasem kiedy ich usta się zetknęły, nastąpiło iskrzenie, które tak nią wstrząsnęło, że w jednej chwili zapomniała o swoich postanowieniach i planach, ogarnięta burzą namiętności.

Powiedziała sobie, że przecież może go pożądać... że to nawet wskazane, zważywszy na naturę jej misji. Mógł jej się podobać... i podobał się. Był zacnym, honorowym człowiekiem, oddanym swojej rodzinie, a w przyszłości bez wątpienia byłby dobrym mężem. Nie mogła jednak pozwolić, by sprawy zaszły za daleko. Gdyby się zakochała, mogłaby zaprzepaścić swą szansę, bo prędzej by wyjawiała prawdę, niż zdradziła ukochanego mężczyznę. To z kolei oznaczało fatalne skutki dla jej bliskich - byłiby skazani na wieczne przebywanie w morzu.

Rozprostowawszy ramiona, zaczęła głęboko oddychać, na tyle dyskretnie jednak, by Cole nie zauważył. Skupiła się przy tym na swoich zmysłach, żeby nieomylnie rozpoznawać zapach,

dotyk, smak oraz to, co słyszy i widzi, i móc w stosownym czasie wyłączyć każdy z tych zmysłów. Chcąc odwlec moment przeobrażenia, musiała być całkowicie świadoma każdej części swego ciała i wystarczająco skupiona, by powstrzymać zmiany dyktowane przez klątwę cygańskiej wiedźmy.

Weszli po schodach do głównego wejścia do domu, a potem przez hol do salonu, gdzie czekali na nich stryj Cole'a Gillie, jego ciotka Pesha oraz „ojciec” Miány. Cole z uśmiechem puścił jej rękę i wszyscy wdali się w rozmowę. Wszyscy, poza Julianą.

Po pewnym czasie pan Wood podszedł do Juliany i przyjrzał jej się badawczo. Ściszone głosem, żeby nikt nie mógł go podsłuchać, spytał:

- Czy wszystko idzie zgodnie z planem?
- Tak - odpowiedziała również szeptem.
- Jesteś gotowa do obrzędu wstępnego?

Przytaknęła skinieniem.

- To dobrze, bo jego rodzina zaczyna dostrzegać twoją zadumę.

Uwaga poczyniona przez pana Wooda zburzyła jej spokój; nagle zauważyła, że Gillie, Pesha i Cole zerkają w jej stronę z ciekawością i jakby troską.

- Zaczniemy ten obrzęd od razu - powiedziała, biorąc głęboki oddech. Nie chciała, żeby nabrali jakichkolwiek podejrzeń.

Pan Wood nie potrzebował dalszej zachęty. Obejmując Julianę po ojcowsku, odezwał się głośno do wszystkich obecnych w salonie:

- Rozumiem, że mamy wziąć udział w obrzędzie wstępnym. Może więc przystąpimy od razu do rzeczy, by potem móc się udać na spoczynek. Mamy za sobą długi dzień i moja córka jest zmęczona.

- Och, oczywiście, musisz być wyczerpana, moja droga! - wykrzyknęła Pesha, podchodząc drobnym kroczeniem do Juliany. - Że też wcześniej o tym nie pomyślałam.

Juliana uśmiechnęła się z przymusem.

- Mimo to nie mogę się doczekać tego romantycznego obrzędu. Cole objaśnił mi, na czym polega. Uważam, że to piękna tradycja.

Ciotka Pesha zwróciła się do swoich krewnych;

- Gillie, przynieś atrament. Cole, masz kawałek wstążki? Gillie pobiegł spełnić żądanie Peshy, a Cole wyciągnął z kieszeni czerwoną wstążkę.

- Doskonale. - Pesha wzięła wstążkę od Cole'a. - Cole, proszę, zawieź pannę Pritchard i jej ojca na plażę. Gillie i ja zaraz do was dołączymy.

Cole pokiwał głową, podając Julianie ramię. Pan Wood ujął ją pod drugą rękę i we troje wyszli z domu, a potem wsiedli do odkrytego powozu, czekającego na podjeździe. Juliana niewiele się odzywała, tylko tyle, by nie wzbudzić podejrzeń Cole'a; oszczędzała siły, niezbędne, by przejść próbę. Na szczęście pan Wood podtrzymywał rozmowę na tematy nie wymagające zastanowienia. Wjechali na drogę, wyraźnie rzadko używaną, i po paru minutach dotarli do plaży.

Pesha i Gillie przyjechali wkrótce po nich małą bryczką. Z pomocą Cole'a para starszusków wysiadła z pojazdu i wszyscy razem zbliżyli się do morza. Uważając, by nie zamoczyć pantofli, Juliana rozejrzała się wzdłuż brzegu, ale zobaczyła tylko piasek, skały i fale. Kiedy jednak, zadzierając głowę, popatrzyła na szczyt urwiska, dostrzegła skrzydła wiatraka; obracały się wolno, łapiąc wiatr, by go przetworzyć w energię.

- Cole, weź pannę Pritchard za rękę - ponagliła Pesha, a Cole usłuchał, zamykając dłoń Juliany w ciepłym, mocnym uścisku, który zupełnie rozproszył jej skupienie.

Juliana rozpaczliwie starała się okiełznać zmysły. Żołądek ze strachu podchodził jej do gardła. Właśnie tej chwili obawiała się najbardziej - od niej zależała przyszłość wszystkich ludzi morza. Musiała złamać cygańską klątwę, nie ulec przeobrażeniu, ale nie mogła tego zrobić bez całkowitego poświęcenia się

swej misji. Dopiero niedawno odkryła, że jeśli umysł coś postanowi, a postanowienie jest wystarczająco mocne, ciało staje się posłuszne.

Wiatr szarpał jej ubraniem, wyciągał kosmyki włosów z wężła na czubku głowy i chłostał nimi po policzkach. Oddychała powoli, nie zwracając na to uwagi, wpatrzona w Cole'a. Widziała tylko jego, lecz wcale o nim nie myślała.

Pesha wręczyła Gilliemu czerwoną wstążkę. Staruszek wcisnął ją do kieszeni, wziął za rękę Cole'a i Julianę, po czym podprowadził ich do miejsca, gdzie woda spotykała się z piaskiem. Juliana nie okazała nawet cienia lęku, kiedy pierwsze krople osiadły na jej pantofelkach. Zachowała spokój również, kiedy pantofle przemokły i woda zmoczyła jej stopy.

- Witamy was oboje na obrzędzie wstępnym - powiedział Gillie, nie odrywając od niej oczu.

Poczuła w stopach mrowienie. Starła się o nim nie myśleć, tak samo jak o dziwnym wewnętrznym dygocie, który miał się stawać tym gorszy, im dłużej będzie się opierała przeobrażeniu. Oczyma duszy widziała swoje bijące serce, płuca pompujące powietrze i krew przepływającą w żyłach. Musiała dopilnować, by wszystkie te życiowe czynności przebiegały niezmiennie, bez zakłóceń.

Gillie spojrzął na Cole'a.

- Tu, w obecności morza, które dało nam życie i zapewniło bogactwo, rozpoczynasz drogę do odkrycia, czy miłość może rozkwitnąć między tobą i panną Pritchard.

Cole skinął z powagą.

- Tu, w obecności ludzi, którzy staną się twoją nową rodziną, rozpoczynasz tę samą drogę - zwrócił się Gillie do Juliany.

Pokiwała głową, świadoma, że staruszek bacznie ją obserwuje. Znała powód jego dociekliwości — chciał zobaczyć, jak podziela na nią morska woda - ale starała się tym nie przejmować. Najważniejsze było teraz dla niej utrzymanie skupienia.

Gillie kazał im wejść głębiej w morze. Woda wlała jej się górą do pantofli, zamoczyła pończochy aż do łydek. Mrowienie w stopach wzmogło się, stopniowo sięgając kolan, a palce u nóg zdrętwiały. Dygot w środku narastał; czuła się jak ktoś, kto przez tydzień siedział na krześle bez ruchu. Łatwo sobie wyobrazić, że w takim przypadku potrzeba wstania, ucieczki, krzyku staje się w końcu silniejsza od woli przetrwania. Podobnie było z cygańską kłatwą. Nie mogła się bezustannie opierać przeobrażeniu w morską postać, bo w końcu by umarła. Miała nadzieję, że z pomocą bożą obrzęd nie potrwa aż tak długo.

Gillie puścił najpierw rękę Cole'a, potem Juliany.

- Żeby wam pomóc w tej drodze, stworzymy węzeł, który zwiąże wasze serca.

Staruszek wyjął z kieszeni wstążkę i rozwinął ją na dłoni. Następnie z powagą przyjął od Peshy pióro i podał je Cole'owi.

- Napisz, proszę, na tej wstążce swoje imię.

Cole zrobił, co mu kazano. Skończywszy, podał pióro Julianie.

Trzymając pióro, Juliana nieprzytomnym wzrokiem wpatrywała się we wstążkę. Mrowienie sięgało jej pasa, wewnętrzny niepokój wzbierał niczym krzyk w gardle. Wiedziała, że nie długo już wytrzyma, że jeszcze chwila, a owałdnie nią panika.

- Teraz pani kolej, panno Pritchard - ponaglił Gillie. - Proszę napisać swoje imię na wstążce.

Morska woda ochlapowała jej uda. Każda drobinka soli była jak maleńkie stworzenie próbujące wdrzeć jej się pod skórę.

- Nadchodzi fala przypływu - zauważył pan Wood. - Nie powinniśmy się cofnąć do brzegu? Jakiś zabłąkany prąd może wciągnąć moją córkę pod fale.

- Już prawie skończyliśmy, panie Pritchard - zapewnił Gillie. - Juliano, zechce pani napisać swoje imię?

Ze ściśniętym gardłem Juliana dotknęła piórem wstążki.

Gillie skrzywił się niezadowolony.

- Może powinna pani spróbować jeszcze raz, panno Pritchard. Trudno to odczytać.

- Moja córka i ja przeżyliśmy kiedyś katastrofę statku - odezwał się znów pan Wood. - Oboje mamy w związku z nią złe wspomnienia. Zmuszanie jej do stania pośród fal...

- Dajmy już spokój - poparł go Cole. - Nie będziemy wiecznie trzymać panny Pritchard w tej zimnej wodzie.

Gillie przyjrzał się bratankowi spod uniesionych brwi.

- Dobrze. Teraz przewiążę wstążką wasze nadgarstki, łącząc was na całą wieczność.

Juliana chwyciła Cole'a za prawą rękę. Nic przy tym nie powiedziała, nawet się nie uśmiechnęła. Nie była w stanie. Jeszcze nigdy tak bardzo nie cierpiała. Nie panowała nad oddechem, serce dziko waliło jej w piersi. Łzy płynęły jej po policzkach. Była bliska omdlenia.

Oczy Peshy także zaszklily się łzami; najwidoczniej starszuszka sądziła, że obrzęd mocno wzruszył Julianę.

- Kiedy słońce na niebo się wspina, jest przy mym boku luba dziewczyna, kiedy słońce położy się spać, ja przy mej lubej będę trwać - zaśpiewał Gillie, już z pogodniejszą miną, związując im ręce wstążką.

Juliana zachwiała się lekko na nogach.

Pan Wood podtrzymał ją, chwytając za ramię.

W momencie gdy Gillie skończył zawiązywać wstążkę, Cole stanął za Juliana i podparł ją własnym ciałem.

- Wiem, że jesteś przestraszona - szepnęła, wyprowadzając ją z wody. - Już po wszystkim.

Gillie i ciotka Peshy z uśmiechem pozwolili im się oddalić. Pan Wood kiwnął głową aprobowająco. Juliana wiedziała, że odniosła zwycięstwo, że rozproszyła ich obawy, iż jest jedną z ludzi morza, a najtrudniejsza część jej misji została spełniona. Ta świadomość jednak wcale nie umniejszyła jej cierpienia.

Cole rozwiązał wstążkę, gdy tylko stanęli na plaży. Juliana ścisnęła go za ramię, opierając się na nim całym ciężarem ciała.

- Przepraszam, Cole. Nie chciałam się zachowywać po dziecinnemu, ale wspomnienie tamtego strasznego wypadku wciąż mnie prześladowuje...

- Ciii... Nie przepraszaj. - Pomógł jej wsiąść do mniejszego z pojazdów stojących na ścieżce. - Masz za sobą trudny dzień. Odwiozę cię do domu.

Jego troska sprawiła, że łzy znów napłynęły jej do oczu, chociaż mrowienie i wewnętrzny niepokój nie były już tak dokuczliwe. Wydała z siebie pełne ulgi westchnienie, kiedy już dotarli do głównego wejścia Shoreham Park Manor. Wysiedli, Cole przekazał powóz Williamowi, po czym objął Julianę w pól i zaprowadził do gościnnej sypialni.

Czuła się w jego ramionach tak cudownie, że nie chciała, by ją puszczał i odchodził. Wiedziała jednak, że nie ma wyjścia, ponieważ zasady przyzwoitości nie pozostawiają mu wyboru. Puścił ją więc i kłaniając się lekko, powiedział:

- Dobrej nocy, Juliano.

Uśmiechnęła się, ocierając dłonią ostatnie ślady łez z policzków.

- Dziękuję ci, Cole. Za wszystko.

- Cała przyjemność po mojej stronie -zapewnił ją z łobuzerskim błyskiem w oku.

Zrobiło jej się ciepło wokół serca.

- Do jutra.

Nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wśliznęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi, pozostawiając go na zewnątrz. Wciąż roztrzęsiona po trudach dnia, oparła się o drzwi plecami, krzyżując ręce na piersi. Przepełniały ją różne, czasem sprzeczne ze sobą uczucia -radość, smutek, satysfakcja, oczekiwanie; miała świadomość, że coś zyskała, ale też coś straciła. Znalazła człowieka, który potrafił ożywić jej duszę w sposób, j akiego by się nigdy nie spodziewała. Straciła natomiast wiarę w swoją nieugiętą siłę, ponieważ uczucia, które do niego żywiła, osłabiały ją, kazały jej wątpić w słuszność wcześniej obranych celów.

Bezwiednie dotknęła palcami ust. Wciąż były nabrzmiałe od jego pocałunków.

Pomyślała, że ta misja może się okazać najprzyjemniejszym doświadczeniem jej życia.

Cole przejrzał papiery zaścielające biurko. Rachunki sprzedaży, kwity od miejscowych rzemieślników, listy wypłat dla służby... wszystko trzeba było wpisać do ksiąg rachunkowych. Nie był w stanie zasnąć, więc szedł na dół, do swego gabinetu, żeby wypełnić niewdzięczny obowiązek, którego tak nie cierpiał, że zawsze odkładał na potem. Powinien jednak przewidzieć, że rozmyślania o przyszłej żonie nie pozwolą mu się skupić na przychodach i wydatkach, tak samo jak nie pozwoliły mu spać.

Spojrzenie na stojący na biurku zegar upewniło go, że minęła północ.

Z westchnieniem jeszcze raz przerzucił papiery, a potem wstał i się przeciągnął. Skoro nie mógł spać i nie mógł pracować, co mu pozostawało? Plama księżycowego blasku na dywanie i wspomnienie ciepłej piaseczoty morza podczas obrzędu wstępnego przypomniały mu, że od dawna nie nurkował, wiecznie przesiadując w laboratorium przy pracy nad udoskonalaniem aparatu do oddychania pod wodą. Ocean z pewnością wyglądał pięknie tej nocy, przy pełni księżyca, więc dlaczego nie miałby pójść popływać? Przynajmniej by go to zmęczyło i być może pozwoliło zasnąć.

Zdecydowany, opuścił gabinet, wpadł do swojej sypialni po koc i wyszedł z domu. Spacer do plaży zabrał mu więcej czasu niż wcześniejszy przejazd powozem tą samą drogą. Nie przeszkadzało mu to, idąc, rozkoszował się zapachami, dźwiękami i bładą poświatą księżyca, od której wszystko wokół wydawało się srebrne. Ocean pomrukiwał monotonna, wiatr szeleścił w trawie rosnącej po obu stronach ścieżki, roznosząc czysty

aromat siana i pozostawiając na ustach i skórze drobinki soli. Nagle zrobiło mu się żal, że na wiele tygodni zaniechał radości, jaką dawało mu morze. W laboratorium było gorąco i nieznośnie duszno; Cole'owi przyszło do głowy, że może on sam także staje się nieznośny ze swym uporem, by stworzyć sprawnie działający aparat do nurkowania.

Pogrążony w zadumie dotarł do końca ścieżki i wszedł na piaszczystą plażę. Doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej ożeni się z Juliana, jeśli tylko ona go zechce. Może nie spełniała wszystkich wymagań, jakie kiedyś stawiał kandydatkom na żonę, ale przy niej czuł się lepiej niż przy każdej innej kobiecie, więc to musiało coś znaczyć.

Na samym skraju plaży ściągnął z siebie ubranie i ułożył je starannie na kamieniu, żeby się nie zamoczyło. Potem wszedł do morza, napawając się miękką piaseczotą wody na gołej skórze. Woda była zimna - na rękach i nogach wyskoczyła mu gęsia skórka - ale cudownie orzeźwiająca. Odetchnął głęboko, zadzierając głowę ku niebu. Drobne, prawie przezroczyste chmurki układały się w pierzaste aureole wokół księżyca i najjaśniejszych gwiazd. Widok go zachwycił.

Zanurzał się coraz głębiej, aż woda sięgnęła mu piersi. Wówczas stanął, odwrócił się i spojrzał na wiatrak stojący na brzegu. Skrzydła obracały się powoli, nieustannie. Z wnętrza wydobywało się ciepłe światło, w którym Cole dostrzegł poruszającą się sylwetkę.

William, pomyślał Cole. Sprząta po dniu pracy.

Kamerdyner był właściwie jedyną osobą, której obecność w laboratorium Cole był w stanie tolerować. William miał bystry umysł oraz wyczucie i niejedną raz dowiedział, że potrafi wprowadzić porządek w najgorszym bałaganie. Znienacka Cole się uśmiechnął, bo przyszła mu do głowy zabawna myśl: gdyby William był kobietą, mógłby się z nim ożenić.

Odwrócił się tyłem do wiatraka i brzegu, nurkując pod załamującą się falą. Grzywa piany przyjemnie obmyła mu ciało

i podążyła w swą nieodmienną drogę ku brzegowi. Przez kilka minut powtarzała zabawę z falami, gimnastykując w ten sposób wszystkie mięśnie. Czując miłe zmęczenie, położył się na plecach i pozwolił, by woda go niosła. Księżyc świecił mu w twarz, rozjaśniał powierzchnię wody srebrzystą poświatą. Leżał, nie zmieniając wygodnej pozycji, kiedy nagle usłyszał stłumiony plusk.

Natychmiast uniósł głowę. Plusk był na tyle mocny, że musiał pochodzić od dużej ryby lub delfina, chociaż te ostatnie zwykle nie podpływały tak blisko brzegu w tych stronach. Zaczął płynąć w pozycji stojącej, omiatając wzrokiem powierzchnię morza. Nagle dostrzegł zmarszczkę na powierzchni, jakby coś sporych rozmiarów przepływało tuż pod falami. Pomyślał, że to musi być delfin. Starał się nie poruszać zbyt gwałtownie, żeby go nie spłoszyć. Rozpierała go radość, że ma okazję widzieć tak rzadkiego gościa na wybrzeżu Shoreham.

W odległości kilku stóp od niego wzbierała wysoka fala; wiedział, że będzie musiał pod nią zanurkować, bo inaczej masa wody zwali mu się na głowę. Fala załamała się jednak przed nim, więc podskoczył, odbijając się od dna, równocześnie wypatrując delfina. Jednak to, co zobaczył, dosłownie zapało mu dech w piersiach.

To wcale nie był delfin.

To była kobieta.

Noc była zbyt ciemna, żeby dojrzeć rysy jej twarzy; widział tylko długie mokre włosy nieokreślonego koloru, spływające jej na ramiona i piersi, które lśniły blado w mroku. Zdażył jeszcze zobaczyć ciemne punkciki brodawek, gdy przetoczyła się po nim kolejna fala.

Oszołomiony i rozgrzany niespodziewanym widokiem zastanawiał się gorączkowo, czy to możliwe, by któraś z mieszkańek Shoreham przyszła nad morze nocą, żeby popływać. Pomysł od razu wydał mu się absurdalny. Kobiety po prostu nie pływały. Na ogół nie miały dość siły, żeby się zmagać

z falami, mając na sobie kostium kąpielowy, jakiego wymagały zasady przyzwoitości. A wchodząc do wody w jakimkolwiek innym stroju nie tylko narażały się na niebezpieczeństwo, ale też ryzykowały utratę dobrego imienia.

Następna myśl sprawiła, że przebiegł go lodowaty dreszcz. Czyżby napotkał jedną z istot zwanych ludźmi morza?

Zanurzył się aż po podbródek, tak że tylko głowa wystawała mu nad wodę i zaczął się rozglądać za tajemniczą pływaczką. Znow dostrzegł zmarszczkę w odległości paru metrów i uswiadomił sobie, że ta kobieta pozostaje pod wodą znacznie dłużej, niż byłaby w stanie każda normalna osoba. Zastygł w bezruchu, patrząc, jak podpływa do skały. Wyskakując z wody, odrzuciła do tyłu włosy, rozsiewając wokół deszcz migotliwych kropelek.

Cole'owi zaschło w gardle. Wpatrywał się w doskonałe krągłości jej piersi ze sterczącymi koniuszkami brodawek, w bujne włosy układające się falami wokół twarzy. Opuściwszy wzrok, zobaczył, że poniżej pępka jej skóra staje się ciemniejsza, szara, przypomina gładką skórę delfina.

Nagle wszystko stało się jasne.

W końcu trafił na jedną z tych pół ludzkich, pół morskich istot.

Zadrżał gwałtownie, choć wcale nie było mu zimno. Ta najbardziej męska część jego ciała ożyła, stała się twarda jak kamień. Cole przypomniał sobie opowieści stryja o niezwykłej urodzie morskich kobiet. Każda z nich była tak piękna, że mężczyzna tracił głowę na jej widok, nie był w stanie myśleć o niczym innym poza tym, by ją posiąść. Teraz Cole sam się przekonał, że to prawda. Była piękna, choć ułomna, nietykalna, lecz bezbronna, mityczna istota, którą pragnął posiąść, ale nie mógł schwytać. Jej urok go obezwładniał.

Chociaż w głębi duszy wiedział, że zachowuje się niemądrze, a nawet igra z niebezpieczeństwem, marzył o dotknięciu jej piersi, o zlizaniu soli z jej ust. Starając się czynić jak najmniej hałasu, zaczął płynąć w jej stronę. Nie był do końca pewien, czy mu się nie przyśniła.

Skapana w srebrzystym blasku chwyciła obiema rękami długie włosy i uniosła je w górę, przeciągając się ruchem tak zmysłowym, że Cole'owi aż brakło tchu.

Na moment znieruchomiła, a potem opuściła włosy, jednocześnie odwracając się w jego stronę.

On także przestał się poruszać.

Nagle zanurkowała pod fale. Cole widział na powierzchni wody zmarszczkę, przesuwaną się w jego kierunku. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Oddychając szybko, uświadomił sobie, że go przestraszyła. Próbował odpłynąć, ale ona była szybsza. Widział wystającą płetwę ogonową, kiedy się z nim zrównała. Płynęła tak przez chwilę, a potem zanurkowała i zniknęła mu z oczu na dobre.

Wtedy znów odezwała się w nim tęsknota, silniejsza od strachu. Zanurkował pod wodę, ale po tajemniczej zjawie nie było już śladu. Przez jakiś czas unosił się na falach z nadzieją, że może wróci, ale w końcu przemarzył do kości i postanowił płynąć do brzegu.

Z sercem wciąż bijącym mocniej niż zwykle dopłynął do plaży i wkładając ubranie, rozglądał się po wodzie, wypatrując jakiegoś znaku, który by świadczył o jej obecności. Ocean jednak pozostawał gładki jak szkło, poza falami przy brzegu. Cole wiedział, że to jedyne w życiu magiczne spotkanie na zawsze pozostawi w nim niedosyt. Z jednej strony miał poczucie, że zaprzepaścił niezwykłą szansę, z drugiej, że uniknął straszego losu. Miotany sprzecznymi uczuciami wszedł na ścieżkę wiodącą do Shoreham Park Manor.

Żeby dojść o swojej sypialni, musiał minąć drzwi pokoju gościnnego, w którym spała Juliana. Powodowany niewytłumaczalnym odruchem stanął przed jej drzwiami i położył dłoń na klamce.

Kiedy cofnął rękę, palce miał mokre.

Skamieniał.

Zrobiło mu się zimno w środku.

Próbował zrozumieć, co to może znaczyć.

Nie mogła być jedną z ludzi morza. Nie Juliana. Przecież nie zdołałaby wówczas przejść przez obrzęd wstępny. Jednakże musiał to wiedzieć na pewno. Zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę.

Drzwi otwarły się do środka.

Cole przestąpił próg i spojrzął na łóżko pod oknem. W świetle księżyca ujrzął Julianę w cienkiej bawełnianej koszuli, odkrytą koronkową kołdrą. Z zamkniętymi oczyma i włosami splecionymi w schludny warkocz wyglądała niewinnie jak nowo narodzone dziecko.

Wszedł głębiej do pokoju, zdecydowany dotknąć jej włosów, żeby się przekonać, czy są suche. Patrząc na nią, nie był w stanie odgadnąć, czy śpi, czy tylko udaje sen, ale kiedy się poruszyła, wydając ciche westchnienie, zawahał się. Wszystko wskazywało na to, że jest pogrążona we śnie - naturalna pozycja z rozłożonymi ramionami, równy głęboki oddech. A jeśli naprawdę spała, a on ją zbudził? Jak wytłumaczy swoją obecność w jej sypialni?

Cole potrząsnął głową. Nie należała do ludzi morza. To było niemożliwe.

Niezwykłe nocne przeżycia i wywołana nimi burza uczuć skłoniły go do nadmiernej podejrzliwości. Wzruszony niewinnym widokiem, wycofał się z sypialni Juliany i zamknął za sobą drzwi. Klamka mogła przecież być mokra od wilgoci w nocnym powietrzu. Albo Juliana brała kąpiel przed położeniem się do łóżka.

Przez chwilę stał przed zamkniętymi drzwiami, zastanawiając się, co powinien zrobić. Wreszcie z westchnieniem skierował się do swego gabinetu, by resztę nocy spędzić na rozmyślaniach o zmysłowej istocie spotkanej wśród fal.

Minął tydzień od przyjazdu George'a do Buckland House. Zachowując najwyższą ostrożność, spędzał dnie na wyn-

jdywaniu i wskazywaniu odmienności pomiędzy nim a Lilą Whitham. Co więcej, sama Lila dodała kilka punktów do tej listy. Mimo to, nie wiedzieć dlaczego, nie poprosiła go, by wyjechał. Tym bardziej zdumiewało go własne zadowolenie z faktu, że nie został odprawiony.

Teraz, siedząc z nią w cieplarni dobudowanej do domu jej ojca, musiał w duchu przyznać, że rozmowa z Lilą sprawia mu o wiele więcej przyjemności, niż powinna. Cieszył się z jej towarzystwa, przekonany, że dopóki nie pozwoli sobie poczuć do niej czegoś więcej niż podziw, będzie bezpieczny.

Na stole przed nimi stała srebrna zastawa do herbaty. Promienie zachodzącego słońca wpadały przez szyby osadzone w białych ramach z giętego metalu, rzucając nieregularne plamy światła na doniczkowe palmy i miniaturowe drzewka pomarańczowe, rosnące wokół w wielkiej obfitości, a w powietrzu unosił się delikatny kwiatowy aromat.

George'a niewiele jednak obchodziło otaczające go piękno. Całą uwagę skupił na piękności siedzącej obok niego. Mieli się napić herbaty, lecz jak zwykle pochłonęła ich rozmowa, tym razem dotycząca warunków życia w najbiedniejszych dzielnicach Londynu i możliwości ich poprawienia przy zastosowaniu właściwych rozwiązań prawnych.

- Mój zmarły mąż zasiadał w Izbie Gmin - powiedziała, a jej oczy, dotąd błyszczące ożywieniem, zasnuła nagle mgiełka wilgoci. - Zawsze tak bardzo interesował się poprawieniem losu tych, którzy mieli mniej szczęścia od nas. Zdołał dokonać w życiu wiele dobrego. Często o nim myślę. Doprawdy żałuję, że nie jestem do niego podobna.

George lekko dotknął jej dłoni. Próbował wymyślić jakąś niezgrabną uwagę, żeby przypadkiem nie spojrzała na niego łaskawiej, ale nie potrafił jej sprawić przykrości. Nie tym razem. Nie teraz.

- Jesteś piękna, Lilo, zarówno duchowo, jak i fizycznie. Żałuję, że nie jestem do ciebie podobny.

Rysy jej złagodniały. Odwróciła rękę tak, że ich dłonie zetknęły się wewnętrzną stroną, splótła palce z jego palcami.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, co cię sprowadziło do Buckland House - powiedziała cichym, miękkim głosem.

- Wiem. - Pokiwał głową.

- Przyjechałeś tu, żeby się przekonać, czy możliwe jest małżeństwo między nami.

- Owszem. - Ściskając jej dłoń, zmusił się, by powiedzieć: - Dzieli nas wiele różnic, prawda?

Uśmiechnęła się przelotnie.

- Rzeczywiście. Osobiście uważam różnice za interesujące.

- Ja także - wyrwało niu się, zanim zdążył pomyśleć.

- Muszę jednak być z tobą szczerą, Cole - dodała, już bez uśmiechu. - Mój mąż był ode mnie sporo starszy, ale go kochałam. Kiedy odszedł, byłam przekonana, że już nigdy nie będę taka jak kiedyś. A kiedy straciłam moją małą Sarę... jakby ktoś wyrwał mi serce z piersi. Nigdy nie przestanę jej opłakiwać. Kiedy umarła, przysięgałam sobie, że już nigdy nie będę kochać. Nigdy.

George pokiwał głową. Słyszał w jej głosie cierpienie i serce mu się ścisnęło. Miał ochotę utulić ją w ramionach. Zamiast tego powiedział:

- Rozumiem.

- Nie sądzę, żebyś rozumiał, Cole. Próbuję ci powiedzieć, że nigdy cię nie pokocham, niezależnie od tego, czy się pobierzemy, czy nie.

Patrzył jej w oczy, zielone i tajemnicze jak pierwotny las.

- Chcę cię uszczęśliwić - wyrzucił z siebie bez zastanowienia.

Natychmiast przeklął się w duchu za głupi, zupełnie niepotrzebny sentymentalizm. Co, u licha, w niego wstąpiło?

- Nie chcę szczęścia. Nie jestem już zdolna do miłości - powiedziała cicho. - Zamierzam się poświęcić Bogu. Tu nie-daleko jest klasztor, myślę, że mogłabym tam żyć wraz z innymi

kobietami, podobnymi do mnie. Zabawiam cię tu tylko dlatego, że obiecałam to mojemu ojcu. On w zamian za to złożył mi obietnicę, że jeśli nie będziemy do siebie pasować, pozwoli mi pójść do klasztoru.

- Dlaczego chcesz się poświęcić Bogu, który odebrał ci najbardziej ukochane osoby?

Oczy jej pociemniały.

- Nie będę osądzać bożej woli.

- Życie zakonne jest powołaniem - mruknął George. - Nie należy kwestionować czy utrudniać decyzji zostania księdzem, a wierzę, że kobiece pragnienie poświęcenia się Bogu jest tym samym... - Urwał, bo słowa, które miały być zachętą do zakonnego życia, nie chciały mu jakoś przejść przez gardło.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zamiast wyznać, że według niego zmarnuje sobie życie, bo jest stworzona do światła, miłości i szczęścia, patrzył na nią w milczeniu. Przed oczyma miał ich niedawny spacer przez łąkę, kiedy roześmiała się z czegoś, co powiedziała, tak zaraźliwie, że i on uśmieł się serdecznie. Poderwawszy się z miejsca uklęknął przy jej boku. A potem ujął w obie dłonie jej twarz i pocałował ją, powoli i namiętnie.

Lila odepchnęła go łagodnie, kładąc mu ręce na ramionach.

- Co ty robisz, Cole? - wyszeptła z szeroko otwartymi oczyma.

Nie odpowiedział. Przesunął dłońmi po jej plecach, objął ją w pasie, przygarnął do siebie i znów pocałował. Próbowała mu się wyrwać, ale jej na to nie pozwolił. Po chwili jej opór zaczął słabnąć, a potem odpowiedziała na pocałunek, rozchylając usta i ostrożnie, nieśmiało dotykając językiem jego języka. Serce zabiło mu triumfem i pożądaniem, bo potwierdziły się jego podejrzenia - choć zapewniała, że nigdy więcej nie pokocha, w głębi duszy tęskniła do śmiechu i miłości.

Nagle odepchnęła go tak mocno, że stracił równowagę i upadł plecami na podłogę.

- Na litość boską, co ty wyprawiasz? Przecież idę do klasztoru.

Tłumiąc uśmiech, podniósł się na nogi i wrócił na swoje poprzednie miejsce przy herbacianej zastawie.

- Przepraszam, jeśli zraniłem twoje uczucia, Lilo, ale chciałem sprawdzić, jak mocne jest twoje postanowienie poświęcenia się Bogu.

- Bardzo mocne - oświadczyła stanowczo. - Posunąłeś się za daleko.

- Myślę, że nie dość daleko - mruknął, rozpalony wewnętrznym żarem. Zdawał sobie sprawę, że po raz pierwszy naprawdę ją rozczłowił. Zastanawiał się, czy jeszcze kilka skradzionych pocałunków wystarczy, by zechciała odesłać „Cole'a Strangforda” tam, skąd przybył. Gdyby wciąż pozwalał sobie na takie śmiałe gesty, to czy w końcu, zważywszy na jej zbożne plany, nie powinna nabrać do niego odrazy?

Musiał spróbować, żeby się przekonać.

Juliana przesunęła się na siedzeniu bryczki, którą wiozł ją William, i spojrzała w lewo, na fale kołyszące się leniwie w oddali. Jechała na spotkanie przy herbacie z paniami z Shoreham, zasiadającymi w zarządzie miejscowego sierocińca. Postanowiła zaoferować swą pomoc w przygotowaniach do kolacji i przedstawienia teatralnego, które najwyraźniej było główną atrakcją corocznego przyjęcia dobroczynnego.

Pani Morris przysłała zaproszenie jakiś tydzień temu, a Juliana przyjęła je skwapliwie, ponieważ dostrzegła okazję, by nie tylko nawiązać znajomość z najbardziej wpływowymi kobietami w mieście, lecz także pokazać swe zaangażowanie w dobroczynność, które Cole musiał docenić u przyszłej żony. Ubrała się starannie, żeby zrobić jak najlepsze wrażenie; suknia z pięknego muślinu, ozdobionego różnymi pączkami, układała się miękkiemi falami sięgającymi u góry aż pod biust, a czepek zakrywał włosy. Obie części stroju przedstawiały się niezmiernie elegancko i nadawały Julianie wygląd osoby godnej najwyższego zaufania.

Zaciskając dłonie w rękawiczkach na torebce, myślała o czekającym ją spotkaniu i o tym, jak ułożyło się jej życie przez ostatnich kilka tygodni. Budziła się, zjadała owsiankę, wypijała kawę, zwiedzała posiadłość, piła herbatę, przegryzając jęcz-

miennymi placuszkami, przebierała się do kolacji, jadła wołowinę lub kurczaka, a później zasiadała w salonie. Wkrótce potem udawała się na spoczynek po leniwym dniu.

Zazwyczaj nie miała nic przeciwko rutynie - pozwalała umysłowi i ciału odpocząć. Jednakże tu, w Shoreham Park Manor, owa przewidywalność zdarzeń nie do końca jej odpowiadała. Chodziło o Cole'a. Tak jak ostrzegał, przez całe dnie nie wychylał nosa ze swojego laboratorium w wiatraku, a kiedy dołączał do niej przy kolacji, nie mieli okazji pobytu sam na sam, tak jak pierwszego wieczoru.

Czuła się rozczarowana.

Musiała przyznać, że po części sama była winna zaistniałej sytuacji. Kiedy Cole udał się do laboratorium następnego ranka po jej przyjeździe i odkrył, że jego aparat do nurkowania nie działa, doszedł do wniosku, że ktoś musiał go zniszczyć, a następnie spędził wiele godzin, próbując dokonać naprawy. Oczywiście to ona sama zepsuła aparat, chcąc powstrzymać Cole'a przed myśzkowaniem wokół wysp Scilly, ale nie liczyła się z tym, że próbując go naprawić, będzie ją zupełnie zaniebdywał.

Teraz miała przed sobą trudne zadanie odzyskania jego uwagi. Może gdyby się z nim wybrała popływać w oceanie, wreszcie by ją zauważył. Tak jak zauważył ją tamtej pierwszej nocy.

Skrzywiła się, odrzucając niepokojące wspomnienie.

Dobry Boże, miała szczęście, że nie udało mu się jej złapać. Od tamtej pory była znacznie ostrożniejsza podczas nocnych wypraw nad morze. Upewniała się, czy na pewno jest sama, choć w głębi duszy pragnęła towarzystwa Cole'a. Rumieniła się niezmiernie na myśl, że Cole widział ją naga, a na wspomnienie tego, co ujrzała, wymijając go pod falami, robiło jej się gorąco. On także był wówczas zupełnie nagi... i podniecony.

Postanowiła, że zaprosi go na długi wspólny spacer i sprawdzi, czy nie da się trochę przyspieszyć na drodze do ich małżeństwa.

Chwilę później William zatrzymał bryczkę przed ceglany miejskim domem i zsiadł z kozła, przerywając jej rozmyślenia. Rzeźby na elewacji oraz wielkie dębowe drzwi świadczyły o zamożności mieszkańców posesji. Pierwsze wrażenie nie zachwiało jej pewności siebie, jako że bogactwo nie szło w parze ze zdolnością do wykrywania kłamstw... a zamierzała ich nie szczędzić tym pocziwym kobietom. Mimo to czuła pewien niesmak, że znalazła się w sytuacji wymagającej takiego zachowania. Nie lubiła kłamać, a stanowczo zbyt często była do tego zmuszona. Pocięszała się, że tak naprawdę wina leży po stronie przodków Cole'a, bo przez nich stała się istotą, której nikt nie rozumie, a wielu prześladowuje.

William podszedł do drzwi i zastukał kołatką. Niemal natychmiast się otworzył i jakiś człowiek w granatowym uniformie gestem zaprosił ją do środka. Zostawiwszy Williama na zewnątrz, by udał się do wejścia dla służby, poszła za odźwiernym do holu.

- Dzień dobry, panienko - powiedział dźwięcznym głosem, przedstawiając się jako Childers, główny lokaj. - Pani musi być panną Pritchard. Pani Morris czeka na panią.

- Rzeczywiście, nazywam się Pritchard - potwierdziła.

- Pozwoli pani, że zaprowadzę ją do bawialni. Pani Morris zaraz do pani przyjdzie.

- Doskonale.

Z lekkim uciskiem w żołądku, mimo mocnego postanowienia, że pozostanie opanowana i pewna siebie, weszła do bawialni, gdzie aż zamigotało jej w oczach od wszechobecnego złota. Childers wycofał się, żeby sprowadzić swoją panią, więc miała trochę czasu na swobodne oględziny. W oknach wisiały niebieskie zasłony wykończone złotymi frędzlami, złoty adamaszek wyścielał kanapę i sofę. Pod jedną ścianą stała inkrustowana złotem szafka i palisandrowy stolik w kształcie półksiężyca, podczas gdy sąsiednią prawie w całości zajmował kominek

w klasycznym stylu z białego marmuru. Połączone lustra nad kominkiem i sofą potęgowały panującą w pokoju jasność.

Po chwili weszła pani Morris, a za nią dwie inne dobrze ubrane kobiety.

- Witam, panno Pritchard. Jestem pani Morris - przedstawiła się gospodyni, z siwymi włosami upiętymi w nienaturalnie wysoki kok na czubku głowy. Wskazując energicznie na swe towarzyszki, dodała: - A to pani Duquet i pani Hobbs.

Obie kobiety wymruczały coś w rodzaju powitania. Następnie pani Duquet, z ostentacją typową dla osoby o francuskich korzeniach, zmierzyła Julianę badawczym spojrzeniem, podczas gdy pani Hobbs, z ramionami jakby skurczonymi do środka, przyglądała jej się bez entuzjazmu.

- Bardzo dziękuję, że zaprosiły mnie panie na herbatę - powiedziała Juliana z uprzejmym dygnięciem. - Odkąd przyjechałam, zdążyłam już obejrzeć część waszego pięknego miasta i nie mogę się doczekać, by usłyszeć jego historię.

- A my nie możemy się doczekać, żeby lepiej panią poznać - zapewniła ją pani Morris z uprzejmym uśmiechem. - Pragnęliśmy spotkać się z damą, która podbiła serce pana Strangforda.

Juliana spłonęła rumieńcem.

- Może usiądziemy - zaproponowała gospodyni. Juliana wybrała krzesło z prostym oparciem, wyściełane niebieskim aksamitem. Pani Morris usiadła na sofie, a pani Hobbs przycupnęła na kanapie, krzyżując wąż ramiona na piersi. Pani Duquet natomiast rozciągnęła się na szezlongu, a jej niedbała - wręcz skandalicznie niedbała - poza miała podkreślać, że jest kobietą zawsze stawiającą na swoim, przyzwyczajoną zachowywać się niestosownie, gdy tylko ma ochotę, i oczekującą, że to zachowanie zostanie jej wybaczone, ponieważ jest piękna. Juliana od razu poczuła do niej niechęć.

Wkrótce potem służąca w szarej sukience i białym fartuszką z falbanką wniosła srebrną zastawę. Nalała dla każdej z pań

filiżankę herbaty i zdjęła pokrywki z naczyń zawierających śmietankę, konfitury i jęczmienne placuszki. Idąc za przykładem pani Morris, Juliana poczęstowała się placuszkiem, smarując go śmietanką i konfiturami. Nie była jednak w stanie przełknąć choćby kęsa, bo żołądek miała ściśnięty w supeł z troski, by zrobić jak najlepsze wrażenie.

- Panno Pritchard, proszę nam o sobie opowiedzieć - odezwała się pani Duquet z wyzywającym błyskiem w oku. - Jak wygląda pani dom? I odjak dawna zna pani pana Strangforda?

Pani Hobbs głośno wciągnęła powietrze, być może zaskoczona niedyskrecją ostatniego pytania. Juliana wyczuła, że odpowiedź na nie najbardziej interesuje panią Duquet. Wzruszywszy lekko ramionami, odpowiedziała na pierwsze z pytań, poświęcając kilka minut na wyjaśnienia dotyczące rodziny Pritchardów. Wszystkie trzy kobiety słuchały jej, popijając herbatę, z nieodgadzionymi minami.

Kiedy skończyła, pani Duquet uniosła brwi.

- Jak długo zna pani Cole'a Strangforda?

- Zналиśmy się z panem Strangfordem ze słyszenia, ale spotkaliśmy się dopiero niedawno -. przyznała Juliana.

- Słyszałam, moja droga, że jest pani jego narzeczoną - powiedziała pani Morris.

W tonie starszej kobiety Juliana wyczuła przychylność i zainteresowanie. Nieco się rozluźniła.

- Nie jestem jego narzeczoną. Mój ojciec i ja po prostu u niego gościmy.

Pani Morris kiwała głową.

- Rozumiem.

Juliana przyjrzała się jej uważnie. Najwidoczniej krążyło wiele plotek na temat jej wizyty u Cole'a, a nie miała złudzeń, że fakty zostały mocno ubarwione, by plotka nabrała odpowiedniego smaku. Z plotkami często tak bywało. Bóg jeden wiedział, co te kobiety mogły sobie myśleć o jej długiej wizycie u Cole'a.

- Mogę wyznaczyć coś paniom w zaufaniu? - spytała Juliana. Pani Morris i pani Hobbs skinęły potakująco, podczas gdy pani Duquet tylko się w nią wpatrywała.

Juliana pochyliła się ku nim i ścisząc głos, powiedziała:

- Pan Strangford i ja rozważamy możliwość zaręczyn.

Pani Morris ściągnęła brwi.

- Jak to możliwe? Sama pani mówiła, że dopiero co go poznała.

Juliana potwierdziła kiwnięciem głowy.

- Rzeczywiście, poznaliśmy się z panem Strangfordem niedawno. Jednak cygańskie obyczaje związane z zawieraniem małżeństw trochę się różnią od znanych paniom tradycji. W przeciwieństwie do typowych małżeństw z rozsądku, gdzie państwo młodzi zwykle dobrze się znają przed ślubem, cygańska naręczona często poznaje swego partnera zaledwie parę tygodni wcześniej. To nie znaczy, że Cyganom nie zdarzają się małżeństwa z miłości, jest ich mnóstwo, ale w przypadku gdy potrzeby obojga młodych zostają spełnione bez komplikacji, jaką jest miłość, często od razu przystępują do rzeczy.

- Podoba mi się takie podejście - stwierdziła pani Morris ciepłym głosem. - Dobrze by było, gdyby tak samo podchodzono do przyjęcia na rzecz sierocińca.

- Przyjęcie dobroczynne? - podchwyciła z ożywieniem Juliana. - Wiele o nim słyszałam od pana Strangforda. Zamierzamy przyjść oboje.

- Zanim będziecie mogli przyjść, musimy znaleźć ochotnika, który zechce nam udostępnić swój dom - wtrąciła grobowym głosem pani Hobbs. - W tym roku mamy poważne trudności. Pani, która początkowo zgodziła się oddać nam dom, postanowiła wyprzedłużyć swój pobyt na kontynencie, a nikt inny nie zgłosił się na jej miejsce.

- T o okropne - stropiła się Juliana.

-Możliwe, że będziemy musieli odwołać tegoroczne przyjęcie - powiedziała pani Morris.

Juliana zagryzła dolną wargę. W głowie rodził jej się pewien plan.

- Z tego, co mówił Cole, rozumiem, że wszystkie panie zasiadają w zarządzie sierocińca.

- Istotnie - potwierdziła pani Morris.

- Miałam zamiar podczas dzisiejszej wizyty zaproponować swą pomoc przy planowaniu i przygotowaniach - oznajmiła Juliana. - Ale wygląda na to, że żadna pomoc nie będzie potrzebna, chyba że znajdą panie jakieś odpowiednie miejsce do wydania tego przyjęcia.

- Staramy się, moja droga, staramy się - zapewniła ją gorliwie pani Morris.

- Może spróbuję przekonać pana Strangforda, by użyczył na przyjęcie swego domu. - Juliana wstrzymała oddech, czekając na odzew.

Pani Duquet odezwała się pierwsza.

- Szczerze wątpię, by pan Strangford zgodził się na taki pomysł. Wiele razy osobiście go prosiłam i zawsze odmawiał, podając najróżniejsze wymówki. Wątpię, by pani wskórała więcej.

Juliana zachnęła się nieznacznie. Najwyraźniej pani Duquet odwzajemniała jej niechęć. Czasami po prostu tak się między ludźmi układało - nie pasowali do siebie. Zaczęła jednak podejrzewać, że pani Duquet ma jakieś osobiste powody, by jej nie lubić.

Czy możliwe, by pani Duquet była o nią zazdrosna?

Im więcej Juliana o tym myślała, tym bardziej potwierdzały się jej przypuszczenia. Mogła się tylko zastanawiać, dlaczego pani Duquet rości sobie jakieś prawo do Cole'a. Jakiego rodzaju zażyłość ich łączyła? A może wciąż łączy? Na tę myśl niemal zrobiło jej się niedobrze.

- Mogę tylko spróbować, pani Duquet.

Pani Duquet parsknęła pogardliwie.

- Och, Charlotte, nie odrzucaj tak szybko planu panny Pritchard - włączyła się pani Morris. - W naszej sytuacji nie

wolno nam lekceważyć żadnej możliwości, a skoro panna Pritchard sądzi, że ma szansę przekonać pana Strangforda, powinnyśmy ją błogosławić za dobre chęci.

Pani Duquet uśmiechnęła się kwaśno.

- No dobrze, Elizabeth, pozwolimy pannie Pritchard spróbować. Myślę, że powinnyśmy też przyjąć jej ofertę pomocy. Jeśli pan Strangford zgodzi się udostępnić na przyjęcie swój dom, któż lepiej zorganizuje całą imprezę jak nie panna Pritchard? Przez następną godzinę powinnyśmy przedstawić pannie Pritchard nasze oczekiwania, żeby zrozumiała, co sobie bierze na głowę. Co pani na to, panno Pritchard? Może pani jeszcze trochę z nami zostać?

- Oczywiście - powiedziała Juliana ostrożnie. Odnosiła wrażenie, że pani Duquet ma zamiar utrudnić jej życie. Oczekiwania?

Pani Morris pociągnęła za sznurek dzwonka.

- Zatem bierzmy się do tego od razu. Każę przynieść więcej herbaty.

Przez następną godzinę pani Duquet wyniosłym tonem tłumaczyła Julianie, że każde przyjęcie dobroczynne, by zebrać fundusze, musi przedstawić istotę celu. Jednym z celów ich przyjęcia jest pokazanie, jak urocze i warte dodatkowych funduszy są osierocone dzieci. Kolacja i występ teatralny, mówiła, są okazją do zaprezentowania mizernych skądinąd talentów sierot i przekonania darczyńców, że te nieszczęsne istoty mogą wyrosnąć na godnych członków społeczeństwa, jeśli tylko da im się szansę.

Oszołomiona Juliana starała się zapamiętać wszystkie wymagania, choć nie miała pojęcia, jak mogłaby pomóc w ich spełnieniu. Potem pani Morris nazwała ją „dobrą dziewczyną” i oznajmiła, że wkrótce złożą jej wizytę, żeby sprawdzić, jak dalece zdołała zachęcić Cole'a do wypożyczenia domu na przyjęcie. Znalazłszy się na powrót w bryczce za plecami powożącego Williama, gdy elegancki miejski dom pani Morris

został daleko w tyle, Juliana uświadomiła sobie, że jej misja poślubienia Cole'a Strangforda i urodzenia jego dziecka właśnie znacząco się skomplikowała.

George siedział w otwartej bryczce powożonej przez Lilę i ukradkiem podziwiał śliczny widok, jaki stanowiła jego towarzyska. Wielki kapelusz z obwisłym rondem należał do przeszłości, zastąpiony zgrabnym czepkiem, ozdobionym maleńkimi satynowymi różyczkami, a w białej muślinowej sukni wyglądała świeżo i znacznie młodziej niż na trzydzieści cztery lata.

Coraz lepiej poznawał jej charakter i zmuszał się, by znaleźć w nim kolejną cechę, którą mógłby wykorzystać przeciwko niej. Coś, co lubiła, a on mógłby jej obrzydzić.

- Podoba ci się wiejskie życie? - spytał, kiedy jechali wolno wzdłuż drewnianego płotu z palików. Poprzedniego dnia zaproponowała, że zabierze go do miasta i choć nie bardzo miał ochotę paradować po Buckland Village jako Cole Strangford, nie był w stanie wymyślić żadnej przekonującej wymówki. W końcu doszedł do wniosku, że ryzyko zdemaskowania w takiej małej sennie dziurze jak Buckland Village jest znikome.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem. Ostatnio często tak na niego patrzyła, od czasu kiedy próbował ją uwieść w ciepłarni. A choć tamtego dnia przyrzekł sobie kontynuować swą kampanię uwodzenia, traktował ją z należnym szacunkiem. Lila po prostu miała w sobie coś, co nakazywało mu zachowywać się wobec niej honorowo.

- Och, całkiem mi odpowiada wiejska sielanka - odpowiedziała swobodnym tonem. - Według mnie Buckland Village jest jednym z najładniejszych miejsc na całym południu Anglii. Powinniśmy tam wkrótce dotrzeć i sądzę, że zgodzisz się ze mną, gdy tylko zobaczysz je na własne oczy.

- Skąd wiesz, że jest najładniejsze? Dużo podróżowałaś?

- Raz, do Irlandii, żeby zawieźć moją siostrę do szkoły. Pojechaliśmy powozem do Liverpoolu, a potem wsiedliśmy na parowiec do Irlandii. Prawdę mówiąc, ta wyprawa była dla mnie bardzo ciężka. Okazało się, że ciągłe kołysanie podczas długiej jazdy powozem, a potem płynięcie parowcem przypominają mi o chorobę. Nie mam ochoty tego powtarzać. - Rzuciła mu szybkie spojrzenie, od którego żywiej zabiło mu serce. - A ty, Cole? Ile podróży odbyłeś?

George sięgnął myślami do wyuczony na pamięć historii CoLe'a Strangforda i przypomniał sobie, że przed paru laty Cygan kilkakrotnie odwiedził uniwersytet w Edynburgu.

- Często bywam w Szkocji. Bardzo lubię podróże, zwłaszcza morskie. Słyszałaś o mojej pasji do nurkowania?

- Nie, ale się domyślałam, zważywszy na twoje upodobanie do morza. Kiedy o nim opowiadasz, mam wrażenie, że dno oceanu jest ci znane równie dobrze, jak własny dom.

George przełknął ślinę.

- Przypuszczam, że to moja cygańska krew wciąż każe mi szukać nowych przygód.

- Być może i ja szukałabym przygód, gdyby nie skłonność do podróżnych mdłości.

Starał się przybrać współczującą minę, lecz podejrzewał, że wyrażała raczej przestach niż cokolwiek innego.

- Szkoda, że mamy tyle odmiennych upodobań, prawda?

Skupiła uwagę na drodze, poganiając konie do szybszego kłusa.

- Rzeczywiście szkoda.

Reszta jazdy minęła im w milczeniu. George siedział jak na szpilkach; musiał przyznać, że to zadanie okazało się - i nadal miało się okazywać - znacznie trudniejsze niż wszystkie, które podejmował do tej pory. Męczyły go ciągłe kłamstwa, choć przecież zdarzało mu się kłamać i wcześniej i nigdy nie miewał z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Jako jeden z ludzi morza nauczył się okłamywać mieszkańców lądu już w bardzo

młodym wieku. Można powiedzieć, że w jego sytuacji uciekanie się do kłamstw było sposobem na przetrwanie. Dlaczego więc czuł się tak źle, okłamując Lilę Whitham i próbując ją zniechęcić do małżeństwa?

Może przemówiła do niego jej spokojna wiara w Boga, wiara, która pozostała niezłomna, mimo że Bóg tak wiele jej odebrał. Może jej czystość i niewinność, które zachowała mimo bolesnych doświadczeń, sprawiały, że czuł się podle. Jednak najmocniej działała na niego jej bezbronność, ponieważ od czasu do czasu dostrzegał w jej oczach cierpienie i wiedział, że myślała wówczas o utraconym mężu i dziecku.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała, wyrwijając go z rozmyślań.

Wjechała na brukowany plac ze studnią, kilkanaście ławkami i stadkiem spacerujących matron.

- Przejdiesz się czy wolałbyś pojechać dalej bryczką? - zapytała z uśmiechem.

- Wolę pójść pieszo. - Wysiadł z bryczki, przywiązał konie do słupka i dopiero wtedy obszedł pojazd dookoła, żeby pomóc wysiąść Lili. - Chciałbym zdobyć dla ciebie lemoniadę - powiedział, nim zdążył się ugryźć w język. - Musiało ci zaschnąć w gardle.

- Jak miło z twojej strony, Cole, że jesteś taki troskliwy.

Nakazał sobie w duchu zakończyć okazywanie troskliwości.

Kiedy już pomógł jej wysiąść, podał ramię i poprowadził ulicą, obok głównego sklepu i miejscowej tawerny. Kilka razy przystawali, żeby Lila mogła go przedstawić, co wzbudzało w nim przerażenie, choć nikt go nie rozpoznawał ani też nie zwracał na niego większej uwagi, więc w końcu się uspokoił i zaczął cieszyć słońcem i towarzystwem ładnej kobiety.

Mniej więcej godzinę później, kiedy wracali z Lila do bryczki, zauważył kobietę zmierzającą prosto w ich stronę.

- To pani Howe - wyjaśniła mu szeptem Lila. - Miejscowa plotkara. Jeśli się pośpieszymy, może zdołamy przed nią uciec.

George aż zadrżał na widok dobrze ubranej matrony, z włosami zaczesanymi do tyłu i związanymi w surowy węzeł. Fryzura podkreślała jej długi nos, cechę wręcz wymarzoną u zbieraczki plotek. Przyśpieszył kroku, Lila za jego przykładem zrobiła to samo, ale pani Howe najwyraźniej nie zamierzała rezygnować z łupu i osaczyła ich przy bryczce.

- Dzień dobry, pani Whitham - zagadnęła. - Widzę, że wybrała się pani na popołudniowy spacer.

- Owszem, spacerujemy - przyznała Lila cierpliwie.

Kobieta przeniosła pytający wzrok na George'a.

Lila westchnęła głęboko, a potem uśmiechnęła się z widocznym wysiłkiem.

- Och, jaka ze mnie gapa, że zapomniałam przedstawić. To jest pan Cole Strangford z Shoreham Park. Wraz ze swą kuzynką jest w odwiedzinach u mojej rodziny.

- Powiedziała pani Cole Strangford? - spytała pani Howe niepewnym tonem. - Bardzo mi miło pana poznać. Mam nadzieję, że podoba się panu u Pritchardów. Nasza droga Lila jest prawdziwym klejnotem.

- W istocie - przyznał George, nie mając innego wyjścia.

Pani Howe uniosła brwi.

- Jest pan spokrewniony z Zeldą Strangford?

Zesztywniał.

- Cóż... owszem, jestem. Jest moją daleką kuzynką.

- Oczekuję jej odwiedzin. Myślałam, że zamieszka u mnie, ale wygląda na to, że wolała się zatrzymać u pani rodziny, moja droga - zwróciła się do Lili. - Proszę jej powiedzieć, że musi się ze mną zobaczyć.

- Przekażę - obiecała Lila.

George mocniej ścisnął Lilę za ramię. Myśli kłębiły mu się pod czaszką. Kiedy pani Wood kontaktowała się z tą plotkarką? Dlaczego zgodziła się odwiedzić panią Howe? Będzie musiał przypomnieć pani Wood, że dopóki udaje Zeldę, ma się jak najmniej rzucać w oczy.

- Proszę nam wybaczyć, pani Howe. Spacerujemy z panią Whitham od dłuższego czasu, więc oboje potrzebujemy odpoczynku. Powinniśmy zaraz wyruszać do Buckland House.

- Oczywiście, panie Strangford. Proszę mnie odwiedzić z Zełdą.

- Przy pierwszej okazji - obiecał, prowadząc Lilę do bryczki. W milczeniu zastanawiał się, czy najgorsze już nastąpiło, czy ktoś odkrył, że udaje Cole'a Strangforda, a pani Wood Zeldę Strangford, czy oszustwo wyszło na jaw.

- Nie wiedziałem, że moja kuzynka ma znajomą w Buckland Village - udało mu się powiedzieć w miarę spokojnie, choć w środku cierpiał katusze.

Lila uniosła brwi.

- Ja także nie miałam o tym pojęcia. Pani Howe nigdy nie wspominała, że ją zna.

Odpowiedź Lili wcale go nie pocieszyła. Pomógł jej wsiąść na kozioł i niemal natychmiast ruszyli szybkim kłusem. Przez całą drogę powrotną do domu czuł, jak lodowaty strach ściska mu żołądek, i nie mógł się pozbyć przeczucia, że ich plan już zaczął się walić, i to na jego oczach.

Cole Strangford ostrożnie dokręcał kawałek podgrzanej miedzianej rurki, która stanowiła część aparatu do oddychania. Nagle rurka rozpadła mu się w rękach na pół.

Cały tydzień pracy na marne.

- Niech to diabli!

Odrzucił na bok zniszczoną część i patrzył tępo na blat roboczego stołu. Miał ochotę cisnąć całym aparatem o podłogę, ale powstrzymała go świadomość, że w ten sposób tylko pomoże draniowi, który uszkodził jego sprzęt.

Cole westchnął ciężko, odwracając się plecami do stołu. Nie chciało mu się już pracować nad tym piekielnym urządzeniem. Prawdę mówiąc, ostatnio stracił zainteresowanie wszelkimi wynalazkami. Myślał tylko o tym, jak odkryć, kto włamał się do jego laboratorium i dlaczego zniszczył jego aparat. Żadna żywa dusza w Shoreham Park Manor nie uniknęła przepytania na tę okoliczność, lecz niestety, Cole ze smutkiem musiał przyznać, że nie zbliżyło go to ani na krok do wykrycia sprawcy. Nadal wiedział tyle samo co przed dwoma tygodniami, gdy po raz pierwszy zauważył usterkę.

Każdy, z kim rozmawiał, twierdził, że o niczym nie ma pojęcia, Juliana także. Wiedział zresztą, gdzie się wówczas znajdowała - w swoim łóżku. Zakładał, że mogła udawać sen,

ale nie wydawało mu się to prawdopodobne. Pamiętał jej równomierny oddech i ciche westchnienia. Poza tym nie miała żadnego powodu, żeby niszczyć jego wynalazek, zwłaszcza jeśli zamierzała go poślubić, a co za tym idzie pragnęła jego sukcesów.

Nie, Juliana była poza kręgiem podejrzeń.

Już prędzej skłonny był uwierzyć, że morska zjawia miała z tym coś wspólnego. To, że widział ją akurat tamtej nocy, kiedy jego aparat został uszkodzony, nie mogło być przypadkiem. Może to ludzie morza obawiali się jego wynalazku i wystąpili przeciwko niemu?

Odetchnął głęboko, nagle zdjęty niepokojem.

- Cole, jesteś tam? - zabrzmiał radosny głos z zewnątrz. Drzwi się otwały i do laboratorium weszła Juliana; w promieniach słońca, wpadających przez okno, jej włosy lśniły barwą dojrzałych kasztanów. W sukience w kropki i fartuszkę, z włosami związanymi niebieską wstążką, wyglądała jak świeży wiejski poranek.

- Wybierasz się dokądś? - zapytał Cole, zauważywszy w jej ręku spory muślinowy tobołek.

- Razem się wybieramy. - Wzięła go pod rękę i odciągnęła od roboczego stołu. - Chodź ze mną, Cole. Męczy mnie przesiadywanie w twoim starym domu. Chcę pójść na długą wycieczkę.

Obejrzał się bezradnie na swój niedokończony wynalazek.

- Dosyć się napracowałeś dzisiaj. Proszę cię, chodźmy. - Uśmiechnęła się do niego błagalnie.

Od razu zmiękło mu serce. Właściwie i tak nie miał ochoty na pracę.

- Dokąd chcesz pójść na wycieczkę?

- Och, nie wiem. Może przejdziemy się wzdłuż brzegu? Urwisko jest takie piękne, szczególnie o zachodzie słońca.

- Ale słońce jeszcze nie zachodzi - zauważył rzeczowo. - Dopiero co minęło południe.

- Do czasu kiedy będziemy gotowi wracać, na pewno znacznie zachodzić.

Uśmiechnął się pod nosem.

- Planujesz bardzo długą wycieczkę.

- Boisz się, że mogę cię zmęczyć?

- Ani trochę. Bardziej się martwię, że to ty będziesz zmęczona, zanim zaczniemy wracać, i będę cię musiał nieść na rękach.

Zmrużyła oczy.

- Cole'u Strangfordzie, doskonale wytrzymuję długie spacerery. Myślisz, że z czego jestem zrobiona? Z puchu?

Uśmiechnął się szerzej. Doprawdy ognista była ta mała Cyganeczka z Buckland House!

- Nie wiem, z czego jesteś zrobiona. Może mi pokażesz?

Pokiwała głową, zadzierając przy tym dumnie podbródek.

- Bardzo chętnie. Wzięłam coś do jedzenia, na wypadek gdybyśmy zgłodnieli. - Poklepała muślinowy tobołek.

Cole wyciągnął rękę, żeby wziąć od niej ciężar, lecz Juliana opacznie odczytała gest i chwyciła jego dłoń. Dotyk jej miękkiej, ciepłej skóry natychmiast obudził w nim pożądanie. Zły na siebie, że zachowuje się jak żółtodziób, który pierwszy raz widzi z bliska kobietę, przywołał się w duchu do porządku.

- Zatem idziemy nad morze - oznajmił i trzymając się za ręce, opuścili wiatrak.

William czekał na nich na zewnątrz. Na widok kamerdynera Cole poczuł rozczarowanie, chociaż wiedział, że jego obecność jest niezbędna dla zachowania dobrego imienia Juliany. Pocięszał się, że William jest inteligentny i nad wyraz dyskretny i z pewnością w razie potrzeby się wycofa, dając im nieco prywatności.

- Poprosiłam Williama, żeby z nami poszedł - powiedziała Juliana. - Prosiłam też mojego ojca, ale nie mógł nam towarzyszyć.

- Wielka szkoda. Towarzystwo twojego ojca sprawiłoby mi dużą przyjemność. - Cole kiwnął głową do kamerdynera, który odpowiedział niskim ukłonem.

We troje ruszyli w kierunku plaży ścieżką dla powozów. Cole z Juliana szli z przodu, William trzymał się parę metrów za nimi. Lekka bryza dmuchała im w plecy, rozwiewając Julianie włosy wokół twarzy i przyklejając do nóg spódnice. Cole raz po raz zerkał na swą towarzyszkę z podziwem, równocześnie tocząc z nią rozmowę na różne błahe tematy, na przykład, kiedy mogą się spodziewać wysokiego przypływu lub co oznacza ciemna smuga na horyzoncie i czy aby nie zwiastuje sztormu.

Opowiadał jej o romantycznych zabiegach Gilliego i determinacji starszka w dążeniach do pomyślnego wyniku swatów, co rozbawiło ich oboje. Bardzo lubił słuchać jej śmiechu. Niektóre znane mu kobiety miały głośny, wręcz ryczący śmiech, który drażnił uszy, inne zanosily się wymuszonym chichotem, natomiast śmiech Juliany brzmiał naturalnie i zdawał się pochodzić z głębi duszy, rozjaśniał jej twarz, budząc w oczach złociste błyski, odkrywał jej wewnętrzne piękno, nie dla każdego zauważalne. Przez pewien czas specjalnie mówił różne głupstwa, tylko po to, żeby ją rozweselić i słuchać, jak się śmieje.

Dotarli nad morze i zaczęli iść na wschód, wzdłuż podnóża klifu. Cole szedł od strony wody, która raz po raz obmywała mu stopy. Juliana pilnowała, żeby mieć suche nogi, tłumacząc, że dla niej woda jest zbyt zimna, by w niej brodzić. Rozbrojony tą demonstracją kobiecej słabości, po wcześniejszych buńczucznych zapewnieniach o wytrwałości, sprowadził rozmowę na temat Buckland House i spędzonych tam przez nią lat dziecięcych.

- Opowiedz mi coś o swoim dzieciństwie w Walii, Juliano - poprosił. - Chcę wiedzieć o tobie więcej. Dlaczego twoja rodzina porzuciła cygańskie tradycje i postanowiła osiaść w jednym miejscu?

Ze wzrokiem utkwionym w piasku pod nogami zaczęła opowiadać, co jakiś czas robiąc pauzę dla namysłu.

- Moja rodzina kiedyś podróżowała po kraju z innymi Cyganami w jaskrawo pomalowanych wozach. Gotowaliśmy jedzenie na ognisku i jakoś wiązaliśmy koniec z końcem. Musisz jednak wiedzieć, że nie było to zbyt dobrze widziane, a miejscowe władze nieustannie nas nękały.

- Tak, przeciwnicy Romów potrafią być dokuczliwi - przyznał.

- Romów?

Przekrzywiwszy głowę, przyjrzał się Julianie badawczo.

- Tak, Romów. Czyli inaczej Cyganów.

Zaśmiała się nerwowo.

- Ach tak, oczywiście, Romów.

- Więc byłaś prześladowana - przypomniał, wracając do przerwanej wątku. Wydało mu się dziwne, że nie znała jednego z podstawowych cygańskich określeń. - Czy dlatego właśnie twoja rodzina osiedliła się na stałe?

- Owszem, porzuciliśmy stare zwyczaje, ponieważ zmęczyli nas misjonarze nachodzący nasz obóz i zmuszający do nawrócenia się na ich religię. Buckland House stało się naszym niebem, gdzie mogliśmy żyć spokojnie i zyskać szacunek innych ludzi mimo naszej cygańskiej krwi.

- Słyszałem, że Buckland House jest dochodową starą posiadłością. Jak twoja rodzina weszła w jego posiadanie?

Zawahała się, zerkając na Cole'a spod opuszczonych rzęs, co kazało mu się przygotować na jakąś niezbyt chwalebą rewelację.

- Nie wiem, jak dużo słyszałeś o historii mojej rodziny, Cole - powiedziała niepewnie - ale mamy dość skandaliczną przeszłość. Moja babka była niezwykle utalentowaną kobietą. Miała w sobie coś, co trudno opisać, ale wielu mężczyzn jej pożądało. W końcu wybrała jednego i związała się z nim, chociaż nigdy się nie pobrali. Ukochany, dżentelmen o wysokim statusie, подарował jej Buckland House.

Cole pokiwał głową; nietrudno mu było uwierzyć, że babka Juliana potrafiła rozpaść w mężczyznach żądzę. Najwyraźniej wnuczka odziedziczyła po niej tę cechę.

- Ładny prezent.

- Niezupełnie. Niestety, w tamtym czasie Buckland House było niemal ruiną. Babka nigdy tam nie mieszkała, wolała ciepły wóz od pełnego przeciągów, przeciekającego domu. Mój ojciec jednak nie chciał być nazywany „cygańskim problemem” i postanowił się osiedlić w Buckland House. Z czasem odbudował posiadłość do takiego stanu, że zaczęła przynosić dochód. A ponieważ pieniądze często przysparzają przyjaciół, w końcu zostaliśmy zaakceptowani przez miejscową społeczność, po drodze tracąc naszą cygańską tożsamość.

- Osiedlenie się w jednym miejscu na stałe zwykle ma taki skutek - potwierdził. - Jeśli mieszkasz gdzieś przez dłuższy czas, w końcu zaczynasz się zachowywać tak jak twoi sąsiedzi, przejmujesz ich mowę, akcent i dziwactwa. Moja rodzina także zatraciła wiele dawnych tradycji na rzecz powszechnych obyczajów.

- Szkoda, prawda?

- Chyba tak. Nie lubię myśleć o Cyganach jako plemionach znikających niczym wytrzebione gatunki, ale z drugiej strony żyje mi się całkiem wygodnie. Po co odcinać się od społeczeństwa, skoro tak wiele można od niego uzyskać?

- Myślę, że powinniśmy być wierni sobie, niezależnie od kosztów. Jeśli jestem Cyganką, powinnam żyć po cygańsku, nawet jeśli grozi mi za to prześladowanie.

Wzruszył ramionami.

- Niektóre koszty są po prostu za wysokie. Chcę, żeby moi synowie mieli wszelkie szanse na udane życie, jakie tylko mogą im zapewnić, a będą mieli większe możliwości jako Anglicy niż jako Cyganie.

- Nie sądzisz, że twoi synowie zawsze będą mieli poczucie niepełności z powodu braku dziedzictwa? A niepełni ludzie nie mogą być szczęśliwi.

- Może powinienem pozwolić im dokonać wyboru.

- Mam nadzieję, że dasz im tę wolność, Cole. Możliwość dokonywania wyborów jest bardzo cenna. Nie wszyscy z nas mogą wybierać. Co więcej, niektórzy są zmuszeni znosić los, który czyni ich życie nienaturalnym i z gruntu złym.

Przyjrzał jej się spod uniesionych brwi.

- Mam wrażenie, jakbyś mówiła to z własnego doświadczenia. Żałujesz, że twoi rodzice porzucili dawne zwyczaje?

Roześmiała się, lecz w jej śmiechu było niewiele wesołości.

- Właśnie. Chciałabym wrócić do takiego życia, jakie wiodła kiedyś moja rodzina.

Cierpienie wyczuwalne w jej głosie kazało Cole'owi zamilknąć. Najwyraźniej dotknął jakiegoś czułego punktu, a do tego miał zupełnie odmienny pogład.

- W tej sprawie ty i ja nigdy się nie zgodzimy. - Nagle przeniósł całą uwagę na fale wspinające się na piasek kilka metrów od nich. - Nie mam nic przeciwko „wtopieniu się” w angielską kulturę. Czasami, kiedy połączysz ze sobą dwa metale, stop jest mocniejszy niż każdy ze składników osobno. Według mnie jesteśmy mocniejsi i mamy większą szansę przetrwać, jeśli dopasujemy się do tych, którzy nas otaczają, a nasze cygańskie dziedzictwo uznamy za dodatkową siłę, z której możemy czerpać, a nie za wyłączną tożsamość.

Ścisnęła go za rękę.

- Może masz rację.

Popatrzył na nią, zaskoczony, że tak łatwo się poddała. Czyżby przecenił jej przywiązanie do cygańskiego dziedzictwa i tradycji? Czy może w ogóle błędnie ją zrozumiał?

- Tak czy inaczej, to trudny temat - mruknął i nie doczekał się odpowiedzi.

Przez pewien czas szli w milczeniu. Zamyślona, często spoglądała na morze, a potem zapatrzyła się na urwisko, znacznie wyższe w tym miejscu. Cole odnosił wrażenie, jakby się od niego oddalała. Przygarnawszy ją do siebie, próbował wrócić do lekkiej rozmowy.

- Dużo spacerowałaś w Buckland House?
- Dlaczego pytasz?
- Idziemy tą plażą prawie godzinę. Inne kobiety już dawno kazałyby mi zawrócić. Widać, że jesteś przyzwyczajona do długich spacerów.

Uśmiechnęła się trochę kwaśno. Cole nie rozumiał, dlaczego doszukała się ironii w jego uwadze, ale przyjął uśmiech za dobrą monetę.

- O tak, w Buckland House spacerowałam bezustannie. Mój dom leży w pobliżu małej sennej wioski, bez specjalnych atrakcji, więc dla rozrywki zwiedzałam okoliczne lasy. A ty, Cole? Chcesz już wracać?

- Absolutnie nie. - Wydało mu się zabawne, że droczy się z nim.
- Świetnie. Chodźmy więc dalej, choć przyznaję, że widok staje się trochę monotony. Może przyjrzymy się z bliska urwisku?
- To niebezpieczne, Juliano. Chyba nie chcemy się wspinać po zboczach? Poza tym nie sądzę, żeby to się spodobało Williamowi. Z każdą minutą coraz bardziej zostaje w tyle.
- William może zostać na plaży - stwierdziła lekko. - Poza tym prawdziwa przygoda wymaga trochę ryzyka, choć akurat tu nie widzę go zbyt wiele.
- Mimo wszystko można natrafić na wiele pułapek, które tylko czekają, żeby skrócić jakąś śliczną damską kostkę.
- Och, dosyć. - Zmarszczyła nos, a potem puściła rękę Cole'a i zaczęła się wspinać na najniższą skalną półkę.
- Juliano! - rzucił tonem ostrzeżenia.
- Chodź ze mną, Cole - zanuciła w odpowiedzi. Niebezpieczna wspinaczka wyraźnie poprawiła jej humor. Cole uznał,

że powinien zapamiętać tę cechę jej charakteru, wiedząc, że przysporzy mu niejednego kłopotu, jeśli zostaną małżeństwem.

Już bez uśmiechu zwrócił się do Williama, który właśnie zdążył ich dogonić.

- Panna Pritchard postanowiła się wspinać na urwisko. Pójdę za nią, ale na wszelki wypadek wołę, żebyś ty został tu, na dole. William ani myślał protestować.
- Jak pan sobie życzy.

Kamerdyner usadowił się wygodnie przy wielkim kamieniu, najwyraźniej spodziewając się, że ma przed sobą długie oczekiwanie. Cole tymczasem pośpieszył za Juliana. Wdrapując się na skalną półkę, zauważył, że jej powierzchnia pokryta jest drobnymi kamykami i luźnymi odłamkami. Zaniepokojony, próbował dogonić Julianę, żeby ją przytrzymać w razie upadku.

- Juliano, ostrożnie! - zawołał. - Nie podoba mi się ta skała, wygląda, jakby zaraz miała się rozpaść na kawałki. Uważaj, gdzie stawiasz stopy...

- Nie martw się, jestem bardzo ostrożna. - Ledwie skończyła mówić, gdy lewa noga ześliznęła jej się ze skalnego występu. Cole odruchowo rzucił się w jej stronę, ale zdążyła szybko odzyskać równowagę bez jego pomocy.

- Dość tego - mruknął, widząc, że Juliana w najlepsze wspina się w górę. - Nie mam ochoty odpowiadać za twój skrecony kark. Wracamy.

- Cole, popatrz! - zawołała, puszczając jego groźbę mimo uszu. - Morska jakinia. Może ją zbadamy?

- W morskich jakiniach żyją węże - ostrzegł, jednocześnie usiłując sobie przypomnieć, czy to ta sama jaskinia, którą zwiedził jako chłopiec i w której znalazł gniazdo jaskrawo ubarwionych węży. - Nie wchodzi tam.
- Odpowiedziała mu śmiechem.
- We wszystkich jaskiniach są węże czy tylko w tej jednej?
- We wszystkich. - Nie podzielał jej dobrego humoru. - Wracajmy do domu.

- Och, Cole, zachowujesz się jak stara matrona. - Zniknęła za głazem częściowo zasłaniającym wejście do jaskini.

- Juliano, nic ci się nie stało? - zaniepokoił się, zwiększając tempo wspinaczki.

Zaraz potem okrążył głaz i przekonał się na własne oczy, że nic jej nie jest. Jaskinia nie sięgała zbyt daleko w głąb urwiska, lecz była raczej niszą wyłobioną w skale, na tyle głęboką, że w załomach rosły kępy morskiej trawy, a dno zaścilał piasek, lecz nie ciemną i wąską jak typowa jaskinia. Cole nagle sobie przypomniał, jak przed laty wraz z Gilliem piekł tu na ognisku świeżo złowione ryby.

Juliana siedziała na kamieniu; pod pachą wciąż trzymała piknikowe zawiniątko, a wokół jej nóg ścieliły się fałdy spódnicy. Wyglądała bardzo młodo i bardzo pociągająco.

- Nie widzę żadnych węży - oznajmiła z uśmiechem.

Cole wciąż miał ściągnięte brwi.

- Myślę, że odtąd ja będę prowadził, żebyś sobie nie skręciła tego ślicznego smukłego karczku.

- Poprowadzisz nas z powrotem na plażę - rzuciła kpiąco. - Nie jesteś zbyt odważnym odkrywcą, Cole. - Nie czekając, co jej odpowie, poderwała się z miejsca i ruszyła w dalszą drogę.

Chcąc nie chcąc, pomrukując ze złością, poszedł jej śladem.

- Przynajmniej daj mi ten tobołek.

- Zgoda. - Położyła zawiniątko na mijanym kamieniu i wskazała na ciemny punkt w ścianie urwiska. - Popatrz, następna jaskinia.

- Co za szczęście. Następna jaskinia.

Zatrzymując się tylko na moment, żeby go skarcić spojrzeniem, dziarsko podjęła wspinaczkę.

Cole obejrzał się za siebie, oceniając wzrokiem odległość od plaży. Wynosiła kilkanaście metrów.

- W ogóle się nie boisz? Zobacz, jak wysoko się wspięliśmy.

- Nie patrzę w dół.

- Czy wszystkie twoje „długie spacerki” są takie niebezpieczne?

Nie odpowiedziała. Przystanąła u wejścia do drugiej jaskini i zajrzała do środka.

- Coś tu okropnie cuchnie. Chyba nie powinniśmy wchodzić.

- Rzeczywiście, nie powinniśmy - zgodził się skwapliwie, stając u jej boku. - Czas zawrócić. Schodzenie z tej półki będzie znacznie trudniejsze niż wspinanie się pod górę, a zechciej zauważyć, że stąd ścieżka robi się coraz węższa.

- Jak sądzisz, czemu tu tak brzydko pachnie? - spytała, jakby nie słysząc, co do niej powiedział.

Pociągnąwszy nosem, wyczuł niewątpliwy odór rozkładu.

- Jakies zwierzę... może mewa, zapewne ma tu swój dom. - Specjalnie ścisząc głos, dodał: - A może w środku jest ciało przemytnika, który zginął, broniąc swych skarbów.

Oczy jej rozbłysły.

- Są w tych okolicach przemytnicy?

Rozbawiony jej niemal dziecinny przejęciem potaknął skinieniem.

- Na wybrzeżu wokół Shoreham jest kilka małych portów. Jeśli popatrzysz w dół, przekonasz się, że mamy tu, tuż pod nami, naturalną depresję, która może służyć za przystań dla małego statku. Podczas rewolucji przybywały w tę okolice francuskie statki, żeby dostarczać różne zakazane produkty, głównie koniaki i wina.

- Może znajdziemy jaskinię przemytników - rozmarzyła się.

- Może się pozabijamy, próbując ją znaleźć - warknął, zrozumiałwszy, jak wielki błąd popełnił, budząc jej zainteresowanie przemytnikami. - Powinniśmy wracać, Juliano.

Ale ona nie patrzyła na niego, w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Utkwiła bowiem wzrok w kolejnej ciemnej plamie na ścianie urwiska.

- O, tam! Widzisz, Cole? Wygląda na jeszcze jedną jaskinię.

- W tym urwisku jest wiele, wiele jaskiń i prawdopodobnie wszystkie śmierzą. - Dotknął powierzchni skały. - Widzisz ten mech? Ten gatunek rośnie w świeżej wodzie. Najwidoczniej ta część klifu jest nasiąknięta wodą, a woda oznacza kruchą, niestabilną skałę.

Zanurzyła palec w strużce wyciekającej z niewielkiego pęknięcia.

- Ta woda jest ciepła.

- Słyszałem, że w tych stronach jest kilka gorących źródeł, ale nigdy się na nie nie natknąłem. - Wzruszył ramionami. - Bardziej prawdopodobne, że słońce ją nagrzało.

Podeksytowana, jakby się właśnie dowiedziała czegoś niezwykle ważnego, spojrzała na jaskinię znajdującą się powyżej nich.

- Myślę, że tę powinniśmy zbadać.

Cole chwycił ją za ramię.

- Dostyc, Juliano! Dowiodłaś mi swej siły. Teraz chcę, żebyś mnie posłuchała i zeszła na dół.

- Jeszcze tylko jedna jaskinia, Cole. Proszę! Obiecuję, że potem wrócę z tobą do domu. - Zatrzepotała rękami. - Jeśli nie będzie w niej żadnych zwierząt, moglibyśmy się zatrzymać na posiłek. Umieram z głodu.

Cole zamilkł, wstrzymując oddech. Chciał się sprzeciwić, ale nie był w stanie, nagle obezwładniony siłą kobiecego czaru.

- Proszę, Cole - powtórzyła tym razem niemal błagalnie.

Zesztywniał, mimowolnie wyobrażając sobie Julianę, proszącą go o inne, bardziej intymne względy. Ustąpił, przeklinając się w duchu za słabość.

- No dobrze, zbadamy jeszcze tę jedną, ale potem musimy wracać.

Ucieszona zgodą, uśmiechnęła się promiennie i nim zdąży! pojąć, na co się zanoszi, złożyła miękki pocałunek na jego ustach.

Stał jak skamieniały, pragnąc więcej. Nim doszedł do siebie, Juliana znów podjęła wspinaczkę do jaskini, która zgodnie z obietnicą miała być już naprawdę ostatnią.

Jo strasznym spotkaniu z panią Howe, miejscową plotkarką, George odwiózł Lilę do Buckland House i niezwłocznie odszukał panią Wood. Nie mógł zrozumieć, dlaczego okazała się ona na tyle głupia, by nawiązywać znajomość z tak niebezpieczną osobą jak pani Howe, ale stało się i teraz mogli się jedynie zastanawiać, jak wybrnąć z fatalnej sytuacji.

George ukradkiem podążył za panią Wood do jej sypialni, gdzie udała się na popołudniowy odpoczynek. Przez cały czas myśl o pani Howe nie dawała mu spokoju; zastanawiał się, co może ich spotkać ze strony tej kobiety. Zwykle plotkarze byli niezrównani w wywoływaniu skandali. Jeśli pani Howe wyczuje coś podejrzanego wokół niego czy jego kuzynki Zeldy, będzie drażyć sprawę czy da spokój?

Przejęty lękiem George zastukał do drzwi.

Pani Wood otworzyła ubrana w koronkowy czepek, ukrywający jej siwe włosy, i prostą białą koszulę. Chwyciwszy George'a za ramię, szybko wciągnęła go do środka.

- Panie George'u - spytała szeptem - o co chodzi? Wyczuwam burzowe chmury na horyzoncie, odkąd tylko pan wrócił z panią Whitham do domu.

- Dobrze to pani ujęła. - Wyminąwszy ją, zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, z rękami założonymi do tyłu. - Wiedziała pani, że niejaka Howe jest najgorszą plotkarką w całym Buckland Village? Dlaczego zgodziła się pani odwiedzić tę kobietę?

- Odwiedzić? Kobietę o nazwisku Howe? Nie wydaje mi się, żebym taką znała.

- Ajednakmusiałapanijapoznać. Ona twierdzi, że obiecała ją pani odwiedzić, a kiedy powiedziałem, że mieszka pani u Pritchardów, zażądała, by pani przyszła spędzić z nią przynajmniej popołudnie.

Pani Wood zamyśliła się, przyciskając dłoń do ust.

- Jak ona wygląda?

George szybko opisał długi nos i świdrujące spojrzenie pani Howe.

- Przykro mi, panie George'u, ale nie znam nikogo takiego - oznajmiła, gdy skończył. - Uważam, żeby jak najmniej pokazywać się panu Pritchardowi i jego córce, tak jak pan prosił. Nigdy nie byłam w Buckland Village i z całą pewnością nigdy nie obiecywałam odwiedzić pani Howe.

George przyjrzał się starszej kobiecie; zachowywała się naturalnie, a w jej głosie brzmiała niekłamana szczerłość. W końcu pokiwał głową zadowolony, że pani Wood zastosowała się do jego poleceń. Tyle że to jeszcze bardziej komplikowało sprawę.

Ze zdenerwowania zaczęło go mdlić.

- Zatem skąd pani Howe zna Zeldę Strangford? - zdumiał się głośno.

Pani Wood wytrzeszczyła oczy.

- Boże dopomóż, panie George'u, czy to możliwe, żeby naprawdę się znali?

Znów zaczął się przechadzać tam i z powrotem.

- Nie wiem. To możliwe, choć nie chce mi się wierzyć, żeby nasz wywiad na temat Strangfordów mógł pominąć tak istotną kwestię. Poświęciliśmy przecież tej rodzinie długie i szczegółowe badania.

- Co dokładnie powiedziała pani Howe na temat swej rzekomej znajomej, Zeldy Strangford?

- Że oczekuje dłuższej wizyty Zeldy. Wydawała się rozczarowana, że Zelda zdecydowała się zamieszkać u Pritchardów i poprosiła, bym jej powiedział, że ma przyjść do niej któregoś popołudnia.

- Pani Howe lubi plotkować, tak?

- Według Liii nic się nie uchowa przed tą kobietą.

- Cóż, może więc wymyśliła swoją znajomość z Zeldą po to, żeby zyskać trochę tematów do plotek. Jak inaczej tego typu kobiety miałyby poznawać szczegóły spraw, które ich nie dotyczą? - Pani Wood aż potrząsnęła głową zadowolona ze swojej teorii. - Takie kobiety są powszechnie znane z braku

dyskrecji, dlatego mądrzy ludzie nie udzielają im żadnych informacji. A przecież plotkarka kocha gadać, więc bez wątpienia musi się uciekać do różnych podstępów, żeby zdobyć jakieś skandaliczne nowinki dla swoich nielicznych przyjaciółek.

- Coś w tym jest, pani Wood - przyznał George po namyśle.

- Założę się, że pani Howe posłużyła się swą rzekomą znajomością z Zeldą, tak jak rybak zarzuca haczyk - mówiła starsza kobieta. - Miała nadzieję, że okażę się na tyle uprzejma, by sprawdzić, czy rzeczywiście ją znam, a kiedy się pojawię, wciągnie mnie w swoje sidła.

- Może tak być w istocie. To całkiem możliwe - powiedział, nieco uspokojony. Myśl, że ludzie morza przeoczyli niebezpieczną znajomość między panią Howe i Zeldą Strangford, była trudna do przyjęcia. - Pytałem panią Pritchard, czy słyszała o jakichś związkach pomiędzy Zeldą i panią Howe i odpowiedziała, że nic jej nie wiadomo o tym, by się kiedykolwiek spotkały. Możliwe więc, że niepotrzebnie się martwimy.

- Tak czy inaczej, za wszelką cenę będę unikać tej kobiety. A jeśli zastuka do naszych drzwi, wymówię się bólem głowy i jej nie przyjmę - obiecała pani Wood. - A jak panu idzie, panie George'u? Czy pani Whitham nabrała przekonania, że nie pasujecie do siebie?

Pokręcił głową przecząco.

- Moje nieustanne próby wytykania dzielących nas różnic jeszcze jej nie zniechęciły. Może w głębi serca ma jakieś wątpliwości w kwestii wstąpienia do klasztoru i wykorzystuje sytuację jako wymówkę do odroczenia tego kroku.

- Cóż, wygląda na to, że bardzo się pan stara.

- Oczywiście, że się staram. Nie mam ochoty przesiadywać w Buckland House bez końca, zwłaszcza teraz - powiedział, ale nie zabrzmiało to w jego własnych uszach zbyt prawdziwie. Najgorsze w jego misji było to, że Lila Whitham mu się

podobała, że lubił spędzać z nią czas i fatalnie się czuł w roli nieczułego prostaka, ponieważ chciał, żeby dobrze o nim myślała.

Pani Wood uniosła jedną brew.

- Zgadzam się z panem. Im szybciej się wyniesiemy z Buckland House, tym lepiej.

- Pani Wood, przepraszam, że w panią wątpiłem i zabrałem pani tyle czasu, kiedy powinna pani odpocząć w łóżku. Zobaczmy się przy kolacji.

- Proszę się nie przejmować, panie George'u - pocieszyła go pani Wood. - Jestem przekonana, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Przytaknąwszy, George wymknął się z jej sypialni i poszedł do swojego pokoju. Mimo całkiem rozsądnych wyjaśnień pani Wood niepokój go nie opuszczał. Miał nadzieję, że jej przypuszczenia okażą się słuszne, bo wiedział, że każda rysa w ich udawanym wizerunku, zwłaszcza w tak wczesnym stadium misji, może się okazać zębna dla nich wszystkich.

Juliana szybko wspinała się po urwisku. Cole podążał za nią; na myśl, że mogłaby upaść, serce podchodziło mu do gardła. Zauważył, że ścieżka robi się coraz bardziej podmokła i śliska, a otwór w skalnej ścianie jest większy niż oba poprzednie. Juliana także musiała to dostrzec i zapewne doszła do wniosku, że ma przed sobą prawdziwą jaskinię przemytników, bo przyśpieszyła wspinaczkę, aż spod jej stóp posypały się na Cole'a drobne kamyki.

- Zwolnij, Juliano! - zawołał. - Tu jest niebezpiecznie.

Odetchnął z ulgą, kiedy usłuchała ostrzeżenia i zaczęła się poruszać z większą ostrożnością. Mimo to Cole żałował, że zgodził się na wejście do tej ostatniej jaskini. Pożądanie uspiło w nim zdrowy rozsądek, a chęć sprawienia Julianie przyjemności wzięła górę nad troską o jej bezpieczeństwo. Nieczęsto mu się zdarzała taka lekkomyślność.

Był niczym glina w jej rękach. Wystarczyło, że zatrzepotała rękami, a on przysiadł na tylnych łapach i prosił o łaskawy kąsek, jak jakiś nędzny kundel. Czyżby tak miało wyglądać ich małżeństwo? Miało być ciągiem głupich decyzji podejmowanych po to, by zapewnić sobie miejsce w jej sercu i jej łóżku?

Jęknął zgnębiony.

- Ta wygląda na całkiem głęboką- stwierdziła Juliana, kiedy dotarli do wejścia. Ostrożnie pociągnęła nosem. - I ma znacznie lepszy zapach. Wejdzmy do środka.

- Juliano, zaczekaj! - Wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać, ale znów na próżno, bo już zdążyła zniknąć w mrocznym wnętrzu.

Zacisnąwszy szczęki, poszedł za nią. Natychmiast otoczył go zapach stęchlizny; usłyszał bulgotanie podobne do dźwięku wody przepływającej rurami, które zainstalował w Shoreham Park Manor. Jaskinia miała sklepienie wysokie na prawie trzy metry i tyle samo mierzyła na szerokość u wylotu. Dalej następowało zwężenie, a za wielkim głazem leżącym pośrodku znów stawała się bardziej przestronna. Juliana właśnie okrążyła ów głaz.

- Boisz się nietoperzy? - spytał głośno. - Jeśli tak, radzę zachować ostrożność, bo w takich dużych jaskiniach zamieszkują zwykle setki, jeśli nie tysiące tych stworzeń.

- Nie widzę żadnych nietoperzy. - Z jej głosu biło podniecenie. - Natomiast widzę coś znacznie ciekawszego.

Cole szybko obszedł głaz dookoła. Otoczyła go delikatna ciepła mgiełka. Zauważył, że temperatura wzrasta w miarę posuwania się w głąb jaskini. Głaz porośnięty był wilgotnym mchem. Nagle Cole znieruchomiał na widok niespodziewanego zjawiska - pośrodku jaskini woda, bulgocząc, wypływała ze skalnej szczeliny, zasnuwając powietrze smużkami pary.

Miał przed sobą gorące źródło.

- Czyż nie jest fantastyczne? - zachwyciła się Juliana.

Powoli okrążył niewielki zbiornik, który pośrodku wydawał się dość głęboki.

- Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Gorące źródło.

- Jest jeszcze coś - mruknęła.

Spojrzał we wskazanym przez nią kierunku i zobaczył kilka rozsypujących się skrzynek.

- Niech mnie licho... - Podeszedł bliżej, kręcąc głową z niedowierzaniem. Oderwał parę kawałków zbutwiałego drewna

z jednej skrzynki i jego oczom ukazały się rzędy zakorkowanych butelek.

- Czy to koniak przemytników, Cole? - spytała Juliana, przywierając do jego pleców.

Tym razem udało mu się zachować trzeźwość umysłu mimo jej ciepłej bliskości. Wyciągnął jedną z butelek i obejrzał, szukając jakiegoś napisu. Nic nie znalazł. Tym bardziej zaciekawiony, spróbował wyciągnąć korek, ale butelka była mocno zatkana, a do tego wyslizgiwała mu się z rąk. Usiadł więc na ziemi i trzymając ją między kolanami, pociągnął z całej siły. Korek wyskoczył, głośny odgłos odbił się echem po ścianach, a Cole omal nie upadł na plecy. Przeklinając w duchu, przytknął butelkę do nosa. Od razu potwierdziły się przypuszczenia Juliany.

Skarby przemytników. A dokładniej, francuski koniak.

- No i jak, Cole? Co to jest? - Juliana wpatrywała się w niego, zaciskając dłonie. Niemal się trzęsła z przejęcia.

Odstawił butelkę na ziemię.

- Mamy do czynienia z przemycanym koniakiem.

- Niesamowite!

- W istocie. Nigdy nie uważałem się za poszukiwacza skarbów, ale wygląda na to, że trafiło nam się niezłe znalezisko. - Uśmiechnął się do niej. - Mamy wyjątkowe szczęście.

Nawet kiedy to mówił, miał świadomość, że szczęśliwe trafy w jego przypadku są co najmniej mało prawdopodobne. Nie dawało mu spokoju, że dziwnym zbiegiem okoliczności natknęli się na koniak i gorące źródło. Jakim cudem udało im się tego dokonać przy jego legendarnym pechu? Szanse przypadkowego odkrycia takiej jaskini były praktycznie równe zeru...

Uśmiech zamarł mu na ustach. Nagle zrodziło się w nim podejrzenie, bo przypomniał sobie, jak bardzo Juliana go namawiała na tę wyprawę, a potem ryzykowała życie, żeby go zwabić do tej ostatniej jaskini. Jeszcze trochę, a pomyślałby, że przyprowadziła go tu celowo. Rozsądek podpowiadał jednak,

że Juliana nie mogła znać położenia tej jaskini, zanim tu z nim przyszła. Całe życie spędziła w Walii, a w Shoreham była po raz pierwszy.

W końcu doszedł do wniosku, że nie pozostaje mu nic innego, jak uwierzyć, że ten jeden raz fortuna postanowiła potraktować go łaskawie.

- Powinniśmy tu zostać i zjeść lunch, Cole - powiedziała Juliana.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? Nie ma tu zbyt wiele światła. Właściwie jest prawie ciemno i raczej duszno.

- Nie przychodzi mi na myśl żadne lepsze miejsce na posiłek. Powinniśmy też uczcić znalezienie skarbu, nie sądzisz? - Wzięła od niego zawiniątko i położyła je na ziemi, w miejscu gdzie nie sięgały kropelki gorącej wody. Następnie podeszła do Cole'a i wzięła go za obie ręce. - Jeśli to jest zwiastun tego, co nas czeka, jestem gotowa wyjść za ciebie choćby jutro.

Roześmiał się, ujęty jej deklaracją.

- Ja raczej mogę liczyć na pecha. Ale może ty przynosisz szczęście.

Panujący w jaskini półmrok nie pozwalał zbyt dokładnie rozróżniać odcieni, ale mógłby przysiąc, że policzki jej pociemniały od rumieńca.

- Nie sądzę, żeby to była moja zasługa - powiedziała cicho. - Tak czy inaczej, jakie to ma znaczenie dla naszego odkrycia? Po prostu się nim cieszymy. - Po tych słowach uniosła butelkę do ust i pociągnęła solidny łyk.

Cole wpatrywał się w nią osłupiały.

Natychmiast zaczęła się krztusić i kaszleć. Łzy napłynęły jej do oczu. Butelka o mało nie wypadła jej z rąk; tylko błyskawiczny odruch Cole'a uratował ją przed rozbiciem się na kamiennym podłożu.

- Dobrze się czujesz? - spytał, przyglądając się Julianie z troską.

Przetarła oczy i chwyciła go kurczowo za ramiona.

- Nie miałam pojęcia... Myślałam, że będzie smakowało jak wino... przepraszam...

Chciało mu się śmiać, lecz zdołał nad sobą zapanować.

- Usiądź, Juliano, zanim się przewrócisz.

Usłuchała pokornie.

On także usiadł obok niej i sięgnął po zawinięte jedzenie.

- Jestem za małą uczcią, ale musimy pamiętać, że przed nami długa droga powrotna do domu. Nie możemy też zapominać o biednym Williamie, który siedzi tam samotnie na plaży.

- Przestań gadać, Cole, lepiej wyciągnij jedzenie. Jestem głodna.

- W takim razie już cię nakarmię. - Rozwinął tobołek, wyciągając z niego kilka mniejszych, również owiniętych muslinem zawiniątek. Rozpakowywał je po kolei, kładąc przed Julianą różne smakowite przekąski: grzanki z homarem, bułeczki nadziewane mięsem, smażone udka kurczaka i maleńkie ciasteczka cytrynowe. Nie mając do dyspozycji sztućców, zmuszeni byli jeść rękami, co zdawało się wcale nie przeszkadzać Julianie. Spożywszy z apetytem homara na grzance, dokładnie oblizała palce.

Cole posilał się wolno, bardziej niż na jedzeniu skupiony na obserwowaniu Juliany. Zauważył, że nie obawia się przesadnie o czystość i nie wydaje się skrupulatnie dbające o przestrzeganie konwenansów; od dawna żywił opinię, że pruderyjne zachowanie na co dzień przekłada się na pruderyjne zachowanie w łóżku. Juliana zdawała się nie należeć do tej kategorii.

Nagle zaschło mu w gardle, więc podniósł butelkę do ust. Po pierwszym wrażeniu palenia w przełyku trunek przyjemnie rozgrzał mu żołądek. Jeden łyk wystarczył Cole'owi, by ocenić, że koniak musiał długo, bardzo długo przeleżeć w jaskini. Był wyjątkowo mocny, a przy tym dobrej jakości i smakował niebiańsko. Pomyślał, że na kobietę nieprzywykłą do alkoholu nawet jeden łyk musi odpowiednio podziałać.

- Boże, ależ tu gorąco - mruknęła Juliana, ściągając z siebie fartuszek. Kiedy zaczęła rozpinąć guziki haftowanego gorsetu, powstrzymał ją, chwytając za ramię.

- Jesteś pewna, że to rozsądne? - spytał.

Podniosła na niego oczy, które w cienistej jaskini wydawały się jaśniejsze niż zwykle.

- Mam do ciebie zaufanie, Cole.

Opuścił rękę.

- Może nie powinnaś.

Wyraźnie zbita z tropu, poniechała zabiegów przy gorsecie, ale za to poluzowała przy szyi płócienną bluzkę.

- Jedz, Juliano - zachęcił trochę niepewnym głosem.

Uciekając spojrzeniem, podniosła do ust kawałek grzanki.

- A ty nie masz zamiaru nic zjeść? - spytała po dłuższej chwili.

- Wolę na ciebie popatrzeć - odparł, czując, jak ciepło z żołądka rozchodzi się po całym ciele.

Popatrzyła na niego i pochyliła się, jakby chciała sięgnąć po butelkę.

Znów ją powstrzymał tym samym gestem co poprzednio.

- Lepiej nie. Jest za mocna.

- Zrobię, co zechcę, Cole'u Strangfordzie.

- Odpowiadam za twoje bezpieczeństwo...

- Ale nie jesteś moim stróżem - przerwała mu. - Ani ojcem. - Wzięła butelkę i pociągnęła z niej niewielki łyk. Tym razem się nie krztusiła ani nie kaszłała, ale oczy jej zwilgotniały. Wyobraził sobie, jakie mogą być skutki jej śmiałych poczynań, skoro sam już odczuwał leciutki szum w głowie.

- Przed nami długa droga do Shoreham Park Manor i do tego zejście po stromym zboczu - przypomniał. - Powinniśmy zaraz wyruszyć, zanim słońce zacznie zachodzić.

- Och, mamy jeszcze trochę czasu - upierała się. - Nie skończyliśmy posiłku, a poza tym chciałabym zanurzyć stopy w tym gorącym źródle. Muszę przyznać, że bołą mnie nogi od długiego chodzenia.

Myśl, że zobaczy jej nagie stopy i kostki, stłumiła w nim wszelkie protesty. Jeszcze raz pociągnął z butelki. Następne kilka minut upłynęło im na dojadaniu resztek i popijaniu ich koniakiem. Kiedy po skończonym posiłku Juliana znów wyciągnęła rękę po butelkę, Cole zdecydowanie zaoponował.

- Masz już dość.

Wzruszywszy ramionami, zaczęła składać muślinowe serwetki. Cole zdziwił się, że idzie jej to całkiem sprawnie; choć nie mogła być przyzwyczajona do koniaku ani innych mocnych trunków, wydawała się zupełnie trzeźwa. Trochę go to dziwiło, bo sam miał wrażenie, że krew gotuje mu się w żyłach. Jednak kiedy Juliana wstała, żeby się zbliżyć do gorącego źródła, dostrzegł pewną chwiejność w jej chodzie, co świadczyło, że trunk wywołał efekt, jakiego się spodziewał.

- Czas odświeżyć nogi - oznajmiła Juliana i usiadła, żeby zdjąć pantofle i pończochy.

Cole przełknął ślinę na widok kształtnych kostek i delikatnych, drobnych stóp. W końcu zanurzyła je w gorącej wodzie, wydając z siebie westchnienie błogości.

- Cudownie. - Poklepała miejsce obok siebie na kamieniu. - Przyłącz się do mnie, Cole. Chcę, żebyś ty też poczuł, jakie to przyjemne.

Uniósł brwi, zaskoczony zaproszeniem. Choć brzmiało całkiem niewinnie, w oczach Juliany pojawił się błysk, od którego zakręciło mu się w głowie. Znienacka przypomniał sobie opowieść o oficerze, z którym omal nie uciekła. Może był w niej jakiś rys nieposkromionej dzikości, na co dzień skrywany, lecz ujawniający się w pewnych okolicznościach.

Cole aż pokręcił głową, myśląc o pokusach, jakim musiał się opierać, odkąd ją poznał. Było ich więcej niż w przypadku wszystkich innych znanych mu kobiet. I tak się jakoś składało, że mimo mocnego postanowienia, że będzie nad sobą panował, w końcu się poddawał. Gdyby nie niedorzeczność tego pomysłu, uznałby, że jest uwodzony.

Jest uwodzony...

Zaintrygowany, przysunął się bliżej do Juliany.

- Chciałbym się do ciebie przyłączyć, ale obawiam się konsekwencji takiej zabawy.

- Konsekwencji? - Spojrzała na niego oczyma wielkimi ze zdziwienia.

Uśmiechnął się znacząco.

- Proszę mnie, żebym się rozebrał. Taka prośba zawsze ma poważne konsekwencje. Jesteś pewna, że tego chcesz?

Uciekła wzrokiem.

- Cole, chcę tylko, żebyś zobaczył, jakie to przyjemne.

- Myślę, że chcesz czegoś więcej. - Nie spuszczać z niej oczu, zdjął buty i skarpetki, podwinął nogawki spodni i zanurzył stopy w gorącym źródle. Cudownie ciepła woda gładziła mu skórę, masując nadwreżone mięśnie.

- Ciekawe, jak by to było... wykapać się w tym źródle.

- Nie mamy ubrań na zmianę - zauważyła.

- Moglibyśmy się wykapać nago.

Wydała z siebie urywane westchnienie, jakby nagle brakło jej tchu; splecioną odwróciła głowę.

Cole patrzył na jej profil. Roządek przypominał mu, że ma do czynienia z niezamężną kobietą, oddaną pod jego opiekę przez ufego ojca. Powinien więc kazać jej się ubrać i wyprowadzić ją na zewnątrz, gdzie William byłby świadkiem ich zachowania. Ale instynkt, pierwotny i posłuszny zmysłom, popychał go ku czemuś wręcz przeciwnemu, zachęcał do szukania przyjemności, której obietnica kryła się w jej spojrzeniu.

- Widziałas już kiedyś nagiego mężczyznę, Juliano? - odezwał się ściszym głosem.

Odważyła się na niego spojrzeć.

- Nie.

- Jesteś pewna? - Nie mógł wyrzucić z pamięci pewnego oficera kawalerii.

Przytaknęła, wygładzając spódnice drżącymi rękami.

Przysunął się do niej całkiem blisko. Nim zdążył się zastanowić nad tym, co robi, pochylił głowę i przywarł ustami do jej ust. Całował ją łapczywie; wzbierająca namiętność tłumiła w nim wszelkie skrupuły. Wargi miała miękkie, uległe, ale kiedy przytulił ją mocniej i zaczął poczynać sobie śmieiej, dołączając pieszczotę języka, oparła mu ręce na ramionach i odepchnęła go od siebie.

- Cole, jestem zdenerwowana - szepnęła bez tchu, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- Chcesz, żebym przestał?

Po momencie wahania zaprzeczyła ruchem głowy.

Wrócił do przerwane go pocałunku, lecz tym razem objął Julianę i ułożył na płaskim kamieniu na dwa centymetry zanurzonym w ciepłej, źródlanej wodzie. Na początku próbowała się wyswobodzić z jego uścisku, ale trzymał mocno i po chwili jej opór zaczął słabnąć, aż w końcu poddała się, zaczęła odpowiadać na pocałunek, zarzucając mu ręce na szyję. Przewyciężając nieśmiałość, wsunęła mu język do ust, naśladując ruchy jego języka.

Przywarł do niej całym ciałem, wsparty na łokciu, żeby jej nie zgnieść swoim ciężarem i szybkimi, lekkimi pocałunkami muskał jej skórę od kącików ust, przez podbródek, w dół ku piersiom. Resztki rozsądku mówiły mu, że postępuje niewłaściwie, że jego zachowanie jest niegodne dżentelmana, ale dotyk smukłego kobiecego ciała i gorliwość jej pocałunku szybko kazały mu zapomnieć o zasadach przyzwoitości. Rozpiął jej gorset, a potem rozwiązał bluzkę, żeby odsłonić piersi. Kiedy przywarł ustami do cudownie różowych brodawek, które stwardniały pod dotykiem jego języka, wydała z siebie stłumione westchnienie.

- Och, Cole - jęknęła, wsuwając mu palce we włosy.

Oderwał się od niej na chwilę, żeby zmienić pozycję. Obejmując ją udami, oparł kolana na kamieniu po obu stronach

jej bioder i znów się pochylił do jej ust. Z cichym mruzeniem wygięła ciało w łuk, ocierając się przy tym o jego nabrzmiałą męskość.

Rozogniony tym na wpół nieświadomym, na wpół kuszącym ruchem całował usta, nos, policzki, czoło, powieki, dopóki nie naznaczył każdego miejsca na jej twarzy. Zaciskał dłonie na jej piersiach, rozkoszując się ich jędrną krągłością, gdy poczuł, jak Juliana po omacku znajduje guziki jego kamizelki i rozpina je, jeden po drugim.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał.

Zamiast odpowiedzi zaczęła delikatnie ścisnąć zębami jego ucho. Wstrząsnął nim dreszcz. Wiedział, że nawet przez warstwę ubrania Juliana musi czuć fizyczny dowód jego podniecenia, ale nie spodziewał się, że sam poczuje w tym miejscu jej drżącą dłoń. Przyłapawszy jej spojrzenie, zobaczył w nim pragnienie, świeżo rozbudzoną namiętność, która nie dba o konwenanse, moralność czy reputację. Wiedział, jak bardzo go pożąda, i ta świadomość doprowadzała go na skraj szaleństwa.

Znów pieścił i całował jej piersi, a kiedy na moment oderwał od nich usta, jęknęła cicho, jakby prosiła, by nie przestawał. Jednocześnie zaczęła poruszać biodrami, ocierając się o niego rytmicznie, ochlapując ich oboje ciepłą źródlaną wodą. Czując, jak narasta w nim to znajome, szczególne napięcie, szybko zsunął się z niej, żeby przyjemność nie zakończyła się przedwcześnie. Ułożył się na boku, żeby widzieć jej twarz.

- Cole - szepnęła - nie przestawaj.

- Nie mam zamiaru przestać, skarbie - zapewnił ją zduszone głosem, zdzierając z siebie kamizelkę. Szarpnął zapięciem koszuli z taką niecierpliwością, że urwał jeden z guzików. Juliana tymczasem wsunęła mu rękę do spodni, objęła go palcami i delikatnie zaczęła masować.

- Och... - Przytrzymał jej dłoń nieruchomo, bojąc się zbyt szybkiego finału, postanowił bowiem najpierw doprowadzić Julianę do bram rozkoszy. Rozgarnawszy fałdy spódnicy,

odnalazł miejsce, którego szukał, gorące i wilgotne, czekające na jego dotyk.

Wydała z siebie cichy jęk, kiedy delikatnie wsunął w nią palec i oddychając ciężko, jakby brakowało jej tchu, zaczęła kołysać biodrami, napierając na jego dłoń. Powoli próbował wsunąć palec głębiej... aż nagle natrafił na przeszkodę, która jednoznacznie i niezawodnie świadczyła o tym, że Juliana Pritchard jest niewinna w najprawdziwszym sensie tego słowa.

Poczucie odpowiedzialności nieco go ostudziło.

- Cole, proszę - szepnęła błagalnie.

Znów zaczął ją pieścić, końcem palca zataczał drobne kręgi wokół najczulszego punktu jej kobiecości. Kiedy w odpowiedzi ponownie sięgnęła do jego krocza, spokojnie pokierował jej dłonią, ucząc ją, jak najlepiej może go zadowolić. Posłuszna wskazówkom zacisnęła palce i miarowo poruszała ręką.

Oboje oddychali coraz szybciej, Juliana wiała się pod jego coraz głębszą, coraz bardziej natarczywą pieszczotą, jednocześnie przyciągając go do siebie. Doskonale czuł, o co jej chodzi - pragnęła, żeby ją posiadał, tak jak tylko mężczyzna może w pełni posiadać kobietę. Jęknął, ale nie ustąpił. Zrobiłby to z największą ochotą, gdyby tylko mógł. Jednakże odkrycie, że jest niewinna, wiele dla niego zmieniło. Choć rozpalona namiętnością, pozostawała nietknięta i chciał, żeby taka była aż do nocy poślubnej.

- Chcę cię mieć bliżej - wyszeptowała półprzytomnie.

Ukrył twarz na jej szyi; napięcie w łądźwiach graniczyło z bólem. Przycisnąwszy dłoń do porośniętego miękkim kędzierzawym włosem trójkąta między jej nogami, pieścił ją z coraz większym zapamiętaniem, sięgając palcem najdalej, jak to było możliwe bez naruszenia jej dziewictwa. Wkrótce poddała się narzuconemu przez niego rytmowi; dysząc głośno, unosiła biodra, coraz szybciej, coraz bardziej gwałtownie, aż wreszcie stężała wokół jego palca gorącym, wilgotnym uściskiem. Szepcząc jego imię, bezwiednie zacisnęła dłoń z całej siły, co

ostatecznie skruszyło tamę opanowania. Fala rozkoszy, już niepowstrzymana, rozchodząca się od łędźwi po całym ciełe, porwała go, uniosła, oślepiła.

Zamknawszy oczy, poddał się jej, bezwolny i drżący. A potem leżał obok Juliany bez tchu, wyczerpany, pusty, a ciepła woda ze źródła delikatnie obmywała mu ramię.

Przytulił Julianę do siebie. Westchnęła, przywierając do jego boku. Przez długą chwilę, milcząc, leżeli spleceni w uścisku. Cole był w stanie myśleć tylko o tym, jak mu dobrze i jak bardzo Juliana pasuje do jego objęć. Nigdy się tak nie czuł przy żadnej innej kobiecie i żałował, że ta chwila nie może trwać wiecznie. Jednakże nic nie trwa wiecznie, o czym upewniło go jedno spojrzenie w stronę wylotu jaskini. Światło na zewnątrz przygasło; oznaczało to, że minęło sporo czasu. Musieli jak najszybciej zebrać się do powrotu, bo inaczej mogła ich tu odnaleźć wyprawa poszukiwawcza.

Kiedy popatrzył na Julianę, żeby się z nią podzielić swymi obawami, wydało mu się, że widzi w jej oczach niepokój. Pochylił się nad nią wsparty na łokciu.

- Dobrze się czujesz, skarbie? - spytał z ustami tuż przy jej uchu.

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w miejsce, gdzie źródłana woda, bulgocząc, wypływała ze skalnej szczeliny.

Cole poczuł się nieswojo.

Sytuacja pomiędzy nim i Julianą stała się dziwnie niezręczna. Miał świadomość, że powinien jej zaproponować małżeństwo. Właściwie miał tę propozycję na końcu języka. Tylko nie mógł w sobie zebrać odwagi, by ją wypowiedzieć. Choć Juliana pod wieloma względami wydawała mu się doskonałą, coś go powstrzymywało. Może nie do końca świadomie pragnął zachować swój kawalerski stan, a może jego instynkt wyczuwał coś, co uszło uwagi rozumu. Od przyjazdu Juliany wydarzyło się kilka dziwnych rzeczy, takich jak zniszczenie jego aparatu do oddychania pod wodą czy pojawienie się syreny. Poza tym

fakt, że Juliana nie orientuje się w podstawowych sprawach dotyczących cygańskiej kultury, także musiał budzić zdziwienie.

- Juliano, czy coś jest nie tak? - spytał cicho.

Odwróciła się na plecy, żeby go lepiej widzieć i delikatnie pogłaskała go po policzku. Nadal się jednak nie odzywała.

Odgarnął jej włosy z czoła.

- Powiedz mi, co cię gnębi - poprosił, już poważnie z-troskany.

- Cole, czyja cię zadowoliłam? - spytała nagle, ze wzrokiem utkwionym w jego ustach.

Uśmiechnął się mimowolnie.

- Nawet bardzo. A ja ciebie?

- Też - zapewniła, choć ton jej głosu mógł budzić podejrzenie, że nie jest do końca szczerą.

Na wpół rozbawiony, na wpół urażony, że jego męskość została podana w wątpliwość, pstryknął ją leciutko w koniec nosa.

- Nie brzmiało to zbyt przekonująco. Nie było ci dobrze? Westchnęła.

- Pokazałeś mi coś, o czym nie miałam pojęcia, że może się zdarzać między mężczyzną i kobietą. Ta przyjemność była... nie do opisania. Ale myślałam... to znaczy słyszałam, że mężczyzna zwykle... no, chodzi mi o to, że kiedy mężczyzna łączy się cielesnie z kobietą...

Odetchnął z ulgą. Zatem nie chodziło jej o to, że źle się spisał.

- Wiem, co próbujesz mi powiedzieć. - Pokiwał głową. - Nie kochaliśmy się w pełnym znaczeniu tego słowa. To ci nie daje spokoju?

- Pomyślałam tylko, że może cię nie zadowalam.

- Ależ całkowicie mnie zadowoliłaś - powtórzył z naciskiem. - Ale chyba już nigdy się nie zdecyduję na takie zbliżenie.

- Więc dlaczego nie kochaliśmy się tak naprawdę?

- Cóż... - Zawahał się na moment. - To, co dziś między nami zaszło, nie było z mojej strony całkiem honorowe. Jesteś

niezameżną młodą kobietą i choć nie mogę zaprzeczyć, że poniosła nas namiętność, nie chciałem ci odebrać dziewictwa. Nie powinienem był cię wykorzystywać. Powinienem natomiast zaproponować ci małżeństwo.

- Nie przepraszaj za to, co się stało - poprosiła zdławionym szepsem. - Nie lekceważ naszego pierwszego zbliżenia.

- Och, skarbie, ani myślę lekceważyć tego, co między nami zaszło, ale też nie chcę, byś ty poczuła się zlekceważona. Powinniśmy się pobrać.

Zmarszczyła brwi w wyrazie namysłu.

- Właściwie nie jestem jeszcze pewna, czy chcę za ciebie wyjść, Cole'u Strangfordzie, a skoro nie zabrałeś mi dziewictwa, nie mamy powodu spieszyć się do ołtarza. Chyba powinnam ci być wdzięczna, że nad sobą panowałeś.

- Piekielnie ciężko mi to przyszło - wyznał, starając się ukryć zaskoczenie jej deklaracją. Był przekonany, że Juliana będzie się domagać małżeństwa po tym, co się stało. Tymczasem wyraźnie jej na nim nie zależało. To odkrycie, nie wiedzieć czemu, kazało mu spojrzeć na Julianę z nowym entuzjazmem.

- Chyba kazaliśmy biednemu Williamowi czekać zbyt długo - stwierdziła, podnosząc się do pozycji siedzącej.

Cole wstał i pomógł jej się pozbierać.

- Chciałbym, żeby to popołudnie trwało wiecznie.

- Ja też - powiedziała, otrzepując spódnice. - Ale musi się skończyć.

- Niestety.

Z poczuciem, że to Juliana panuje nad sytuacją, Cole podniósł z ziemi jej gorset i próbował rozprostować zagięcia na materiale.

- Na szczęście nie jest całkiem mokry, choć to pewnie bez znaczenia, bo jesteś cała przemoczona, zupełnie jak ja.

Parsknęła śmiechem.

- Co sobie pomyśli twój kamerdyner?

- William nawet nie zauważył - odparł z przekonaniem. Pomógł jej się ubrać, a następnie zajął się swoim wyglądem.

Juliana zawiązała bluzkę, włożyła gorset, po czym wycisnęła wodę z włosów i upięła je w luźny węzeł za pomocą kościanej spinki. Zauroczony wdziękiem każdego jej ruchu, Cole stał i wpatrywał się w nią, dopóki nie przywołała go do porządku wymownym chrząknięciem.

- Jesteś gotowy, Cole?

Zawstydzony, skwapliwie przytaknął i podał jej ramię. Wzięła go pod rękę i razem wyszli z jaskini.

Przywitał ich zmierzch. William stał na plaży daleko w dole. Cole pomachał ręką, żeby zwrócić uwagę kamerdynera. Udało mu się, bo William w odpowiedzi także im pomachał. Za Williamem rozpościerał się ocean o powierzchni gładkiej niczym lustro, w którym odbijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca.

- To była zdecydowanie najdłuższa moja wycieczka - powiedział Cole z obawą, czy aby pan Pritchard nie będzie miał im za złe długiej nieobecności. - I najprzyjemniejsza.

- Moja także. - Przystanęła, żeby go wziąć za rękę. - Mam nadzieję, że wkrótce znów się na podobną wybierzemy.

Delikatnie uściśnęła jej dłoń.

- Zrobimy to, skarbie, obiecuję.

Juliana ponownie się zatrzymała, tym razem żeby podciągnąć spódnice i przygotować się do okrażenia wystającego głazu. Cole wykorzystał przerwę w marszu na podziwianie spokojnej tafli morza. Nagle zauważył niewielką zmarszczkę, a właściwie strużkę piany na wodzie. Wyglądało to tak, jakby tuż pod powierzchnią, parę metrów od brzegu, przepływało coś dużego.

Znieruchomiał ze wzrokiem utkwionym w dziwne zjawisko.

- Widziałas?

Juliana także zastygła w bezruchu. Spojrzała we wskazanym przez Cole'a kierunku.

- Czy co widziałam?

- Ten ślad piany na powierzchni wody - mruknął, przypominając sobie widok syreny, którą spotkał w morzu przed dwoma tygodniami. Ogarnęło go podniecenie.

~ Jak myślisz, co to może być?

Juliana z natężeniem wpatrywała się w ocean.

- To musi być delfin. W pobliżu jest ich pewnie jeszcze kilka. Zwykle pływają razem, całymi rodzinami.

Przyjrzał jej się z zaciekawieniem.

- Skąd tyle wiesz o delfinach? Myślałem, że po tamtym wypadku trzymasz się z daleka od wszystkiego, co się wiąże z morzem.

- Cóż, ja... - Machnęła ręką niecierpliwie, jakby nie potrafiła znaleźć właściwej odpowiedzi na jego pytanie. Był ciekaw, dlaczego się zająknęła, ale postanowił nie drażnić tematu. Jego uwagę całkowicie zaprzętnął tajemniczy ślad na wodzie.

- Może to coś bardziej niezwykłego od delfina. Spróbuję to złapać.

- To może być rekin - ostrzegła.

- Albo jeden z ludzi morza - podsunął. - Chodźmy.

Nawet nie drgnęła. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Ludzi morza?

- No, chodź! - ponaglił.

Nic nie mówiąc, odwróciła się i zaczęła schodzić ze zbocza; poruszała się jednak znacznie wolniej niż poprzednio. Po pewnym czasie Cole nabrał podejrzeń, że specjalnie próbuje mu przeszkodzić.

Spojrzał z niepokojem na morze. Smuga piany nie zniknęła, lecz przemieszczała się to tu, to tam, jakby jakaś syrena igrała pośród fal. Zniecierpliwony ponaglił Julianę do szybszego marszu.

- To ona. Wiem, że to ona. Muszę się pośpieszyć, jeśli chcę ją złapać.

- Złapać kogo?

Byli już prawie na dole. Cole uznał, że ostatni odcinek drogi po skalnej półce jest na tyle łatwy, że Juliana może pokonać

go sama. Wyminął ją więc ostrożnie i ruszył przodem, kierując się ku brzegowi.

William czekał na niego na plaży.

- Jest pan gotów wracać do domu, sir?

Cole potrząsnął głową przecząco.

- Jeszcze nie. Miej na oku pannę Pritchard, Williamie. A kiedy wrócimy do domu, na wypadek gdyby ktoś pytał, towarzyszyłeś nam podczas całej wycieczki.

- Jak pan sobie życzy - rzekł kamerdyner spokojnie.

Cole postanowił dorzucić kilka suwerenów do Williamowej wypłaty.

- Mam zamiar trochę popływać - oświadczył, zrzucając buty.

- Tak, proszę pana.

Juliana tymczasem zdążyła do niego dołączyć.

- Cole, co ty robisz?

- Idę popływać.

- W ubraniu?

- Chcę się z kimś spotkać.

Uniosła brwi.

- Dlaczego? Myślałam, że ci ludzie morza są twoimi wrogami. Skąd wiesz, czy w ogóle istnieją?

Zawahał się. Wiedział doskonale, że istnieją, lecz gdyby przyznał, że widział jedną z nich, czy Juliana nie uznałaby go za szaleńca? Nie miał ochoty sprawdzać. Mimo to należała jej się w miarę uczciwa odpowiedź, więc po krótkim zastanowieniu rzekł:

- Rozsądek mówi mi, że stworzenie, które tam pływa, jest delfinem. Jednakże największe wynalazki zrodziły się raczej z intuicji niż z rozsądku. Krótko mówiąc, czasami opłaca się uganiać za marzeniami.

- A jeśli znajdziesz jednego z ludzi morza, co zrobisz?

- Nie wiem. - Uśmiechnął się. - Może jej się przedstawię? Poproszę grzecznie, żeby mi oddała Morski Opal?

Juliana odwróciła głowę.

- Poczekam tu na ciebie.

Cole znów przeniósł wzrok na wodę. Ślad piany wciąż był widoczny, tyle że przesunął się nieco dalej wzdłuż brzegu. Musiał się pośpieszyć, jeśli chciał mieć szansę dogonienia tej morskiej istoty.

Rozpędził się po piasku i w pełnym biegu wpadł do morza. Wznecając fontanny, biegł, dopóki woda nie stała się wystarczająco głęboka, by mógł płynąć. Chłód na moment zaparł mu dech w piersi; zaczął energicznie machać ramionami, żeby rozgrzać mięśnie. Zanurkował pod falą; sól zapiekła go pod powiekami. Wynurzywszy się, ocenił odległość od brzegu; nie chciał się oddalać bardziej niż na kilkanaście metrów w obawie, że przeoczy swój cel pośród fal.

Mięśnie szybko zaczęły go boleć od wysiłku. Nie przejmował się tym, ożywiony pościgiem. Powoli zbliżał się do miejsca, gdzie raz po raz wykwitawała grzywa piany. I nagle ujrzał szary ogon, który przeciął powierzchnię wody, po czym znowu zniknął pod falami. Był to ogon delfina. Ale to wcale nie znaczyło, że istota, za którą się uganiał, jest delfinem. Zaczął machać kończynami ze zdwojoną energią. Tak niewiele brakowało, by osiągnął tej tajemniczej istoty. Uśmiechnął się na wspomnienie jej doskonałych kształtów i rysów.

Ślad piany zniknął.

Cole przestał płynąć, rozejrzał się dokoła zdezorientowany. Morska zjawa gdzieś przepadła.

Uznał, że widocznie musiała zanurkować głęboko, więc jeśli chwilę poczeka, znowu ją ujrzy.

Mijał czas, a powierzchnia oceanu wciąż pozostawała niezamącona.

Rozczarowany, obejrzał się w stronę brzegu i odkrył, że woda zniosła go znacznie w głąb morza. W istocie znajdował się bardzo daleko od lądu. Poczował w środku ukłucie niepokoju. Chryste, miał kawał drogi do przepłynięcia.

Jakaś drobna figurka machała do niego z oddali.

Pomyślał o Julianie. Próbowwała go ostrzec przed niebezpieczeństwem, na które sam się narażał. Na szczęście był świetnym pływakiem. Przez całe życie mieszkał nad morzem i większość wolnego czasu spędzał na nurkowaniu. Dobrze znał wodę i się jej nie bał.

Zwrócony twarzą do brzegu zaczął płynąć.

Starął się nie zwracać uwagi na palący ból w ramionach. Płynął wytrwale, aż nagle zauważył coś dziwnego.

Choć kierował się ku brzegowi, miał wrażenie, że się od niego oddala. Parę metrów od niego po prawej i lewej stronie tworzyły się fale, lecz wokół niego woda była całkiem spokojna, jakby płynął rzeką przecinającą ocean.

Lodowaty strach ścisnął go za gardło, kiedy zdał sobie sprawę ze swego położenia.

Dostał się w prąd morski, który wyrzucał daleko w morze wszystko, co się znalazło w jego zasięgu.

Do tego był już zmęczony.

Ogarnęła go panika. Jak, u diabła, mogło mu się to przytrafić? W tej części wybrzeża od lat nikt nie słyszał o żadnych prądach. Chryste, ależ miał pecha! Przypomniawszy sobie radę otrzymaną niegdyś od dziadka, zaczął płynąć równoległe do brzegu, zamiast zmierzać do niego wprost. Pokonanie siły prądu w ten sposób było niemożliwe. Należało próbować raczej się z niego wydostać, płynąc w prawo lub w lewo i modląc się przy tym, by nie był zbyt szeroki.

Cole miał wrażenie, że całą wieczność płynie wzdłuż brzegu. Co chwilę zerkał w stronę plaży, próbując ocenić, czy zbliżył się do niej choć trochę. Zdawało mu się, że tak, ale odległość wciąż była znaczna. Mięśnie paliły go nieznośnie, woda coraz częściej przelewała mu się po głowie. Wiedział, co to znaczy. Zaczynał tonać.

Był bliski śmierci.

Nie mógł uwierzyć, że tak skończy. Kiedy jednak zalała go kolejna fala i łapiąc oddech, napił się wody, zrozumiał, że tym razem zagrał niewłaściwą kartą. Nie powinien był ścigać tego delfina. Juliana miała rację. Był szalony, szalony... i wkrótce miał zginąć.

Przestał płynąć, skupiony tylko na tym, by utrzymać głowę ponad wodą. Wiedział, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby go uratować, a mimo to potężna wola życia kazała mu się trzymać na powierzchni tak długo, jak to możliwe. Znów pomyślał o Julianie. Był pewien, że mogli przeżyć razem coś wyjątkowego. Może gdyby zdołał wytrwać...

Następny łyk morskiej wody przyprawił go o mdłości. Czując, że tonie, kilka razy mocno pomachał nogami. Pomogło, wynurzył się na powierzchnię, lecz wiedział, że niewiele razy zdoła to powtórzyć. Mięśnie rąk i nóg, które jeszcze przed chwilą go paliły, teraz zrobiły się zimne i zdrętwiałe.

Tonąc, myślał, że nie jest to najgorszy rodzaj śmierci.

Zastanawiał się, czy specjalnie nie wciągnąć wody do płuc, żeby koniec był szybki i spokojny. W głowie mu się kręciło, wzrok tracił ostrość. Właściwie już niewiele widział. Przed oczyma miał barwne plamy... zapewne z braku tlenu.

- Wieczna pogoń za marzeniami - szepnął.

I była to jego ostatnia przytomna myśl.

10

Lodowaty chłód ścinał serce Juliany, kiedy patrzyła, jak Cole płynie prosto w zdradliwy prąd. Czy rozumiał, na jakie niebezpieczeństwo się naraża? Czy powinna się o niego martwić?

Podeszła do Williama; konieczność szybkiego działania stłumiła w niej dziewczęce skrupuły.

- Jak dobrze pan Strangford umie pływać, Williamie?

- Naprawdę bardzo dobrze, panienko - zapewnił kamerdyner.

- Spójrz tam - poleciała, wskazując odpowiedni kierunek. - Widzisz go? Wpadł w środek fatalnego prądu. Bardzo trudno się z niego wydostać, bo potrafi wciągnąć sto metrów w głąb morza, zanim człowieka wypuści. Czy pan Strangford jest aż tak znakomitym pływakiem, żeby sobie poradzić?

William zmarszczył brwi. Wytężając wzrok, szukał na wodzie sylwetki Cole'a.

- Niemal urodził się w oceanie. Potrafi nawet krążyć wokół delfinów.

Juliana stropiła się; miała ochotę zwrócić Williamowi uwagę, że Cole wcale nie okrąża delfina, którego ściga.

Wpadłeś kiedyś w taki prąd?

- Pan Strangford wie, co robi, panienko. Proszę się nie martwić.

- Bzdury. Jeśli jeszcze nie ma kłopotów, to wkrótce będzie je miał - ostrzegła.

Kamerdyner przyjrzał jej się z uwagą, a potem znów przeniósł wzrok na morze. Juliana czuła, że jest zaskoczony.

- Jak dobrze zna pani te wody?

- Na pewno lepiej niż ty, Williamie - stwierdziła z mocą. Miała jeszcze jeden powód, by nie chcieć śmierci Cole'a - od pewnego czasu znaczył dla niej więcej, niż mogła się spodziewać. - Umiesz pływać?

William przez chwilę milczał zapatrzony w morze. Juliana podażyła za jego wzrokiem i dostrzegła, że Cole przestał płynąć i już tylko unosił się na wodzie. Jego sylwetka stawała się coraz mniejsza, co znaczyło, że prąd znosi go w przeciwną stronę.

~ Nie umiem, panienko - odezwał się wreszcie kamerdyner drżącym głosem. - Bardzo żałuję, bo chyba pani ma rację. Pan Strangford ma kłopoty.

Juliana szarpnęła przestraszonego nagle człowieka za ramię.

- Williamie, czy w pobliżu jest ktoś, kto mógłby nam pomóc?

- On poszedł pod wodę, panienko - wykrztusił kamerdyner, blednąc. - Już go nie widzę.

- Chcę, żebyś poszedł po pomoc - rozkazała Juliana. Musiała się go pozbyć, żeby móc zrobić to, co było konieczne. - Ja tu zostanę i nie spuszczę go z oczu. Patrz, znów się wynurzył. - Rzeczywiście, głowa Cole'a znów ukazała się nad wodą, choć Juliana miała świadomość, że niedługo zniknie na dobre. Ze ściśniętym gardłem popchnęła Williama na ścieżkę prowadzącą do drogi. - Biegnij! Znajdź pomoc! Im szybciej pójdziesz, tym większą szansę będzie miał pan Strangford.

William przytaknął gorliwie i pognał przed siebie. Juliana odczekała, aż całkiem zniknie jej z oczu, po czym zaczęła

w wielkim pośpiechu ściągać z siebie ubranie. Wiedziała, że decydując się na przeobrażenie, podejmuje ogromne ryzyko. Gdyby Cole rozpoznał ją jako jedną z ludzi morza, jej misja musiałaby się skończyć fiaskiem. Tylko jaki miała wybór - pozwolić mu utonąć? Nie mogła zgodzić się, by ten człowiek, pełen sprzeczności marzyciel, tak po prostu zginął.

Zupełnie naga weszła do morza. W zetknięciu ze słoną wodą stopy natychmiast zaczęły ją swędzieć. Nie wzbraniała się przed tym odczuciem, przeciwnie, powitała je z ulgą, niecierpliwie czekając, aż się wzmoże, obejmując całe ciało. Zazwyczaj powoli wchodziła do morza, żeby przeobrażenie następowało stopniowo, nie powodując wstrząsów i mniej więcej w chwili gdy woda zaczynała jej sięgać do pasa, miejsce nóg zajmował ogon delfina. Od tego momentu mogła już swobodnie płynąć w głębinie.

Teraz jednak brakowało jej czasu. Szybko wbiegła do morza, zanurzyła się w słonej wodzie i aż krzyknęła z bólu. Przyspieszona zmiana sprawiała jej cierpienie, które musiała jakoś znieść, nie mając innego wyboru.

Ścisnęła mocno uda, czując, jak przenika je dziwne mrowienie. Nie musiała sprawdzać dotykiem, by wiedzieć, że skóra na nich, choć pozostaje gładka, robi się grubsza i śliska. Z trudem zdusiła w sobie jęk, kiedy kręgosłup jej się wydłużył i nabrał giętkości, by mogła nim machać w przód i w tył, śmigając pośród fal. Mięśnie pojawiły się w miejscach, gdzie wcześniej ich nie było. Stopy, rozpostarte na boki, spłaszczyły się, przyjmując formę płetwy ogonowej.

Woda wokół niej burzyła się i pieniała, jakby również podlegała działaniu magii, która przekształcała ciało Juliany. Potarła swędzące oczy, które stopniowo pokrywała ochronna błona. Zrobiło jej się gorąco, a potem zimno, targnęły nią mdłości. Zaczęła się trząść tak gwałtownie, jakby zaraz miała się rozpaść na kawałki.

Szczękając zębami, niezdolna zebrać myśli, zacisnęła powieki i modliła się, by jak najszybciej było po wszystkim. Szybsze niż zwykle tempo przeobrażenia, zmiany ułożenia kości i tworzenie się mięśni powodowało mocniejsze niż zazwyczaj skurcze i ból. Palenie w piersi wskazywało, że płuca przystosowują się do filtrowania tlenu z wody, a wszystkie pozostałe organy nabierają właściwości pozwalających im wytrzymać zwiększone ciśnienie w głębinach. Przez cały czas przemiany swędzenie i gorączka nasilały się stopniowo, aż stały się nie do zniesienia. Juliana miała wrażenie, że umrze, jeśli straszliwe męczarnie nie dobiegną końca.

I wtedy, gdy już jej się zdawało, że zaraz skona, wyjąc z bólu, cierpienie ustało.

Poruszyła ogonem. Woda wokół niej przestała się burzyć.

Juliana stała się jedną z ludzi morza.

Było jej przyjemnie ciepło, czuła się silna i ożywiona. Znów machnęła ogonem i bez najmniejszego wysiłku przecięła fale. Rozpuszczone włosy rozpostarły się wachlarzem wokół jej głowy. Wciągnęła do płuc morską wodę, a serce zasililo krwią wszystkie najodleglejsze zakamarki jej ciała. Czasami wyobrażała sobie, że przeobrażenie z mieszkańca łądu w człowieka morza musi przypominać poród. Nic dziwnego, że noworodki krzyczały w momencie przyjścia na świat, skoro było to tak strasznie bolesne.

Zwykle po takiej przemianie jakiś czas poświęcała na zabawę wśród fal, rozkoszując się dotykiem wody na skórze i wolnością, która pozwalała jej nurkować w głębinach i odkrywać świat tak bardzo inny od tego na lądzie. Tym razem jednak myślała wyłącznie o Cole'u. Napięta, szybkimi ruchami ogona nabrała rozpędu; ręce trzymała przyciśnięte do boków, żeby zmniejszyć opór wody i tym samym nie tracić prędkości. Z tego co pamiętała, miała zdradziecki prąd tuż przed sobą, więc żeby znaleźć Cole'a, musiała jedynie dać mu się ponieść na pełne morze.

Po krótkiej chwili poczuła, że opływająca ją woda stała się chłodniejsza i odpychają od brzegu. Rozejrzała się za Cole'em, przecinając prąd tu i tam w różnych kierunkach. Miała nadzieję, że stracił przytomność, bo choć brzmiało to strasznie, dzięki temu nie widziałyby, kto go ratuje. Jednakże trudno się było spodziewać, że pójdzie jej tak łatwo. Juliana wiedziała, że Cole jest waleczny i nieprędko ustąpi przed żywiołem.

Z daleka dobiegł ją pisk delfina. Prawdopodobnie tego samego, który zwabił Cole'a do morza, a potem odpłynął. W myślach życzyła delfinowi szczęśliwej drogi, ale nie przerywała gorączkowych poszukiwań. Czas mijał nieubłaganie, Juliana coraz bardziej się niepokoiła, a Cole'a nigdzie nie było widać.

Czyżby już utonął, pomyślała z trwogą.

Zanurkowała pod prąd, żeby sprawdzić. Kilka dużych ryb podpłynęło bliżej, żeby jej się przyjrzeć bez większego zainteresowania, lecz poza nimi nie dostrzegła niczego.

Zadrżała ze strachu.

Nie wiedziała dlaczego, ale Cole stał się dla niej kimś ważnym i wyjątkowym. Przypomniała sobie, co mówił o pogoni za marzeniami, i szloch wezbrał jej w gardle. Wcale nie był potworem, jakiego się spodziewała, tylko urodziwym mężczyzną o wielu miłych cechach, potrafił ją rozśmieszać, złościć i obdarzać rozkoszą.

W innych okolicznościach wspomnienie jego troski o nią, o jej bezpieczeństwo i reputację mogłoby wywołać u niej uśmiech. Długo się opierał jej zakusom, a kiedy już się poddał, potężnie ją zadziwił. Odkrył w niej namiętność i doznania, o jakich jej się wcześniej nie śniło. Ale nie mogła go pokochać. Nigdy nie mogła go obdarzyć miłością. Była dla niego Judaszem, zdraczkinią, a kiedy odkryje jej oszustwo, będzie jej nienawidził.

Problem polegał na tym, że prawdopodobnie już się w nim zakochała.

Przebłąsk czegoś białego między wodorostami na dnie przykuł jej uwagę. Pośpieszyła w tamtą stronę i znalazła Cole'a; miał otwarte oczy, a z jego ust wydobywały się pojedyncze bąbelki powietrza. Przerazenie zaparło jej dech w piersi.

Utonął.

Jednak kiedy objąwszy go w pasie, wypłynęła na powierzchnię, zamrugał.

Ogarnęła ją ulga, tak potężna, że omal go nie wypuściła. Jakim cudem udało jej się zachować spokój. Cole pozostawał nieprzytomny, zdawało jej się, że nie oddycha. Machając mocno ogonem, żeby utrzymać ich podwójny ciężar na powierzchni wody, zaczęła płynąć do brzegu. Przez cały czas zastanawiała się, czy ją rozpoznał, czy zdawał sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje.

Miała nadzieję, że nie.

Przyciskając do siebie bezwładne ciało Cole'a, kierowała się ku skałom, wystającym z morza parę metrów od brzegu. Podczas przyływu skała znajdowała się pod wodą, ale teraz był odpływ i pozostawała bezpiecznym, choć tylko czasowo, miejscem dla człowieka. Mocując się z ciężarem, wciągnęła Cole'a na skałę i ułożyła go na plecach. Miał pobladłą twarz i niemal sine usta. Z lękiem stwierdziła, że jego serce bije bardzo wolno.

Utrzymując górną połowę ciała nad powierzchnią wody dzięki szybkim ruchom ogona, napała rękami na pierś Cole'a. Gdy tylko strumień wody chlusnął mu z ust, odwróciła go na bok, żeby się nie zadławił. Dopiero kiedy powtórzyła tę czynność pięciokrotnie, zaczął kaszleć.

Aż krzyknęła z radości, że udało im się oszukać śmierć. Teraz musiała wrócić do ludzkiej postaci, zanim Cole odzyska przytomność... lub William wróci z pomocą.

Oszołomiona szczęściem Juliana zanurkowała, wyginając się tak, by nie uderzyć w piaszczyste dno. Przepłynęła wzdłuż

brzegu około stu metrów, po czym skręciła na przybrzeżną płytyzną. Następnie zręcznie wytoczyła się na plażę, gdzie pozostawało jej zaczekać, aż wieczorny wiatr ją wysuszy i w miejsce ogona przywróci jej nogi.

George poczuł, jak ogarnia go żar grzesznego pożądania. Wychylony z balkonu swojej sypialni spoglądał na łąkę, gdzie Lila tak często lubiła brodzić wśród połaci wonnego kwiecica. Cały dom pełen był zebranych przez nią bukietów, a George łąpał się na tym, że zaczyna postrzegać Lilę jako piękny kwiat. W tej chwili także, obserwując ją spacerującą po łące między kępami stokrotek, wyobrażał sobie, jak by wyglądała bez ubrania, osłonięta jedynie przepaską ze stokrotek na piersi i pękiem nawłoci u zbiegu ud.

Myśli o Lili ostatnio nie dawały mu spokoju. Była taka dobra, szlachetna i sprawiedliwa, a do tego tak piekielnie zmysłowa, że nie mógł się powstrzymać przed różnymi sprośnymi fantazjami na jej temat. Prawdopodobnie miało to coś wspólnego z faktem, że Lila zaznała uroku fizycznej miłości i tęskniła za doznaniem, które się z nią wiązały. Nieuświadomiona potrzeba bliskości była sprzeczna z jej pragnieniem poświęcenia się duchowej kontemplacji w klasztorze. W przekonaniu George'a Lila była uśpioną pięknnością, która potrzebowała solidnej porcji miłosnych uniesień, żeby się obudzić.

A George chciał być tym mężczyzną, który ją obudzi.

Tyle że Lila nie dawała mu okazji, by mógł wcielić w życie swój nowy plan. Za każdym razem, gdy udało mu się ją spotkać na osobności, uciekała przed nim do domu, a ilekroć próbował w rozmowie z nią poruszyć bardziej osobiste tematy, przypominała o swym zamiarze wstąpienia do klasztoru. George'owi trudno było znieść tę sytuację. Chciał, żeby mu uległa, za-

spokajając żądę, która męczyła go bezustannie od pewnego czasu, albo kazała mu opuścić swój dom, uwalniając ich oboje od niemych, lecz wyczerpujących zmagania.

Przeklinając pod nosem, opuścił sypialnię i udał się na łąkę, gdzie spodziewał się znaleźć Lilę. Zbliżywszy się do niej, przez chwilę nie ujawniał swej obecności, rozkoszując się patrzeniem na jej wdzięczne ruchy przy układaniu kwiatów w bukiet. W końcu podszedł i usiadł obok niej na trawie.

- Dzień dobry, Lilo - powiedział, zauważając sine cienie pod jej oczyma. Poczul się za nie odpowiedzialny, bo wiedział, że to przez niego przeżywała rozterki.

Wzdrygnęła się, po czym rzuciwszy mu spłoszone spojrzenie, wykonała ruch, jakby chciała wstać.

Powstrzymał ją, chwytając za ramię.

- Chcę tylko z tobą porozmawiać, Lilo.

- Muszę iść - powiedziała z naciskiem, ale nie próbowała strząsnąć jego dłoni z ramienia.

- Nie miałem pojęcia, że jesteś takim tchórzem —powiedział zaczepnie.

- Nie jestem tchórzem.

- Więc dlaczego ciągle przede mną uciekasz?

- Bo mnie przerażasz.

- Nie chcę cię przerażać. Proszę, zostań.

Nie spuszczał z niego wzroku, opadła z powrotem na trawę.

- Jesteśmy bardzo blisko domu, a mój ojciec jest w pobliżu, spaceruje po lesie.

- Po co mi to mówisz? - Cofnął rękę. - Myślisz, że chcę cię zgwałcić?

Przełknęła ślinę.

- Nie zawsze bywasz dżentelmenem.

- Och, a cóż ja takiego zrobiłem poza tym, że skradłem ci kilka pocałunków? Czyż nie to właśnie powinien uczynić mężczyzna zalecający się do kobiety?

- Nie chcę, żebyś się do mnie zalecał.

- Więc dlaczego nie każesz mi się stąd wynosić?

- Ponieważ obiecałam ojcu, że zastanowię się nad małżeństwem z tobą - powiedziała cicho, opuszczając bezradnie ramiona. - Nie wyśle mnie do klasztoru, jeśli zbyt szybko cię odprawię.

- Jesteśmy razem już od paru tygodni. Z pewnością nawet on przyzna, że zastanawiałaś się wystarczająco długo. Może mi powiesz, jaki jest prawdziwy powód, że nie kazałaś mi wyjechać?

Odwróciła głowę.

- Jest tak, jak mówię. Mój ojciec...

Pokiwał głową, ułamując długą łodyżkę nawłoci, która do złudzenia przypominała pierzastą miotełkę do ścierania kurzu.

- Myślę, że nie mówisz prawdy, Lilo, ale nie będę naciskał.

- Czy teraz ja mogę ci zadać pytanie?

- Bardzo proszę.

- Dlaczego wciąż jesteś w Buckland House, skoro wiesz, że nie chcę za ciebie wyjść i nigdy cię nie pokocham?

- Byłoby niegrzecznie z mojej strony oświadczyć, że małżeństwa nie będzie, i zakończyć wizytę. Dżentelmen nigdy nie zrywa zaręczyn, więc nie mogę wyjechać, dopóki ty lub twój ojciec mnie o to nie poprosicie.

Westchnęła.

- Skoro już jesteśmy na siebie skazani, to może choć trochę się zabawimy? - podsunął.

- To byłoby nie na miejscu...

- To, co do ciebie czuję, Lilo, jest jak najbardziej na miejscu. - Musnął ją po policzku trzymaną w ręce rośliną; kwiatki pozostawiły na skórze ślad żółtego pyłku. - I myślę, że ty czujesz do mnie to samo.

- Więc dlaczego mi się nie oświadczysz, żeby poznać moją odpowiedź?

Nie odpowiedział. Nie mógł się jej oświadczyć. Na Boga, przecież nie był Cole'em Strangfordem. Przesunął ukwieconym końcem łodyżki po jej szyi. Widział przyspieszone drganie pulsu i wiedział, że jest podniecona tak samo jak on. Rozpięty płaszcz odsłaniał wycięcie muślinowej sukni.

- Cole, proszę, nie...

- Czego mam nie robić? - Przesunął kwiatkiem niżej, zachaczając o czubki jej piersi. Wyobraził sobie, że żółty pyłek osiada na nagich brodawkach. Niestety, były zakryte stanikiem sukni.

Lila pozostawała całkowicie nieruchoma, kiedy się z nią droczył. Miał wrażenie, że nawet przestała oddychać. Rozpierało go pożądanie, wiedział, że mimo iż się znajdują w pobliżu jej domu, nie wytrzyma, sięgnie do jej piersi i uwolni je spod muślinowej zasłony.

Nagle bez ostrzeżenia podniosła się z trawy.

- Muszę iść.

- Lilo - odezwał się błagalnym tonem. - Zostań ze mną.

- Nie mogę! - Odwróciwszy się na pięcie, uciekła do domu.

Poderwał się szybko z ziemi i pobiegł za nią. W holu mignęła mu przed oczyma jej spódnica u szczytu schodów na piętrze.

Zniknęła w swojej sypialni.

Wbiegł po schodach po dwa stopnie naraz. Usłyszał huk zatrzaskiwanych drzwi. Szybko przeszedł korytarzem i zatrzymał się przed jej sypialnią. Naciśnięcie klamki potwierdziło, że zamknęła się na klucz.

Bezwstydnie przykucnął i zajrzał do środka przez dziurkę od klucza.

Stojąc przy łóżku, Lila ściągała z siebie płaszcz. Następnie rzuciła go na posłanie i zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju. Nagle przystanąła przed lustrem i patrzyła na swoje odbicie, przesuwając dłońmi od pasa w górę, po wypukłościach

piersi, by w końcu dotknąć szyi. Jej mina wskazywała, że nie rozpoznaje kobiety, która patrzy na nią z lustra.

George wstał. Zobaczył dosyć. Uśmiechnął się do siebie.

Wiedział, że wkrótce Lila albo go odprawi, albo mu się podda. Choć ta pierwsza możliwość bardziej odpowiadała jego misji, tę drugą przyjąłby z największą radością.

Dwa tygodnie później Cole siedział przy roboczym stole w laboratorium i wpatrywał się w swój aparat do oddychania pod wodą, ale nic przy nim nie robił. Nawet o nim nie myślał. Jego umysł bez reszty wypełniało wspomnienie bystrych jasnych oczu i różanych ust.

Z westchnieniem uznał, że obecność Juliany zmieniła wszystko w jego życiu. Nie miał już ochoty spędzać całych dni zagrzebany w laboratorium, choć nadal tam przesiadywał z poczucia obowiązku i determinacji, by skończyć aparat do nurkowania, nie dając się wyprzedzić Williamowi Jamesowi. Pragnął osobiście odnaleźć Morski Opal i potrzebował do tego zbiornika ze sprężonym tlenem... choć wcale nie miał ochoty na nurkowanie w morzu, od czasu gdy zdradziecki prąd omal nie pozbawił go życia.

Nadal nie wiedział, co się wówczas stało. Pamiętał, że próbował dogonić delfina, a potem zdał sobie sprawę, że został wciągnięty przez niebezpieczny prąd. Zaczął się topić i od tego momentu nic więcej nie pamiętał. William z Juliana powiedzieli mu, że znaleźli go na skale, na którą najwidoczniej musiał się wspinać, lecz Cole zupełnie nie przypominał sobie, by to zrobił. Pamiętał natomiast czyjeś miękkie ramiona i wolne, równomierne bicie serca. I choć przyjmował wyjaśnienia Williama

i Juliany, w głębi duszy czuł, że uratował go jeden z ludzi morza... być może kobieta, którą wcześniej spotkał.

Przy drzwiach rozległ się dziecięcy chichot.

Cole spojrział w tamtą stronę i dostrzegł drobną sylwetkę. Sapnął z irytacją. Znow jakaś sierotka myszkowała w jego wiatraku. Wszystkie one były zafascynowane tym miejscem i wciąż nie dawały mu spokoju. Podniósłszy się zza stołu, popatrzył w stronę, z której dobiegał hałas, i zauważył jakiś ruch za starym blaszanym szyldem, znalezionym na wysypisku śmieci za miastem. Na jego widok mała dziewczynka umknęła w podskokach, zręcznie wymijając koła zębate, obracające się pośrodku laboratorium.

Podążył za nią, czując się jak myśliwy na tropie wyjątkowo zwinnej antylopy. Rozchichotane dziecko puściło się biegiem do wyjścia i nim Cole zdążył wyciągnąć rękę, żeby je złapać, zniknęło za drzwiami.

Juliana. Musiał z nią porozmawiać, poskarżyć się jej na niesforne dzieciaki. Przed tygodniem poprosiła go o zgodę na urządzenie przyjęcia dobroczynnego w Shoreham Park Manor. Przystając na jej plany, nie wiedział, że zaprosi kilka sierot, które wraz z nią i innymi paniami brały udział w przygotowaniach do imprezy. Od tego czasu nie mógł się skupić. Kiedy nie rozmyślał o Julianie, martwił się o ludzi morza albo wyganiał kolejną sierotę ze swego wiatraka. Doszedł do wniosku, że kobiety mają skłonność do powodowania chaosu. Tak naprawdę, życie wymknęło mu się spod kontroli.

Jednak za nic na świecie nie chciałby tego zmieniać. Towarzystwo Juliany sprawiało mu zbyt wielką przyjemność. ¹¹ Dobała mu się z wyglądu, zachwycało go brzmienie jej głosu i nade wszystko podziwiał dobroć wypełniającą jej serce. Czasami przerażało go to, co czuł do Juliany. Nigdy by się nie spodziewał, że do tego stopnia zadurzy się w kobiecie i da jej nad sobą tak wielką władzę. Dobrowolnie zdał się na jej łaskę i to budziło jego niepokój.

Całkowicie zniechęcony do pracy nad aparatem do nurkowania, wyszedł z wiatraka i ruszył w stronę Shoreham Park Manor. Nawet z oddali słychać było dziecięce krzyki i śmiech. Juliana po wielokroć dowiodła, że uwielbia dzieci i ma szczególny talent do zajmowania się nimi. Zastanawiał się, jakim sam byłby ojcem, ponieważ wolał raczej, żeby dzieci zostawiły go w spokoju.

Zbliżając się do domu, zauważył powóz nadjeżdżający drogą. Natychmiast rozpoznał, że należy do Charlotte Duquet, i jęknął zgnębiony. Zakończył ich romans wiele miesięcy temu, właściwie już przed rokiem, kiedy zdał sobie sprawę, że Charlotte pragnie małżeństwa. Nie obchodził jej pech prześladowający rodzinę Strangfordów, a jej nieustępliwość nawet mu pochlebiała przez pewien czas, dopóki nie stała się męcząca. Nie wyobrażał sobie, by mógł spędzić resztę życia z tą kobietą, po prostu nie była w jego typie, ale kiedy jej o tym powiedział, przyjęła to nie najlepiej. Kilka razy musiał jej odmawiać wstępu do swego domu, nim wreszcie poniechała walki.

Chryste, gdyby wiedział, że wdowa Duquet zasiada w zarządzie sierocińca, nigdy by się nie zgodził, żeby Juliana organizowała tegoroczne przyjęcie dobroczynne. Nie sądził, by Julianie odpowiadała współpraca z jego byłą kochanką. Mógł mieć tylko nadzieję, że nigdy się nie dowie o więzach, jakie go niegdyś łączyły z panią Duquet.

Zwolniwszy kroku, patrzył, jak powóz wdowy zatrzymuje się przed frontowymi drzwiami. Wysiadła i nie zauważywszy go, weszła do domu. Chcąc nie chcąc, podążył za nią, przygotowany na niechciane spotkanie i zdecydowany dołożyć wszelkich sił, by ukryć niechęć do gościa.

Usłyszał kobiece głosy dobiegające z salonu. Udał się tam z nadzieją, że Gillie do niego dołączy, lecz stryj najwyraźniej postanowił trzymać się na uboczu. Cole miał wielką ochotę pójść w jego ślady i już się prawie zaczął wycofywać, ale

powstrzymał go niepokój, co też wdowa może powiedzieć Julianie. Zwymyślawszy się w duchu od tchórzy, wyprostował plecy i zdecydowanie wkroczył do salonu.

Obie kobiety spojrzały w jego stronę, kiedy stanął w progu. Juliana siedziała na sofie; biała spódnica rozpościerała się wokół niej niczym anielska aureola. Pani Duquet natomiast zajęła miejsce na kanapie, przybierając dość swobodną pozę.

- Cześć, Cole - rzuciła, rozciągając wargi w uśmiechu.

- Dobry wieczór paniom - wydukał. - Nie przeszkadzam? - Z niepokojem popatrzył w twarz Juliany, szukając na niej oznak gniewu lub wstrętu, ale znalazł jedynie wyraz zastanowienia. Na jej czole, między ściągniętymi brwiami, rysowały się pionowe linie. Cole poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

- Bynajmniej - zapewniła pani Duquet. Wskazała miejsce na kanapie obok siebie. - Panna Pritchard i ja rozmawialiśmy właśnie o przyjęciu dobroczynnym. Proszę, dołącz do nas. Przyda nam się męska opinia.

Słowo „męska” zabrzmiało w jej ustach jak pieszczota; Cole aż się wzdrygnął. Ukradkiem zerknął na Julianę. Oczy jej pociemniały, jakby coś jej sprawiło ból. Opuściła wzrok na dłonie splecione na kolanach.

Czasami wydawała mu się wyjątkowo dojrzała, kiedy indziej przekomarzała się i dokazywała albo, jak teraz, przybierała smutną minę jak skrzywdzone dziecko. Piękne, zmysłowe dziecko, poprawił się w myślach. Z łatwością rozpalające w nim krew i potrzebujące jego opieki.

Przeklinając w duchu, Cole przysiadł na brzegu sofy obok Juliany. Jego wybór nie spodobał się pani Duquet, czemu dała wyraz gniewną miną. Cole zastanawiał się, jak wdowa mogła mu się kiedykolwiek podobać. Uwodziła go i okłamywała, gotowa wyjść za niego niezależnie od wszystkiego.

- Co właściwie planujecie? - zwrócił się do Juliany.

Odpowiedziała trochę niepewnym uśmiechem.

- Przedstawiałam właśnie pani Duquet mój pomysł urządzenia zabawy w bajkowy ogród.

- Bajkowy ogród? - zdumiał się. - Tu, w Shoreham Park Manor?

- To ma być przyjęcie na rzecz dzieci z sierocińca - przypomniała mu. - Dlatego pomyślałam, że wątek baśniowy byłby całkiem na miejscu. Tak czy inaczej ogrody ciotki Peshy są bardzo piękne, więc przyszło mi do głowy, że ludzie z miasta chętnie je obejrzą.

Pani Duquet się nie odezwała, tylko westchnęła wymownie.

Julianie zaczęły drżeć usta.

Cole spojrział ostro na wdowę, która wzniosła oczy ku niebu. Miał ochotę porządnie ją zbesztać za to, że tak lekceważąco traktowała Julianę.

- Doskonały pomysł - pochwalił.

- Byłby doskonały u dziesięciolatki - prychnęła wdowa.

Wściekły na swą byłą kochankę za złośliwość, próbował przyjść Julianie z pomocą:

- Masz jeszcze jakieś inne pomysły?

- Może moglibyśmy urządzić poszukiwanie baśniowych ptaków? Wytniemy ptasie sylwetki z kartonu i zawiesimy na słupkach ganku, na krzewach i niskich gałęziach drzew. Na każdej napiszę zdanie, które pomoże gościowi rozpoznać gatunek ptaka. Na przykład „Jestem bohaterem jednego z wierszy Shelleya” na skowronku albo „Przynoszę szczęście domom na całym świecie” na bocianie. Osoba, która zbierze i prawidłowo rozpozna najwięcej ptaków, zdobędzie nagrodę.

- Mamy przez cały dzień rozwiązywać zagadki czy może też coś zjemy? - wtrąciła pani Duquet.

- Owszem, zjemy - uspokoiła ją Juliana. - Ponieważ dzieci chcą się włączyć, możemy je przebrać za gnomy i elfy i pozwolić, by pomagały w podawaniu kolacji. Efekt może być całkiem malowniczy i zaskakujący.

- Właściwie co się jada na baśniowym przyjęciu? Koniczynę i pietruszkę? - Pani Duquet zachichotała, ubawiona własnym dowcipem.

Cole przesunął się nieco na sofie, tak żeby zasłonić panie jedną przed drugą.

- Wiesz już, co zostanie podane?

- Jeszcze o tym nie myślałam - przyznała Juliana.

- A po kolacji? - naciskała wdowa, wyciągając szyję ponad ramieniem Cole'a i przeszywając Julianę twardym spojrzeniem. - Co będziemy robić?

- Nie wiem. - Juliana wzruszyła ramionami. - Może tańczyć.

- Cóż, panno Pritchard - zaczęła pani Duquet głosem pełnym ironii - z pewnością nie brak pani bajecznych pomysłów. Obawiam się, że będziemy musieli je wziąć pod uwagę, zważywszy na to, że Cole udostępnił swój dom na przyjęcie.

Cole widział, jak Juliana z trudem przełyka ślinę.

- Jestem tylko częścią komitetu organizującego przyjęcie. Chciałabym usłyszeć, jakie pomysły mają inne osoby, a potem wspólnie zdecydować, które są najlepsze.

Wdowa wstała, przeszywając Cole'a lodowatym wzrokiem.

- Nie wątpię, że uda się pani zdobyć uznanie komitetu, tak jak udało się pani zdobyć wszystko inne.

Cole także podniósł się z miejsca. Uznał, że sprawy zaszły za daleko. Nie miał zamiaru dłużej pozwalać, by Juliana cierpiała tylko dlatego, że zawiódł niewczesne nadzieje Charlotte Duquet.

- Pani Duquet...

Nim jednak zdążył powiedzieć cokolwiek więcej, wdowa przerwała mu machnięciem ręki, zwracając się jednocześnie do Juliany:

- Och, panno Pritchard, musi mi pani wybaczyć. Jestem stara i złośliwa, a wszystko, co mówię, brzmi ostrzej, niżbym

sobie życzyła. Uważam, że pani pomysł na baśniową kolację jest uroczy. Jeśli nie wykorzystamy go podczas przyjęcia na rzecz sierocińca, będzie pani mogła urządzić baśniową kolację podczas swojego... hm, wesela.

Julianie opadły ramiona. Spuściła wzrok.

Cole zacisnął szczękę. Wyczuwał zakłopotanie Juliany. Nie mogła nic odpowiedzieć na złośliwość pani Duquet dotyczącą wesela, bo jeszcze nie poprosił jej o rękę. Sytuacja była doprawdy niezręczna.

Wdowa zrobiła przesadnie zdumioną minę.

- Czyżby pani nie poczyniła jeszcze żadnych planów, panno Pritchard? Pamiętam, że wspominała pani o ślubie, pijąc herbatę ze mną i panią Morris.

- Powiedziałam, że może dojdzie do ślubu - sprostowała Juliana, oblewając się rumieńcem.

- Ojej, chyba popełniłam gafę! - wykrzyknęła pani Duquet, wyraźnie dobrze się bawiąc. - Wybacz mi pani?

Juliana sprawiała wrażenie zdruzgotanej. Cole czuł, jak drga mu mięsień w policzku. Mógł w łatwy sposób naprawić sytuację, wystarczyło oświadczyć, że jest zaręczony z Julianą. Tylko czy aby na pewno chciał wykonać ten krok?

Z poczuciem, jakby balansował na skraju przepaści, przywołał w myślach wszystko, co wiedział o Julianie, oraz to, co do niej czuł. To prawda, że od jej przyjazdu do Shoreham Park Manor zdarzyło się parę dziwnych rzeczy. Ale czy to znaczyło, że powinien za nie winić Julianę? Dziwne rzeczy zawsze się zdarzały w Shoreham Park Manor, tylko że przed przybyciem Juliany przypisywano je legendarnemu pechowi Strangfordów.

Bez wątplenia miała wiele cech pożądanых u żony. Zdołała też wzbudzić w nim czułość, jakiej u siebie nie podejrzewał. Dzięki niej stał się bardziej opiekuńczy i łagodny dla innych. Była mądra, miła i wielkoduszna... i nie potrafił sobie wyobrazić choćby jednego dnia spędzonego bez niej. Patrząc jej w oczy,

widział wschód słońca, a wraz ze wschodem słońca wszystko od nowa budziło się do życia.

Nie namyślając się dłużej, objął Julianę ramieniem.

- Nie popełniła pani gafy, pani Duquet. Panna Pritchard jest moją narzeczoną. Zamierzamy udać się jutro do miasta, żeby dać na zapowiedzi.

Pani Duquet wzdrygnęła się, jakby stanęła oko w oko z jadowitym wężem.

Cole poczuł, jak drobna dłoń Juliany ścisną go za rękę. Spojrzał na nią i na moment zatracił się w blasku jej jasnych oczu.

- Nie zdradziłaś pani Duquet dobrych wieści, najdroższa?

- Nie - szepnęła.

- Kiedy dokładnie planujecie ślub? - wycedziła wdowa przez zęby.

Cole zerknął pytająco na Julianę.

Uścisnęła jego dłoń, uśmiechając się nieśmiało.

- Za dwa tygodnie.

Przytaknął skinieniem, myśląc o tym, że dwa tygodnie to za długo.

- Zdążycie przed przyjęciem dobroczynnym. Dość krótki okres narzeczeństwa - zauważyła zgryźliwie Charlotte.

- Cole i ja nie widzimy powodu, żeby zwlekać, a poza tym nie chcemy tradycyjnej ceremonii - powiedziała Juliana.

- Cóż, uroczą nowiną. Cudownie dla was obojga... Nie doceniałam pani, panno Pritchard. Jest pani znacznie sprytniejsza, niż sądziłam.

- Cieszę się, że wszystko już ustalone - wtrącił Cole, spoglądając znacząco w stronę wyjścia. - Pozwoli pani, że ją odprowadzę, pani Duquet.

Wciąż trochę oszołomiony puścił dłoń Juliany i podał ramię wdowie. Przeprowadził panią Duquet przez hol, gdzie William otworzył im drzwi. Kiedy zbliżali się do powozu, stangret zeskoczył z kozła i wyprostowany czekał na polecenie.

Przez cały ten czas wdowa milczała, dopiero kiedy stangret pomagał jej wsiąść do powozu, zwróciła się do Cole'a:

- No to zostałeś wzięty, mój drogi.

- Wzięty? - Nie rozumiejąc, potrząsnęła głową. Pragnęła tylko jednego - żeby już odjechała.

- Musisz być naprawdę ślepy, skoro nie zdajesz sobie sprawy, że ona tobą manipuluje. Muszę przyznać, że sprytna z niej sztuka.

- Z kogo? Z Juliany?

Pani Duquet zaśmiała się cicho.

- Nie widzisz, co się kryje za jej słodkim uśmiechem i nieśmiałą miną? Upatrzyła sobie ciebie i teraz cię ma. Biedaku, nie masz żadnych szans. Zresztą nigdy nie miałeś.

Cole zachnął się urażony.

- Przestań tak o niej mówić. Juliana jest nieśmiałą, dobrą dziewczyną i nie ma żadnych podstępnych zamiarów. - W przeciwieństwie do ciebie, dodał w duchu.

- Zadziwiasz mnie, Cole. Sądziłam, że jesteś mądrzejszy. Zapamiętaj moje słowa, a wkrótce się przekonasz, o co mi chodzi.

- Dzięki za ostrzeżenie, Charlotte. - Cole spojrzął na stangreta. - Nie będę cię dłużej zatrzymywał.

Pani Duquet z westchnieniem dała znak do odjazdu.

- W drogę, Jonathanie.

Zaraz potem powóz ruszył i Cole widział już tylko tył głowy swego gościa.

- Baba z wozu... - mruknął do siebie, patrząc na kłęby kurzu wzbijane przez koła oddalającego się powozu. Charlotte Duquet zawsze wprowadzała zamęt. Cieszył się, że zaraz na dobre zniknie mu z oczu.

Jednakże szczerłość bijąca z jej głosu i wyraz oczu zdradzający, że wie więcej, niż powiedziała, wprawiły go w lekki niepokój. Zły na nią i na siebie, wzruszył ramionami. Ani na chwilę nie zamierzał uwierzyć, że Juliana wystrychnęła go na dudka.

George St. Germaine wyszedł z lasu otaczającego Buckland House z bukietem dzikich kwiatów w ręku. Zamierzał wręczyć je Liii, choć ten dar mógł się wydawać głupi i niestosowny, zważywszy na jego zamiary. Nie daje się przecież kobiecie kwiatów, przekonując ją równocześnie o własnej nieprzydatności do roli życiowego partnera. Ostatnio jednak czuł się winny za cienie pod oczyma Liii i chciał zrobić coś, co by jej sprawiło odrobinę radości.

Dlatego z przepaszającym uśmiechem na ustach i wspomnieniem razem spędzonych chwil w pamięci wszedł do domu.

- Lila! - zawołał z mocnym postanowieniem, że porozmawia z nią, nie próbując jej równocześnie uwodzić. Posiadała wyjątkowo bystry umysł i miewała swoje zdanie w sprawach, którymi kobiety zwykle zupełnie się nie interesowały. George wiedział, że towarzystwo Liii nigdy mu się nie znudzi i tęsknił za ich długimi rozmowami.

W głębi serca wiedział, że stanowczo zbyt głęboko angażuje się w znajomość z Lila. Co więcej, od pewnego czasu korciło go, żeby jej wyznać prawdę o sobie. Często łapał się na tym, że żałuje, iż ich spotkanie nie nastąpiło w innych okolicznościach, że od razu nie mógł być wobec niej uczciwy i otwarty. Wszystko mu się w niej podobało i gdyby tylko mógł się o nią starać jako George St. Germaine, a nie Cole Strangford, ich stosunki ułożyłyby się zupełnie inaczej.

- Lila! - zawołał jeszcze raz, nie doczekawszy się odzewu.

Nagle jego uwagę przykuły stłumione głosy dobiegające z salonu. Skierował się w tamtą stronę i z zaciekawieniem stwierdził, że drzwi są zamknięte, co świadczyło, że wewnątrz odbywa się jakieś poufne spotkanie. Tylko kto mógł w nim brać udział?

Napotkawszy służącą zmierzającą do kuchni, przytrzymał ją za łokieć i spytał:

- Mogę się dowiedzieć, kto przybył z wizytą?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, proszę pana. Wydaje mi się, że jedna ze znajomych pani Whitham z miasta.

George nie wiedział, że Lila ma jakieś bliskie znajome mieszkające w Buckland Village. Zawsze zachowywała się tak, jakby z nikim nie utrzymywała zażyłych stosunków.

- Doskonale. - Pozwolił służącej się oddalić.

Po kilku krokach dziewczyna zatrzymała się i odwracając głowę, powiedziała:

- Aha, proszę pana, widział pan list, który przyszedł do pana z dzisiejszą pocztą?

- Gdzie on jest? - spytał nagle zaniepokojony. Wiedział, że tylko Juliana mogła przysłać list do „Cole'a Strangforda” zaadresowany do Buckland Village.

- Na stoliku w holu.

- Dziękuję.

Dygnawszy grzecznie, służąca odeszła do kuchni, zostawiając go samego. Natychmiast wrócił do holu, odnalazł przesyłkę i zaklął na widok pisma Juliany. Nie podała adresu zwrotnego, ale i tak wiedział, że list musiał nadejść z Shoreham Park Manor. Znow ogarnęło go poczucie, że ich sprawy zaczynają się komplikować. Szybko rozdarł kopertę i przebiegł wzrokiem treść listu:

Mój Drogi Bracie, Zelda Strangford ma znajomą o nazwisku Howe w Buckland Village...

W dalszej części listu Juliana wyłożyła wszystko, co wiedziała na temat tej znajomości. Wspomniała, że Zelda Strangford wyjechała, żeby pomóc chorej przyjaciółce, co dawało im nieco czasu. List zawierał też radę, by był ostrożny, oraz opis wynalazku Cole'a Strangforda do oddychania pod wodą. Juliana wyraziła obawę, że ów wynalazek może posłużyć do odkrycia istnienia ludzi morza.

George odetchnął z ulgą. Bał się, że list może zawierać

znacznie gorsze wiadomości. Wiedział już o znajomości Zeldy z panią Howe i ucieszył się, że na razie nie musi się nią martwić, ponieważ Zelda wyjechała i znajduje się poza zasięgiem plotek. Część listu dotycząca aparatu do oddychania była interesująca, a nawet niepokojąca, ale nie wiązała się z bezpośrednim zagrożeniem.

Niespodziewanie drzwi salonu się otwarły.

Ze środka wyszło kilka osób: Lila, pani Howe i...

George wstrzymał oddech. Serce mu zamarło, kiedy rozpoznał trzecią z kobiet.

To była Zelda Strangford.

Wszystkie trzy zatrzymały się na jego widok. Mina Lili wyrażała coś pomiędzy urazą i zakłopotaniem, pani Howe triumfowała, a Zelda Strangford patrzyła na niego pytająco.

- Czy to ten człowiek, o którym mówiliśmy? - odezwała się Zelda do Lili.

Lila potaknęła kiwnięciem głowy.

- Zatem oświadczam, moja droga, że ten mężczyzna z całą pewnością nie jest moim kuzynem. To nie jest Cole Strangford.

Lila przytknęła drżącą dłoń do czoła. Błada i zgnębiona, ledwie trzymała się na nogach.

George poczuł, jak w środku robi mu się zimno. Upuściwszy na ziemię kwiaty, które dla niej zebrał, rzucił się, by ją podtrzymać. Objął ją ramieniem, a ona najpierw odruchowo wsparła się na nim, a potem się odsunęła. Patrzyła na niego z wyrzutem, ale z jej oczu bił żal bezbronnej, skrzywdzonej kobiety. George miał wrażenie, że zaraz serce mu pęknie.

- Nie dotykaj jej, ty nicponiu! - warknęła pani Howe. - Zeldo, odszukaj natychmiast pana Pritcharda. Musimy do końca wyjaśnić tę sprawę.

Lila potrząsnęła głową. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał słabo, ale była w nim stanowczość, której tylko głupiec by nie posłuchał.

- Pani Howe, nie będę robić przedstawienia z tej... sytuacji. Z pewnością rozumie pani, że to nie jest najlepszy moment na odbywanie towarzyskiej wizyty. Odwiedzę panią, kiedy tylko będę w stanie.

- Pani Whitham, nie zostawię pani z tym... kundlem - oświadczyła pani Howe z mocą. - Skoro miał czelność podszyc się pod Cole'a Strangforda, Bóg jeden wie, do czego jeszcze jest zdolny.

- Sprowadzę pani ojca - dodała Zelda Strangford, pośpiesznie wychodząc.

- Cole- zwróciła się Lila do George'a- ponieważ nie mogę przekonać pani Howe, żeby sobie poszła, będziemy musieli poszukać odosobnienia na zewnątrz.

- On nie jest Cole' em - przypomniała pani Howe z wymownym chrząknięciem.

Lila oblała się rumieńcem.

- Możemy wyjść na zewnątrz?

- Mam na imię George - powiedział cicho. Przygniatało go poczucie winy, że skrzywdził tak szlachetną istotę. Zburzył jej spokojne życie, nie dając nic w zamian. - Tak mi przykro, Lilo. Oczywiście, że wyjdziemy.

Zostawiając za sobą panią Howe, pobekującą niczym stara owca, George wyprowadził Lilę przed dom. Pani Howe wyraźnie miała ochotę im towarzyszyć, ale George zniechęcił ją do tego morderczym spojrzeniem. Pozbywszy się plotkarki, zaprowadził Lilę na łąkę. Skierowali się w stronę kępy dębów; zdeptane kwiaty i trawa smagały ich po łydkach, pszczoły głośnym brzęczeniem dawały wyraz niezadowoleniu, że przeszkadzają im w pracy. W tej scenerii George zaczął rozmowę, chyba najważniejszą w całym swym dotychczasowym życiu.

- Bardzo mi przykro, Lilo, że cię skrzywdziłem - powtórzył. Widok łez w jej oczach zabolął go niczym pchnięcie nożem.

- Dlaczego, Cole? A może George? Czy kim tam naprawdę jesteś? - wyrzuciła z siebie. - Dlaczego mi to zrobiłeś?

- O Boże, Lilo, wiem, że nigdy mi tego nie wybaczysz - powiedział drżącym głosem. Teraz, kiedy miał ją stracić, po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak wiele dla niego znaczyła. - Przyjechałem do Buckland House, żeby cię zniechęcić.

Wybuchnęła niepohamowanym płaczem.

- Zniechęcić mnie? - wykrztusiła, wstrząsana szlochem. - Nie rozumiem.

George bardzo chciał wyjawić jej całą prawdę o sobie, lecz myśl o Julianie i innych ludziach morza powstrzymała go. Wszyscy oni na niego liczyli. Nie mógł zniweczyć ich nadziei, samolubnie zabiegając o kobietę, którą kochał.

Ponieważ kochał Lilę. Teraz wiedział to na pewno.

Z ciężkim sercem postanowił skorzystać z wymówki, jaką na wszelki wypadek wymyślili z Juliana i Woodami. Chodziło o osobę Williama Jamesa, wynalazcy konkurującego z Cole'em.

- To długa historia, ale jeśli mi pozwolisz, opowiem ci ją w całości.

- Proszę cię, George, obiecaj mi, że będziesz mówił prawdę.

- Obiecuję. - Omal się nie udławił tym słowem.

Doszli do kępy dębów i usiedli na zwalonej kłodzie.

- To nie ty byłeś naszym celem - zapewnił George, szczęśliwy, że choć w tym jednym nie musi kłamać. - Chodziło nam o Cole'a Strangforda.

- Nam?

- Mojej siostrze i mnie.

- Masz siostrę?

- Owszem.

- Aha.

- Pamiętasz, jak ci wspominałem, że jestem wynalazcą? Pokiwała głową; oczy wciąż miała mokre od łez.

- Cóż, Cole Strangford rzeczywiście jest wynalazcą i pracuje nad pewnym urządzeniem, którym zainteresowało się Królewskie Towarzystwo Oceanograficzne. To urządzenie pozwoli

człowiekowi oddychać pod wodą przez całą godzinę. Towarzystwo wyznaczyło nagrodę za pierwszy i najlepszy działający aparat do oddychania.

Popatrzyła na niego zażawionymi oczyma.

- I?

- Rywal Strangforda, William James, także pracuje nad takim aparatem. Pan James wynajął moją siostrę i mnie, żebyśmy przeniknęli do domu Strangforda i odkryli szczegóły związane z jego wynalazkiem. On także chce zdobyć nagrodę Królewskiego Towarzystwa Oceanograficznego, a nie ma tylu skrupułów co Strangford.

- Ty także nie zawsze masz skrupuły - powiedziała cicho.

- Popełniłem straszny błąd - przyznał.

- Dlaczego, George? Dlaczego zrobiłeś coś takiego?

- Z przyjaźni i dlatego, że potrzebowałem pieniędzy. William James jest moim przyjacielem i szczerze mówiąc, jestem bez grosza. Tak czy inaczej, plan wydawał się całkiem nieszkodliwy.

Potrząsnęła głową, jakby tego wszystkiego było dla niej za wiele.

~ Skoro chciałeś się dowiedzieć czegoś o wynalazku Strangforda, dlaczego przyjechałeś tutaj, do Buckland House?

- Moja siostra i ja słyszeliśmy, że Cole Strangford zamierza się z tobą spotkać i bierze pod uwagę oświadczyzny. Moja siostra pojechała do niego do Shoreham, udając, że jest tobą. Żeby uśpić twoją czujność i uczynić zadość wymaganiom etykiety, ja przyjechałem tutaj, podszywając się pod Cole'a Strangforda.

- Kim więc jest ta kobieta... ta podająca się za Zeldę Strangford?

- Naprawdę nazywa się Wood i jest długoletnią, oddaną pracownicą mojej rodziny. Zgodziła się pomóc mi w tym spisku, ponieważ zna moje kłopoty finansowe.

- Po co właściwie ją tu przywiozłeś?

- Dla przyzwoitości. Uznałem, że będzie wyglądało dziwnie, jeśli przyjadę sam.

Lila znów potrząsnęła głową.

- Pomyślałeś o wszystkim, prawda?

- Wiem, jak okropnie musisz o mnie myśleć. Ale powtarzam ci, nie chciałem cię skrzywdzić. Miałem zamiar cię przekonać, że ja jako Cole Strangford będę marnym mężem, i miałem nadzieję, że szybko mnie odprawisz. - Odetchnął głęboko. - Tylko że niemal pierwszego dnia, kiedy cię poznałem, odkryłem, że jesteś wyjątkowa, Lilo. Przywróciłaś mi nadzieję, kiedy już miałem dość tego świata.

I to była prawda. Zanim ją poznał, czuł się śmiertelnie zmęczony kontaktami z chytrymi mieszkańcami łądu, z którymi wciąż prowadził różne interesy, żeby zapewnić pomyslną przyszłość ludziom morza. Teraz przekonał się, że życie może być przyjemne, zwłaszcza kiedy się ma odpowiednią partnerkę... a w Uli odnalazł kobietę, z którą chciał spędzić resztę swoich dni. Nagle całym sercem zapragnął, by nie musiał jej więcej oszukiwać po tym, co już jej zrobił. Tylko czy miał jakiś wybór? Gdyby nie zgodził się dalej pomagać Julianie w uwiedzeniu Cole'a Strangforda, skazałby wszystkich ludzi morza na spędzenie wieczności w głębi oceanu, a Lila na zawsze pozostałaby poza jego zasięgiem.

Odwróciła głowę, wycierając ślady łez z policzków. W milczeniu ruszyli przez łąkę w stronę lasu.

W końcu posłała mu, smutne, pełne bezradności spojrzenie.

- Co powinnam teraz zrobić, George? Co mam myśleć? Twój „całkiem nieszkodliwy” spisek zranił mnie głęboko.

- Przynajmniej nie zrujnowałem twoich szans na małżeństwo - wykrztusił. - I tak nigdy byś nie poślubiła Cole'a Strangforda.

- Możliwe - powiedziała Lila wpatrzona w ścieżkę pod nogami - ale poważnie zakłóciłeś moje spokojne życie. Ostatnio

ciągle zadaję sobie pytanie o słuszność moich życiowych planów. Nie jestem już pewna, czy klasztor jest odpowiednim wyborem. A wiesz, skąd mi się biorą te wątpliwości? Stąd, że zakochałam się w Cole'u Strangfordzie, w mężczyźnie, który przybył do mojego domu, żeby mnie prosić o rękę.

George zatrzymał się w miejscu jak wryty.

Lila także przystanąła, spoglądając na niego oskarżycielsko.

- Jak śmiesz mi to robić! Uwodzisz mnie, pozwalasz mi marzyć o małżeństwie między nami, podczas gdy ani przez chwilę nie zamierzasz mnie prosić o rękę. Wszystko to było dla ciebie tylko grą, a ja zabawką, którą można się pobawić. - Odwróciła się gwałtownie, żeby odejść.

George wciąż stał jak słup, ogłupiały z zaskoczenia, nadziei i radości. Powiedziała, że go kocha? Czy dobrze ją usłyszał?

- Lila, zaczekaj! - Chwycił ją za ramię, ale wyrwała mu się i poszła dalej. Rzucił się za nią i zastąpił jej drogę. Kiedy próbowała go wyminąć, objął ją w pasie i trzymał mocno. - Lilo, nigdy nie przypuszczałem, że się w tobie zakocham, ale tak się stało. Kocham cię.

Miotła się w jego uścisku, próbując mu się wyrwać.

- Puść mnie, George. Powiedziałam, że zakochałam się w mężczyźnie, który przybył do mojego domu, żeby mi się oświadczyć. Ale ten mężczyzna nie istnieje... był wytworem mojej wyobraźni.

- Ależ ja jestem tym mężczyzną.

- Nie, nie jesteś. Ty jesteś łajdakiem. Ciebie nie kocham.

Puścił ją. Odsunęła się od niego z policzkami znów mokrymi od łez.

- Lilo - szepnął błagalnie. - Proszę cię, zostań i porozmawiaj ze mną. Wiem, że to, co zrobiłem, było podłe. Proszę, powiedz mi, jak mogę to naprawić, żeby odzyskać twoją miłość.

Zwolniła kroku, a potem stanęła, odwracając się do niego twarzą.

- Jesteś pewien, że chcesz wszystko naprawić?

- Jestem - zapewnił gorliwie. Był gotów zrobić wszystko, poza zdradzeniem swych bliskich, żeby ją odzyskać. Od razu przyszło mu na myśl, że jeśli uda im się złamać cygańską klątwę i odzyska swą naturalną postać mieszkańca lądu, będzie mógł spędzić resztę życia z Lila. - Proszę, powiedz mi, co mam zrobić.

- Ty i ja musimy natychmiast pojechać do Shoreham Park Manor - oświadczyła. - Mój ojciec dołączy do nas wraz z panią Wood i prawdziwą Zeldą Strangford. Kiedy już tam będziemy, powiemy prawdziwemu Cole'owi Strangfordowi o spisku, w który nas wszystkich wciągnęliście, ty i twoja siostra. Dopiero gdy wszystko będzie już wyjaśnione, możemy się zastanowić, co robić dalej.

- Twoja propozycja jest trudna do wykonania - powiedział George z wahaniem.

Wzruszyła ramionami; oczy miała już suche.

- Musisz zdecydować, George.

Miał świadomość, że Lila nie zgodzi się na żadne ustępstwa. Zresztą, czy miał jakiś inny wybór? Tak czy inaczej, Cole Strangford w końcu się dowie, że został oszukany. George musiał się zjawić w Shoreham Park Manor, zanim dotrą tam plotki, by uratować Julianę przed niebezpieczeństwem lub zatrzymaniem przez władze.

W istocie musiał się skupić na ratowaniu siostry. Później mógł sobie pozwolić na rozważania o skutkach ich porażki, bo gdy tylko Cole Strangford się dowie, że Juliana nie jest „odpowiednią cygańską narzeczoną”, nie będzie jej chciał na żonę i Juliana straci szansę na urodzenie jego dziecka.

Wziął Lilę za rękę.

- Daj mi czas na spakowanie rzeczy - poprosił. Zamierzał napisać do siostry, informując ją o katastrofie i dając czas na przygotowanie do odwrotu. Zakładał, że jeśli wyśle list rano

przed wyjazdem, Juliana być może otrzyma go po paru dniach, podczas gdy jego podróż do Shoreham z Lila i jej rodziną potrwa co najmniej tydzień.

Rysy Liii nieco złagodniały.

- Jesteś pewny?
- Jeszcze nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewny.

Jane, Charles, Harriette, James, proszę, chodźcie tu szybko! - zawołała Juliana, klaszcząc w dłonie dla zwrócenia na siebie ich uwagi. Od pewnego czasu siedziała w salonie, przeglądając notatki pani Morris dotyczące organizacji przyjęcia dobroczynnego. W tej chwili była gotowa zacząć uczyć czwórkę swoich „gnomów i elfów” podawania kolacji gościom. Pot wystąpił jej na czoło. Choć dzieci z sierocińca były urocze, miały skłonność do psot i sprawiały niezliczone kłopoty, gdy tylko spuściła je z oczu. Podniosła się zza biurka, poskładała notatki i zajęła się swymi podopiecznymi.

Minął już prawie tydzień, odkąd Cole poprosił ją, by została jego żoną. Przywołała w myślach moment, kiedy została jego narzeczoną. Jakież to było podobne do Cole'a - ogłosić zaręczyny po to, by ją chronić przez złośliwością Charlotte Duquet. Był doprawdy cudownym człowiekiem. Od tamtego czasu nie było godziny, podczas której by nie żałowała, że musi go oszukiwać. Często w nocy, kiedy pływała w oceanie, przeklinała los za to, że zesłał jej mężczyznę, którego nie mogła kochać, choć tego pragnęła całym sercem.

Ponieważ „poprosił” ją o rękę, dzieliła czas pomiędzy przygotowania do przyjęcia dobroczynnego i planowanie własnego ślubu. Cole zostawił jej wolną rękę w obu sprawach, rad,

że może się poświęcić pracy nad swoim aparatem do nurkowania, ale każdego wieczoru znajdowali trochę czasu, żeby posiedzieć sam na sam i porozmawiać o minionym dniu. Uczucie do Cole'a raniło jej duszę, bo ani na chwilę nie była w stanie zapomnieć, że go okłamuje.

Z holu dobiegły głośne krzyki i pohukiwania. Zastanawiając się, gdzie przepadły dzieci, wyrzała z salonu i przyłapała je na zjeżdżaniu po poręczy schodów. Śmiejąc się i dokazując, udawały, że zjeżdżają po grzbiecie morskiego węża do kryjówki ludzi morza. Gillie przed tygodniem opowiedział im legendę o ludziach morza i tak im się spodobała, że od tego czasu musiał im ją powtarzać kilka razy.

Juliana nie była pewna, czy lubi tę opowieść.

- Dzieci, chodźcie tu natychmiast! - Przyjrzała się rozbrykanej gromadce spod zmarszczonych brwi. - Potrzebuję Harriette, Jamesa, Charlesa i Jane. Reszta musi wyjść na zewnątrz, zanim coś zostanie zniszczone.

Niechętnie porzuciły zabawę.

W tym momencie do holu wszedł Gillie z kilkoma listami w rękę. Pomachał dzieciom wesoło i położył listy na stoliku.

- Halo, dzieci, dobrze się bawicie?

W holu powstał nieopisany zgiełk, bo wszystkie odpowiedziwały mu naraz.

- Mam nadzieję, że słuchacie się panny Pritchard - rzekł z udawaną surowością.

Znow hałas wielu głosów rozniósł się po holu. Juliana wiedziała, że dzieci bardzo lubią Gilliego, bo zawsze miał dla nich jakąś opowieść i uśmiech.

- Harriette, James, Charles, Jane! Chodźcie tutaj! - zażądała.

Wywołane dzieci z ociąganiem przeszły do salonu, podczas gdy reszta z krzykiem pognęła do wyjścia, rozsypując po podłodze listy przyniesione przez Gilliego. Staruszek i Juliana schylili się równocześnie, żeby je pozbiierać, i omal nie zderzyli się przy tym głowami.

- Potrzebuje pani pomocy, panno Pritchard? - spytał Gillie.
- Dzisiaj nie, stryju Gillie - odparła. - Myślę, że sama sobie poradzę.

Pozbierał resztę rozrzuconych kopert i ułożył je z powrotem na stoliku.

- Zdawało mi się, że widziałem list do pani, panno Pritchard. Niech pani nie zapomni sprawdzić.

Zatrzymana przez Julianę w domu czwórka, na moment spuszczone z oka, znow zaczęła zjeżdżać po poręczy.

- Sprawdzę - obiecała Gilliemu i klaszcząc w dłonie, zwróciła się do dzieci: - Wy czworo, chodźcie ze mną do salonu.

Nie kryjąc ulgi, Gillie wymknął się z holu.

Juliana zaprowadziła dzieci do salonu i usadziła na kanapie obok ciotki Peshy, która przyglądała się jej poczynaniom nieufnie.

- Zgodziliście się być gnomami i elfami - przypomniała im. - Musicie poćwiczyć podawanie gościom posiłku. Do tego zadania zatrudniłam ciotkę Peshę.

Ciotka Peshy po królewsku skinęła siwą głową.

- Pójdziemy teraz do ogrodu i będziemy obsługiwać ciotkę Peshę - oznajmiła Juliana.

- Panno Pritchard - odezwał się chłopczyk o imieniu James. Był najmłodszy z całej czwórki. - A kiedy pójdziemy na ryby? Pozostałych troje jęknęło niemal jednocześnie.

- Przestań, James. Mamy dość ciągłego słuchania o twoich rybach - powiedziała Harriette. Miała prawie osiem lat i uważała się za dorosłą.

Charles, który nigdy nie mógł usiedzieć spokojnie na miejscu, zawołał:

- Wepchnę ci wielką rybę do ust, żebyś się wreszcie zamknął!

- Uważaj, Charles! - ostrzegła Juliana.

- Ale panno Pritchard - włączyła się Jane - James ciągle gada o rybach. Nie możemy już tego wytrzymać. Jeśli nie przestanie, to nie będę elfem.

- A ja gnomem - oznajmił Charles.
- I ja też nie będę elfem - dodała Harriette.

Juliana z trudem powstrzymała westchnienie. James zamęczał wszystkich dokoła, bezustannie upominając się o wyprawę na ryby. Najwidoczniej jego ojciec był rybakiem, zanim wraz z matką umiał na skutek jakiejś śmiertelnej choroby. Bardzo współczuła chłopcu, ale jego ciągłe marudzenie zaczynało jej działać na nerwy.

- Później, James. Obiecuję, że będziemy łowić ryby. Jednak najpierw musimy dokończyć naukę.

- Chcę pójść z moim starszym bratem. On zawsze chodzi na ryby. Chcę, żeby mnie ze sobą zabrał.

- James, chcesz być gnomem? - spytała Juliana.

Chłopiec energicznie pokiwał głową.

- Nie możesz być gnomem, jeśli nie będziesz ćwiczył. Zgodzisz się poćwiczyć dla mnie?

Przytaknęła, choć już z nieco mniejszym entuzjazmem.

- To dobrze - ucieszyła się Juliana. - Chodźmy wszyscy do ogrodu. Ciociu Pesho, idziesz z nami?

- Idę, moja droga. - Pesha stanęła na chwiejnych nogach. - Będziesz potrzebowała mojej pomocy.

- Zechcesz pokazać dzieciom, jak mają podawać półmiski z jedzeniem?

- Z największą przyjemnością.

Zadowolona z poparcia staruszki, Juliana wyprowadziła swoją baśniową trzódkę do ogrodu. Wcześniej kazała Williamowi nakryć stół dla czterech osób i teraz wskazała Peshy jedno z krzeseł.

Starsza pani usiadła, spoglądając na dzieci wyniośle.

- No dobrze, gnomy i elfy, pokażcie, jak sobie radzicie.

Juliana wprowadziła dzieci za niewielką przegrodę, zbudowaną przez Williama z pnączy i kijów, zasłaniającą miejsce, gdzie miało być przechowywane jedzenie na przyjęcie. Na stoliku stało kilka półmisków z przykrywkami.

- Słuchajcie, dzieci, tu znajdziecie półmiski z jedzeniem, które musicie podać gościom. Wszystkie będą na tyle lekkie, żebyście mogły je unieść.

- Z jakim jedzeniem? - zainteresowała się Harriette.

- Jeszcze nie wiem - przyznała się Juliana. - Teraz bierzcie półmiski i pojedynczo podchodźcie do cioci Peshy. Ona wam wyjaśni, co dalej macie robić.

Nagle jej wyjaśnienia przerwał głośny chichot. Zajrzawszy za przegrodę, dostrzegła kilkoro dzieci ukrytych za wielkim krzewem. Miały ze sobą wiadro. Wyczuwając, że ich zamiary nie są do końca chwalebne, próbowała je stamtąd przepłoszyć.

- Proszę was, zachowujcie się grzecznie, przynajmniej do czasu, aż odeślę was z powrotem do sierocińca.

Zaśmiewając się głośno, rozbiegły się na wszystkie strony. Dwoje z nich dźwigało wiadro. Widząc, że wychlapuje się z niego woda, Juliana domyśliła się, że szykują nową psotę któremuś z kolegów. Westchnęła z rezygnacją, zmęczona ich wybrykami, i na powrót zajęła się czwórka, która miała podawać do stołu.

- Weźcie półmiski - zachęciła.

Przejęte spełniły polecenie. Trzymając półmiski na wysokości pasa, ustawiły się gęsiego, na przodzie Charles, za nim Harriette, potem Jane. Na końcu miał być James, tyle że ani myślał się dostosować. Piskliwym z podniecenia głosem oświadczył Julianie, że raczej poniesie rybę na wędce niż jakiegokolwiek naczynie.

- Och, James, weź wreszcie ten półmisk i słuchaj, co ciocia Pesha ma do powiedzenia - zniecierpliwiła się Juliana. Wybór Jamesa na gnoma okazał się niezbyt fortunny, ale skoro decyzja już zapadła, nie mogła go zastąpić kimś innym, nie raniąc jego uczuć. Miała związane ręce.

Za krzakiem znów coś się działo. Spojrzawszy w tamtą stronę Juliana stwierdziła, że te same dzieci co wcześniej chowają się tam z wiadrem.

- James - zadzwieczał dziecięcy głosik - jeśli chcesz iść na ryby, to tu masz wiadro wody.

Juliana widziała, jak unoszą wiadro, żeby chlusnąć jego zawartością na Jamesa.

- Nie ważcie się - syknęła.

Najwyraźniej niewiele sobie robili z jej groźby, bo unieśli wiadro za spód i wzięli zamach, żeby je opróżnić. W tym samym momencie James rzucił się ku Julianie, zapewne szukając schronienia w fałdach jej spódnicy. Małe łobuzy w ostatniej chwili zdołały zmienić pozycję, żeby lepiej wycelować w Jamesa, i chlusnęły wodą, trafiając chłopca w pierś, a przy okazji zlewając Julianie twarz, szyję i ramiona. Pojedyncza ryba, która musiała się znajdować w wiadrze, zatrzepotała bezradnie u jej stóp.

James pochwycił ją z szerokim uśmiechem.

- Złapałem rybę!

Dzieci uciekły, pokładając się ze śmiechu.

Juliana szybko wytarła się spódnicą. Dzieci ochlapały ją morską wodą, ale równie dobrze mogłyby użyć kwasu. W obu przypadkach skutki były przerażające. Juliana została zaskoczona, więc nie miała czasu przygotować się do powstrzymania transformacji. Serce podeszło jej do gardła, kiedy poczuła znajome swędzenie i pieczenie.

- James, idź do cioci Peshy - zarządziła.

- Ale panno Pritchard, złapałem rybę!

- Idź, James. Natychmiast!

Chłopiec odszedł z obrażoną miną, co chwilę przystając i oglądając się przez ramię.

Nasilające się swędzenie napełniło ją strachem. Próbowала każdej sztuczki, jaka jej przyszła do głowy - wolnego oddychania, wyobrażania sobie czegoś przyjemnego - żeby zatrzymać zachodzące w jej ciele przemiany, ale po prostu brakowało jej czasu, żeby się odpowiednio skupić.

Zaraz miała przybrać swą morską postać, w tym miejscu, osłonięta jedynie cienką przegrodą. Przez moment rozważała

możliwość ucieczki, żeby się gdzieś ukryć, ale wiedziała, że nie ma dość czasu, więc tylko usiadła w porośniętym trawą zakątku obok przegrody, pilnując, by nikt jej nie widział.

Oddychając szybko, zagryzała wargi, żeby powstrzymać krzyk wzbierający w gardle. Zdarła z nóg pantofle i pończochy. Swędzenie zaczęło przechodzić w dotkliwy ból. Obciągnęła spódnicę, żeby ukryć, ile tylko się da. Słońce wprawdzie świeciło na nią, osuszając morską wodę, ale nie dość szybko.

Czuła, jak następują zmiany w płucach, a kości stają się bardziej elastyczne. Skóra na złączonych nogach stała się grubsza i niemal śliska. Bezradnie patrzyła, jak formują się nowe mięśnie, a stopy przybierają kształt delfiniego ogona.

Mimo wszystko przemiana w morską istotę nie była tak całkowita i pełna jak zazwyczaj, ponieważ przez cały czas woda na niej wysychała. Właściwie tylko dolna połowa ciała uległa przeobrażeniu. Zaciskając zęby z bólu, Juliana modliła się bezgłośnie, by jej się udało odzyskać ludzką postać, zanim ktoś nadejdzie.

Nagle poczuła, jak czyjaś drobna dłoń chwyta ją za rękę. Otworzywszy oczy, ujrzała Jamesa, który wpatrywał się w nią zafascynowany. Ze strachu oddech uwiązał jej w gardle.

- Jest pani rybą, panno Pritchard? - szepnęła chłopiec.

- Rybą? Oczywiście, że nie - odpowiedziała również szepem, dokładając wszelkich starań, by zabrzmiało to przekonująco.

- To dlaczego ma pani rybi ogon? - Chłopiec przeniósł spojrzenie niżej.

Podążyła za jego wzrokiem i aż jęknęła z rozpaczy. Spod spódnicy wystawała dolna część jej ciała, jeszcze nie całkiem ogon delfina, lecz już nie nogi. Pośpiesznie się zasłoniła, obliczając przy tym, że pozostało jej jakieś pięć minut, by z powrotem odzyskać normalne kształty.

- Jak ci się podoba mój kostium? - spytała Jamesa.

- Kostium? Dlaczego ma pani na sobie rybi kostium?
- Cóż, skoro wszyscy tak bardzo lubicie opowieści stryja Gilliego o ludziach morza - zmyśliła na poczekaniu - pomyślałam, że moglibyśmy zrobić przedstawienie oparte na jednej z nich, a ja chętnie zagram główną rolę.
- Hej, wszyscy!- wrzasnął chłopiec niespodziewanie, aż Juliana podskoczyła. - Panna Pritchard chce zrobić przedstawienie o ludziach morza i chce zagrać w nim.
- Bystry z ciebie chłopiec, James - powiedziała ściszym głosem. - Pokaż mi, jaki jesteś mądry, zachowując tajemnicę, dopóki cię z niej nie zwolnię.
- O co chodzi, młody człowieku? - dobiegł ich z ogrodu głos ciotki Peshy. - Co mówisz?
- James zaczął podskakiwać na krótkich nóżkach.
- Chodźcie tu wszyscy! Popatrzcie na kostium panny Pritchard.
- Juliana pomachała do niego rozpaczliwie.
- Ciii, James. Nie chcę, żeby tu przychodzili...
- Gdzie jesteś, młody człowieku? - dopytywała się ciotka Peshy. - Co mówisz? Że panna Pritchard jest jedną z ludzi morza?
- Jest, jest, jest - zaśmiewał się chłopiec.
- Zdrętwiała ze strachu Juliana sprawdziła, czy spódnica wystarczająco szczelnie ją osłania.
- Przestań, James! - rzuciła ostro. - Nie jestem jedną z ludzi morza. Chcę tylko zagrać taką rolę.
- Panno Pritchard, co wy tam z Jamesem robicie?! - zawołała ciotka Peshy. - Już do was idę.
- Rozmawiamy z Jamesem o sztuce teatralnej, którą sieroty mają przedstawić na przyjęciu. Proszę się nie fatygować, zaraz tam przyjdziemy.
- Chcemy zrobić przedstawienie o ludziach morza - dodał James.
- Doprawdy? - zdumiała się starsza dama. - To bardzo dziwny pomysł.

- Nie znajduję w pomysłach panny Pritchard niczego dziwnego - oznajmił męski głos. Zaraz potem w polu widzenia ukazał się Cole. - Ludzie morza są może niebezpieczni, ale też bardzo interesujący.

Choć palenie i swędzenie w nogach nie było już zbyt dokuczliwe, Juliana miała świadomość, że nie odzyskała jeszcze w pełni ludzkiej postaci. Wystarczyło, by Cole uioś lekko jej spódnice, a przekonaby się, jak strasznie go oszukała. Patrząc w jego niebieskie oczy, ostatnio tak pełne czułości, żałowała z całego serca, że jej życie nie ułożyło się inaczej, że nie może zmienić przyszłości. Bo wiedziała z całą pewnością, że w przyszłości, która ją czeka, nie ma miejsca dla Cole'a.

- Panna Pritchard chce być jedną z ludzi morza - wtrącił się James, głosem nienaturalnie piskliwym z przejęcia.

Juliana miała ochotę zamknąć oczy i poddać się losowi. Zamiast tego jednak uśmiechnęła się do Cole'a i wskazując miejsce obok siebie, zwróciła się do chłopca:

- Usiądź tu, James, i bądź cicho. Rozpraszasz mnie tą paplaniną i podskakiwaniem.

Chłopiec usłuchał, ale szarpnął lekko brzegiem spódnicy, jakby chciał wszystkim pokazać ogon delfina. Ubiegła go, przytrzymując spódnice. Do odzyskania ludzkiej formy brakowało jej około trzech minut.

Pot zrosił jej czoło, spływał między brwiami, szczypał w oczy.

- A to co?! - wykrzyknął chłopiec, podnosząc do góry jedną z jej pończoch.

Juliana zerknęła ukradkiem na Cole'a, który z zaciekawieniem spoglądał na jej buty, stojące obok na ziemi. Zakłopotana wyrwała chłopcu pończochę z ręki.

- Czasami lubię pospacerować boso. Trawa jest taka cudownie miękka.

- Dopóki nie nadepniesz na pszczołę - wtrącił chłopiec tonem, który wskazywał, że wie, co mówi.

Cole uśmiechnął się pobłażliwie.

- Panna Pritchard widocznie lubi dogadzać swoim stopom. Zgnębiona świadomością, jak głupio musi wyglądać, Juliana musiała się do odwzajemnienia uśmiechu.

- Zatem chcesz zagrać rolę syreny - mruknął Cole aprobująco.

Przytaknęła kiwnięciem głowy.

- Stryj Gillie ciągle opowiada dzieciakom jakieś historie o ludziach morza. Uwielbiają je do tego stopnia, że pomyślałam, by na tegoroczne przedstawienie wybrać właśnie ten temat.

- Panna Pritchard chce zagrać główną rolę - oznajmił James z poważną miną.

W tym momencie Juliana miała ochotę zatkać Jamesowi usta rybą, żeby go w ten sposób choć na chwilę uciszyć.

Cole aż przekrzywił głowę.

- Główną rolę? Jaka?

- Mam zamiar być jedną z tych morskich istot - wyjaśniła niepewnie.

James poderwał się z miejsca.

- Panna Pritchard ma już kostium.

- Czyżby? - Cole uniósł brwi.

- Dopiero kazałam go zrobić - bąknęła Juliana spięta lękiem. Próbowała sobie przypomnieć wcześniej zaplanowaną drogę ucieczki.

- Mógłbym go zobaczyć jeszcze przed występem? - naciskał Cole z chytrym uśmieszkiem. - Oględziny sprawiłyby mi wielką przyjemność.

- Ma go tutaj - powiedział James, chwytając za brzeg jej spódnicy.

- James, przestań! - skarciła chłopca ostro. - Zachowujesz się okropnie.

- Nie chce mu pani pokazać swojego srebrnego ogona? - zdziwił się chłopiec.

- Nie mam żadnego ogona, James. - Udając rozbawienie dziecięcą naiwnością, spojrzała na Cole'a. - Obawiam się, że będziesz musiał poczekać do przedstawienia, żeby mnie w nim zobaczyć. Przedwczesne pokazywanie kostiumu przynosi pecha.

- No to nie chcę kusić losu - wycofał się Cole.

- Ona naprawdę ma srebrny ogon - upierał się James. - Widziałem!

- Czyżby? - spytał wesoło Cole, choć Julianie się zdawało, że w jego głosie zabrzmiał cień wątpliwości. - Ma go na sobie w tej chwili?

Chłopiec znów chwycił za rąbek spódnicy, gotów dowieść swych racji.

Zdecydowanym ruchem odepchnęła jego rękę.

- James, dość tego!

- Panno Pritchard, proszę mu pokazać swój kostium.

Juliana uśmiechnęła się do Cole'a z przymusem.

- Muszę przyznać, Cole, że nie miałam pojęcia, jakie dzieci mogą być trudne. James jest uroczy, ale czasami tak uparty, że doprowadza mnie do szaleństwa.

W tym momencie zza przegrody wyłoniła się ciotka Pesh.

- Czemu się tu chowasz, moja droga? - Przyjrzała się Julianie badawczo.

- Mieliśmy z Jamesem osobistą rozmowę, a Cole się do nas przyłączył - wyjaśniła cierpliwie Juliana, choć tak naprawdę miała ochotę krzyknąć. - Rozważaliśmy pomysł sztuki o ludziach morza. Co pani o tym sądzi, ciociu Pesho? Czy gościom przyjęcia spodoba się taki temat przedstawienia?

- Och, będą zachwyceni każdym przedstawieniem - powiedział Gillie, wybierając akurat ten moment, żeby wychylić głowę zza przegrody. - Szczególnie takim o ludziach morza. Może po obejrzeniu występu ktoś z miasta przyzna, że widział któregoś z nich.

Juliana nie mogła uwierzyć własnym oczom... i pechowi. Wyglądało na to, że wkrótce będzie siedziała z ogonem delfina

ukrytym pod spódnicą, otoczona wszystkimi mieszkańcami domu. Poruszyła się nieznacznie, żeby sprawdzić, jak daleko zaszła przemiana jej formy, lecz utrzymujące się swędzenie nie pozwalało jej odgadnąć, czy ma jeszcze ogon, czy już nogi.

- Zatem postanowione - stwierdził Cole. - Juliana zagra główną rolę w sztuce o ludziach morza. - Wyciągnął do niej rękę, żeby pomóc jej się podnieść z ziemi.

Udając, że nie dostrzega gestu, skupiła się na poprawianiu guzików u gorsetu. Wolała nie ryzykować wstawania, jeśli nie było to absolutnie konieczne.

- Juliano, pomogę ci wstać - ponaglił Cole.

- Chwileczkę. - Rozpaczliwie usiłowała zyskać trochę czasu jakąś wymówką, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. James potrząsnął głową. W jego piskliwym, dziecięcym głosie była pewność i oburzenie.

- Ona nie może wstać, panie Strangford. Ma ogon. Widział pan kiedyś, żeby ryba chodziła?

- James, lepiej, żebyś przestał już pleść te bzdury o ogonie - odezwała się Juliana gniewnie.

Ciotka Peshy pokręciła głową.

- To dziecko ma obsesję na punkcie ryb i rybołówstwa. I to od początku, jak tylko się tu zjawił.

Juliana miała ochotę ucałować ciotkę Peshę za wyjaśnienie dziwnego zachowania chłopca. Ścisząc głos, dodała:

- Jego ojciec był rybakiem. Myślę, że to dlatego ciągle myśli o rybach.

Cole przyglądał jej się podejrzliwie.

- Za wszelką cenę chce udowodnić, że masz ogon.

- Nikt mi nie wierzy - chlipnął malec, biorąc się chudymi rączkami pod boki.

Juliana poruszyła się ostrożnie i stwierdziła z ulgą, że ma już obie nogi, choć zaledwie przed momentem czuła tylko jedną. Z ulgi omal nie osunęła się na trawę. Chwyciła Cole'a

za rękę, specjalnie unosząc brzeg spódnicy wyżej niż zwykle, żeby pokazać całkiem ludzkie stopy.

Cole przyjrzał się im z uznaniem i od razu twarz mu się rozpozodziła.

- Nadal zamierzasz mieć czwórkę dzieci?

Roześmiała się głośno, raczej z odprężenia niż wesołości.

- Może wystarczy troje.

Kątem oka dostrzegła, jak Peshy z Gilliem wymieniają zadowolone spojrzenia. Oboje nie kryli, że cieszą się z nadchodzącego ożenku Cole'a.

- Chodźmy do salonu napić się lemoniady - zaproponowała ciotka Peshy. - Gillie, zabierz gdzieś te dzieci... gdziekolwiek, byle nie do salonu.

Gillie z westchnieniem pokiwał głową.

- Opowiem im jeszcze jedną historię. - Zgarnął całą gromadkę, łącznie z Jamesem, i zaprowadził pod drzewo, gdzie wszyscy usiedli w cieniu gałęzi.

Cole schylił się po porzucone obuwie i pończochy Juliany.

- Chyba lepiej je założę - bąknęła speszona, oblewając się rumieńcem.

Wzięła od niego swoje rzeczy, pończochy upchnęła w kieszeni fartucha, a pantofle wsunęła na stopy. Razem wrócili do domu. Przechodząc przez hol, Juliana zatrzymała się przy stoliku z pocztą, żeby przejrzeć listy przyniesione wcześniej przez Gilliego. Staruszek twierdził, że jeden jest dla niej, ale przerzuciwszy koperty, stwierdziła, że większość zaadresowana jest do Cole'a, poza jednym do ciotki Peshy.

- Oczekujesz listu? - zdumiał się Cole.

- Wuj Gillie mówił, że przyszło coś dla mnie, ale chyba się mylił. Nic tu dla mnie nie ma.

- Zatem chodźmy do salonu - powiedział Cole i zaprowadził ją na szklankę upragnionej lemoniady.

13

Cole podniósł skórzany skafander do nurkowania, nad którym właśnie pracował, i wsunął nogi do jego dolnej części. Przejrzał się w lustrze przyniesionym przez Williama do laboratorium na jego polecenie. Uznał, że pasuje całkiem nieźle; nogawki sięgały do podłogi z zapasem materiału do uszczelnienia butów. Natarł skórę specjalnym tłuszczem, żeby nie przepuszczała wody, a kiedy wciągał górną część skafandra na ramiona, doszedł do wniosku, że musi środek wyścielić flanelą, żeby mu było ciepło na większych głębokościach.

Zastanawiał się, czyjego konkurent, William James, stworzył podobny strój, zakrywający całe ciało, czy też pozostał na bardziej tradycyjnym, sięgającym do pasa. Poczta przez uniwersytet w Edynburgu dowiedziała się, że James poprosił już o spotkanie, żeby móc przedstawić swój projekt. Ta wiadomość wprowała go w lekki niepokój i zmusiła do pracy nad dokończeniem wynalazku. W każdym razie Cole był przekonany, że jego skafander pod wieloma względami przewyższa dotąd stosowane rozwiązania w tej dziedzinie, przede wszystkim jest ciepły i dzięki swym właściwościom pozwala nurkowi schodzić głębiej bez odczuwania bolesnego naporu wody.

- Piękne ślubne ubranie - zauważył Gillie.

Zaskoczony Cole odwrócił się gwałtownie. Gillie przyglądał mu się, stojąc w progu.

- Masz niedobry zwyczaj podkradania się do ludzi. Pewnego dnia przestraszysz kogoś na śmierć.

Wracając do przerwanej zajęcia, pozapinał sprzączki na przodzie skafandra i sięgnął po hełm. Wykonany z miedzi, ze szklaną przyłbicą, miał chronić jego twarz przed wodą, kiedy będzie oddychał powietrzem sprężonym w zbiorniku przypiętym do pleców. Na szklanej płytce zebrały się kropelki porannej rosy. Cole starannie wytarł je szmatką.

- Jest dziewiąta. Masz tylko godzinę, żeby się stosownie ubrać - przypomniał mu Gillie. - Wielebny Deane oczekuje nas w kościele przed dziesiątą trzydzieści, a uroczystość zacznie się dokładnie o wpół do jedenastej. Potrzebujemy trochę czasu, żeby tam dotrzeć... oddzielnie, ma się rozumieć, nie z Juliana.

Cole umocował hełm na głowie.

- Masz pozwolenie?

- Kupiłem je od urzędnika parafialnego dwa dni temu.

- Świetnie. Zatem wszystko załatwione.

- Tak, wszystko jest na swoim miejscu, poza tobą. - Gillie podszedł do bratanka i mocno postukał go po hełmie. - Wracaj do domu i się przebierz.

Cole niechętnie zdjął hełm.

- Powiniennem być gotowy za dziesięć minut. Spotkamy się w środku.

Gillie pokręcił głową.

- O, nie. Nie zgadzam się. Mam zamiar dopilnować, byś był żonaty, zanim dziś zajdzie słońce.

Cole podniósł ręce w geście poddania.

- Czy mówiłem, że nie chcę się żenić?

- Nie musisz mówić. Czyny przemawiają głośniejsz od słów.

- Tylko dlatego, że nie pędzę się przebrać w czarny frak i spodnie, uważasz, że nie chcę poślubić Juliany? - zirytował

się Cole. - Chcę ją poślubić, stryju, bo inaczej bym jej się nie oświadczał. Próbuję tylko dokończyć mój strój do nurkowania, żebym mógł go zaprezentować Królewskiemu Towarzystwu Oceanograficznemu, zanim to zrobi William James.

- Myślę, że zaczynasz się zniechęcać - powiedział Gillie, jakby nie słyszał Cole'a.

Cole westchnął.

- Już dobrze. Pójdę do domu i się przebiorę, jeśli to cię ma zadowolić.

Zrzucił z siebie skórzany skafander, poskładał starannie i zapakował do wielkiej skrzyni. Na oczach Gilliego zamknął skrzynię na klucz, po czym wyszedł za stryjem na zewnątrz, przekręcając klucz również w drzwiach laboratorium. Był bardzo bliski ukończenia pracy nad swym wynalazkiem i nie chciał narażać swego dzieła na ponowne uszkodzenie. Upewniwszy się, że stworzony przez niego sprzęt jest bezpieczny, wrócił do swojej sypialni i zaczął się doprowadzać do porządku. Myjąc się i goląc, myślał o tym, co usłyszał od stryja. Czyżby rzeczywiście żałował pochopnych oświadczeń?

Wówczas był przekonany, że oświadczenia są konieczne. Choć przez ostatnie tygodnie układało im się z Juliana jak najlepiej, co utwierdzało go w przekonaniu o słuszności decyzji pojęcia jej za żonę, jakiś natrętny wewnętrzny głos powtarzał mu, że czegoś w ich związku brakuje. Jednakże wciąż odkrywane w Julianie miłe cechy, tkliwość, jaką w stosunku do niej odczuwał, oraz radość z jej towarzystwa tłumiły w nim wszelkie obawy. Przyjemna była też myśl, że będzie miał ją całą dla siebie w łóżku. Panujące między nimi zmysłowe napięcie, żarty i aluzje sprawiały, że gdy tylko jej dotknął, krew się w nim burzyła, powodując czasami dość krępujące skutki.

Dokończywszy toalety, wyciągnął czarne spodnie i czarny frak z najprzedniejszej wełny oraz wybrał najelegantszą koszulę. Kamizelka uszyta była z białego aksamitu haftowanego we

wzór winorośli, a krawat z białego jedwabiu, jak przystało na tak uroczystą okazję. Do tego wszystkiego założył lśniące czarne buty. Wsuwając do kieszeni złoty zegarek, pomyślał, że od wielu miesięcy nie ubierał się tak wytwornie.

Po raz ostatni przed wyjściem do kościoła rozejrzał się po sypialni, na dłużej zatrzymując wzrok przy łóżku, zajmującym jeden z kątów pokoju. Wyglądając kamizelkę, pomyślał o jedwabście gładkim i ciepłym ciele Juliany, które jeszcze tego wieczoru miało znaleźć się w jego władaniu. Puścił wodze fantazji, wyobrażając sobie, jak drży pod dotykiem jego dłoni i ust, jak wykrzykuje jego imię w chwili spełnienia...

Z marzycielskim uśmiechem opuścił sypialnię i ruszył do holu, gdzie napotkał Williama dyrygującego całą kompanią służby, która szykowała dom na weselne śniadanie. Brzęk zastawy, ożywione głosy oraz smakowite zapachy jedzenia zmieszane z aromatem unoszącym się z licznych bukietów uczyniły ze starej, trochę ponurej budowli miejsce pełne blasku i szczęścia.

Poddając się nastrojowi, Cole zaczął cicho gwizdać jakąś miłą dla ucha melodię, zmierzając w stronę stryja, który czekał na niego na podjeździe. Gillie wyglądał niezwykle dostojnie w równie eleganckim czarnym stroju jak Cole, tyle że zamiast krawata miał pod szyją szkarłatną apaszkę. Cole uśmiechnął się do stryja szeroko i obaj wsiedli do powozu, który miał wieźć Cole'a ku nowemu życiu z ukochaną kobietą.

Idiotka Peshy wysunęła głowę z sypialni Juliany i rozejrzała się po korytarzu. Skinęła, otrzymawszy znak od czuwającej w odpowiednim miejscu służącej, po czym wróciła do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Mój siostrzeniec pojechał do kościoła - oznajmiła. - Jesteśmy bezpieczne.

Juliana przesunęła końcami palców po ślubnej sukni leżącej w poprzek łóżka. Szwaczka z miasta przeszła samą siebie, tworząc to białe satynowe чудо, wzorowane na fasonie jednego z londyńskich domów mody. Ozdobiona koronką i drobnymi perełkami, zebrana pod biustem białą aksamitną szarfą suknia dodawała Julianie pewności siebie, tak potrzebnej w obliczu czekających ją przeżyć. Ciągłe udawanie kogoś, kim nie była, stawało się dla niej coraz trudniejsze. Jedynie myśl o rozpachy ludzi morza, pragnących się wyzwolić spod działania straszliwej klątwy, trzymała ją przy boku Cole'a, każąc trwać w kłamstwie.

- Jesteś spięta - zauważyła ciotka Peshy. Starsza pani także się wystroiła na tę okazję w piękną jedwabną suknię o barwie lawendy. Na jej przywiedłej szyi i w uszach pyszniły się wspaniałe ametysty.

- Rzeczywiście - przyznała Juliana. W istocie przepłakała całą noc z żalu, że kocha mężczyznę, którego zamierza zdradzić. Przez pewien czas rozważała nawet, czy nie powiedzieć mu całej prawdy, i zastanawiała się, czy razem byliby w stanie zaleczyć wszystkie stare rany dzielące ich rodziny. Tylko czy mogła podjąć takie ryzyko, kiedy chodziło o życie wielu ludzi? W końcu doszła do wniosku, że nie ma prawa.

- Nie denerwuj się, dziewczyno. - Ciotka Peshy poklepała ją serdecznie po ramieniu. - Wszystko pójdzie gładko. Gillie i ja tak się cieszymy, że wchodzisz do naszej rodziny, bo widzimy, jakie szczęście dajesz Cole'owi. Dzięki tobie pozna, ile miłości i radości może nieść życie.

A także ile bólu i cierpienia może sprawić zdrada, dodała w myślach Juliana.

Ciotka Peshy spojrzała na zegar nad kominkiem.

- Już prawie kwadrans po dziesiątej. Musimy się zbierać, jeśli mamy zdążyć na czas do kościoła.

Założywszy ślubną suknię, Juliana pozwoliła ciotce Peshy, by wzięła ją za rękę i sprowadziła ze schodów. Lokaje i służące przerywali krzątanie, żeby oklaskami wyrazić jej swe uznanie.

Juliana uśmiechała się do nich, kiwając głową, wdzięczna za wsparcie. Przygotowywali dom do przyjęcia gości według jej wskazówek. Rezygnując z pompy i wystawności, zaplanowała śniadanie w rodzinnej atmosferze, według niej bardziej stosownej przy niewielkiej liczbie gości z zewnątrz, zaproszonych przez nią i Cole'a.

U stóp schodów czekał na nią pan Wood. Kiedy stanęła przed nim, aż się cofnął, patrząc na nią wilgotnymi oczyma.

- Najdroższa córko, wyglądasz przepięknie - powiedział, rozkładając szeroko ramiona. - Jestem szczęśliwy, że wreszcie nadszedł dla ciebie ten dzień.

Julianie przemknęło przez głowę, że pan Wood zrobiłby karierę w teatrze. Padła mu w ramiona i odwzajemniła uścisk.

- Dziękuję, ojczu.

Pan Wood mrugnął do niej dyskretnie.

Nie przestając myśleć ze wstydem o swej dwulicowości, Juliana pozwoliła, by pan Wood wziął ją pod ramię.

- Lepiej jedźmy już do kościoła - powiedziała szybko. Zanim opuścił mnie odwaga, dodała w duchu.

Oboje dołączyli do ciotki Peshy, która ponaglała ich do wyjścia. Ostrożnie przytrzymując suknię, Juliana wsiadła do oczekującego na nich powozu, za nią Peshy i pan Wood, po czym zaraz ruszyli w stronę Shoreham. Juliana była ciekawa, czy podczas ceremonii zaślubin uda jej się powstrzymać od płaczu.

Podskakując na wybojach, pojazd przejechał High Street, wzdłuż rzeki Adur, która toczyła swe wody do oceanu, i Shoreham Beach usianej różowym i białym kwieciami. Łodzie rybackie kołysały się łagodnie na rzece; większość z nich kierowała się na pełne morze. Patrzyła przez okno, jak powóz skręca w Church Street, mija sklep Thomasa Macy'ego i fabrykę świec Mitchella i Synów, by wreszcie zatrzymać się przed kościołem.

W pobliżu stało kilka innych powozów, co wskazywało, że wielu gości już przybyło. Z sercem w gardle Juliana czekała, aż woźnica otworzy drzwiczki; następnie wysiedli po kolei: pan Wood, Juliana, na końcu ciotka Peshy i razem udali się do kościoła.

Gdy tylko weszła do przedsionka, wszystkie twarze zwróciły się w jej stronę. Organista zaczął grać marsza weselnego. Ściskając ramię pana Wooda, Juliana pomaszerowała do ołtarza, gdzie czekał na nią Cole. Ubrany z czarno-białą elegancją wyglądał tak wytwornie, że na jego widok aż brakło jej tchu.

Pan Wood zostawił ją u boku Cole'a i cofnął się o parę kroków, stając przy Gilliem i ciotce Peshy. Cole z uśmiechem wziął ją za rękę. Drżąc na całym ciele, powtarzała sobie, że musi być silna, ale nie opuszczało jej wrażenie, że wszystko jest tylko snem. Wielebny Deane odprawił ceremonię zaślubin, każąc jej powtórzyć przysięgę, której nie mogła dotrzymać. Później musiała podpisać stosowne dokumenty i przysiąc, że wszystkie dane - takie jak nazwisko, data urodzenia, imiona rodziców - są prawdziwe. Z wyrazem czułości w oczach Cole złożył swój podpis na dokumentach, a potem wsunął jej na palec złotą obrączkę grawerowaną w kwiaty. Dla przypieczonegowania ich świeżo zawartego związku Cole pocałował ją bardzo delikatnie. Podczas tego pocałunku Juliana zapragnęła rzucić mu się na szyję, przytulić się do niego mocno, wyszeptać mu prawdę i błagać o przebaczenie.

Tymczasem wyszła z kościoła jako pani Strangford. Powitały ją radosne okrzyki; wszyscy składali im najlepsze życzenia, a ktoś nawet obsypał ich różnymi płatkami.

Już jako mąż i żona, przyjmując liczne gratulacje, wsiedli do powozu przed kościołem. Ciotka Peshy, Gillie i pan Wood skorzystali z innego pojazdu. Kiedy niewielką kawalkadą ruszyli przez miasto w drogę powrotną do Shoreham Park Manor, Cole przytulił Julianę do siebie i delikatnie pogłaskał po włosach. Wyczuwając jej napięcie, nie próbował jej wciągać

w rozmowę, lecz ograniczył się do kilku uwag na temat samej ceremonii - że według niego przebiegła całkiem gładko - i wyznania, że jest szczęśliwy, mając ją wreszcie za żonę.

Te słowa, zamiast ją uspokoić, wzbudziły w niej jeszcze większy popłoch. Łzy piekły ją pod powiekami; starała się skupić na widokach za oknem, unikając czułego spojrzenia Cole'a. Kiedy wreszcie dojechali do domu, żeby świętować przy weselnym śniadaniu, poczuła się tak słabo, jakby zaraz miała zemdleć.

Z holu wejściowego usunięto wszystkie meble i wstawiono stoły, jako że było to jedyne miejsce w domu, zdolne pomieścić pięćdziesięciu gości. Juliana z Cole'em zasiedli u szczytu głównego stołu, przystrojonego bukietami polnych kwiatów i tacami owoców, ustawionymi na koronkowym obrusie. Gillie, Peshy i pan Wood siedzieli razem z nimi, podczas gdy reszta gości zajmowała inne stoły, udekorowane w podobny sposób. Służba uwijała się tam i z powrotem, doglądając, by biesiadnikom niczego nie zabrakło.

Juliana ledwie tknęła jedzenia, choć do wyboru miała jajka, grzanki, zimne mięsa, pasztety i konfitury, ani też nie odzywała się do Gilliego, który siedział po jej lewej stronie. Kątem oka dostrzegła, jak Cole z Gilliem wymieniają pełne troski spojrzenia. Stopniowo ranek przeszedł we wczesne popołudnie, a Julianie, choć usiłowała sprawiać wrażenie szczęśliwej i radosnej, coraz trudniej było zachowywać pozory... teraz, kiedy siedziała u boku mężczyzny, który dał jej nazwisko, opiekę, swój dom i swoją miłość.

Przyciskając dłoń do czoła, zastanawiała się, jak długo jeszcze będą musieli z Cole'em pozostawać na honorowym miejscu za stołem, kiedy podeszły do niej pani Morris z panią Hobbs, żeby wyrazić zachwyt urodą panny młodej i wystawnością całej ceremonii. Juliana zauważyła, że pani Duquet zrezygnowała z osobistego składania gratulacji. Przyjęła to z nieopisaną ulgą.

- Miałam łzy w oczach, kiedy się całowaliście - wyznała pani Morris bez skrępowania.

Juliana zdobyła się na uśmiech, który jednak szybko zgasł jej na ustach.

- Dziękuję, pani Morris. Oboje z Cole'em bardzo się cieszymy, że mogła nam pani towarzyszyć w tym szczególnym dniu. - Następnie zwróciła się do drugiej kobiety: - Pani także dziękujemy, pani Hobbs. Miło nam, że możemy panią gościć.

Pani Hobbs rozplęnęła się w podziękowaniach, a potem wspomniała o przyjęciu dobroczynnym, wylewnie chwalać Julianę za pomoc w pracach organizacyjnych. Juliana z kolei zapewniła ją, że udział w tym przedsięwzięciu sprawił jej wiele radości, a przygotowania właściwie są już zakończone.

- Wróćcie z podróży poślubnej przed naszym przyjęciem dobroczynnym? - spytała pani Morris z zatroskaną miną.

- Nie wyjeżdżamy przed upływem dwóch tygodni - uspokoił ją Cole miłym, choć stanowczym głosem.

- Och, co za ulga - odetchnęła pani Morris. - A dokąd się wybieracie?

- Jeszcze nie zdecydowaliśmy - odpowiedziała Juliana. - Może na kontynent.

- Wystarczy wam czasu na przygotowanie podróży?

- Cole i ja mamy zwyczaj działać... spontanicznie.

- I dobrze na tym wychodzicie - stwierdziła pani Morris z przekonaniem.

Zauważywszy, że za nimi zbiera się kolejka osób pragnących złożyć młodej parze gratulacje, obie damy się wycofały.

- Podbiłaś ich serca - szepnął Cole do Juliany, kiedy się oddaliły. - Biorąc pod uwagę, że one dwie dyrygują życiem towarzyskim w mieście, można powiedzieć, że zostałaś przyjęta na łono Shoreham.

Juliana przytaknęła; ton głosu Cole'a dowodził, że jej zażyłość z panią Morris i panią Hobbs sprawia mu przyjemność. Martwiło ją, że opinia mieszkańców miasta jest dla niego tak

ważna, zwłaszcza że pewnego dnia miał odkryć, iż nie poślubił Juliany Pritchard, tylko Julianę St. Germaine, swego śmiertelnego wroga, kobietę, która go oszukała.

Od tych myśli zakręciło jej się w głowie.

- Cole - spytała słabym głosem - jak długo jeszcze musimy tu zostać?

Oceniwszy wzrokiem tłum gości czekających, by złożyć im życzenia, przyznał, że muszą wytrzymać jeszcze z godzinę, zanim będą mogli uciec.

- Każę Gilliemu przysłać jakąś przekąskę do mojej sypialni - dodał. - Żebyśmy mogli odpocząć na osobności. Może uda nam się to jakoś przyspieszyć.

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś się postarał - szepnęła mu do ucha.

- Trzymaj się, Juliano. - Uścisnął jej dłoń. - Wkrótce będzie po wszystkim.

Objął ją w pasie, po czym razem wstali i podeszli do pierwszej pary gości - bogatego bankiera z małżonką - czekających, żeby życzyć im szczęścia. W tym samym momencie niewielka orkiestra ukryta za parawanem zagrała walca, zachęcając wszystkich do tańca. W holu zapanował prawdziwie weselny nastrój, któremu Juliana nawet w najmniejszym stopniu nie potrafiła się poddać.

Cole zamienił kilka miłych słów z bankierem i jego żoną. Juliana także zdobyła się na parę uprzejmości, zanim przeszli do następnej pary. W ten sposób udało im się krótko porozmawiać z wszystkimi gośćmi; ku zaskoczeniu Juliany nie zajęło to wcale tak dużo czasu, jak się obawiała. Pomysł Cole'a, by to oni byli w ruchu, decydując, kiedy podejść do kolejnego rozmówcy, zamiast siedzieć za stołem, pozostawiając do uznania gości długość rozmowy, okazał się zbawienny. W końcu dotarli do ostatniej oczekującej z życzeniami pary, podczas gdy reszta gości ochoczo ruszyła w tany przy dźwiękach jakiejś skocznej ludowej melodii.

Cole zaprowadził Julianę do Gilliego i pana Wooda, którzy stali na skraju parkietu pogrążeni w rozmowie, i powiadomił ich, że on i Juliana zamierzają się wymknąć do sypialni, żeby „odpocząć” po trudach dnia. Gillie z uśmiechem klepnął Cole'a po plecach, zdradzając, że na górze czeka na nich butelka brandy, a pan Wood, uściskawszy jeszcze raz swoją „córkę”, poradził jej, by się trochę zdrzemnęła dla odzyskania sił.

Podziękowawszy Gilliemu i panu Woodowi, Cole romantycznym gestem porwał Julianę w ramiona i ruszył na schody; długi biały welon spływał mu z ramion niczym jedwabny wodospad. Na ten widok znajdujący się w pobliżu goście zaczęli wiwatować i klaskać, dopóki świeżo upieczeni małżonkowie nie zniknęli im z oczu.

Drzwi do pokoju Cole'a były lekko uchylone. Otworzył je kopnięciem i ani na moment nie wypuszczając Juliany z uścisku, przeniósł ją przez próg. Rozejrzała się z ciekawością po nieznanym dotąd wnętrzu osobistego sanktuarium męża. To, co zobaczyła, specjalnie jej nie zaskoczyło, ponieważ było raczej typowe dla męskiej sypialni: tapety o spokojnym odcieniu i wzorze, gładka woskowana posadzka ocieplona kilkoma chodnikami, prosta mahoniowa szafa, łóżko z baldachimem, biurko zasłane kawałkami drutu i jakimiś metalowymi przedmiotami, ogromna umywalka z przyborami do golenia i drewniane okiennice, które ktoś otworzył na oścież, żeby wpuścić powiew morskiej bryzy.

Ktoś, prawdopodobnie ciotka Peshy, ustawił bukiet róż na stoliku przy łóżku. Zaslugą Gilliego musiała być natomiast karafka z brandy i dwa kieliszki. Ogólnie rzecz biorąc, sypialnia wyglądała schludnie i przytulnie i musiała zadowolić nawet najwybredniejszą pannę młodą. Tymczasem Juliana nie mogła zebrać w sobie siły do czegokolwiek poza opadnięciem na łóżko.

Cole roześmiał się cicho.

- Dzień był dość męczący, prawda, pani Strangford?

- Niewyobrażalnie - przyznała.

Materac ugiął się pod nią, kiedy Cole przysiadł na brzegu łóżka i zaczął rozpinać, jeden po drugim, guziki jej sukni na plecach. Nie wyczuła, by ręce mu drżały z pożądania. Zaciekawiona uniosła głowę, żeby sprawdzić, jaką ma minę, ale na jego twarzy dostrzegła jedynie troskę.

- Musisz się odprężyć - powiedział całkiem spokojnym tonem - a ja ci w tym pomogę. Możemy tu spędzić całą resztę dnia, więc nie ma potrzeby z niczym się śpieszyć.

Wydała z siebie przeciągłe westchnienie, ale się nie odzywała.

- Najpierw musimy zdjąć z ciebie tę suknię. Waży chyba z dziesięć kilogramów z tymi wszystkimi perłami. Nie wiem, jak zdołałaś w niej utrzymać stojącą pozycję.

Współczucie Cole'a ścisnęło ją za serce. Mimo to zdołała rozluźnić mięśnie, kiedy skończył rozpinać guziki i posadził ją, żeby móc zsunąć suknię z jej ramion. Uwolniona od ciężkiej białej satyny poczuła na skórze muśnięcie chłodnej bryzy i odniosła wrażenie, jakby ktoś zdjął z niej straszliwe brzemię. Wdzięczność za okazywaną troskę, kiedy mógłby się domagać swych męzowskich praw, jeszcze pogłębiła w niej poczucie winy za to, że go oszukuje.

Cole odłożył ślubną suknię na krzesło i wrócił do łóżka. Materac znów się ugiął, bo tym razem uklękął nad nią okraciem i zaraz potem poczuła jego dłonie na plecach, osłoniętych jedynie cienką bawełnianą koszulą. Masował i ugniatał jej obolałe z wyczerpania mięśnie, przynosząc jej niewysłowioną ulgę. Poddała się jego zabiegom z cichym pomrukiem błogości.

- Jeśli zdejmiesz koszulę, masaż będzie bardziej skuteczny.

Nie potrzebowała dalszej zachęty; z jego pomocą ściągnęła koszulę przez głowę i znów opadła na poślanie. Czuła na sobie jego gorące spojrzenie, a kiedy westchnął, przesuwał dłoń na jej pośladki, mimowolnie się uśmiechnęła. Wiedziała, że Cole jej pragnie, ale uczucie każe mu najpierw zadbać o jej potrzeby.

Ciepłe, mocne dłonie zręcznie poruszały się po jej ciele, jakby same z siebie wiedziały, gdzie ból jest najbardziej dotkliwy i wymaga rozmasowania. Po pewnym czasie ból w plecach ustąpił, wyparty przez przyjemne mrowienie. Cole jednak nie zakończył masażu na plecach, lecz przesunął się niżej, rozcierając jej po kolei uda, łydki i stopy.

W końcu ogarnęła ją miła senność. Wówczas Cole okrył ją kocem i natychmiast zapadła w sen.

Cole ziewnął, przyciągając Julianę do siebie. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a przez okno wpadał do pokoju chłodny powiew znad morza. Wciągnął głęboko lekko słonawe powietrze; nie był w stanie i wcale nie miał ochoty zasnąć. Od kilku godzin leżał obok Juliany, nagi, leniwie obrysowując palcami kształty jej piersi i bioder, wypalając sobie w pamięci obraz jej twarzy.

Własna powściągliwość i czułość zaskoczyły go, zważywszy na to, jak bardzo jej pożądał przed ostatnie tygodnie. Odkrył, że bardziej mu zależy na jej szczęściu niż na czymkolwiek innym, i nie mógł się temu nadziwić. Po raz pierwszy słowo „miłość” złączyło się w jego umyśle z imieniem Juliany. Zastanawiał się, od jak dawna to połączenie tkwiło w nim, dobijając się do jego serca i świadomości.

Kochał Julianę.

Uśmiechnął się, przywierając do niej całym ciałem, zamknął oczy i wdychał jej zapach, słodki, kwiatowy, niemożliwy do opisania. Próbował sobie wyobrazić ich wspólne życie za pięć lat. Ile dzieci będzie baraszkować u ich stóp?

Nagłe poruszenie wyrwało go z fantazji. Juliana zaczęła się rzucać przez sen, ściągnęła brwi, wydając z siebie stłumione westchnienie. Najwyraźniej miała zły sen. Uniósłszy się na łokciu, odgarnął jej z czoła luźne kosmyki włosów. Czy powinien ją obudzić? Patrzył, jak miota się coraz gwałtowniej,

pojękując żałośnie. Kiedy dwie łzy spłynęły jej po policzkach, nie był w stanie dłużej przyglądać się jej cierpieniu; łagodnie potrząsnął ją za ramię.

- Juliano - szepnął. - Obudź się.

Nagle otworzyła oczy i rozejrzała się półprzytomnie. Chciała usiąść, ale przytrzymał ją w miejscu.

- Miałaś koszmarne sen - powiedział.

- Koszmarne sen? - Wyraz strachu powoli ustępował z jej pięknych oczu. Zamrugała, po czym nieco odprężona wyciągnęła się na pościeli.

Delikatnie starł mokre ślady z jej policzków.

- Co ci się śniło, skarbie?

Znów zamrugała.

- Nie pamiętam - odparła po chwili milczenia.

Miał dziwne przeczucie, że skłamała.

- Nadal jesteś wystraszona?

- Nic mi nie jest - zapewniła, wpatrując się w jego nagą pierś. Policzki jej pociemniały od rumieńca. Najwidoczniej zdała sobie sprawę, że leżą w jednym łóżku, oboje zupełnie nady. Opuściła wzrok niżej, spoglądając na miejsce, gdzie wypadała jego męskość. Osłaniający ją koc, wcześniej płaski, teraz przybrał formę namiotu.

Odruchowo zasłoniła piersi.

Rozbawiony jej zawstydzeniem, pochylił się nad nią i nakrył jej usta pocałunkiem. Wargi miała gorące i wilgotne. Wsunął jej język do ust, a kiedy odpowiedziała tym samym, fala pożądania przyprawiła go o zawrót głowy.

- Juliano... - Oderwał się od niej, ukrywając twarz w miękkich ciemnych włosach. Ich słodki kwiatowy zapach oszałamiał go. Uśmiechnęła się słabo, niemal smutno. Przeczesując palcami jej piękne gęste loki, rozłożył je wachlarzowato na poduszce.

Oddech uwiązał mu w gardle na widok jej dzikiej, nieposkromionej urody. Przyciągnął ją mocno do siebie, zgniatając jej piersi o swój tors, i natychmiast poczuł, jak gładkie ramiona

oplatają go w pasie. Znowu ją pocałował, tym razem gwałtownie, łapczywie, otwierając jej usta językiem. Koc zsunął się niżej, odsłaniając jej śnieżnobiałe uda i ciemne kędziory u ich zbiegu.

Jęknęła mu prosto w usta, zaczęła obwodzić końcami palców sploty mięśni na jego plecach. Cole zmienił pozycję, żeby móc dosięgnąć ustami jej piersi. Lekkimi muśnięciami warg wędrował po górnej połowie jej ciała, zaczynając od miejsca, gdzie pod skórą rysowały się delikatne kości żeber, przez jedwabistą wypukłość sutków. Co jakiś czas do pocałunków dokładał pieszczotę języka, a wtedy, za każdym razem, Juliana wyginała ciało w łuk, napierając na jego twarz, jakby domagała się więcej.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnął żadnej kobiety jak teraz Juliany. Kiedy objął wargami nabrzmiałe brodawki, wydała z siebie urywane westchnienie.

- Cole...

Aż zadrzał, gdy jej drobna dłoń znalazła się na jego męskości i zaczęła pieścić, tak jak ją nauczył wtedy w jaskini, rytmicznie przesuwając ręką w dół i w górę. W odpowiedzi pochwycił palcami twarde grudki brodawek i zaczął je leciutko ścisnąć, powtarzając rytm jej dłoni. Natychmiast, jakby odruchowo, przywarła do niego łonem.

Ale Cole nie miał zamiaru tak szybko doprowadzać jej do spełnienia. Unosząc ją nieco na postaniu, nakrył jej pierś ustami i zaczął ją na przemian ssać i lizać. Potem zrobił to samo z drugą piersią.

Juliana oddychała coraz szybciej i coraz szybciej poruszała ręką.

Odsunął się od niej ze śmiechem.

- Chytra kocica.

- Nie mogę się powstrzymać, Cole - wydyszała półprzytomnie.

Wciąż rozbawiony, rozsunał jej nogi, pochylił głowę i przesunął językiem po wewnętrznej stronie uda. Bezwiednie uniosła

biodra, a on bez wahania wykorzystał jej zapraszającą pozycję, by wtulić twarz w gęstwinę ciemnych włosów, okrywających jej kobiecość. Rozsunęła szerzej nogi; była wilgotna i więcej niż gotowa, żeby go w siebie przyjąć.

Drżała na całym ciele. Kiedy wsunął w nią język, krzyknęła, chwytając go za włosy. Napawał się smakiem jej pożądania, sięgając językiem coraz głębiej, aż po granicę, którą wyznaczało jej dziewictwo. Wiła się pod nim dziko, pojękiwała i dyszała głośno, aż poczuł, jak jej mięśnie zaciskają się wokół jego języka, i natychmiast się z niej wysunął.

- Och, Cole... proszę... - szepnęła głosem, w którym brzmiała udreka.

- Juliano - zaczął, choć mówienie przychodziło mu z trudem, tak bardzo był podniecony. - Kiedy będę cię pozbawiał dziewictwa, będzie cię bolało. Przykro mi.

- Nie szkodzi - wydyszała niecierpliwie. Przekręciła ciało tak, że znalazła się na nim. - Kochaj się ze mną, Cole. Już. Natychmiast.

Ani myślał zwlekać. Objął ją i ułożył z powrotem tak, że to on był na górze. Zwilżonym palcem delikatnie sprawdził błonę, którą miał przerwać.

- Proszę, Cole... - Pierś jej falowała w szybkim, urywanym oddechu.

Musiał ją nieco rozciągnąć, żeby jej zaoszczędzić bólu. Włożył w nią dwa palce i powoli rozsunał. Zrobił, co mógł, a kiedy jej gwałtowne poruszenie uświadomiło mu, jak bliska jest przedwczesnego spazmu rozkoszy, szybko cofnął rękę.

Nie zwlekając dłużej, ułożył się między jej nogami i zaciskając szczęki, żeby nie krzyżeć, mocnym pchnięciem zagłębił się w jej wilgotnym cieple. Rozpaczliwie pragnął dać się ponieść namiętności, ale zastygł nieruchomo, dotykając rozpalonym czołem jej szyi.

Ona także jakby skamieniała w bezruchu. Z kącików jej zamkniętych oczu wytoczyły się dwie łzy. Osuszył je pocałunkami.

- Przepraszam, skarbie.

Minęła długa chwila, podczas której żadne z nich się nie poruszyło. A potem, niespodziewanie, Juliana przyłożyła dłoń do jego policzka i przywarła ustami do jego ust. Nie potrzebował dalszej zachęty; zaczął się w niej zanurzać powolnym, niemal leniwym rytmem, ani na moment nie odrywając się od jej ust. Wreszcie poczuł, jak wszystkie mięśnie mu tężeją, a wzbierające w całym ciele napięcie znajduje upust, unosząc go na fali niewyobrażalnej, oślepiającej rozkoszy.

Nie przestał się jednak w niej poruszać, czując, że i ona napina się wokół niego, a potem wydaje z siebie stłumiony, podobny do szlochu krzyk, kiedy jej ciałem wstrząsa dreszcz spełnienia. Wpatrzony w jej twarz trzymał ją mocno przy sobie, oczekując, aż drzenie ustanie. Oszołomiony i wyczerpany niewiarygodną siłą doznań, dyszał ciężko, ściskając ją w ramionach.

- Kocham cię, Juliano - szepnął jej wprost do ucha.

Kiedy otworzyła oczy, żeby na niego spojrzeć, wyczytała w nich wszystkie najpiękniejsze obietnice.

Zaskoczyło ich nieśmiałe pukanie do drzwi. Cole nie mógł uwierzyć własnym uszom. Kto śmiał mu przeszkadzać w noc poślubną? Pomyślał, że może mu się przywidziało. Ale pukanie rozległo się ponownie i musiał jakoś na nie odpowiedzieć.

Przeprosiwszy Julianę, wstał i omotał się w pasie kocem. Następnie okrył żonę kołdrą aż po szyję i dopiero ruszył ku drzwiom. Otworzywszy je gniewnym szarpnięciem, stanął oko w oko z zatroskanym stryjem Gilliem.

- Lepiej, żeby to była sprawa najwyższej wagi - warknął.

Stryj nie przeląkł się jego złości.

- Mamy gości, z którymi musisz się spotkać.

- Gości? Stryju Gillie, czyś ty zwariował?! Nie zawracaj mi głowy, przynajmniej do jutra! - Zatrzasnął Gilliemu drzwi przed nosem i odwrócił się, żeby wrócić do łóżka, kiedy pukanie się powtórzyło.

Przeklinając cicho, jeszcze raz przekreślił klamkę.

- Gillie...

- Cole, posłuchaj - przerwał mu spokojnie stryj. - Ci goście twierdzą, że kobieta, którą poślubiłeś, nie jest Juliana Pritchard.

Cole miał wrażenie, że nagle brakuje mu powietrza. Wpatrywał się w stryja z niedowierzaniem.

- Co to znaczy, że nie poślubiłem Juliany Pritchard? Oczywiście, że tak! Leży teraz w moim łóżku. Właśnie...

- Ona nie jest spokrewniona z Pritchardami, Cole. Rodzina Pritchardów jest w tej chwili na dole w twoim salonie. Musisz tam przyjść.

Cole potrząsnął głową całkiem ogłupiały.

- Musiała zająć jakaś pomyłka. Umieść tych ludzi na noc w jakimś pokoju, to porozmawiam z nimi później.

- Nie mogę, Cole. Musisz przyjść natychmiast.

Obejrzał się na Julianę. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, ufnyimi oczyma. Kochał ją do szaleństwa.

- Juliana nigdy by mnie nie oszukała - oświadczył z mocą.

- Obawiam się, że jednak to zrobiła.

- Skąd ta pewność?

- Ci ludzie znają szczegóły, które może znać tylko rodzina Pritchardów. - Gillie zamilkł na chwilę, a potem dodał ciężkim głosem: - Brat Juliany też jest tam, na dole.

Ból ścisnął Cole'owi serce. Płomień zaufania przygasał w nim, zostawiając po sobie popiół zdrady. Miał wrażenie, że świat wokół niego legł w gruzach. Nagle przypomniał sobie przeżycie, które mówiło mu, że w jego związku z Julianą czegoś brakuje. Przypomniał sobie, jak ociagał się z małżeństwem, bo choć oślepiiony urodą Juliany, w głębi duszy wyczuwał prawdę.

Zaciskając usta, Cole pokiwał głową.

- Zaraz przyjdę.

Gillie odszedł, a Cole bez słowa zamknął drzwi.

- Cole? Co się stało? - Juliana uniosła głowę z poduszki.

Nie odzywając się, wciągnął spodnie.

Usiadła, opierając się na łokciu.

- Kto to był?

Nie patrząc w jej stronę, założył koszulę.

Owinąwszy się prześcieradłem, wyszła z łóżka i stanęła naprzeciw niego.

- Cole, dlaczego się ubierasz? Co się stało?

Zauważył, że pobladła.

- Mamy gości, Juliano - wycedził przez zęby. - Może też powinnaś się ubrać i zejść na dół, żeby się z nimi spotkać. Twierdzą, że nie jesteś Juliana Pritchard, tylko kimś zupełnie innym. Oczywiście jestem ciekaw, co mają do powiedzenia.

Zachwiała się na nogach.

- O, nie...

Z głucho łomoczącym sercem włożył buty i wyszedł z sypialni.

Juliana czuła lepką wilgoć między udami i wiedziała, że musi to być jej własna krew. Oszołomiona dzięki gonitwą myśli w głowie, umyła się najdokładniej, jak to było możliwe, po czym rozejrzała się za czymś do włożenia. Oczywiście nie miała w tym pokoju żadnych ubrań poza suknią ślubną, która, zważywszy na okoliczności, nie wydawała się odpowiednim strojem, wciągnęła więc na siebie bryczesy i koszulę znalezione w jednej z szuflad komody i udała się do swego pokoju, żeby zamienić je na jakąś suknię.

Przez cały czas zastanawiała się gorączkowo, co też mogło przywieść George'a do Shoreham Park Manor, pewna, że tajemniczymi gośćmi nie może być nikt inny, tylko jej brat i ktoś z Pritchardów. Któż poza nimi był w stanie ją zdemaszkować?

Z bólem serca uświadomiła sobie, że ich misja zakończyła się całkowitą i nieodwracalną porażką. Pritchardowie wiedzieli, że George podszywał się pod Cole'a Strangforda. Teraz pozostawało jedynie wyjaśnić wszystko Cole'owi i wyjechać.

Jeśli tej nocy nie zaszła w ciążę, ponieśli klęskę. A z tego, co słyszała, potrzeba było więcej niż jednej nocy, by począć dziecko. Tak więc najprawdopodobniej przegrała, zawiodła wszystkich ludzi morza, a także Cole'a.

Myśl, że go straci, była bardziej bolesna od pchnięcia nożem. Ubrała się w schludną, choć trochę znoszoną muślinową suknię, w pośpiechu rozdzierając trochę na szwie, a następnie wsunęła na nogi pantofle. Zaraz potem zbiegła po schodach po dwa stopnie naraz i zatrzymała się dopiero przed drzwiami salonu.

Usłyszała dobiegające ze środka glosy. Jeden z nich należał do jej brata, co bynajmniej nie było zaskoczeniem. Z sercem w gardle weszła do salonu i przyjrzała się pozostałym gościom. Cole stał oparty o półkę nad kominkiem, z nieodgadzionym wyrazem twarzy, a George siedział na sofie z piękną, choć nie całkiem już młodą kobietą.

Juliana domyśliła się, że to Lila Whitham.

Obok Liii stał jakiś starszy mężczyzna. Juliana pomyślała, że musi to być pan Pritchard. Towarzysząca im kobieta o siwych włosach była trochę podobna do ciotki Peshy, co nasunęło Julianie przypuszczenie, że ma przed sobą nie kogo innego tylko Zeldę Strangford.

Na kanapie naprzeciw wejścia siedzieli Woodowie, a tuż przy drzwiach stał Gillie. Kiedy weszła, popatrzył na nią z wyrzutem.

Odwracając się od Gilliego, podeszła do brata, który podniósł się na jej widok. Mimo dramatycznej sytuacji, cieszyła się, że go widzi. Patrząc mu w oczy, próbowała odgadnąć, co się stało, lecz bez powodzenia.

- George... - zaczęła ze łzami w oczach. Żał, że im się udało i stracili tak wiele, ścisła ją za gardło.

Rozpostarł ramiona, żeby ją objąć braterskim uściskiem. Zgnębiona oparła mu głowę na ramieniu.

- Tak mi przykro, droga siostró - powiedział ze smutkiem.

Odsunęła się od niego ze skinieniem.

- Cóż za wzruszające rodzinne spotkanie - prychnął Cole z odrazą.

- Ależ Cole... - odezwał się Gillie, ale Juliana mu przerwała.

- Nie, stryju Gillie. Cole ma prawo się czuć tak, jak się czuje.

- Gillie nie jest twoim stryjem - warknął Cole - więc go tak nie nazywaj.

Juliana zadarła podbródek.

- Jesteśmy małżeństwem, Cole, więc teraz nim jest.

- Ożeniłem się z Julianą Pritchard, która, jak się okazało, naprawdę jest Anną Pritchard, przebywającą w szkole w Irlandii. - Odepchnąwszy się od kominka, podszedł do Juliany. - Nie wiem, kim ty jesteś, ale na pewno nie moją żoną.

George stanął pomiędzy Julianą a Cole'em.

- Proszę nie winić Juliany za to, co się stało, panie Strangford. To ja ponoszę winę. Ja uknułem ten spisek, a Juliana tylko spełniała moje polecenia.

Cole ściągnął usta. Dotknął luźnego pukla jej opadających na ramiona włosów.

- Och, rozumiem, że ona jest całkowicie niewinna?

George spąsował.

Czując, że sytuacja robi się naprawdę groźna, Juliana zaproponowała głośno:

- Może wszyscy się przedstawimy, a potem George wyjaśni mojemu mężowi, jak do tego wszystkiego doszło.

- To nie jest towarzyskie spotkanie, Juliano. Nie musimy się bawić w takie uprzejmości. - Odwróciwszy się do niej plecami, Cole stanął naprzeciw okien, równie ciemnych i nieprzeniknionych jak jego oczy.

- Jestem pewien, że Juliana chciałaby wiedzieć, z kim rozmawia - wtrącił cicho Gillie. Następnie dokonał stosownej prezentacji, potwierdzając domysły Juliany co do tożsamości pozostałych osób. Obserwując ich dyskretnie, Juliana zauważyła, że George siedzi blisko Liii, a Lila co chwilę zerka na jej brata, jakby szukała u niego oparcia. W istocie nawet pan Pritchard zdawał się akceptować George'a, mimo win, jakie miał na sumieniu wobec nich.

Kiedy Gillie skończył, odezwał się George, wymieniając nazwisko Williama Jamesa. Cole natychmiast nadstawił uszu. W miarę jak George rozwijał opowieść o szpiegowaniu Cole'a, żeby poznać wyniki jego prac przy aparacie do nurkowania, Cole wolno kiwał głową, jakby wszystko nagle stawało się dla niego jasne.

- Zastanawiałem się, kto zepsuł mój aparat miesiąc temu - mruknął, potwierdzając spostrzeżenie Juliany. - Bez wątpienia to ona go uszkodziła, działając na korzyść Williama Jamesa. - Wskazując na Julianę szorstkim gestem ręki, dodał: - Wiedziałś, że tamtej nocy przyszedłem do twojej sypialni i patrzyłem, jak śpisz? Przynajmniej wydawało mi się, że spałaś. Ale najwyraźniej wcale tak nie było.

Przytaknęła z nieszczęśliwą miną.

- Rzeczywiście zepsułam twój sprzęt, Cole. Dla Williama Jamesa. I wiedziałam, że tamtego wieczoru byłeś w mojej sypialni. Bardzo mi przykro.

Wbił w nią kamienne spojrzenie; przeprosiny nie wywarły na nim żadnego wrażenia.

- Jak Pritchardowie odkryli twoją prawdziwą tożsamość? - zwróciła się do George'a.

- Miałem okropnego pecha - przyznał. - Okazało się, że Zelda Strangford przyjaźni się z panią Howe mieszkającą w Buckland Village. Pani Howe ujawniła moje oszustwo.

Juliana westchnęła. Pracowali tak ciężko, by znaleźć wszystkie słabe punkty w swoim planie i je wyeliminować; wydawało się niesprawiedliwością, że ten jeden nieodkryty punkt zniweczył całą ich misję. A dla Juliany to było już coś więcej niż misja. Zakochała się w Cole'u, zraniła go boleśnie i teraz pozostał już tylko żal i poczucie klęski, które miały jej towarzyszyć przez resztę życia w głębinach.

- Juliano, muszę ci zadać jedno pytanie - wtrącił się Gillie, ścigając brwi. - Czy w twoich żyłach płynie choć trochę cygańskiej krwi?

Z całej duszy pragnęła mu udzielić odpowiedzi, jakiej oczekiwała, lecz nie mogła sobie przypisywać cygańskiego pochodzenia.

- Przykro mi, Gillie, ale jestem z pochodzenia Angielką. Cole zbladł.

- Zatem jesteś dla mnie warta jeszcze mniej, niż sądziłem. Nie uzyskam prawa do dziedziczenia, jeśli się nie ożenię z prawdziwą Cyganką. Nie ma więc sensu czegokolwiek ratować.

Zwiesiła głowę, nie mając nic do powiedzenia na swoją obronę.

Nagle Cole przeszedł przez salon trzema długimi krokami i stanął tuż przed nią.

- Dlaczego to zrobiłaś, Juliano? Dlaczego za mnie wyszłaś? Miałaś przecież tylko obejrzeć mój sprzęt do nurkowania... czy nawet go zniszczyć i odjechać. A jednak postanowiłaś złamać mi serce swoją zdradą.

Długo wstrzymywane łzy spłynęły jej po policzkach.

- Och, Cole. Nie spodziewałam się, że za ciebie wyjdę. Nie spodziewałam się, że poczuję do ciebie to, co czuję. Straciłam głowę. Ja... ja cię kocham.

Słyszając wyznanie Juliany, Lila Whitham cicho westchnęła.

- Kochasz? - zakpił Cole. - Nie wiesz, co to miłość.

- Nie wiedziałam, dopóki nie poznałam ciebie. - Przełknęła szloch, dławiący ją w gardle. - Tak jak powiedziałaś, miałam tylko zapoznać się z twoim wynalazkiem, a potem go zniszczyć. Ale nie mogłam cię opuścić, Cole. Po prostu nie mogłam. Czułam się tak cudownie przy tobie. Wybawiłeś mnie od samotności, która stała się nieodłączną częścią mego życia. Twoja troska i czułość sprawiały, że czułam się szczęśliwa, a kiedy oznajmiłeś, że zostanę twoją żoną, pozwoliłam sobie uwierzyć w marzenia. Oszukiwałam się, że możesz należeć do mnie, nie chciałam słuchać rozsądku, który mi uporczywie powtarzał, że nie jest nam pisana wspólna przyszłość.

Wstrząsnął nią szloch, tak gwałtowny, że aż zgięła się w pół. Kiedy znów się wyprostowała i spojrzała Cole'owi w twarz, pozostał niewzruszony niczym marmur.

Odwrociwszy się, powoli opanowała łkanie. George podszedł do niej i objął ją ramieniem. Bardziej wyczuła, niż zobaczyła jego zaskoczenie.

- Och, Juliano... - rzekł cicho.

Pan Pritchard chrząknął znacząco.

- Czy ktoś ma jakiś pomysł, co powinniśmy teraz zrobić?

- Rano zwrócę się gdzie trzeba o anulowanie małżeństwa - odparł poważnie Cole.

- Jeśli konstabl się dowie, że Juliana sfałszowała dokumenty ślubne, zamknie ją w Newgate - przypomniał mu Gillie.

- Tego byśmy nie chcieli, prawda? - odparł Cole z ironią. - Newgate jest dla kryminalistów.

Juliana się wzdygnęła. Wiedziała, że Cole cierpi, lecz wcale jej to nie pomagało znieść jego ostrych słów.

- Nie, wymyślę jakieś kłamstwo i powiem konstablowi, że uznaliśmy, iż do siebie nie pasujemy - ciągnął Cole. - Oboje będziemy musieli udawać, że małżeństwo nie zostało konsumowane.

- A zostało? - spytał George.

Juliana żałośnie pokiwała głową. Błysk nadziei w oczach brata wbudził w niej odruch niechęci.

- Zatem małżeństwa nie można unieważnić - oświadczył George. - A jeśli Juliana już oczekuje pańskiego dziecka, panie Strangford?

Ponura mina Cole'a świadczyła, że w duchu przyznaje George'owi rację.

- Nie mam zamiaru porzucić własnego dziecka. Pozostaniemy małżeństwem, dopóki Juliana nie będzie pewna, że nie jest w ciąży, a potem załatwimy unieważnienie.

Juliana poczuła się tak, jakby właśnie odroczone wykonanie na niej wyroku przez powieszenie.

- Przykro mi, Cole. Tak bardzo mi przykro.

Zrzesz następne dwa tygodnie Cole zamykał się w swoim laboratorium; posunął się nawet do tego, że tam spożywał posiłki. Im mniej widywał swą perfidną „żonę”, tym lepiej... ponieważ ilekroć na nią spojrzął, serce mu pękało i miał ochotę walić pięścią o ścianę. Jakże łatwo go nabrała! I jakim strasznym był głupcem, dając jej się wodzić za nos. Cicho i wytrwale budował mur wokół swego serca, tak gruby i twarde, żeby już nigdy nie mogła się przez niego przedrzeć. Przysiągł sobie, że gdy tylko Juliana dostanie miesięczki, natychmiast ją odprawi.

Wreszcie nadeszło popołudnie, kiedy miało się odbyć przyjęcie dobroczynne na rzecz sierocińca. Cole siedział przy swym roboczym stole, dokonując ostatnich poprawek przy aparacie. Wiedział, że jego wynalazek jest znacznie lepszy od sprzętu stworzonego przez Williama Jamesa czy kogokolwiek innego. Wykorzystał częściowo projekt hełmu używanego przez ratowników, którzy wchodzili do zawałonych szybów kopalni, żeby uwolnić uwięzionych górników. Wstępne próby dowiodły, że jego ulepszony hełm w połączeniu ze zbiornikiem sprężonego tlenu sprawdza się pod wodą znacznie lepiej, niż Cole się spodziewał. Jutro, kiedy będzie już po przyjęciu, zamierzał pojechać do Londynu, żeby zademonstrować swoje osiągnięcie przed Królewskim Towarzystwem Oceanograficznym i jeśli dobrze pójdzie, uzyskać lukratywne zamówienie.

Rozległo się pukanie do drzwi; wszedł Gillie. Chociaż raz Cole był zadowolony, że mu przeszkodzono.

- Gillie... dziękuję, że przyszedłeś.

Starszy mężczyzna przyjrzał się Cole'owi z uwagą.

- Jak się miewasz, Cole?

Nie patrząc stryjowi w oczy, Cole wzruszył ramionami.

- Nie najgorzej jak na człowieka, który zakochał się w oszustce i był na tyle głupi, żeby się z nią ożenić. Chyba musimy złożyć mój przypadek na karb słynnego pecha Strangfordów.

- Czuję się odpowiedzialny za całą tę sytuację - wyznał Gillie. - To ja wybrałem ją na kandydatkę do małżeństwa i zachęcałem was, żebyście się pobrali.

- Jak możesz winić siebie za cudze oszustwo? Zaufałeś i zostałeś zdradzony. Możesz wyciągnąć naukę z tego doświadczenia, ale nie czuj się odpowiedzialny.

- Chciałbym, żebyście wy dwoje znów się połączyli.

Cole szybko zamknął oczy; ból spowodowany jej zdradą wciąż palił go żywym ogniem.

- Czasami rano, kiedy się budzę, robi mi się smutno i zastanawiam się, kto umarł? Potem sobie przypominam, co się stało, i żałuję, że nie mogę z powrotem zasnąć.

- Wiesz, że ona nadal cię kocha.

- Nie potrafię już odróżnić prawdy od kłamstwa. Chyba nigdy nie będę umiał. - Cole opuścił wzrok na swoje dłonie. - Mimo to żałuję, że sprawy nie potoczyły się inaczej. I to jest najgorsze, stryju.

Gillie odchrząknął. Kiedy się znów odezwał, w jego głosie pobrzmiwała udawana beztroška.

- Cóż, chodźmy więc wypróbować ten twój nowy wynalazek. Zobaczyć, jak się spisuje.

Cole próbował odpowiedzieć w tym samym duchu, ale nie bardzo mu się udało. Złożył skórzany skafander do nurkowania w schludny tobołek, a Gillie tymczasem zabrał hełm i zbiornik z tlenem. Obładowani sprzętem wyszli z wiatraka i wsiedli do powozu, który czekał na nich przed drzwiami.

Po krótkiej drodze do miasta zatrzymali się w porcie. Zapłacili jakiemuś chłopcu, żeby miał oko na ich powóz. Następnie Cole z Gilliem wsiedli na pokład niewielkiej łodzi, którą trzymali przy nabrzeżu. Dzień był słoneczny, rzeška bryza łopotąła białym żaglem. Wkrótce dotarli do miejsca, gdzie Cole jako pierwszy odkrył trzy niezidentyfikowane wraki. Znalazł wówczas kilka złotych monet, ale ponieważ wraki znajdowały się

na dużej głębokości, a woda był ciemna, nurkowanie przy użyciu dzwonu napotykało wiele trudności.

Już w znacznie lepszym humorze założył skafander i zaimpregnował go specjalnie przygotowanym tłuszczem, a następnie wciągnął ciężkie buty do nurkowania. Potem upewnił się, że ciśnienie w zbiorniku jest odpowiednie. Na koniec Gillie pomógł mu włożyć hełm i przymocować go do obręczy, którą skafander kończył się przy szyi.

- Może zapoczątkujesz nową modę w kostiumach kąpielowych - zażartował Gillie.

- Wątpię - odpowiedział Cole głosem zniekształconym przez miedziany hełm, lecz w jego własnych uszach brzmiącym bardzo głośno. Odchylił się nieco, żeby stryj mógł przypiąć cylinder z tlenem do jego pleców i przymocować wąż odchodzący od hełmu do zbiornika. Wreszcie Gillie odkręcił zawór na szczycie cylindra i chłodny tlen wypełnił wnętrze hełmu, natychmiast przygotowując Cole'a o zawrót głowy.

- Jesteś gotów?! - zawołał Gillie.

Patrząc na stryja przez szybkę w hełmie, Cole skinął głową.

Gillie wręczył mu lampę naftową zamkniętą w wodoodpornej kasecie. Powietrze wydychane przez Cole'a do środka skafandra przez specjalny przewód dochodziło do lampy i podsycalo płomień. - Stań na dźwigu, to cię opuszczę.

Cole zastosował się do polecenia, wchodząc na niewielką drewnianą belkę. Gillie powoli przekręcił dźwignię i belka zaczęła się opuszczać. Cole czuł, jak woda stopniowo sięga mu do kolan, do pasa, aż w końcu zamknęła się nad jego głową. Po zmianie ciśnienia poznał, że schodzi coraz głębiej, do wraków spoczywających na dnie oceanu.

Jak zawsze pierwsze chwile w wodzie zdawały mu się dziwnie nierzeczywiste. Wokół panował spokój i cisza, jedyne dźwięki, jakie słyszał, do tego mocno stłumione przez hełm, pochodziły od nieznanym mu morskich stworzeń. Zrobiło mu

się zimno, słoneczne światło nie docierało tak głęboko; miał wrażenie, że przeniósł się do zupełnie innego świata.

Woda była ciemna, ale w miarę przejrzysta. Cole uniósł lampę i w niewielkim kręgu słabego światła ujrzał skały porośnięte jasnoczerwonymi morskimi anemonami, a w każdym zagłębieniu rybę lub homara. Rozproszyły się, kiedy mijając je, pomachał ręką, ciągnięty w dół przez ciężkie buty.

Im głębiej schodził, tym ciemniej robiło się dokoła niego. Ponieważ zbiornik z tlenem się schładzał, także powietrze, którym oddychał, było coraz zimniejsze. Rezultatem było obniżenie temperatury jego ciała. Trzęsąc się, spoglądał przez szybkę na szybko zbliżające się dno oceanu. Potrzaskane części statku leżały rozrzucone między wyżłobieniami dna i potężnymi głazami. Oceniając swoje położenie na około sześciu sążni, dopasował ciśnienie wewnątrz skafandra, przekręcając specjalnie zaprojektowany zawór. Nadmierna ilość powietrza nadęłaby skafander i wyrzuciła go na powierzchnię, co z kolei wywołałoby bolesną i czasami fatalną w skutkach chorobę, gdy krew burzy się w żyłach. Natomiast niedobór powietrza uczyniłby go bezbronnym wobec znacznie większego ciśnienia wody nad nim.

Belka, na której stał, uderzyła o dno. Zaczepił ją o kamień, żeby nie odpłynęła, i ruszył przed siebie po dnie oceanu. W nozdrzach miał mocny zapach miedzi. Przyszło mu do głowy, że znacznie łatwiej byłoby mu się poruszać bez liny, która wlokła się za nim, zaczepiając o nierówności. Poza tym skafander działał doskonale i Cole nie mógł się wprost doczekać, jak Królewskie Towarzystwo Oceanograficzne przyjmie jego wynalazek.

Uśmiechając się po raz pierwszy od tygodni, podszedł do wraku, przeciskając się między głazami, które musiałyby omijać, mając na sobie skafander z przewodami doprowadzającymi powietrze z góry. Różne gatunki ryb, nie wyłączając wielkiego węgorza, zdawały się go obserwować, kiedy odłupywał kawałki

drewna z kadłuba wraku i otwierał szafkę oderwaną od ściany. W świetle lampy coś w szafce błysnęło srebrzyście; odgarnąwszy warstwę szlamu, znalazł srebrną monetę.

Uśmiechnął się szerzej.

Od jak dawna był pod wodą? Obliczył, że prawie trzy kwadransy. Znacznie dłużej niż kiedykolwiek wcześniej. Uznając swą wyprawę za udaną, wrócił do miejsca, gdzie ukrył belkę, stanął na niej i pociągnięciem za linę dał znak Gilliemu. Wkrótce potem belka zaczęła się unosić, powoli, dając mu czas, by się przystosował do coraz mniejszego ciśnienia. Znalazszy się na powierzchni, wdrapał się na łódź i stojąc nieruchomo, czekał, aż Gillie zdejmie mu z głowy hełm, a potem odepnie z pleców cylinder z tlenem. Wreszcie odstawił lampę i wyciągnął ku stryjowi otwartą dłoń, pokazując srebrną monetę.

Gillie zagwizdał przeciągle. Wziął monetę do ręki i dokładnie ją obejrzał ze wszystkich stron.

- Z pewnością jest stara - zawyrokował. - I pewnie warta niezłą sumkę.

- Ważniejsze, że mój skafander sprawdził się znakomicie - powiedział Cole. - Pojemnik z tlenem daje cudowną swobodę ruchów. Czułem się jak urodzony w wodzie, z taką łatwością spacerowałem po dnie.

Gillie uśmiechnął się półgębkiem.

- No to teraz już wiesz, jak się czują ludzie morza.

- Mogę sobie tylko wyobrazić, jak to jest, kiedy się żyje w oceanie, przecina prądy ze swobodą delfina i oddycha wodą zamiast powietrzem. Myślę, że by mi się podobało.

- Jestem pewien. - Gillie wyciągnął zegarek z kieszeni. - Nie mamy wiele czasu do rozpoczęcia tego przyjęcia rocznicowego, Cole. Lepiej wracajmy już do domu.

Dobry nastrój Cole'a wyparował. Bał się tego wieczoru, kiedy Juliana miała po raz ostatni wystąpić u jego boku jako

żona. Wkrótce już jej nie będzie. Prawdopodobnie nigdy więcej jej nie zobaczy, a ta świadomość bolała jak diabli. Ale jaki miał wybór? Zatrzymać ją jako żonę pomimo oszustwa i zrezygnować z dziedziczenia posiadłości? Utrzymać ją w mieście jako kochankę? Żadna z tych możliwości nie wchodziła w rachubę.

- Wracajmy - westchnął.

Gillie skierował łódź w stronę brzegu, a Cole poskładał starannie strój do nurkowania. Nie odzywali się do siebie, obaj pogrążeni w smutnych myślach. Kiedy łódź przybiła do nabrzeża, Cole z Gilliem zebrali swoje rzeczy i kazali chłopcu, który pilnował ich powozu, sprowadzić go do portu. Gillie suwerenem opłacił przysługę i zaraz potem odjechali do Shoreham Park Manor.

Ze wszystkich okien domu biło jasne światło... choć słońce jeszcze nie zaczęło zachodzić. Cole domyślił się, że służba musiała widocznie zapalać wszystkie świece i lampy. Mimo wrażenia pewnej przesady dom wyglądał zachęcająco. Przechodząc przez hol, Cole dostrzegł liczne bukiety ciepłarnianych kwiatów, które przypomniały mu weselne śniadanie.

Serce mu się ścisnęło, rysy stężały.

Po pierwszym pięttrze krzątały się pokojówki, szykując pokoje dla gości, którzy mieli zostać na noc. Z daleka dobiegały tony skrzypiec, świadczące o tym, że orkiestra przygotowuje się do występu. Wszędzie wdzierał się smakowity zapach pieczonych kurcząt i pasztetów, jako że kucharka nagotowała potraw dla co najmniej setki osób. Najwyraźniej Juliana przeszła samą siebie w przygotowaniu tego przyjęcia.

Zabronił sobie przywoływać jej imię. Myślenie o Julianie za bardzo bolało, a nie chciał się torturować bez potrzeby. Wystarczy, że przez cały wieczór będzie musiał ją znosić u swego boku, wiedząc, że wkrótce małżeństwo zostanie unieważnione i rozstaną się na zawsze. Nie wiedzieć czemu

nagle rozgniewany, wszedł do swojej sypialni i zamienił robocze ubranie na wieczorowy strój, powarkując przy tym na Bogu ducha winnego Williama.

Specjalnie wybrał spodnie i frak zupełnie inne od tych, które nosił podczas wesela. Uszyte z ciemnografitowej wełny wyglądały odrobinę mniej elegancko niż całkiem czarne, ale czarna kamizelka i biały krawat nadrabiały ten niedostatek. Ciotka Pesh weszła na górę, żeby sprawdzić, co się z nim dzieje tuż przed rozpoczęciem przyjęcia - ostatnio wszyscy jakoś często go sprawdzali - i przyznała, że dawno już nie widziała swego siostrzeńca prezentującego się tak doskonale.

Przyjął komplement z uśmiechem, choć podejrzewał, że w ten sposób staruszka chciała mu poprawić nastrój. Wielu gości już przybyło i patrzyło na niego, kiedy schodził na dół po schodach z ciotką Peshą wspartą na jego ramieniu. Przypuszczał, że niektórzy zastanawiali się, gdzie podział swą świeżo poślubioną żonę i dlaczego woli towarzyszyć starej ciotce niż swej urodziwej wybrance. Niedługo potem ujrzał Julianę i utwierdził się w przekonaniu, że jego goście - szczególnie mężczyźni - musieli go uznać za szaleńca, skoro wybrał Peshę.

Juliana ubrana była w suknię z długimi rękawami, której żółty kolor podkreślał miodowy odcień jej oczu. Zebrane w falbanę koronki okalały rękawy przy nadgarstkach oraz brzeg głęboko wyciętego dekoltu. Z pojedynczego sznura pereł spływał na jej mlecznobiałe piersi wisior z topazem, przyciągając uwagę nie tyle jubilerskim kunsztem, co miejscem, na którym spoczywał.

Cole przełknął ślinę, opuszczając wzrok.

Ramiona Juliany okrywał złocisty szal zakończony frędzlami, a w prawej dłoni trzymała wachlarz. Długie kasztanowe włosy miała upięte wysoko w grecki węzeł, podkreślający smukłość szyi, i przewiązane żółtą wstążką. Wyglądała oszałamiająco pięknie, nic więc dziwnego, że natychmiast przyciągnęła uwagę wszystkich zebranych w pobliżu osób.

Dojrawszy go, uniosła kąciki ust w uśmiechu, a jej oczy nabrały szczególnego blasku.

- Cole - zawołała cicho - chodź tu i pomóż mi witać naszych gości!

Ciotka Pesha ze zrozumieniem poklepała go po ramieniu i odeszła. Chcąc, nie chcąc, zbliżył się do Juliany, która od razu chwyciła go za obie ręce i przyciągnęła do siebie, jak przystało na oddaną żonę. Wbrew sobie poczuł dumę, że ma przy boku tak niezwykle piękną kobietę.

- Cudownie pani dziś wygląda, pani Strangford - powiedział z ironią.

- Och, Cole, myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz. Chcę, żebyś poznał pułkownika Bridgersa z Królewskiej Marynarki. Słyszał o twoim skafandrze do nurkowania od Królewskiego Towarzystwa Oceanograficznego i chciałyby o nim z tobą porozmawiać. Wydaje mi się, że istnieje możliwość kontraktu, jeśli twój aparat do nurkowania sprawdzi się w działaniu.

- Sądziłem, że wolisz skafander Williama Jamesa - mruknął.

Oczy jej pociemniały.

- Twój jest o wiele lepszy.

Nie wiedząc, czy mówi poważnie, uniósł brew, ale Juliana już go ciągnęła w drugi koniec pomieszczenia, do mężczyzny w średnim wieku odzianego w mundur kapitana Królewskiej Marynarki. Kapitan wyraźnie ożywił się na widok Juliany, nie kryjąc męskiego podziwu dla jej urody.

Wściekły na siebie za zazdrość, która nie wiedzieć czemu ukłuła go w środku, Cole przysunął się bliżej do Juliany.

Z uśmiechem dokonała prezentacji, po czym wycofała się, gdy po wymianie kilku uprzejmości panowie przeszli do bardziej interesującego ich tematu - nurkowania. Po chwili odeszła; choć Cole dał się bez reszty wciągnąć w rozmowę z kapitanem Bridgersem, widział, jak przedziera się przez tłum,

zagadując miło gości, jak przystało na dobrą gospodynię. Parę razy zatrzymała się, by porozmawiać ze swoim podłym bratem i panią Whitham, kobietą, z którą miał się ożenić. Cole współczuł pani Whitham, ponieważ została oszukana tak samo jak on, lecz fakt, że jest wyraźnie zakochana w bracie Juliany, i to z wzajemnością, trochę studził jego współczucie.

Poczucie dumy z Juliany przybrało na mocy, kiedy całe towarzystwo przeniosło się do ogrodu i podzielone na grupy spacerowało ścieżkami, które udekorowała z pomocą dzieci, lub grało w gry przez nią wymyślone.

- Pańska żona jest cudowną kobietą - powiedział z uśmiechem kapitan Bridgers, zaskakując Cole'a tą niespodziewaną, odbiegającą od tematu uwagą. Nagle uświadomił sobie, że i on myślni błądzi gdzie indziej, ponieważ nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie mówił wcześniej jego rozmówca. Nagle poczuł się jak zakochany sztubak.

- Tak, rzeczywiście - przyznał.

- Niech pan się jej mocno trzyma - dodał kapitan, patrząc na Julianę rozmarzonym wzrokiem. - Straciłem żonę w 1805 roku, a co rano, budząc się, oczekuję, że znajdę ją u swego boku.

Cole jęknął w duchu. Nie takiej rady potrzebował.

Wreszcie kapitan opuścił go, żeby porozmawiać z innymi uczestnikami przyjęcia, a Cole wmieszał się w tłum, raz po raz poklepywany po plecach przez znajomych z miasta, którzy w ten sposób wyrażali mu swe uznanie, że zdobył kobietę tak piękną jak Juliana. Kolacja zaczęła się o szóstej, a podawała ją czwórka małych gnomów i elfów, wspomagana przez gromadę służby. Wielu gości głośno chwaliło zabawny pomysł i doskonałe maniery sierot. Jeden ze starszych dzentelmenów stwierdził, że wysoka cena za bilet wstępu na przyjęcie była całkowicie uzasadniona i od tego momentu już było wiadomo, że tegoroczne przyjęcie dob-

roczynne zapisze się w kronikach miasta jako niekwestionowany sukces.

Cole, który przez cały wieczór nie spuszczał oka z Juliany, natychmiast dostrzegł jej zniknięcie i nie zwlekając, odszukał Giłlego, by się dowiedzieć, dokąd poszła. Stryj powiadomił go, że Juliana przygotowuje się do krótkiego przedstawienia na temat ludzi morza, w którym wystąpi też kilka sierot. Niecierpliwie czekał na ów występ, zaplanowany w głównym holu. Kiedy więc ciotka Pesha stanęła w drzwiach i poprosiła wszystkich, by weszli do środka, znalazł się na samym przodzie.

Śmiejąc się i rozmawiając, goście stopniowo zapełniali obszerny hol. W pobliżu schodów ktoś zawiesił prowizoryczną kurtynę i kiedy wszyscy byli już na miejscu, a orkiestra zagrała skoczną uverturę, ciotka Pesha odsłoniła kurtynę.

Przez tłum przebiegł szmer podziwu.

Zaimprovizowaną scenę wypełniały dekoracje w postaci głazów z papier mache i lśniących niebieskich kafelków ułożonych w taki sposób, by wyglądały jak wodospad. Scenografia była doprawdy imponująca, a jej wykonanie musiało kosztować wiele czasu i trudu. Ale to nie ona była powodem zachwyty widzów.

Chodziło o Julianę.

Miała na sobie wspaniałą obcisłą suknię; góra była cielistego koloru, a spódnica srebrna. Naszyte w odpowiednich miejscach cekiny nadawały Julianie wygląd morskiej syreny, wyposażonej w ogon delfina. Pyszne kasztanowe włosy wiły się swobodnie wokół ramion, opadając aż do pasa. Siedziała z „ogonem” odchylonym na bok, niczym Wenus w morskiej muszli.

U jej stóp, w pobliżu wodospadu, bawiło się kilkoro „wodnych dzieci”. Teatralnym gestem nakazała im usiąść, co wykonały z przesadną gorliwością, wzbudzając wesołość dobrodusznym rriatron.

Powoli wszyscy znów się uciszyli i na znak ciotki Peshy Juliana, uniósłszy głowę, zaczęła śpiewać czystym, dźwięcznym głosem:

*Słodki smutek mnie ogarnia
Bo marzenie bliskie memu sercu
Oszukuje wszystkich kłamstwem
Przyzywa mnie z głębin
A ja nie śmiem się jej oprzeć
Morze jest grobem tych wszystkich
Którzy posłuchali wołania syreny*

Śpiew cichł stopniowo, by w końcu całkiem umilknąć; w holu zrobiło się cicho jak w grobie. Otaczała ją jakaś nierzeczywista aura. Cole poczuł gęsią skórę na ramionach. Juliana przywołała w jego umyśle opowieść o syrenie, której wizerunek wyryty był w pewnym kościele w Kornwalii. Zdradzona przez wiarołomnego kochanka dziewczyna zabiła się, skacząc z urwistego brzegu, i stała się syreną, która z zemsty wabiła żeglarzy na pewną śmierć.

Dwoje starszych dzieci, przebranych za kobietę i mężczyznę, wmaszerowało na scenę i zaczęło odgrywać historię syreny. Juliana pozostała na swoim miejscu pod wodospadem i spełniała rolę narratora. Cole przyłapał się na tym, że nie może od niej oderwać wzroku. Dwukrotnie musiał przecierać oczy. Gdzieś głęboko w środku zbudził się w nim dziwny niepokój, jakby chciał się czegoś dowiedzieć, ale tak do końca nie wiedział czego.

Kiedy „młoda kobieta” rzuciła się z urwiska, by ponieść śmierć i stać się syreną, mały chłopiec w przebraniu gнома zaczął się przeciskać przez tłum w stronę sceny. Miał przy sobie niewielkie wiaderko z wodą. Cole z zaciekawieniem

przyglądał się dziecku, które bardzo grzecznie prosiło widzów, by pozwolili mu przejść. Kiedy dotarł do sceny i Juliana go zobaczyła, oczy zrobiły jej się okrągłe ze strachu.

- James, nie! - krzyknęła.

- Morska pani! - zawołał chłopiec cienkim, piskliwym głosem. - Zapomniałaś o wodzie. Przecież potrzebujesz wody, żeby ci wyrósł ogon! - Zamachnął się wiaderkiem i chlusnął jego zawartością prosto na Julianę.

Po raz drugi tego wieczoru przez tłum przeszedł szmer.

Z mokrymi włosami, wyrazem przerażenia w oczach, ustami otwartymi w bezgłośnym krzyku Juliana wpatrywała się w Jamesa. Równocześnie zaczęło się dziać coś bardzo dziwnego. Powietrze wokół niej zrobiło się mgliste, jakby ktoś ustawił w pobliżu garnek z parującym wrzątkiem. Wydała z siebie rozpaczliwy jęk, a potem zaczęła się bezradnie miotać jak ryba wyciągnięta z wody i rzucona na pokład.

- O mój Boże - powiedział ktoś głośno. - Ona ma jakiś atak.

Cole rzucił się ku scenie, dopadając do Juliany jednocześnie z jej bratem. Pochwycił ją w ramiona.

- Proszę kazać przynieść jakiś koc - rozkazał George.

Cole popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Nie jest jej zimno. Dobry Boże, jest cała rozpalona. Żar bijący od jej ciała pali mi dłonie.

- Powiedziałem, że potrzebujemy koca.

Ciotka Pesha, zapewne przekonana władcym tonem George'a, pośpieszyła spełnić jego rozkaz i po chwili wróciła, niosąc koc z salonu. George wziął go od niej i zarzucił na Julianę.

Cole trzymał ją mocno. Zaczęła się dziwnie trząść. Czuł przez ubranie drobne ruchy, jakby każdy z jej mięśni drgał

w innym rytmie. Wrażenie było tak niesamowite, że Cole'a przeszły ciarki.

- Co się z nią dzieje?

- Ulega przeobrażeniu - odparł George, jakby to wyjaśnienie miało wystarczyć. - Trzeba ją zanieść do salonu. Szybko!

Cole przeniósł Julianę do sąsiedniego pomieszczenia i posadził na kanapie. George zamknął drzwi na klucz i przypadł do boku siostry. Usłyszeli, jak za drzwiami Gillie mówi gościom, że Julianie nic nie będzie i nie ma się o co martwić.

George uniósł siostrze spódnicę i zdjął jej z nóg pończochy. Cole przyglądał się z osłupieniem, jak mięśnie w jej udach i łydkach, drżąc, zmieniają kształt i wielkość, niczym krety ryjące tunele pod ziemią. Jej skóra zmieniała barwę i wygląd, z mlecznobiałej na srebrną i grubą.

Cofnął się chwiejnie.

- Jest pan jej mężem - przypomniał mu George z poważną miną. - Chcę, żeby pan zdjął z niej te jedwabne majtki, które ma pod spódnicą.

- Co się z nią dzieje? - spytał Cole, z trudem wydobywając głos z wyschłego gardła. - Dobry Boże, czy ona... czy ona jest jedną z... ludzi morza?

- Oboje jesteśmy ludźmi morza - wyznał George. - Proszę zdjąć jej majtki, i to szybko. Musimy ją wsadzić do wody.

Cole omal nie upadł. Przesunął dłonią po oczach.

- Panie Strangford, Juliana potrzebuje pańskiej pomocy - ponaglił jej brat, mrużąc jasnoniebieskie oczy. - Jestem pewien, że wolałaby, żeby pan to zrobił, ale jeśli będę zmuszony, sam jej zdejmę te majtki.

Cole miał wrażenie, że oblepia go mgła i musi się przez nią przedzierać po omacku. Chwiejnie podszedł do kanapy i uklęknał przy Julianie. Kiedy sięgał pod spódnicę i zdejmował z niej bieliznę, czuł żar bijący od jej ciała. Nagle wyprężyła się nienaturalnie, a jej kręgosłup jakby się wydłużył. Na jego

oczach nogi Juliany połączyły się, tworząc formę przypominającą rybi tułów.

Ciarki przeszły mu po plecach; nie był w stanie odwrócić wzroku.

- Jak... jak...

- Ten mały chłopiec ochlapał ją morską wodą - wyjaśnił mu George, domyśliwszy się, o co Cole chciał spytać. - Moja siostra nie miała czasu przygotować się wewnętrznie na powstrzymanie procesu transformacji. Tak jak pan nie byłby w stanie powstrzymać nagłego kichnięcia.

Stopy Juliany rozsunały się na boki, między palcami wyrosła błona i stawała się coraz grubsza, aż w końcu zamiast stóp pojawił się ogon delfina. Poruszyła nim nieznacznie, odchylając głowę na oparcie kanapy.

George odgarnął siostrze włosy z czoła.

- Ona teraz strasznie cierpi. Przeobrażenie właściwie dobiegło końca. Musimy ją wpuścić do morza, gdzie będzie mogła oddychać wodą, czego wymaga jej obecna postać.

Juliana westchnęła żałośnie.

- Cole - szepnęła, otwierając oczy i patrząc mu prosto w twarz.

Wzdrygnął się mimo woli. Źrenice miała rozszerzone do tego stopnia, że tęczęwki przestały być widoczne, a cała gałkę oczną pokrywała szklista błona.

- Chryste - jęknął przerażony Cole.

Drżąc na całym ciele, wziął Julianę na ręce i natychmiast poczuł, jak oplata go swoim delfinim ogonem, jakby go chciała pogłaskać albo się go trzymać.

- Jest jakieś inne wyjście z tego pokoju? - spytał przytomnie George.

- Wejście dla służby. - Cole poprowadził go do niewielkich drzwi ukrytych między meblami i wkrótce przemykali się korytarzem do części domu zajmowanej przez służących. Jeszcze jeden zakręt w prawo i dotarli do tylnego wyjścia z domu. Najszybciej, jak mogli, ruszyli w stronę morza.

- Nic jej nie będzie? - spytał z lękiem Cole.
- Jeśli na czas dotrzemy do oceanu, wszystko będzie dobrze.

Ważne, żeby przeobrażenie nastąpiło do końca, skoro już się zaczęło. W przeciwnym razie przez wiele dni byłaby zupełnie pozbawiona sił do życia.

Wciąż oszołomiony, niezdolny wprost uwierzyć własnym oczom, Cole potrząsnął głową.

- Czy to jakaś salonowa sztuczka?
- Chciałbym, żeby tak było.
- Ty naprawdę jesteś jednym z ludzi morza?
- Jestem - potwierdził krótko George.
- Podejrzewam, że cała ta historia z Williamem Jamesem miała jedynie zamaskować wasze prawdziwe zamiary.
- Nie wierzyliśmy, by zechciał pan dobrowolnie spłodzić dziecko z jedną z naszych kobiet i w ten sposób złamać klątwę cygańskiej wiedzy.
- W głowie mi się to wszystko nie mieści.

George nic nie odpowiedział, a zaraz potem stanęli nad brzegiem oceanu. Cole położył Julianę tuż poza zasięgiem przybrzeżnej fali.

- Co powinniśmy teraz zrobić?

George wskazał na skupisko głazów na plaży.

- Usiądę tam, na tych kamieniach, odwrócony do was plecami. Musi pan ściągnąć z niej suknię i całą resztę ubrania, a potem włożyć ją do wody, żeby mogła odpłynąć.

Cole uklęknął przy Julianie i obejmując ją za ramiona, uniósł jej głowę z piasku. Miał świadomość, że powinien się bać, a przynajmniej czuć do niej niechęć. Ostatecznie była jego śmiertelnym wrogiem. Legenda głosiła, że ludzie morza starają się doprowadzić wszystkich Cyganów do śmierci. Mimo to przepełniały go uczucia zupełnie innego rodzaju - triumf, fascynacja oraz to wszystko, co kiedyś czuł do Juliany, a ostatnio próbował w sobie stłumić.

Nie musiał się już uganiać za marzeniami.

Trzymał w ramionach jedno z nich.

Delikatnie rozpiął jej gorset, rozwiązał koszulę i obnażył jej pełne białe piersi. Blask księżycy ślizgał się po jej nagim ciele, nadając mu niesamowity, srebrzysty odcień. Z głośno walącym sercem rozwiązał tasiemki ściągające koszulę w pasie i całkowicie uwolnił ją z ubrania. Leżała przed nim naga, bezbronna i drżąca, uderzając słabo ogonem o piasek.

Widok był tak niewiarygodny, że Cole miał ochotę się uszczypnąć, by sprawdzić, czy przypadkiem nie śni. Tysiące pytań kłębiły mu się pod czaszką. Modlił się, żeby Julianie nie stało się nic złego. Myślał też o Morskim Opalu. Czy George go miał? Czy inni ludzie morza byli gotowi oddać niezwykle klejnot za szansę uwolnienia się od klątwy?

Zrodziła się w nim nadzieja. Porwał Julianę w ramiona i nie zważając na swój odświętny strój, wszedł do morza. Kiedy woda sięgnęła mu do pasa, położył ją na falach. W zetknięciu ze słoną wodą przebiegł ją dreszcz, pomachała ogonem i nagle odpłynęła, nurkując pod fale. Zniknęła mu z oczu.

Z sercem ściśniętym przez uczucie, którego nie potrafił nazwać, długo spoglądał na wodę, a potem wrócił na brzeg, gdzie czekał na niego George.

- Powinniśmy być wrogami - stwierdził Cole.

George przytaknął kiwnięciem głowy.

- Baliśmy się Cyganów, zważywszy na to, co nam uczyniła ta cygańska czarownica. Zawsze uważałem, że los jest złośliwy, skoro jedynym sposobem uwolnienia się od klątwy miało być uwiedzenie jednego z tych, których się najbardziej obawiamy. Niestety, nie udało nam się.

- My także zawsze się baliśmy ludzi morza, morderców i złodziei, którzy ukradli nam Morski Opal i zabili naszego przywódcę, zrzucając go z urwiska - zauważył Cole. - Pilnowaliśmy, żeby nigdy nie dać się uwieść żadnej z waszych kobiet i nie spłodzić dziecka mieszanej krwi z lęku, że wy-

jdziecie z oceanu, by dokończyć dzieła i wszystkich nas wymordować. Nawiasem mówiąc, masz Morski Opal?

George wybuchnął śmiechem, w którym nie było cienia wesołości.

- Nie. Straciliśmy go dawno temu.

- Szkoda, bo miałem ci zaproponować pewien interes. Gdybyś mi oddał Morski Opal, ja zatrzymałbym Julianę jako żonę i spłodził z nią kilkoro dzieci, żeby złamać więżącą was klątwę.

George zapatrzył się na morze.

- Nie mamy tego klejnotu, panie Strangford.

Cole wzruszył ramionami.

- Ilu was jest i gdzie mieszkanie?

- Mniej więcej dwadzieścioro. Większość trzyma się w pobliżu, przy południowym wybrzeżu Anglii. Wokół wysp Scilly leży mnóstwo wraków i tam stworzyliśmy naszą małą osadę.

- Mieszkanie we wrakach? - upewnił się Cole, wpatrzony w grzebień fal liżących plażę.

- Owszem. Kilku z naszych ludzi przeniosło się do Morza Śródziemnego i na południowy Pacyfik. Nie mieliśmy od nich wieści już od wielu lat.

- I przez cały ten czas próbowaliście uwodzić moich przodków po to, żeby wyzwolić się z klątwy.

Teraz z kolei George wzruszył ramionami.

- Kiedy pojawiła się szansa, owszem, któraś z kobiet próbowała uwieść jednego z was. Ale nie było tych okazji zbyt wiele, a poza tym w grę wchodziły tylko niektóre, wyjątkowe osoby.

- Jak Juliana.

- Właśnie. Juliana bardziej niż jakakolwiek inna z naszych kobiet potrafi się oprzeć przeobrażeniu z ludzkiej postaci w morską pod warunkiem, że ma czas się do tego wewnętrznie przygotować. Kiedy zmusiłeś ją do stania w morzu podczas swojego „obrzędu wstępnego”, mogła się wcześniej odpowied-

nio nastawić i dzięki temu cię oszukać. Tym razem jednak wszystko stało się nagle i przeobrażenie nastąpiło nieuchronnie.

Cole wolno pokiwał głową. Wszystko było jasne.

- Co, według ciebie, powinniśmy teraz zrobić? - odezwał się po dłuższej chwili. - Może byś mi dał Morski Opal?

George przyjrzał się Cole¹owi otwarcie.

- Juliana cię kocha, a znam ją na tyle dobrze, by się założyć, że zdobyła także twoją miłość. A skoro kochacie się nawzajem, czemu nie mielibyście pozostać małżeństwem?

- Ciągle mnie okłamywała i do tego zdradziła - przypomniał mu Cole tonem pełnym urazy.

- Klamała i zdradziła, ponieważ wiedziała, że los wszystkich ludzi morza zależy od tego, czy zdoła cię uwieść i urodzić dziecko mieszanej krwi.

- Zatem oczekujesz, że usprawiedliwię jej czyny?

- Może nie usprawiedliwisz, ale przynajmniej zrozumiesz.

Cole przyjrzał się uważnie swojemu rozmówcy. Coś mu się w tym wszystkim nie zgadzało.

- Jeśli Juliana i ja możemy mieszkać na lądzie jak normalne małżeństwo, to dlaczego tak bardzo wam zależy na przewyciężeniu klątwy? Dlaczego nie możecie po prostu wyjść na ląd i trzymać się z daleka od słonej wody?

- Chciałbym, żeby to było takie proste - przyznał George. - Przybierając ludzką postać, i tak musimy codziennie wracać do oceanu, żeby nasze ciała zmieniały się na pewien czas. Jeśli tego nie zrobimy, nasza skóra zaczyna wysychać i sztywnieć i w końcu się dusimy. A im dłużej przebywamy na lądzie, tym więcej czasu musimy spędzać w oceanie jako ludzie morza. Znałem kiedyś człowieka, który przeżył pół roku na lądzie, ale pod koniec tego okresu musiał pływać codziennie po czternaście godzin. Sam więc widzisz, że to nie takie łatwe.

Cole słuchał George'a zafascynowany. Próbował sobie przypomnieć słowa klątwy rzuconej przed wiekami przez czarownicę należącą do jego przodków, lecz chociaż znał je kiedyś na

pamięć, uleciały mu z głowy bezpowrotnie. Potrafił sobie jednak wyobrazić ograniczenia i trudności, jakie musieli znosić ludzie morza.

- Jeśli Juliana i ja zdołamy złamać klątwę, wy będziecie mogli wyjść na ląd bez żadnych problemów.

- Właśnie.

- Zakładam, że nie macie zamiaru wymordować reszty Strangfordów podczas snu, kiedy już się to stanie.

- Jeśli wybawisz nas od klątwy i nie wyrządzisz nam jakiegóż innej krzywdy, będziecie bezpieczni.

Jednocześnie wybuchnęli serdecznym, czystym śmiechem.

W końcu Cole pokiwał głową poważnie, choć w środku aż się trząsał z emocji.

- A co z Morskim Opalem? Tylko ten klejnot może uwolnić rodzinę Strangfordów od pecha, a z tego, co słyszałem, mieliście go, pograżając się w oceanie. Myślę, że Morski Opal jest godziwą ceną za uwolnienie was od klątwy.

- Dawno byśmy zaproponowali taki układ, gdybyśmy mogli odzyskać ten przeklęty kamień - upierał się George. - Tak naprawdę jestem przekonany, że to właśnie Morski Opal leży u źródła wszystkich naszych kłopotów... mam na myśli zarówno twoją rodzinę, jak i moją.

- W takim razie, gdzie on może być?

W ciemności rozległ się kobiecy głos.

- Gdzie jest co?

Obaj mężczyźni zamilkli, kiedy dołączyła do nich Juliana, już z nogami w miejscu ogona. Owinęła się kocem. Zbliżywszy się do Cole'a, posłała mu spojrzenie spod opuszczonych rzęs.,

W tym momencie zrozumiał, że pragnie jej tak bardzo, iż żadne kłamstwa nie mają znaczenia, zdrada także się nie liczy, byle tylko mógł zatrzymać przy sobie Julianę. Nieważne, czy będą musieli zamieszkać w jaskini z gorącym źródłem... nieważne, co się wydarzyło... nieważne, czy wiąże się z tym jakaś groźba...

A może mógłby zdobyć nie tylko Julianę, ale i Morski Opal. Gra zapowiadała się niebezpiecznie, a stawką miała być miłość Juliany, ale po namyśle Cole zdecydował, że jest warta ryzyka. Poza tym bardzo chciał zagrać, jako że odnalezienie klejnotu od dawna stanowiło jego życiowy cel.

- Widzę, że wyleczyłaś się ze strachu przed oceanem - powiedział do Juliany.

Żachnęła się, odwracając wzrok.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Domyślam się, że ten wypadek, kiedy omal nie utonąłaś u wybrzeży Irlandii, nie był aż taki straszny.

Westchnęła.

- Nie mogę utonąć. Musisz o tym wiedzieć.

- A ten żołnierz? Czy także był wymyślony?

- Spełnił swoje zadanie - odpowiedziała wymijająco, a Cole postanowił nie drażnić tego tematu w obecności jej brata.

Patrzył na Julianę przez chwilę, a potem bezradnie poddał się przemożnemu pragnieniu, by przygarnąć ją do siebie i zamknąć w objęciach. Juliana wtuliła się w niego rozpaczliwie. Kiedy pociągnęła nosem, domyślił się, że płacze. Sam także miał łzy w oczach.

George chrząknął, przypominając im o swej obecności.

- Juliano, twój brat właśnie złożył mi interesującą propozycję - zaczął Cole'z napięciem. - Chce, żebyśmy pozostali małżeństwem i spłodzili dziecko, którego tak potrzebują ludzie morza. Zastanawiam się tylko, czy w zamian zechcesz mi pomóc.

- Jak miałabym ci pomóc? - szepnęła, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- Pomóż mi odzyskać Morski Opal. Twój brat twierdzi, że ludzie morza nie wiedzą, gdzie klejnot się znajduje, ale trudno mi uwierzyć, że stracili tak cenną rzecz.

- Nie powiedziałem, że nie znam położenia klejnotu - sprostował George. - Powiedziałem tylko, że nie jestem w stanie

go odzyskać. Mamy własne legendy dotyczące Morskiego Opalu, a wszystkie łączą się z osobą mojego przodka, Anthony*ego St. Germanie'a. To on ukradł Morski Opal twojej rodzinie.

- Słyszałem o nim - wtrącił Cole.

- Po tym jak cygańska czarownica przeklęła St. Germaine'ów, skazując ich na życie w morzu, Anthony St. Germaine postanowił, że już nigdy nie odzyskacie klejnotu. Wybrał grocie daleko w głębi oceanu, żeby ukryć w niej Morski Opal. Bez wątplenia powiedział swoim bliskim, gdzie znajduje się owa grotka, po czym odpłynął z opalem, żeby umieścić go w kryjówce. Nikt nigdy więcej go nie widział.

Cole uniósł brwi.

- Jak sądzisz, co się z nim stało?

- Przypuszczamy, że zginął, ukrywające opal w jaskini - włączyła się Juliana. - Chociaż nigdy nie odnaleźliśmy jego ciała.

- Skąd mogę wiedzieć, że mnie nie okłamujecie? - powiedział Cole. - Zabierzcie mnie do tej groty.

George pokręcił głową przecząco.

- Nie możemy. Nie opowiedziałem ci reszty tej historii. Po zniknięciu Anthony'ego inni udali się do groty, żeby go szukać. Oni także nie wrócili, choć mocno zniekształcone ciało jednego z nich w końcu wypłynęło na powierzchnię nieopodal.

- Mocno zniekształcone? W jaki sposób umarła ta osoba? Czy na ciele były ślady ugryzień? Było częściowo zjedzone?

Juliana zaprzeczyła ruchem głowy.

- Historia nie mówi tego wyraźnie. Nie wiemy.

- Zatem grotka może kryć różne niebezpieczeństwa. - Cole przypomniał sobie wielką kałamarnicę, napotkaną kiedyś podczas nurkowania. Minęła go od spodu, zostawiając za sobą pas zmaconej wody. Szybko uciekł wtedy do łodzi.

- Rzeczywiście - przyznał George. - Przez dziesięciolecia różni mężczyźni i kobiety uchodzący za śmiałków schodzili

do groty, żeby odzyskać Morski Opal. Niektórzy zabierali ze sobą harpuny i noże. Nigdy nie powrócili.

- Dobry Boże. - Cole w zamyśleniu potarł czoło. - Musi i być jakiś sposób na odzyskanie tego przeklętego kamienia.

- Jeśli jakiś wymyślisz, proszę, powiedz nam o nim - powiedziała cicho Juliana.

Cole skrzywił się, dając wyraz rozczarowaniu. Zawsze był wyjątkowo uparty. Do znalezienia Morskiego Opalu podchodził z taką samą wytrwałością jak do swoich wynalazków i dawno temu nauczył się przyjmować porażki za wskazówkę, że należy próbować w inny sposób. Odkrył na własnej skórze, że nie wolno się poddawać, niezależnie od tego, cokolwiek by się stało. Teraz jednak musiał się pogodzić z niezaprzeczalnym faktem; po latach poszukiwania Morskiego Opalu dowiedział się, że klejnot na zawsze pozostanie poza jego zasięgiem.

Pamiętał, jak tonął w zdradliwym prądzie. Tamtego dnia omal nie przyplącił życiem pogoni za marzeniem. Ale czy nie warto umierać za pewne rzeczy? Takie jak Morski Opal czy miłość?

Skierował na Julianę i jej brata nieugięte spojrzenie.

- Wybiorę się do tej groty. Żadne z was nie musi mi towarzyszyć. Powiedzcie mi tylko, gdzie ona się znajduje.

Juliana, z przerażeniem w oczach, chwyciła go za ramię.

- Cole, nie! Nie możesz. Zginiesz, a ja na to nie mogę pozwolić.

- Dlaczego? Bo wraz ze mną zginie ostatnia szansa na wyzwolenie się od kłątwy?

- Nie, ty uparty głupcze. Nie pozwolę ci umrzeć, bo cię kocham.

Zrobiło mu się ciepło na sercu. Juliana była dla niego jak poranek, rozpraszający nocne cienie i chłód.

- Wolę pójść do grobu, wiedząc, że chociaż próbowałem - upierał się - zamiast być pochowanym razem z żalem i tęsknotą za drugą szansą.

- Nie - powtórzył twardo George.
- Znasz mnie na tyle dobrze, by rozumieć, że muszę to zrobić - zwrócił się Cole do Juliany. - Proszę, zaufaj mi.
Zerknęła niepewnie na brata.
- Jeśli masz umrzeć, Cole, to równie dobrze i ja mogę nie żyć. Idę z tobą.
Patrząc na nich, jakby oboje postradali rozum, George pokręcił głową.
- Zabraniam ci, Juliano. Nie mogę cię stracić.
- Grota znajduje się niedaleko od brzegu - powiedziała do Cole'a, nie zwracając uwagi na brata. - Jest położona głęboko, w miejscu, gdzie rafa uskokiem przechodzi w rów. To jest co najmniej dziesięć sążni pod powierzchnią wody w czasie odpływu. Potrafisz nurkować tak głęboko?
- To jakiś nonsens. - George podniósł głos. - Juliano, nie możesz go zabrać do tej groty. Zginiecie, tak jak cała reszta.
Zgromiła brata spojrzeniem.
- George, nie rozumiesz? Musimy spróbować. Jeśli odzyskamy Morski Opal, obie nasze rodziny wreszcie zazną spokoju.
- Nie możecie przynajmniej poczekać do rana? Po co aż tak się śpieszyć? Połowa miasta czeka w domu, zastanawiając się, co się z nami stało.
- Dość już czekałem na Morski Opal - oświadczył Cole. - Nie będę dłużej zwlekał. Nic mnie nie obchodzi, co myślą ci wszyscy ludzie w moim domu.
George westchnął z rezygnacją.
- Grota jest tam. - Juliana wskazała właściwy kierunek, zwrócona twarzą do oceanu.
Cole zmrużył oczy.
- Zaczyna się odpływ. Za jakąś godzinę poziom wody powinien być najniższy.
- A co będzie, jeśli nie zdążysz znaleźć Morskiego Opalu, zanim zaczniesz się przypływać? - spytał George.

Juliana wzruszyła ramionami.

- Będziemy musieli się śpieszyć. Ile ci zajmie przygotowanie twojego sprzętu do nurkowania?
- Pójdę po niego natychmiast.
- Idę z tobą.

Brat Juliany także do nich dołączył, kiedy pośpiesznie zdążyli do laboratorium. Cole zajął się pakowaniem sprzętu, cierpliwie znosząc uwagi George'a na temat nikłych szans na powodzenie wyprawy.

George wskazał palcem na skórzany skafander Cole'a.

- Oczekujesz, że to cię ochroni przed zimnem i ciśnieniem wody? - Na widok hełmu znów się zdziwił: - Jak, u diabła, można cokolwiek widzieć, mając na głowie tę armatnią kulę?

Juliana pomagała Cole'owi w milczeniu; był jej wdzięczny za zaufanie, nie tylko do niego, ale i do jego wynalazku. Wkrótce wszystko było gotowe i Cole pobiegł po powóz, którym sam zajechał przed laboratorium. Wszyscy troje zapakowali się do środka i z kopyta ruszyli do portu w Shoreham.

Na oświetlonych ulicach miasta nie było żywej duszy.. Cole domyślił się, że wszyscy są w Shoreham Park Manor, częstują się jego jedzeniem i snują domysły na temat niedyspozycji Juliany. Uśmiechnął się pod nosem, zadowolony, że całe miasto siedzi w jego domu, bo dzięki temu miał swobodę ruchu tu, w porcie. Mając za świadka jedynie księżyc, weszli na pokład łodzi i wyruszyli na morze.

Napięty w oczekiwaniu Cole raz po raz sprawdzał coś przy swoim aparacie do nurkowania, podczas gdy Juliana pilnowała, by George nie zbaczal z wytyczonego przez nią kierunku. Kiedy dotarli do miejsca oddalonego mniej więcej o kilometr od brzegu, Cole założył skafander i poprosił George'a o zapięcie sprzączek przy nadgarstkach i nogach.

Odbyli krótką najadę, rozważając, czy Cole powinien założyć specjalnie obciążone buty, i w końcu postanowili z nich zrezygnować, ponieważ mogły przedłużyć poszukiwania, a lat-

wiej i szybciej było płynąć, niż kroczyć po dnie oceanu w ciężkich butach. Tak więc Cole pozostał boso, użył też znacznie lżejszego pasa obciążającego, za który zatknął nóż o bardzo długim ostrzu.

Na ostatku George pomógł mu założyć hełm i umocował na plecach cylinder z tlenem. Trochę niecierpliwie Cole wytłumaczył mu, jak podłączyć węże powietrzne wychodzące ze skafandra do cylindra z tlenem i lampy. Nie zostało im dużo czasu do chwili, gdy odpływ miał ustąpić miejsca przyptywowi.

Już w pełni przygotowany do nurkowania Cole objaśnił Julianie, czego się może po nim spodziewać, jako mieszkańcu łądu zapuszczającemu się w głębiny.

- Kiedy zejdziemy pod wodę, tlen w zbiorniku ulegnie schłodzeniu. Ponieważ będę nim oddychał, mogę się trząść. To jest kłopotliwe, ale normalne.

- Och, Cole...

- Nie martw się tym - rozkazał, a potem szybko pocałował ją w usta... na szczęście.

- Oboje jesteście szaleni - westchnął George.

Nie zwracając na niego uwagi, Cole stanął na belce dźwigu, a George opuścił go do wody. Juliana zanurkowała tuż przy nim, z harpunem w dłoni. Natychmiast zaczęła się przeobrażać: kręgosłup się wydłużył, nogi złączyły w srebrny ogon delfina. W wodzie transformacja przebiegała zupełnie inaczej niż wcześniej na łądzie, wręcz z pewnym wdziękiem, a kiedy się zakończyła, Cole aż pozazdrościł Julianie swobody, z jaką mogła się poruszać.

Dzierząc harpun w jednej ręce, podobna do nordyckiej syreny, drugą podała Cole'owi i razem z nim zaczęła się opuszczać na dno. Bez butów czuł się znacznie lżej. Do tego stopnia, że cylinder z tlenem wypychał go ku górze. Jednak pas obciążający i ciężar hełmu wystarczyły, by mógł się opuszczać coraz głębiej. Zapamiętał to spostrzeżenie, by w przyszłości wykorzystać je przy usprawnianiu swojego sprzętu do nurkowania.

Kiedy dotarli już na dno, odpiął linę dźwigu i pozwolił się prowadzić Julianie. Wokół było prawie całkiem ciemno; światło lampy sięgało zaledwie na odległość nieco ponad pół metra. Chwycone w snop światła ryby rozpierzchały się gwałtownie, a z oddali dobiegały odgłosy wydawane przez wieloryby. Powietrze wewnątrz skafandra miało smak zimnej miedzi, a napór otaczającej go wody utrudniał ruchy. Cole nagle poczuł się całkiem bezbronny. Zadrżał nie tylko od chłodu.

Juliana zatrzymała się i obserwowała go z uwagą. Musiała poczuć, jak drży. Pomachał jej na znak, że wszystko z nim w porządku, i uspokojona pociągnęła go dalej. Przebierał zdrętwiałymi z zimna stopami, starając się płynąć jak najszybciej. W pewnej chwili pokazała mu ruchem ręki, żeby na nią zaczekał, i odpłynęła, zostawiając go samego. Kiedy przez dłuższą chwilę nie wracała, narastał w nim niepokój. Już zaczynał myśleć, że coś się jej stało, gdy znów się pojawiła i wzięła go za rękę; kasztanowe włosy opływały ją zmysłową chmurą.

Wyraźnie ożywiona, pociągnęła go zdecydowanie za sobą. Natychmiast pojął, że odnalazła grotę, i odruchowo wyciągnął nóż zza pasa. Płynęli wolniej, rozglądając się po dnie i skalnych występach, wypatrując zagrożenia, które przywiodło do zguby ich poprzedników.

Nie widzieli niczego podejrzanego.

Dopóki nie znaleźli pierwszego ciała.

Właściwie był to tylko szkielec, pokryty planktonem i morskimi porostami. Łatwo było go przeoczyć, jednak Cole, który miał wzrok wyczulony na wszystko, co niezwykłe, od razu go zauważył i pokazał Julianie. Pamiętając, że ma ograniczoną ilość tlenu i zużył już prawie ćwierć zawartości cylindra, szybko zgarnął z kości zanieczyszczenia. Uniósłszy w górę lampę, przyjrzał się szkielecowi, który miał ludzką formę mniej więcej do pasa, a dalej strukturę przypominającą rybi ogon.

Znowu poczuł się nieswojo. Puste oczodoły skierowane były wprost na niego, a zęby układały się w kształt drwiącego uśmiechu. Żadna z kości nie wydawała się złamana, co dowodziło, że ofiara nie została zabita przez mięsożerne stworzenie, takie jak na przykład rekin. Nie, coś innego zabijało ludzi morza.

Juliana pociągnęła go za rękę, a następnie, nie okazując, lęku, zaczęła holować w stronę ciemnej szczeliny w rafie. Ogarnęło go podniecenie. Miał nadzieję, że grotę będzie dość obszerna, by pomieścić go wraz z wyposażeniem. Kiedy dotarli do otworu, przekonał się, że jest wystarczająco duży. Uniósł lampę, żeby oświetlić wnętrze.

Przywitała go jednak nieprzenikniona ciemność.

Wiedział z doświadczenia, że grotę może zamieszkiwać całe mnóstwo nieprzyjemnych stworzeń... węgorzy, kałamarnic i ośmiornic. Widząc, że Juliana zamierza wpłynąć do środka, powstrzymał ją i pokręcił głową. Nie chciał, żeby tam zagłębiała. Cokolwiek czekało w środku, zamierzał sam stawić temu czoło.

Juliana odpowiedziała dumnym uniesieniem podbródka. Nie musiała nic mówić, by zrozumiał, że nie zrezygnuje. Zamachał gwałtownie rękami, próbując jej w ten sposób przekazać, że boi się o nią i jest zły, że mu się sprzeciwia.

Nic nie wskórał; odwróciła się i wpłynęła do groty.

Z sercem w gardle, trzymając wysoko lampę, popłynął za nią. Natychmiast pogrążył się w mroku. Zdołał wprawdzie dostrzec kilka węgorzy ukrytych w szczelinach i jakieś wodorosty, ale nic nie wyskoczyło na niego z mroku. Przed sobą widział ogon Juliany, błyskający srebrzyście w ciemności.

Kurczowo zacisnął palce na rękojeści noża. Kiedy Juliana nagle zniknęła mu z oczu, pomyślał ze zgrozą, że coś ją złapało i ciągnie w otchłoań. Płynął jednak dalej i wkrótce odkrył, że grotę rozwidła się na dwa kanały, z których jeden prowadzi w górę. Juliana właśnie ten wybrała.

Zaczął drzeć mocniej, bo spadła mu temperatura ciała. Ponadto zaczynało mu się kręcić w głowie na skutek ciśnienia i działania tlenu. Wiedział, że ma niewiele czasu.

Poruszając szybko nogami, także popłynął w górę; zwolnił, napotykać Julianę krążącą przy ścianie. Dostrzegłszy go, wskazała ku górze. Podnosząc wzrok, Cole stwierdził, że ocean nad nimi stał się płaski i szklisty, jakby znaleźli się tuż pod powierzchnią wody. Błagając ją gestem, by pozostała na miejscu, tylko na moment, Cole popłynął w górę.

Niespodziewanie jego głowa wyskoczyła ponad wodę. Chwycając się wystającej skały, uniósł lampę.

W wydrążonej w skale komorze znajdowało się co najmniej dziesięć szkieletów, zastygłych w różnych nienaturalnych pozach.

Wzdrygnął się, wydając z siebie zduszony okrzyk, który odbił się echem wewnątrz hełmu. Poczuł, że Juliana płynie jego śladem, i w ostatniej chwili przytrzymał ją pod wodą.

Nie mógł pozwolić jej się wynurzyć, nie wiedząc dokładnie, dlaczego ci ludzie morza zginęli.

Ścisnął ją za ramię i puścił, a potem zaczęli dłońmi o krawędź otworu. Niemało wysiłku kosztowało go wciągnięcie się do środka, zważywszy na wagę jego stroju do nurkowania. Siedząc już w środku i oddychając ciężko ze zmęczenia, rozejrzał się po komorze. Była bardzo ciemna, a ściany tworzył ten sam miejscowy kamień, jaki paru przedsiębiorczych kupców wydobywało nieopodal Shoreham. Nie udało mu się zobaczyć żadnych śladów życia roślinnego, co nie dziwiło ze względu na całkowity brak światła. Wstał chwiejnie; kamień pod jego stopami był zimny jak lód. Zawroty głowy nasiliły się znacznie, podobnie jak drżenie. Zaczął szczerkać zębami. Po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy zdoła wrócić na łódź. Nie dość, że czuł się okropnie, to jeszcze nadchodził przypływ...

Wykonał kilka kroków wokół szkieletów i jęknął. Zrobiło mu się niedobrze. Bał się, że zaraz zwymiotuje. Jakimś cudem

zdołał się jednak powstrzymać, przeszedł krok dalej i znów jęknął. Zbiornik z tlenem ciążył mu na plecach niczym głąz. Doszedł do wniosku, że szybciej zbada komorę bez tego brzemienia, więc odpiął cylinder i ostrożnie ułożył na występie skalnym. Wąż doprowadzający tlen do skafandra miał około pięć stóp długości, więc musiał kilka razy przenosić zbiornik w miarę poruszania się po komorze, ale lepsze było to niż dźwiganie ciężaru na plecach.

Odpięcie cylindra z pleców zajęło mu znacznie więcej czasu niż zwykle; wiedział, że jego umysł działa mniej sprawnie. Zastanawiał się, po co w ogóle używa swojego sprzętu, skoro już nie znajduje się pod wodą. Przekręcił zawór odcinający dopływ tlenu i zdjął hełm.

Ostry zapach zaszczypał go w nozdrza. Zaczął się dusić. Jeszcze bardziej zakręciło mu się w głowie. Zachwiał się, potknął o własny sprzęt, a potem przez chwilę stał odrętwiały, próbując odgadnąć, co się z nim dzieje.

I nagle zrozumiał.

Trujący gaz!

Dusząc się, opadł na kolana. Trzymając się za szyję, niezdarnie brnął w stronę wylotu kanału, łączącego komorę z jaskinią. Wpadł do wody równocześnie z utratą świadomości.

Juliana pływała tam i z powrotem pod wylotem kanału, zgodnie z poleceniem Cole'a nie zaglądając do komory, i z coraz większym niepokojem czekała na jego powrót. Kiedy postanowiła jednak do niego dołączyć, spadł jej prosto na głowę. Trząśnięcie i miał wytrzeszczone oczy.

Juliana miała ochotę krzyknąć ze strachu - Cole nie miał na sobie sprzętu do nurkowania.

Zawahalała się, nie wiedząc, co powinna zrobić: wejść do komory po aparat do oddychania czy jak najszybciej wyciągnąć Cole'a na powierzchnię?

Wywrócił oczyma, wyciągając przed siebie ręce z palcami rozpostartymi niczym szpony.

Umierał, i to szybko.

Sama, również roztrzęsiona, 'podjęła decyzję i modliła się, by była słuszna. Owinęła się wokół niego i najszybciej, jak potrafiła, zaczęła wypływać na powierzchnię oceanu. Wydawał jej się bardzo ciężki w nasiąkniętym wodą skórzonym skafandrze, ale jakoś sobie poradziła. Kiedy się wreszcie wynurzyli, wciąż dygotał, a jego skóra zrobiła się całkiem sina.

- Mój Boże! - przeraził się George, wciągając Cole'a na łódź. - Co się stało?

- Nie wiem - załkała Juliana. - Czy on umrze?

- Ma objawy jakiegoś zatrucia i hipotermii - stwierdził z troską George. - Ale nie umrze pod warunkiem, że wpujemy w niego trochę powietrza.

Okrył Cole'a kocem znalezionym na łodzi i zaczął stosować sztuczne oddychanie, wdmuchując mu powietrze do ust, podczas gdy Juliana rozcierała ręce i nogi Cole'a. Nagle Cole poruszył głową na boki, a potem przechylił się i zwymiotował.

- Cole, co się stało? - spytał George, nie kryjąc lęku. - Co znalazłeś w tej grocie?

Cole krztusił się i jęczał, ale nie odpowiadał.

- Znalazł Morski Opal? - tym razem George zwrócił się do Juliany.

- Nie.

- Powiedz mi, co się zdarzyło podczas schodzenia do groty.

Juliana opowiedziała bratu wszystko po kolei, wspominając o znalezionym szkielecie człowieka morza. Kiedy mówiła o tym, jak Cole wypadł z wylotu komory, bez swojego sprzętu do nurkowania, George zeszytniał.

- Chwileczkę, Juliano. Twierdzisz, że wszedł do komory z aparatem do nurkowania, a wyszedł bez niego?

Skinęła głową.

- Musiał ściągnąć aparat w komorze. Bo i czemu nie? Z pewnością było tam powietrze, bo inaczej woda wypełniłaby całe wnętrze... - Urwała w pół słowa, bo nagle doznała olśnienia. - Powietrze w komorze musi być zatrute! - wykrzyknęła.

- Pomyślałem tak samo. - George smutno potrząsnął głową. - Teraz już wiemy, dlaczego tak tajemniczo zginęło wielu naszych ludzi.

- George, jego aparat do oddychania nadal tam jest - zauważyła podekscytowana. - Mogłabym tam wrócić i używając sprzętu Cole'a, poszukać opalu.

- Mogłabyś, ale nie wrócisz. To zbyt niebezpieczne, droga siostrzo. Nie pozwolę ci.

- George, musisz zrozumieć, że ten klejnot jest dla Cole'a bardzo ważny. Boję się, że jeśli go tam zostawimy, Cole nie będzie myślał o niczym innym aż do śmierci. Jeśli mam być z nim szczęśliwa, muszę znaleźć Morski Opal.

Nie czekając na odpowiedź, zanurkowała pod fale; nie usłyszała protestów brata, bo stłumiła je coraz większa ilość dzielącej ich wody.

Myśl o Cole'u dodawała jej sił i rozgrzewała całe ciało. Nie obarczona żadnym ciężarem była w stanie poruszać się szybciej, więc dotarła do groty w zaledwie pięć minut. Pamiętając układ wnętrza, niemal natychmiast znalazła się w komorze.

Lampa, wciąż mżąc słabym światłem, wydobywała z mroku szczątki kilkunastu ludzi morza. Musiała zebrać w sobie całą siłę woli, żeby nie krzyczeć. Odbijając się mocno ogonem, wskoczyła na skalne dno komory. Po lewej stronie, w odległości paru metrów od niej, leżał hełm i cylinder z tlenem. Juliana wiedziała, że potrzeba około pięciu minut, by jej ogon przekształcił się w nogi, więc doczołgała się do hełmu, wyrwała z niego wąż doprowadzający tlen, po czym włożyła go sobie do ust i przekręciła zawór na cylindrze.

Czysty, nieco słodkawy tlen wypełnił jej płuca. Jęknęła z ulgi, robiąc wydech przez nos. Teraz wystarczyło pamiętać, by wdychać tlen z węża i wydychać nosem.

Leżąc na dnie komory i czekając, aż nastąpi przeobrażenie w ludzką postać, rozglądała się po skalnym wnętrzu. Poza stertami kości wydawało się całkiem puste; najodleglejsze zakamarki wypełniał gęsty mrok. Przebiegł ją dreszcz na myśl, że prawdopodobnie leży obok samego Anthony'ego St. Germaine'a, człowieka, który wpędził ich wszystkich w nieszczęście.

Kiedy ogon zaczął ją śwędzić i szczytać, zapomniała o Anthonym St. Germainie i skupiła się na transformacji. Najważniejsze był prawidłowe oddychanie - wdech przez wąż, wydech przez nos. Po chwili ból ustąpił i mogła poruszyć palcami u nóg.

Biorąc ze sobą cylinder z tlenem, ruszyła wzdłuż ścian, uważnie zaglądając w każdą szparę, wypatrując błysku klejnotu. Była pewna, że od razu znajdzie Morski Opal, lecz w miarę jak czas upływał, coraz jaśniej zdawała sobie sprawę, że zadanie nie będzie takie łatwe, jak się spodziewała. Trochę rozczarowana weszła w najdalszy, najciemniejszy zakątek komory, szukając jakiegoś śladu.

Nic nie znalazła.

Doszła do wniosku, że stare legendy nie mówiły prawdy. Anthony St. Germaine nie ukrył Morskiego Opalu w tej grocie. Musiał umieścić go gdzieś indziej. Jej nadzieje rozprysły się jak kielich ciśnięty o ścianę. Zrezygnowana wróciła do miejsca, gdzie spoczywały kości. Dobry Boże, jak miała powiedzieć Cole'owi, że Morskiego Opalu nie ma w grocie? A sam Cole czy na pewno przeżyje tę wyprawę?

Łzy zapiekły ją pod powiekami. Zakrztusiła się tlenem ze zbiornika i odruchowo zaczerpnęła mały łyk powietrza. Natychmiast zakręciło jej się w głowie. Zachwiała się na nogach i łapczywie przysssała się do cylindra, próbując zneutralizować skutki trującego gazu. W wężu powietrznym zabułgotało, co mogło oznaczać tylko jedno - zapas tlenu był na wyczerpaniu. Musiała zakończyć poszukiwania.

Mijając sterty kości, kątem oka dostrzegła coś błyszczącego. Natychmiast odżyła w niej nadzieja. Rozepchnęła szkielety, starając się nie myśleć o tym, jakie są zimne i oślizłe, i kiedy dosięgła leżącego na samym dnie, zobaczyła opalizujący kamień w filigranowej złotej oprawie, połyskujący zza zaciśniętych kości, które kiedyś były palcami.

Z wrażenia nieopatrznie otworzyła usta i wciągnęła trochę powietrza. Momentalnie poczuła ściskanie w gardle i zaczęła się krztusić. Usiłowała zaczerpnąć tlenu, ale w cylindrze znów rozległ się bulgot, a oddychanie przez wąż stało się znacznie trudniejsze. Gorączkowo próbowała wyszarpnąć Morski Opal pomiędzy kości, ale palce szkieletu nie dały się odgiąć.

W głowie czuła dziwną lekkość. Przy następnym oddechu z węża wydostała się już tylko odrobina tlenu, co oznaczało, że zbiornik jest pusty.

Z głośno walącym sercem porzuciła wąż i wstrzymała oddech. Drżącymi rękoma próbowała wyszarpnąć klejnot z kurczowo zaciśniętych kościanych szponów. Ostre brzegi oprawy kaleczyły jej skórę na palcach, tak że po chwili Morski Opal był czerwony od jej krwi.

Niestety, mimo wysiłków nie udawało jej się wydostać opalu. Nie mając wyboru, zastanowiła się nad innym wyjściem i od razu ogarnęły ją mdłości.

Wyglądało na to, że będzie musiała zabrać całą rękę.

Płuca ją paliły, w głowie dudniło, przed oczyma wykwitały czarne plamy. Miała świadomość, że zaraz zemdleje i umrze, ponieważ nieprzytomna zacznie wdychać trujący gaz. Rozpaczliwie pociągnęła za rękę, próbując odłamać kość, lecz szkielet Anthony'ego St. Germaine'a nie poddawał się jej woli, jakby był z żelaza.

Zrozumiała, że musi zabrać cały szkielet na powierzchnię i dopiero tam ktoś będzie mógł wydostać klejnot, posługując się piłą. Najpierw jednak musiała odrzucić na bok pozostałe, przygniatające go szkielety.

Łzy spływały jej ciurkiem po policzkach, w oczach ciemniało, kiedy chwiejąc się z wyczerpania, rękami i nogami rozgarniała kości. Przeszło jej przez myśl, że gdyby ktoś ją obserwował, uznałby niechybnie, że jest szalona, ale jakie to mogło mieć znaczenie, skoro zaraz czekała ją śmierć?

Znów do jej płuc dostało się trujące powietrze. Gardło paliło ją niemilosiernie. Coraz głębiej przekonana, że wszystko stracone, rozpaczliwym szarpnięciem oderwała szkielet Anthony'ego St. Germaine'a od skały, z wysiłku bezwiednie rozchylając usta.

Kolejny haust zatrutego powietrza wpłynął jej do płuc.

Upadła, zaciskając dłoń na Morskim Opalu, zupełnie tak samo jak Anthony St. Germaine. Kiedy resztką sił wlokła się

do otworu wylotowego, wyglądało to tak, jakby trzymała swego przodka za rękę.

Niespodziewanie klejnot wyskoczył spomiędzy palców szkieletu i spoczął w jej dłoni. Juliana ścisnęła go z poczuciem triumfu. Nie zdołała powstrzymać westchnienia. Zaraz potem wpadła do wody, tak jak wcześniej Cole. W oczach jej pociemniało, w głowie zaległa pustka. Straciła przytomność.

Ocknęła się po krótkiej chwili, otoczona słoną wodą. Coś kłuło ją w dłoń. Wiedziała, że nie może tego wypuścić, choć nie pamiętała dlaczego. Ramiona i nogi jej zdrętwiały, a potem zaczęły swędzieć. Transformacja tym razem była niezbyt bolesna. Właściwie prawie jej nie czuła. Czuła za to w środku niesamowitą lekkość, jakby wypływała na powierzchnię oceanu po długim nurkowaniu.

Ogarnęła ją spokój. Przedmiot, który ścisnęła w dłoni, wciąż ranił jej skórę, lecz choć pragnęła rozprostować palce i go wypuścić, nadal czuła jego zimny dotyk. Zaskoczona stwierdziła, że jej ciało w ogóle nie słucha rozkazów płynących z mózgu. Resztkami świadomości próbowała odgadnąć, czy umiera, czy już umarła.

Łepłło wolno rozchodziło się po organizmie Cole'a. Czarna mgła zaczęła ustępować sprzed oczu. Po pewnym czasie zdołał unieść jedną powiekę, a potem drugą i spojrzeć w rozgwieżdżone niebo. Czując pod sobą kołysanie morza, zastanawiał się, gdzie jest.

- Nareszcie. Dochodzisz do siebie - odezwał się męski głos.

Odróciwszy głowę, zobaczył George'a.

- Co... - Urwał, bo nagle wszystko mu się przypomniało. - Juliana? Gdzie ona jest?

- Nie wiem, ale zaraz ją znajdę - powiedział George stanowczym tonem. - Mam nadzieję, że nie zrobiła niczego głupiego.

- Na litość boską, człowieku, czemu siedzisz tu i cackasz się ze mną, podczas gdy Juliana jest tam zupełnie sama? - zirytował się Cole.

- Nie cackałem się z tobą, Strangford. Utrzymałem cię przy życiu. Oczywiście, mogłem cię tu zostawić, żebyś się udusił własnymi wymiocinami, bo rzygałeś wodą co chwilę, ale nie sądzę, by moja siostrzyczka była zadowolona, gdybym ci pozwolił umrzeć, skoro zadała sobie tyle trudu, żeby cię uratować. Ale teraz, widzę, że dasz sobie radę, więc...

Cole zmierzył George'a wściekłym spojrzeniem.

- Przestań tyle gadać, człowieku, i szukaj jej! Jeśli ona umrze, odpowiesz mi za to.

George nic więcej nie powiedział. Rozebrawszy się do naga, wskoczył do wody. Na powierzchni oceanu pojawiły się bąbelki, w takiej ilości, jakby obok łodzi wytrysnęło gorące źródło. Cole wiedział, że jest świadkiem przeobrażenia George'a w morską postać. Po kilku minutach - według Cole'a zbyt wielu - bąbelki zniknęły, a wraz z nimi i George.

Następne pół godziny Cole spędził samotnie w łodzi. Kiedy powróciły mu siły, a skutki trującego gazu nieco zelżały, zdołał usiąść, a potem nawet wstać, nie czując przy tym zawrotów głowy. Uważał się za szczęściarza, bo udało mu się przeżyć; wiedział, że swą dalszą egzystencję zawdzięcza Julianie.

Juliana. Tak bardzo ją kochał...

Czas mijał, George wciąż nie wracał, a w Cole'u zaczął narastać lęk. Żałował, że łódź nie jest większa i nie może po niej chodzić. Pokornie obiecał Bogu, że zapomni o Morskim Opalu i uwolni ludzi morza, jeśli tylko zwróci mu Julianę żywą. Kiedy był już bliski szaleństwa z niepokoju, powierzchnię wody koło łodzi rozdarła fontanna bąbelków. Cole, struchlały ze strachu, wychylił się przez burtę i nagle ujrzał, jak George wynurza się, trzymając w objęciach siostrę.

Na widok Juliany oddech uwiązał Cole¹ owi w gardle. Miała zamknięte oczy, a usta niemal fioletowe. Był pewien, że nie żyje.

- Pomóż mi ją wciągnąć na pokład - rzucił niecierpliwie George.

Roztrzęsiony Cole chwycił ją pod ramiona i zaczął ciągnąć. Ujrzawszy jej dolną połowę jęknął z rozpaczą.

Nadal miała nogi, ale były sine, miały kolor i skórę delfiniego ogona. Stopy były spłaszczone na kształt płetw, ale oddzielne. Zdażyła się przeobrazić tylko do połowy, zanim umarła.

- Nie - szepnął z bólem, przygarniając ją mocno do piersi. Jej prawa ręka jako ostatnia wynurzyła się z wody. Natychmiast dostrzegł Morski Opal prześwitujący przez zaciśnięte palce. Zaniemówił z wrażenia.

Ostrożnie ułożył Julianę na pokładzie. Potem Cole wziął ją w ramiona, opierając brodę na czubku jej głowy. Łzy niepowstrzymane spłynęły mu po policzkach. Stracił jedyną kobietę, którą kochał, i to z powodu czego? Głupiej błyskotki, która jakoby przynosiła szczęście?

George podciągnął się, chwytając za burtę, i opadł na pokład, nadal w półdelfiniej postaci.

- Znalazła Morski Opal.

Cole zrezygnowany pochylił się, żeby lepiej widzieć klejnot. Delikatnie rozprostował Julianie palce. Zauważył skaleczenia na wnętrzu dłoni i wciąż wyciekającą z nich krew. Potem przeniósł wzrok na stary talizman.

Morski Opal był piękniejszy, niż mógł się spodziewać. Lśnił niebieskawym blaskiem, jakby rozświetlony od wewnątrz. W głębi mienił się tęczowo. Czerwone smugi zarówno na kamieniu, jak i na jego filigranowej oprawie musiały być śladami krwi Juliany. Wszystkie myśli uleciały mu z głowy, kiedy wpatrywał się w niezwykły kamień. Nagle zrozumiał, że w głębi Morskiego Opalu coś żyje, że jakieś istnienie zostało w nim uwięzione na zawsze i teraz próbuje się z nimi porozumieć poprzez te zmiany koloru.

- Nie wpatruj się zbyt długo - ostrzegł George. - Bo odbierze ci duszę.

Cole wyciągnął drżącą rękę i przejechał palcem po misternej złotej oprawie. Poczuł ból rozciętej skóry. Nie cofnął jednak ręki. Powodowała nim jakaś wewnętrzna potrzeba, której nie mógł się sprzeciwić.

Miał wrażenie, że Morski Opal przemawia do niego. Mówi mu, co ma zrobić.

Przesunął krwawiącym palcem po opalu; jego krew zmieszała się z krwią Juliany.

- Strangford, co się z tobą dzieje? - odezwał się z niepokojem jej brat, a potem wydał z siebie okrzyk zdumienia. - Popatrz na niebo!

Nie przenosząc wzroku, Cole wiedział, że w jednej chwili horyzont zrobił się prawie czarny. Chmury pędziły po niebie z nienaturalną prędkością. Zakryły księżyc. On jednak pozostawał całkowicie skupiony na Morskim Opalu i na wizji uporczywie nasuwającej mu się przed oczy: dwóch rzekach krwi razem wpadających do oceanu. Nagle zrozumiał, że małe rozcięcie na palcu nie wystarczy. Wziął klejnot do ręki i zacisnął w dłoni. Przeszył go ostry ból, a potem krew zaczęła wyciekać między palcami.

Rozprostował palce, położył Morski Opal na deskach pokładu i wiedziony niewytłumaczalnym przecuciem chwycił poranną dłoń Juliany. Ich krew zmieszała się ze sobą.

Potężna błyskawica rozdarła niebo nad nimi.

- Zawsze byliśmy przekonani, że dziecko spłodzone przez jedną z naszych kobiet i waszego mężczyznę zniweczy kłatwę - powiedział George zduszonym głosem. - Ale to było znacznie prostsze.

Woda dookoła nich zaczęła się burzyć; łódź podskakiwała dziko, a wokół tworzyła się mgła. Po niebie przetoczył się grzmot, a potem rozpętała się ulewa. Jednak ani jedna kropla nie dotknęła łodzi. Złocista poświata emanująca ze złączonych dłoni Cole'a i Juliany utworzyła nad nimi mglistą kopułę. Spadające na nią krople natychmiast parowały.

Cole patrzył osłupiały, jak mgła przeradza się w tęczę. Na wpół przeobrażone ciało Juliany zaczęło drżeć, pod skórą pojawiały się i nikły jaskrawe punkciki, niczym gromada świetlików wirująca w szalonym tańcu. Powoli jej skóra robiła się mlecznobiała, a ciało przybierało ludzką postać... tym razem na dobre.

Cole spojrzął na George'a i zobaczył, że on także drży i mieni się pod skórą. Skamieniały ze zdumienia i lęku, nawet nie próbował zetrzeć łez z policzków.

Nagle jego uwagę przykuł złocisty blask za burta łodzi. Całe morze zdawało się jasno lśnić, rozświetlone w głębi magią Morskiego Opalu, dzięki której ci, co dotąd cierpieli z powodu cygańskiej klątwy, odzyskiwali wolność. Cole'a ogarnęła radość, bo zrozumiał, że rany zadane przed wiekami wreszcie się zabiłiły.

Mgła wolno opadła. Juliana poruszyła się lekko w jego ramionach.

Jej brat miotał się jeszcze przez chwilę, a potem otworzył oczy.

- Dobry Boże. Już po wszystkim? - Głos mu drżał ze wzruszenia. Usiadł i spojrzął na Cole'a, który szlochał jak głupiec i wcale się tego nie wstydził.

- Klątwa straciła moc, George - powiedział przez łzy. - Jesteście wolni.

Jakieś podwodne ruchy zmaciły powierzchnię oceanu. Nieznane postacie pojawiały się znikąd i pływały wokół łodzi. Cole dostrzegł, że wciąż mają delfinie ogony, ale ich następna transformacja miała być ostatnią. Przyglądając się ich radosnym obliczom, pożałował każdej minuty, jaką przeżył we wrogości wobec ludzi morza.

Po wodzie niosły się ożywione głosy. George powiedział im, że wszyscy są wolni od klątwy, a kiedy przeobrażą się

w mieszkańców ładu, pozostaną w tej formie już na zawsze. Cole bez namysłu zaprosił wszystkich do swego domu na tak długo, jak zechcą, i ze szczerym wzruszeniem patrzył, jak oni także otwarcie płaczą.

Wreszcie wśród śmiechów i okrzyków skierowali się do brzegu.

Odróciwszy się do Juliany, Cole pogładził ją po włosach. Znowu się poruszyła, tym razem mocniej. Kiedy otworzyła oczy, ujrzał w nich zdumienie i pytanie.

- Cole, ty płaczesz. Dlaczego?

- Dokonałaś tego, skarbie. Odzyskałaś Morski Opal i razem złamaliśmy klątwę.

- Co? - Uniosła się na łokciu. - Klątwa straciła moc?

Zamiast odpowiedzieć, przygarnął ją do siebie i szepnął:

- Kocham cię.

W jej oczach nie było już zdumienia, tylko ulga i radość. Przywierając do niego, rozpłakała się.

- Och, Cole, ja też cię kocham. - A potem łamiącym się głosem wyznała mu wszystko, co jej leżało na sercu, a on odwzajemnił jej się tym samym.

Po pewnym czasie oderwała się od jego piersi i spojrzała mu w twarz oczyma koloru nieba na wschodnim horyzoncie... koloru wschodu słońca.

Spokojnie i z ufnością przyjął obietnicę wypisaną w jej oczach i miał wrażenie, że urodził się na nowo.

Epilog

Tlum gości - zarówno ze strony Strangfordów, jak i St. Germaine'ów - wypełniał główny hol Shoreham Park Manor. Wytworne suknie pań odbijały barwnymi plamami od ciemnej boazerii, a doskonale skrojone wizytowe stroje panów wyglądały tym bardziej elegancko pod splekanymi dębowymi belkami sufitu. Szczęśliwe uśmiechy na wszystkich twarzach zdawały się rozświetlać pomieszczenie dodatkowym blaskiem. Patrząc na mężczyzn i kobiety, którzy jeszcze niedawno pływali z nią w głębi oceanu, Juliana czuła ciepło, sięgające głęboko do serca i duszy.

Minęło ponad cztery miesiące od czasu, gdy wraz z Cole'em uwolnili ludzi morza spod działania mrocznej klątwy, rzuconej przed wiekami. Podczas tej magicznej nocy przywrócenia wolności ludzie morza wychodzili na brzeg małymi grupkami, po trzy lub cztery osoby. Od razu zabrali ich do Shoreham Park Manor, gdzie pozostali do czasu, aż George zaczął ich urządzać w warunkach, które stwarzał dla nich przez lata. Obecnie większość z jej krewnych i przyjaciół wiodła stateczne i wygodne życie. Tego dnia wszyscy ponownie zgromadzili się w Shoreham Park Manor, a wcześniej towarzyszyli jej bratu George'owi w zaślubinach z Lila, Cyganką, którą kochał całym sercem.

Juliana rozejrzała się po holu za Cole'em i dostrzegła go stojącego przy gablocie z trofeami. Morski Opal także spoczywał w tej gablocie na poduszce z czarnego aksamitu. Juliana zadrżała i szybko położyła rękę na brzuchu; ruchy dziecka zawsze dodawały jej otuchy. Niezwykły klejnot przynosił szczęście rodzinie Strangfordów, ale też uczynił obu rodzinom, Strangfordów i St. Germaine'ów, wiele zła, ponieważ był powodem rzucenia klątwy, prześladującej ich przez wieki. Spędzili z Cole'em wiele nocy, rozmawiając o tym, co należy zrobić z opalem. Nieco później tego dnia, podczas specjalnej ceremonii, mieli ogłosić swą decyzję w tej sprawie.

Mąż najwidoczniej wyczuł jej wzrok na sobie, bo odpowiedział szerokim uśmiechem. Gęste czarne włosy opadały mu swobodną falą na czoło. Podszedł do żony, bez trudu torując sobie drogę przez tłum. Wyglądał oszałamiająco przystojnie w czarnym fraku i spodniach z najprzedniejszej wełny. Szafir zdobiący spinę wpiętą w krawat współgrał z barwą jego oczu. A w tych oczach tliły się zmysłowe błyski, przypominające jej o wszystkich cudownych chwilach, jakie z nim dotąd spędziła i jakie ją przy nim czekały. Poczuła, jak pod wpływem rozkosznych wspomnień policzki oblewa jej rumieniec.

Cole uśmiechnął się domyślnie.

- Myślisz o naszej ostatniej nocy, skarbie?

Odwzajemniła uśmiech, obejmując go w pasie.

- Jak mogłabym myśleć o czymkolwiek innym? - Wspinając się na palce, pocałowała go w usta, a dziecko w jej brzuchu podskoczyło, jakby w ten sposób chciało wyrazić im swoje poparcie.

- Mmm... - Zanim się od niej oderwał, zdążył ją jeszcze musnąć ustami po szyi i uchu. - A ja myślę o naszej najbliższej nocy.

Zaczerwieniła się mocniej, bo nie dość, że robili z siebie widowisko przed wszystkimi Strangfordami i St. Germaine'ami, to jeszcze zmysłowy pomruk Cole'a sugerował, czego się może

po nim spodziewać. Uściskawszy go serdecznie, wyswobodziła się z jego objęć.

- Jesteśmy starym małżeństwem i musimy się godnie zachowywać. George i Lila dopiero co się pobrali, więc niech to oni się publicznie całują.

Cole spojrział wymownie na stary zegar w kącie holu.

- Nie zrozum mnie źle, cieszę się niezmiernie z powodu George'a i Lili, ale jak długo jeszcze mamy świętować? Chciałbym zakończyć sprawę Morskiego Opalu, żebyśmy mogli pójść na górę.

Wzięła go pod rękę.

- Chodźmy zapytać, czy są gotowi wyjść nad urwisko.

Razem podeszli do George'a i Lili, siedzących blisko siebie na kanapie. Po drodze zagadnął ich stryj Gillie, który stał nieopodal ze swą nową ukochaną, była kobietą morza. o nazwisku Mary Watkins.

Cole przyjrzał się stryjowi z uśmiechem, nieco dłużej zatrzymując wzrok na ramieniu Gilliego obejmującym Mary w pasie.

- Czyżby wkrótce czekał nas kolejny ślub?

Juliana spojrzała z zaciekawieniem na parę starszych ludzi. Pamiętała Mary z lat spędzonych w oceanie. Wcześniej odwiedziła Mary poświęcała większość czasu na urządzenie swego domu we wraku, spoczywającym na południowy wschód od wysp Scilly. Przeszło jej przez myśl, że Gillie już nigdy nie musiałyby się skarżyć na niewygody, gdyby posłubił Mary, a Mary z pewnością byłaby szczęśliwa, mając się o kogo troszczyć. Życzyła im w duchu wszystkiego najlepszego.

Gillie roześmiał się, zerkając z ukosa na swą towarzyszkę.

- Sam nie wiem. A ty, Mary, jak sądzisz?

- Sądzę, że to możliwe - powiedziała, oblewając się rumieńcem. - Gillie ma urok, któremu trudno się oprzeć. Gdyby mnie zaczarował, nie uznałabym tego za klątwę.

Juliana dotknęła ramienia starszej kobiety.

- Jeśli uczynisz z niego uczciwego człowieka, to znaczy, że posiadasz magiczną moc.

Wszyscy zgodnie się roześmieli. W końcu Cole przybrał poważny wyraz twarzy.

- Jesteście gotowi dołączyć do nas przy urwisku, stryju?

Gillie także spowaźniał.

- Oczywiście, jeśli George i Lila są gotowi.

Cole pokiwał głową.

- Zapytam ich.

Wciąż z Juliana uwieszoną u ramienia, Cole wrócił do George'a i Lili. Musieli odczekać parę minut, aż jakaś inna para skończy składać nowożeńcom gratulacje, a kiedy wreszcie Juliana zbliżyła się do brata, ujrzała cień zmęczenia na jego twarzy. Lila także wyraźnie potrzebowała odpoczynku. Od miesięcy oboje ciężko pracowali, pomagając ludziom morza urządzić się na lądzie. Mieli niewiele czasu dla siebie i to było po nich widać.

Juliana uśmiechnęła się do nich ze zrozumieniem.

- Choć to wyjątkowo radosny dzień, chyba oboje macie już dosyć. - Zatknęła zbłąkany kosmyk jasnych włosów Lili za perłowy diadem na jej głowie. - Lilo, wyglądasz cudownie, ale podejrzewam, że chętnie przespałabyś parę dni.

- Rzeczywiście potrzebuje łóżka - przyznał George - ale zapewniam, że nie będzie spała.

Juliana z Lila wymieniły znaczące spojrzenia.

- Oni o niczym innym nie myślą.

Lila zachichotała.

- Przyznaję, że i moje myśli zdążają w podobnym kierunku.

- Rozumiem więc, że jesteście gotowi, by pójść nad urwisko - wtrącił Cole, patrząc George'owi prosto w oczy.

George przytaknął skinieniem.

- Miejmy to już za sobą.

Pozostawiwszy Julianę u boku brata, Cole podszedł do gabloty, otworzył ją i wyjął Morski Opal. Rozmowy w tłumie

zaczęły przycichać, a wszystkie spojrzenia skupiły się na Cole'u. Juliana poczuła, jak gęsia skórka pokrywa jej ramiona.

Cole uniósł klejnot wysoko, żeby każdy mógł go widzieć, po czym rzekł:

- Juliana i ja zaplanowaliśmy na dzisiaj specjalną uroczystość... prostą, lecz ważną, Pragniemy, byście wszyscy wzięli w niej udział. Proszę, chodźcie teraz z nami nad brzeg.

Absolutną ciszę, jaka zapadła przy pierwszych słowach Cole'a, przerwał szmer pojedynczych głosów. Cole wrócił do Juliany, wziął ją za rękę i wyprowadził na jesienne słońce. George z Lila zaraz do nich dołączyli, za nimi ukazał się stryj Gillie i Mary, a następnie cała reszta gości.

Juliana szła w stronę morza z ukochanym mężczyzną; miała poczucie absolutnej słuszności tego, co zmiierzali uczynić. Wiedziała, że decyzja, którą wspólnie podjęli, jest najlepsza ze wszystkich możliwych. Musieli zwrócić Morski Opal morzu. Oboje z Cole'em doszli do wniosku, że wolą raczej znosić niedogodności wynikające z pecha, niż narażać się na zło, jakiego człowiek jest w stanie się dopuścić w pogoni za magicznym klejnotem. Ich wzajemna miłość, silna i szczerą, wystarczyła, by ich chronić nawet najciemniejszą nocą.

Z włosami rozwianymi morską bryzą Juliana przystanąła na szczycie urwiska i spojrzała na ocean. Fale nieustępliwie omiatały brzeg jęczorami piany. Zdawało jej się, że w oddali widzi ogon delfina znikający pod wodą. Ogarnął ją smutek i tęsknota za morzem, które ją żywiło i dodawało sił, za przyjaciółmi, których opuściła - delfinami igrającymi wśród fal. Jednocześnie cieszyła się, że w końcu odzyskała ludzką postać, do której była stworzona, i że czeka ją przyszłość u boku mężczyzny, który ją kocha. Te uczucia stały ze sobą w sprzeczności, więc nie mogła się nadziwić, że owładnęły nią naraz.

Otarła z oka zabłąkaną łzę. Żegnajcie, przyjaciele, pomyślała, jeszcze przez chwilę wpatrując się w punkt, gdzie dostrzegła delfina. A potem spojrzała w niebieskie jak ocean oczy Cole'a.

Cole chwycił jej dłoń i lekko uściśnął. Współczucie w jego wzroku świadczyło, że domyśla się jej uczuć. Odwzajemniła uścisk.

Pochylił się do jej ucha, szepcząc:

- Kocham cię, Juliano. Jesteś najcenniejszym skarbem, jaki kiedykolwiek znalazłem w morzu.

Oczy znów zaszkliły jej się łzami.

- Skończmy już z Morskim Opałem, żebyśmy mogli wrócić do domu.

- Pragnę tego ponad wszystko - zapewnił ją Cole, kiwając głową.

Trzymając się za ręce, czekali, aż reszta gości weselnych dołączy do nich na brzegu. Kiedy to nastąpiło, Cole stanął twarzą do tłumu, a plecami do oceanu, na tle lazuru niebieskiego nieba. Wokół jego stóp rozpościerała się kępa drobnych białych kwiatów, przypominająca Julianie chmurę.

Z Morskim Opałem uniesionym nad głowę i szumem oceanu w dole, Cole zaczął mówić:

- Jak wszyscy wiecie, nasze rodziny długo były wrogami. Pewien złodziej ukradł kiedyś Cyganom klejnot, a Cyganie rzucili na złodzieja i jego bliskich klątwę, skazującą ich na wieczne życie w oceanie. Jednak dzięki miłości i odwadze obu naszych rodzin złamaliśmy tę klątwę i teraz jesteśmy zjednoczeni i dzięki temu silniejsi.

W tłumie rozległy się wesołe okrzyki i wiwaty, lecz po chwili znów zaległa cisza.

- Dzisiaj - mówił dalej Cole - stoimy razem w miejscu, gdzie przed wiekami zginęło zbyt wielu członków naszych rodzin. To tu złodziej zamordował moich przodków i tu Cyganie przeklęli przodków Juliany. W tym miejscu przekroczyli krawędź urwiska.

Cisza stała się tak głęboka, że Julianę aż przebiegły ciarki.

- Ten klejnot - ciągnął Cole - leżał u korzeni wszystkich naszych nieszczęść. Przyjaciele, w naszym życiu nie ma miejsca dla Morskiego Opalu.

Klejnot knił w uniesionej dłoni Cole'a niczym łapawia morska, lecz Julianie zdawało się, że widzi cięń na jego powierzchni. Nagle zaprzęgnęła ponad wszystko, żeby Cole wyrzucił magiczny kamień do morza. Natychmiast.

Kilku gości kiwało głowami na znak, że zgadzają się w pełni z Cole'em. Inni wpatrywali się w Morski Opal jak zaszarowani, wyraźnie niezdolni oderwać od niego oczu.

Cole podszedł bliżej skraju urwiska.

- W imię naszych zjednoczonych rodzin, w imię przyjaźni i tradycji, ale przede wszystkim w imię miłości wrzucam Morski Opal do oceanu, gdzie już nigdy nie będzie przynosił szczęścia... ani pecha.

Wypowiadając te słowa, cisnął klejnot w powietrze. Opal zaświecił jak kometa, sunąc łukiem po niebie, a potem wpadł do wody. Juliana śledziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął wśród fali. Tłum zafalował, wydając głośne westchnienie.

Cole odwrócił się z powrotem plecami do morza.

- Teraz jesteśmy naprawdę wolni.

Juliana podbiegła do niego i wzięła go za rękę. Odczuwała ulgę większą, niż mogła się spodziewać. Domyśliła się, że wszyscy pozostali czują podobnie, bo zamiast wiwatować... padali sobie w ramiona, obejmowali się nawzajem i płakali.

George z Lila podeszli do nich i razem stali spleceni w uścisku. Po chwili dołączył do nich Gillie z Mary. Juliana czuła, że łzy spływają jej z oczu tak samo niepowstrzymanie jak całej reszcie. W końcu ruszyli w drogę powrotną do Shoreham Park Manor, a choć słońce chyliło się już ku zachodowi, Juliana miała wrażenie, że rozpoczyna całkiem nowy dzień.

Przytuliła się do Cole'a. Wiedziała, że już nigdy nie będą jej dręczyć nocne koszmary. Zatrzymała się z uśmiechem i stając na palcach, szepnęła mężowi do ucha:

- Cole, kochany, czy twoja propozycja, że nauczysz mnie pływać, jest nadal aktualna?

Objmując ją ciasno w pasie, ukazał zęby w uśmiechu.

- Owszem, tylko pamiętaj, że zwykle pływam nago.

- Zacznijmy naukę jeszcze tej nocy - podsunęła.

W odpowiedzi Cole pochylił się, żeby ją pocałować, nie zwracając przy tym najmniejszej uwagi na otaczający ich tłum weselnych gości.